



# Wyśnzione miejsca

BRENNA YOVANOFF

moondrive

B R E N N A Y O V A N O F F

# Wyśnione miejsca

tłumaczenie Adriana Sokołowska-Ostapko

moondrive

Kraków 2016



*Sylowi, który odkrywa ze mną wszechświat*



Jest w słońcu coś strasznego.

Wynurza się zza horyzontu i sunie coraz wyżej niczym balon napełniony ciepłym powietrzem. Zanim się spostrzeżemy, nieśmiało jaśniejąca smuga zmienia się w rażący okrąg, ognistą źrenicę Boga, który wlepia w nas gniewne spojrzenie.

Czasem, gdy wpatrujemy się w zegar nie wiadomo którą noc z rzędu, trudno odróżnić rzeczywistość od wytworów wyobraźni.

Codziennie odtwarzam w myślach przebieg zdarzeń, cofam się godzina po godzinie i jeśli dane wydarzenie logicznie wypływa z poprzedniego, to znaczy, że faktycznie jest ono prawdziwe.

Teraz jest godzina 13:23. Siedzę na lekcji hiszpańskiego, przede mną Caitie Price, za mną CJ Borsen, gdyż właśnie między ich ławkami stoi moja ławka.

Chodzę na język hiszpański do pani Denning, ponieważ w Morganie, naszym liceum, nie ma już dla mnie odpowiedniego poziomu kursu z francuskiego i powoli zaczęło mi brakować możliwości wyboru zajęć fakultatywnych. Zostały mi hiszpański albo dekoratorstwo. Czasami gdy ktoś wykazuje za dużo inicjatywy, powstaje problem, bo nie wiedzą, co z taką osobą zrobić.

Obecnie zajmujemy się ujawnianiem naszych zainteresowań i usiłujemy wydukać coś na temat sportu albo innych pasjonujących czynności. Jak na razie okazało się, że mamy pięcioro początkujących muzyków, trzech piłkarzy i paru niezbyt zapalonych majsterkowiczów.

Książkę otwarałam na rozdziale zatytułowanym *Deportes y Pasatiempos*<sup>1</sup> i wiem, że rozgrywająca się akurat scena to żaden majak, ponieważ litery nie ześlizgują się ze stron. Znam odpowiedzi na wszystkie pytania powtórkowe, ale wiem też, że gdy pani Denning wywoła mnie, nie powiem jej prawdy na temat mojej ulubionej formy rekreacji.

Siedząca na przodzie klasy nauczycielka załamuje ręce i zastanawia się, w którym momencie popełniła błąd, że jej życie wygląda właśnie tak.

– Emily – z rezygnacją zwraca się do kolejnej uczennicy – a ty? Jakie masz hobby?

Fantastyczna wizja: podczas lekcji pani Denning mówi do nas tylko po hiszpańsku. Jednak taka mrzonka nie miała racji bytu. Wzorem wszystkich utopijnych pomysłów już na samym początku skruszyła się i zapadła pod ciężarem własnych ambicji.

– *Me gusta bailar*<sup>2</sup> – oznajmia Emily Orłowski, po czym wraca do malowania korektorem paznokci Olivii Tatum.

Niezwłocznie zaczynam sobie wyobrażać taniec tej dwójki – dzikie pląsy, podczas których

największe wrażenie robią głębokie dekolty i ciemny makijaż oczu.

– Bardzo dobrze – oświadcza pani Denning głosem, w którym wbrew zapewnieniu pobrzmiwa nie satysfakcja, ale wręcz przerażenie.

Nauczycielka, tkwiąc za biurkiem jak za barykadą, przenosi uwagę na ostatni rząd ławek.

– Marshall? Może ty chciałbyś opowiedzieć nam o swoich ulubionych rozrywkach?

Marshall Holt podnosi wzrok. Zaraz potem równie szybko opuszcza spojrzenie, wbija je w blat ławki i monotonicznie, z nienagannym akcentem recytuje:

– *Me gusta jugar a los bolos con mis amigos*<sup>3</sup>.

Pani Denning autentycznie przekonana, że uczeń z niej nie drwi, pochyla się.

– *Bueno. Y a donde juegas a los bolos*<sup>4</sup>?

– *En el parque*<sup>5</sup>.

Lubię grać z przyjaciółmi w kręgle w parku. Cóż za dowcip. Bardzo dojrzały. Marshallu Holcie, jesteś geniuszem.

Ludzie wokół nas chichoczą, zasłaniając się podręcznikami. Pani Denning w dalszym ciągu wpatruje się w Marshalla smutnym, pełnym nadziei spojrzeniem, jak gdyby liczyła na sensowną puentę tej całej sytuacji.

Przez chwilę Marshall wydaje się niemalże skruszony, ale jest już za późno. Nauczycielka traci resztki wiary, bawi się plastikowym kubkiem na długopisy i rozgląda w poszukiwaniu osoby, która jej nie zdradzi.

– Waverly, mogłabyś podać nam jeszcze jeden przykład rozrywki?

Pani Denning wbija wzrok w moją jasną, rozpromienioną twarz, chwyta się mnie jak tonący brzytwy. Jestem jak obietnica, jak iskierka nadziei. Waverly wyciągnie pierwiastek kwadratowy z każdej liczby i odmieni czasownik *quemar*<sup>6</sup>. Tak, Waverly wie wszystko na temat składania ofiar. Potrafi wyjaśnić, co upamiętnia Święto Narodowe Francji, i wymieni trzy główne motywy literackie w *Przemianie* Kafki.

Waverly nigdy nie przeszłoby przez gardło, że jej ulubioną rozrywką jest upijanie się nocami w przejściu podziemnym w Basset Park.

Waverly jest grzeczną, bardzo grzeczną dziewczynką.

Waverly jest tak cnotliwa, że można skonać.

Splecione dłonie nadal trzymam na ławce. Cała klasa wpatruje się teraz we mnie, patrzą na mój uprzejmy wyraz twarzy, starannie uczesane włosy i myślą: jaka ona grzeczna, jaka urocza, jaka miła. Jak cholernie idealna. Za kogo w ogóle ona się uważa?

Odpowiadam cicho, niemal niepewnie:

– *Me gusta correr*<sup>7</sup>.

„Źle – odzywa się głos w mojej głowie. – Odpowiedź błędna. Żałośnie błędna”. Biegam nie dlatego, że sprawia mi to przyjemność. Moja przyjemność nie ma tu żadnego znaczenia. Biegam, ponieważ noce są długie i ponieważ nie potrafię nie biegać.

Gdy światła gasną i księżyc zawisa nisko nad horyzontem, wymykam się przez drzwi balkonowe, a potem przez bramę. Ruszam pasem zieleni oddzielającym jezdnię na Breaker Street. Skręcam na pola Buehlera, wydłużam krok, po czym obieram nieosiągalny punkt na widnokreśgu i biegnę w jego kierunku. Czasami biegnę godzinami.

Pani Denning posyła mi zza biurka uśmiech.

– *Gracias*<sup>8</sup>, Waverly.

Przychodzi mi do głowy pewne twierdzenie, które szybko zapisuję. Prawo doskonałości. Wrażenie, jakie wywołujemy, jest odwrotnie proporcjonalne do tego, co ludzie wiedzą na nasz temat. Do twierdzenia dołączam wykres: dwie rozbieżne proste.

Istnieją dwie Waverly. Jedna jest nienagannie ubrana, nieprzeciętnie zdolna, w miarę atrakcyjna i w biegu przełajowym po Basset Park uzyskuje wynik poniżej osiemnastu minut. Gdy ma dobry dzień, kończy bieg w szesnaście minut pięćdziesiąt sekund.

Druga pozostaje w ukryciu.

Druga Waverly to ta, która nigdy nie śpi.

Maribeth Withman to moja najlepsza na świecie, dozgonna przyjaciółka. Ci, którzy wierzą w taką przyjaźń, wiedzą o czym mówię.

Jesteśmy jak bracia Lumière, jak Chip i Dale. Chodzimy na te same dodatkowe zajęcia uniwersyteckie, należymy do tych samych klubów, znamy te same twierdzenia, równania i skandalizujące plotki. Od przedszkola razem pleciemy bransoletki z tęczyowych sznureczków.

Gdy torując sobie drogę przez korytarz na piętrze przedmiotów humanistycznych, kieruję się w stronę szafek, natykam się na Maribeth. Przyjaciółka rzuca się na mnie z szeroko rozpostartymi ramionami i chociaż przy szafkach kręci się chyba połowa pierwszoklasistów, a ja nie znoszę roztkliwiać się na oczach ludzi, również rozkładam ręce i pozwalam się objąć.

Maribeth doskonale wie, jak podkreślić swoje rysy, aby uzyskać najlepszy efekt. Na jej twarzy maluje się wyraz tak słodki, że jeśli patrzy się na nią zbyt długo, zęby zaczynają boleć i z sekundy na sekundę, niczym na filmie poklatkowym, pokrywają się ciemnymi plamami próchnicy. Całości dopełniają włosy w kolorze świetlisty blond, które otaczają głowę przyjaciółki puszystą aureolą.

– Boże. – Maribeth odsuwa mi z czoła równo obcięta grzywkę i zatyka ją za ucho. – Uśmiech znów

ci nie działa. Spałaś tej nocy cokolwiek?

Rozciągam usta, aby nadać swojej twarzy sympatyczny wyraz, i kręcę zamkiem szyfrowym w szafce.

– Trochę – odpowiadam zgodnie z prawdą. Sypiam średnio trzy godziny na dobę.

Przyjaciółka wyławia z torby ołówki, a następnie przerzuca kartki notesu w poszukiwaniu czystej strony.

– Lepiej zrób coś z tym, jeśli nie chcesz wyglądać na balu jak żywy trup. Dotrzesz dziś wieczorem na imprezę, prawda?

– O ile po południu nie spłonę żywcem w pożarze toru przełajowego. Ale najazdy Hunów mamy już dawno za sobą, więc raczej będę.

Maribeth skrobie ołówkiem moje imię, dodając je do listy obecności, a na jej czoło występuje kilka zmarszczek. To naprawdę zadziwiające, jak dobrze ją znam – zawsze robi notatki ołówkiem, nie dlatego, żeby w razie potrzeby coś wymazać, ale ponieważ ołówki można idealnie naostrzyć. Wiem również, że mówiąc o „imprezie”, ma na myśli zebranie organizacyjne w sprawie szkolnego balu. Maribeth zaś wie o tym, że nie zawsze śpię i że śmieszą mnie absurdalne dowcipy, nawet jeśli innych nie bardzo. Poza tym wie, że mój wewnętrzny świat pochłania mnie do tego stopnia, iż nie zawsze pamiętam, jaki wyraz twarzy powinnam przybrać.

Z konspiracyjnym uśmiechem na ustach przyjaciółka przysuwa się do mnie tak blisko, że niemal dotykamy się policzkami.

– Chyba nieźle mi idzie w komitecie: wreszcie robię prawdziwe postępy. Będziesz ze mnie dumna.

W tej dziedzinie uzupełniamy się w dość szczególny sposób. Ja mam talent do rozpoznawania schematów i orientowania się w nich. Maribeth potrafi walczyć zacięcie o to, żeby przełamać schemat i stanąć na szczycie hierarchii.

Stuka ołówkiem w notes.

– Przekonałam popleczników Loring, żeby zebranie zamiast u niej, odbyło się u mnie w domu, a ten, kto rozdaje karty, ten wygrywa. Teraz możesz mnie pochwalić.

Istnieją dwie Maribeth, ale w przeciwieństwie do drugiej Waverly, druga Maribeth ukazuje się czasem niektórym osobom. Jednak ci, którym dane było oglądać owo sekretne oblicze mojej przyjaciółki, wcale nie są z tego powodu wyjątkowo uszczęśliwieni. Druga Maribeth to skończona suka.

Maribeth opiera dłoń na moim przedramieniu, pachnie niezmywalnymi markerami i lukrem waniliowym.

Już od pierwszej klasy Loring jest odpowiedzialna za urządzenie każdej ponadprogramowej niezwiązanej ze sportem imprezy dla naszego rocznika i od samego początku kiepsko jej to wychodzi. Nieudolność oraz rażąca wręcz prostolinijność przewodniczącej komitetu do spraw organizacji wydarzeń



towarzyskich sprawiły, że wreszcie nadszedł czas na zmianę.

– Nie wiem, czy zdajesz sobie z tego sprawę – szepcze Maribeth, ściskając znacząco moją rękę – ale już niedługo wszystkie imprezy, aż do końca szkoły, będą nasze.

Czuję, że na język ciśnie mi się jedno krótkie pytanie: „dlaczego?”. Dlaczego w ogóle zawracamy sobie tym głowę? Dlaczego to takie ważne? Skąd ta twoja obsesja na punkcie organizowania imprez?

Nie muszę jednak zadawać tych pytań głośno, ponieważ znam na nie odpowiedź.

Decyzjom komitetu towarzyskiego każdy się podporządkowuje. A nagrodą za aktywność w życiu społecznym szkoły są dodatkowe punkty przyznawane kandydatom na studia przez najlepsze uczelnie.

Nie wystarczą wysoka średnia, inteligencja i sumienność, liczą się również wyjątkowe zainteresowania. Jeśli uprawiasz biegi przełajowe, to sygnał, że jesteś zmotywowany i zdyscyplinowany, jeśli grasz na skrzypcach – masz artystyczną duszę. Wolontariusze z banków żywności to urodzeni społecznicy. Przynależność do komitetu organizującego imprezy oznacza, że nie jesteś towarzysko ułomny.

Maribeth przedstawia plan zebrania, peroruje o konieczności natychmiastowego przystąpienia do przygotowania plakatów.

Nie słucham jej.

Myślę o Loring, o jej szerokim, szczerym uśmiechu. O tym, jak bardzo za każdym razem się stara, przykłada, daje z siebie wszystko, i jak za każdym razem jej nie wychodzi. Myślę o wszystkich niefortunnych dziewczynach, które pełniły funkcję przewodniczących przed Loring, i o nastolatkach pokroju Maribeth, które je wygryzły.

– Chodź – pospiesza mnie przyjaciółka. – Muszę poprawić makijaż, żeby Hunter chciał pójść ze mną w weekend do kina.

Machiavelli zachwyił się postacią Cezara Borgii, ponieważ fascynowała go bezwzględność księcia Romanii.

Maribeth Whitman to najbardziej bezwzględna dziewczyna, jaką znam.

Przy umywalkach w toalecie w zachodnim skrzydle tłoczy się parę dziewcząt z niższych klas, ale gdy przepychamy się między nimi, posłusznie schodzą nam z drogi. Wiedzą, gdzie ich miejsce, chociaż to dopiero październik.

Patrzę, jak przyjaciółka maluje się szminką w wesołym kolorze różanych pąków, po czym przetrząsa torebkę w poszukiwaniu szczotki do włosów.

To właśnie Maribeth powiedziała mi w podstawówce, że ludzie uważają mnie za dziwaczkę. Jestem zbyt cicha, zbyt poważna.

– Powinnaś częściej się uśmiechać – poradziła mi w czwartej klasie, kiedy podczas przerwy stałyśmy w kolejce do skakanki.

– Czemu? – spytałam, nic nie rozumiejąc. – Przecież nie robię nic złego. Po prostu nie chce mi się uśmiechać.

Maribeth przekrzywiła głowę i zmierzyła mnie spojrzeniem, jak gdyby miała przed sobą osobnika jakiegoś innego, nieznanego gatunku.

– Nie musi ci się chcieć – wyjaśniła. – Uśmiechasz się do świata, do ludzi. Robisz to dla innych.

Było to dla mnie dosyć wstrząsające odkrycie. Właśnie wtedy, gdy stałam na boisku i patrzyłam, jak Caitie Price, która skusiła, zamienia się miejscami z wyższą od niej o głowę Cynthią Lopez, pomyślałam, że to dlatego jest się ekstrawertykiem – rozumie się zasady rządzące światem zewnętrznym.

Maribeth nachyla się do lustra i przeczesuje włosy palcami. Wpatruje się uważnie w swoje odbicie, szczotkę trzyma w pogotowiu, ale okazuje się, że nic nie trzeba poprawiać.

Mimo to przystępuje do udoskonalania swojej fryzury, ja tymczasem, stojąc przy pojemniku na ręczniki papierowe, studiuje zbiór intymnych wyznań pokrywających ścianę od góry do dołu. Wiele osób zwierza się tu ze swoich tajemnic. Nie padają nazwiska ani żadne inne dane, można jedynie zidentyfikować rodzaj długopisu albo markera.

Niektóre sekrety są tajemnicami poliszynela („Pan Cordery ma włosy w nosie”). Inne za to są zbyt smutne, żeby ktokolwiek miał ochotę je kontemplować, dlatego nikt ich nie komentuje ani nie odpowiada na nie.

Większość jednak to ostre, nieprzyjemne uwagi, których nie ośmielamy się wypowiedzieć na głos, chociaż nieraz przelatują nam przez głowę. Myśli typu:

*Podobają mi się tylko ci chłopcy,  
którzy nie interesują się mną.  
Kiedy zaczynają zwracać na mnie uwagę,  
ja przerzucam się na kogoś innego.  
A jeśli zostanę przez to na zawsze sama?*

*Chciałabym być chuda.  
Chociaż gdybym była,  
pewnie zaczęłabym się puszczać.*

*Chyba straciłam cnotę w sobotę,  
ale nie pamiętam dokładnie,*

*a nie chcę go o to pytać.*

Rozlega się dzwonek, Maribeth odwraca się i opiera plecami o umywalkę.

– Dobrze wyglądam? Chcę, żeby Hunterowi totalnie odbiło na moim punkcie.

Kaskada blond włosów opada na jej ramiona niczym płaszcz utkany z nordyckich genów i ambicji.

Na ścianie nad pojemnikiem na mydło ktoś nagryzmołił:

*Sceptyczny*

*Upierdliwy*

*Przewrażliwiony*

*Eskapistyczny*

*Rozpieprzony*

W każdym słowie pierwsza litera została pogrubiona, aby utworzyły one biegnący pionowo napis: „SUPER”.

Stojąca obok mnie Maribeth znów przygląda się spod przymrużonych powiek swojemu odbiciu, jak gdyby znalazła w nim coś niezadowolającego, mimo że prezentuje się dobrze. Niczego jej nie brakuje.

– Wyglądasz świetnie – mówię. W wyrazie „rozpieprzony” brakuje kropki nad „i”. Przez chwilę czuję ogromną chęć, żeby wyjąć długopis i dostawić brakujący znak, ale byłaby to przesada. Zamiast tego przyciskam palec w miejscu, gdzie powinna widnieć kropka. – Hunter nie będzie mógł się oprzeć.

Maribeth uśmiecha się, po czym przenosi wzrok na ścianę i przewraca oczami.

– Boże, nie mogę pojąć, dlaczego ludzie piszą tu o swoich prywatnych sprawach. Nie wiedzą, że mamy epokę informacyjną? Przecież to oczywiste, że ktoś ich rozpozna, i chyba bazgroła tylko dlatego, żeby inni się nad nimi użalali.

– Jest nas w szkole dwa i pół tysiąca – odpowiadam, idąc do drzwi. – Być może myślą, że mnogość gwarantuje anonimowość.

Przyjaciółka przytakuje, ale wiem, że tak naprawdę nie zastanawia się nad tym, co powiedziałam. Nie bardzo obchodzą ją takie rzeczy jak współczucie, wyznania ani żadne inne sprawy, które nie mogą jej przynieść bezpośredniej korzyści.

– Niech im będzie – stwierdza. – Jeśli to ich kręci. Ale dla mnie są żałośni. I założę się, że paru z nich spotkasz na dyżurze. Zaraz zaczynasz, prawda? Uważaj na te wszystkie niestosowne emocje...

Zgodnie z oczekiwaniem przyłączam się do beznamiętnej drwiny:

– Niczego innego się nie spodziewam. Świeża dostawa leni i nieudaczników gotowa do psychologicznej obróbki.

W głębi duszy nie wierzę jednak w to, co mówię.

Ostatnią część dnia spędzam w recepcji gabinetu szkolnego pedagoga. Jest to stanowisko zarezerwowane dla grzecznych dziewczynek, które wyrobiły wymaganą liczbę dodatkowych zajęć i mogą sobie pozwolić na wolne godziny, ale nie lubią bezproduktywnie wałęsać się po szkole.

Przez następne siedemdziesiąt pięć minut będę nosić maskę osoby uczynnej. Będę udawać, że miałam w nocy odpowiednią ilość snu. Moja twarz zastyga w wyrazie pełnym opanowania i dystansu, jak gdyby wykuto ją z marmuru.

Zanim minie północ, będę buzowała energią niczym generator Tesli, ale na razie nogi mam sztywne i ociążałe. Odczuwam ból w częściach ciała, które nigdy wcześniej mnie nie bolały. Zamykam oczy, przyciskam dłonie do twarzy. Do gabinetu pedagoga nikt jeszcze nie przyszedł, jest więc tak cicho, że słycać szum z przewodów biegnących w suficie. Moje odbicie widoczne na ekranie komputera jest blade, upiorne, rozmyte na krawędziach. Z przykrością stwierdzam, że Maribeth ma rację – jestem prawie przezroczysta. Wyglądam strasznie.

Loguję się na konto administratora i przetrząsam internet w poszukiwaniu technik relaksacyjnych.

Znajduję ich mnóstwo. Niektóre obejmują zażywanie lekarstw, wydawanych co prawda z przepisu lekarza, ale jakimś sposobem dostępnych bez recepty i sprowadzanych niemal za grosze z Kanady. Inne metody związane są z holistycznym podejściem do zagadnienia – nagrania z białym szumem, kadzidełka, świece medytacyjne. Liczenie wsteczne od stu do zera powtarzane w nieskończoność.

Sporządzam listę, wypisując w punktach możliwe rozwiązania wraz z uwagami na temat stopnia trudności i wygody. Następnie drę kartkę i wyrzucam ją do kosza.

To byłoby na tyle w kwestii przyznania się do problemu.

Usuвам historię przeglądania, po czym otwieram swoją torbę. Część ludzi pewnie wykorzystałaby dyżur u pedagoga na nadrabianie zaległości w zadaniach domowych, ale ja od miesiący nie muszę niczego nadrabiać. Nie sypiając, zyskuje się sporo na czasie.

Wyjmuję więc krzyżówkę. Jestem na półmetku – w tym wrednym punkcie, kiedy wszystkie łatwe hasła są już rozwiązane, a pozostałe kratki zieją szyderczą pustką.

Czterdzieści pięć poziomo. Postać. Renesansowa trucicielka. Czternaście liter, pierwsza „L”.

Wpatruję się w kratki, przeliczam je po raz nie wiadomo który, gdy nagle drzwi do recepcji otwierają się ze świstem i ktoś przesuwa ku mnie po biurku lawendowy druczek przepustki. Duże dłonie o długich palcach i kościstych kłykciach. Ręce chłopaka. Czuję zmieszane zapachy środków czystości oraz czegoś dziwnego, pikantnego. Przybysz milczy.

Gdy cisza przedłużyła się na tyle, że z irytującej staje się krępująca, podnoszę wzrok. Nade mną stoi

Marshall Holt. Spogląda w dół i mamrocze coś niezrozumiale.

Odchylam się na krzesło.

– Słucham?

Nie ma imponującej postury, ale gdy krzyżuje ręce, jego ramiona i tors wydają się większe.

– Mam spotkanie z Ciotką – mówi tym razem głośniej, choć nieznacznie.

Ciotka jest jedną z trójki pedagogów dbających o odpowiednie wyniki oraz stan emocjonalny uczniów liceum imienia Henry’ego Morgana. Jest najtęższa, najgłośniejsza i najzłośliwsza z pedagogicznego trio. Zdaje się, że pracuje w Morganie od zarania dziejów i że równie długo kolejne pokolenia uczniów nazywają ją Ciotką Dobrą Radą.

Przesuwam rejestr po blacie i ołówkiem wpisuję godzinę przybycia Marshalla. Na twarzy chłopaka maluje się nieprzenikniony wyraz.

– Możesz wejść – oznajmiam, widząc, że przybysz ani drgnie. Niespodziewanie czuję, że serce zaczyna mi bić szybciej i to właściwie bez żadnego powodu. Nie odrywam oczu od twarzy Marshalla, dopóki ten nie odwraca się w stronę gabinetu.

Gdy znika za drzwiami, znów mogę odetchnąć swobodniej.

Zaczynam jeździć krzesłem po podłodze, zataczając coraz większe koła i wsłuchując się w szmer rozmowy. Głos Ciotki zwykle wyraża co najmniej łagodne niezadowolenie, jednak tym razem jej ton wydaje mi się dziwny – zamiast irytacji czy niecierpliwości pobrzmiwa w nim niemalże troska, a to naprawdę coś osobliwego.

Tuż pod sufitową kratką wentylacyjną jest taki punkt, w którym wyraźnie słychać wszystko, co dzieje się w gabinecie pedagoga. Znajduję to miejsce akurat w chwili, gdy Ciotka wzdycha i szeleści jakimiś papierami.

– Porozmawiajmy o twoich planach związanych ze studiami – proponuje zachrypłym głosem palacza.

Zapada cisza, którą po paru sekundach przerywa coś nieoczekiwanego. Śmiech Marshalla.

– Nic z tego nie będzie – stwierdza chłopak.

Spodziewam się, że Ciotka zacznie nalegać albo przynajmniej spróbuje namówić go do podjęcia nauki w dwuletnim college’u przygotowującym do dalszych studiów, ona jednak sobie odpuszcza. Odczekuje pełnych dziesięć sekund, zanim znów się odzywa:

– Tak czy inaczej musisz coś zrobić ze swoimi stopniami.

– Na przykład co? – pyta Marshall i chociaż wydaje się znudzony, mam wrażenie, że słyszę śmiech drgający w jego głosie.

Zastanawia mnie to, jak wiele szkolnych niepowodzeń człowiek jest w stanie nagromadzić w ciągu



zaledwie półtora miesiąca.

– Cóż – odpiera sucho Ciotka. – Mógłbyś zacząć od paru prostych sztuczek. Pokazać się na zajęciach od czasu do czasu. Albo wypróbować skuteczność aktywności lekcyjnej, która ponoć czyni cuda, czy może nawet pójść na całość i odrobić jakieś zadanie domowe.

Głos Marshalla jest cichszy, ale słysząc go równie wyraźnie.

– Może jestem na to za mało rozgarnięty.

– Mam przed sobą testy kompetencji z dwóch ostatnich lat, które świadczą o tym, że jest wręcz przeciwnie.

– Myślałem, że te testy są tendencyjne.

Ta uwaga rozśmiesza Ciotkę – rozlega się ochryply, skrzekliwy rechot.

– Nawet gdyby były, to z tobą nie miałyby szans. Przeszedłeś przez każdą część jak burza, a twoje wyniki z języka angielskiego są rewelacyjne.

– W końcu mówię po angielsku codziennie.

Kobieta znów wybucha śmiechem, ale tym razem gorzkim, i szybko urywa.

– Potrzebowałeś ostatnio zajęć wyrównawczych z informatyki? Nie obchodzą mnie rezultaty testów, Marshall. Obchodzisz mnie ty. Miałeś kiedykolwiek problemy z matematyką?

– Potrafię liczyć, wielkie mi coś.

Rozmowa robi się monotonna. Ciotka wymienia kolejnych nauczycieli i przedmioty, namawia chłopaka, żeby przynajmniej wziął do domu parę podań, choć rzucił okiem na informacje dotyczące pomocy finansowej. Ja wpatruję się w krzyżówkę, ale nie nasuwają mi się żadne rozwiązania. Czuję się ociężała, jak gdybym nie była zdolna podnieść nawet ręki.

Gdy Marshall w końcu wychodzi z gabinetu, nie patrzy na mnie.

Atrakcyjni chłopcy, których w Morganie mamy dość ograniczony zasób, dzielą się na dwa typy: na tych, do których lepiej się nie zbliżać, i na tych, do których ewentualnie można byłoby się zbliżyć z nudów, gdyby akurat nie leciało nic ciekawego w telewizji i gdybyś na nudnej imprezie zechciała się przekonać, o co tyle hałasu z tymi zbliżeniami, ale zupełnie niezobowiązująco, ponieważ obiekt zbliżenia nie miałby bladego pojęcia, kim jest George A. Romero, i po pięciu minutach naciąganej rozmowy obudziłby się w tobie morderczy instynkt.

Marshall należy do pierwszego typu.

Staje nade mną z założonymi rękami i ze spojrzeniem utkwionym w ścianę czeka, aż go wyrejestruję. A przy okazji parę rzeczy zarejestruję.

Na plus:

kształt ust,

autoironiczny sposób bycia,  
koszulka dopasowana do sylwetki,  
zapach – świeży, a jednocześnie kojarzący się z czymś podejrzanym.

Na minus:

lenistwo,  
autoironiczny sposób bycia,  
przysypianie na lekcjach,

to, że nie zwraca na mnie uwagi, omija mnie wzrokiem, jak gdybym była czymś nieznośnie banalnym.

Gdy podbijam przepustkę i przesuвам ją po blacie w jego kierunku, po raz pierwszy spogląda mi w twarz. Oczy ma ciemnobrązowe, niejednoznaczne. Nagle ogarnia mnie przeczucie, że zaraz się odezwie i powie coś zgryźliwego, ale on obraca się i wychodzi, pozwalając, aby drzwi zamknęły się za nim jakby z westchnieniem.

Poprawiam stertę przepustek, staram się wyrównać ich krawędzie i ustawić je idealnie równolegle do klawiatury i monitora. Długopisy leżące w równym rzędzie udają, że ład oznacza spokój. Myślami jestem już przy treningu biegowym – kolejnym żelaznym punkcie dnia, kolejnej pozycji na liście zadań. Wszystko doskonale zaplanowane, wszystko poukładane.

I to wszystko ma mi kiedyś dać stypendium.

\*

Po treningu i przed odbywającym się co dwa tygodnie zebraniem Wielce Czcigodnego i Szacownego Komitetu do spraw Wszelakich wracam do domu wziąć prysznic. Następnie idę do Maribeth.

Zebrała się u niej śmietanka towarzyska. Siedzą w salonie, wymieniając się plotkami i pojemnikami z jedzeniem na wynos, a nad wszystkim czuwa Maribeth, która promienieje niczym słońce. Przybyli skupiają się wokół niej, pławią się w jej radioaktywnym blasku, gotowi chłonać światło gwiazdy aż po jej kres.

Gdy przekraczam próg dwupoziomowego pokoju gościnnego, Maribeth wita mnie uśmiechem i wyciąga w moją stronę marker.

– Proszę, możesz pomóc przy szablonach.

Maribeth używa markerów do wielu rzeczy. Czasami podejrzewam, że jest to jej własna społecznie akceptowana forma odurzania się. Nie musi sięgać po alkohol ani narkotyki. Opary środków

chemicznych oszałamiają równie skutecznie.

Teraz przegląda katalog ze strojami wieczorowymi i z pełnym życzliwości obiektywizmem nadzoruje projektowanie plakatu. Loring wbiła się w róg aksamitnej otomany i uśmiecha się dobrotliwie, jak gdyby nie dostrzegała pożądlivosti, z jaką Maribeth uzurpuje sobie rolę, która powinna należeć do niej.

Siedzę po turecku między nimi, gotowa spędzić najbliższe dwie lub trzy godziny w milczeniu, oddając się produktywnym zajęciom. W głowie mam pustkę, jakby nagle wyparowała z niej umiejętność prowadzenia rozmowy. Całe moje ciało wydaje się puste.

– Chociaż udawaj – szepcze mi do ucha Maribeth, a ja odpowiednio dostosowuję wyraz twarzy. Uśmiech jest dla innych.

– Nie znoszę krótkich fryzur u dziewczyn – dodaje głośniejszym przyjaciółka, zaginając róg kartki, a następnie składając go na pół.

Czasopismo jest otwarte na stronie ukazującej zdjęcie androgynicznej modelki właściwie pozbawionej bioder, z blond irokezem postawionym na wygolonej głowie. Pierwsze skojarzenie, jakie mi się nasuwa, gdy widzę modelkę, która opadła w artystycznej pozie na obity brokatem szezlong, to nieposkładanie. Zaraz potem zwracam uwagę na jej rozpalone różem policzki, a wtedy przypomina mi się obsesja Edgara Allana Poe na punkcie dziewcząt chorych na gruźlicę oraz to, że muszę jeszcze znaleźć bibliografię do mojej pracy zaliczeniowej z literatury.

Kończę odrysowywać od szablonu migoczącą gwiazdkę i przez trzy czy cztery sekundy nie zauważam tego, że Maribeth przygląda mi się z boku i czeka, aż coś powiem. Między innymi po tej swojej reakcji poznaję, iż bezsensowność zaczyna naprawdę dawać mi się we znaki.

Gdy w końcu podnoszę spojrzenie, przyjaciółka zachowuje się tak, jak gdybym zrobiła jej niemy wyrzut.

– Och, daj spokój, Waverly! Nie miałam na myśli ciebie. Twoja fryzura jest w porządku.

Swego czasu Maribeth powiedziała Kendry Epstein, że nie znosi widoku piersiastych dziewczyn w obcisłych koszulkach, ponieważ przylegający materiał uwydatnia wrzynające się w ciało ramiączka biustonosza. Od tamtej pory Kendry przestała nosić markową bluzkę, którą kupiła za własne pieniądze, wydając na nią dwie wypłaty.

Maribeth ma niemal nadprzyrodzoną zdolność trafiania w samo sedno jednym zdaniem lub spojrzeniem. Bezbłędnie i jak gdyby od niechcienia obnaża słabe punkty. Kiedyś mi to imponowało, ale ostatnio coraz częściej wydaje mi się, że przyjaciółka nawet nie jest świadoma tego, co robi.

Moja fryzura jest gładka, praktyczna i łatwa w utrzymaniu. Wygląda tak samo jak zawsze. Rysuję koło i staram się nie zaprzętać głowy ewentualnymi podtekstami.

Głównym celem zebrań komitetu towarzyskiego jest po prostu okazja do nawiązania kontaktów z odpowiednimi chłopcami. Reprezentacyjnymi, wybierającymi się na studia i dobrze umięśnionymi.

Maribeth pokazuje zdjęcia strojów wieczorowych swojemu przyszłemu narzeczonemu Hunterowi Penningtonowi i pyta go, co myśli o sukienkach typu bombka. Napięcie rośnie, chociaż mogłabym rozładować je od ręki: o sukienkach typu bombka Hunter nie myśli absolutnie nic.

Większą część wieczoru poświęcam unikaniu względów Borsena, który gra w drużynie piłkarskiej razem z Hunterem i jest na swój sposób równie odpowiednim kandydatem na chłopaka: wystarczająco wysoki, żeby dziewczyna mogła nosić w jego towarzystwie buty na obcasach; wystarczająco uprzejmy, aby nigdy nie zarzucić dziewczynie, że przestała go słuchać; i wystarczająco atrakcyjny, żeby każdy, kto zobaczy go u boku dziewczyny, pokiwał głową z aprobatą.

Wykorzystując chwilową przerwę w rozmowach, CJ Borsen pochyla się nad ławą.

– Hej, nie wiem, czy Maribeth już ci o tym wspominała, ale samorząd uczniowski myśli, czy nie zacząć wcześniej zbiórki żywności w puszkach.

Nienawidzę samorządu.

Gdy znajduję chwilę, żeby się przyjrzeć tej całej sytuacji, zastanowić, co się właściwie teraz dzieje, przestaję się dziwić.

Wszystko to zaplanowałyśmy: Maribeth i ja. Ułożyłyśmy to, zaaranżowałyśmy – ja, przebiegły strateg, i ona, uśmiechnięta, promienna księżniczka – celowo i z rozmysłem.

W siódmej klasie to Taylor Cassidy cieszyła się w społeczności uczniowskiej największą popularnością. Była przewodniczącą naszego rocznika i kapitanem drużyny siatkarek, urodzoną liderką i ulubienicą szkoły.

My... takie nie byłyśmy.

Gdy Taylor dowiedziała się, że po zakończeniu roku przeprowadza się do Tennessee, Maribeth dostrzegła okazję, na którą ponoć czekałyśmy, choć ja wcale o tym nie wiedziałam.

Siedziałyśmy na podłodze jej szafy wnękowej i grałyśmy w warcaby. W tamtych czasach przyjaciółka lubiła jeszcze tego typu rozrywki.

Powiedziała wtedy:

– Po wyjeździe Taylor chcę zostać przewodniczącą naszego roku. Chcę zostać nią.

– Dlaczego? – spytałam.

– Bo kiedy jesteś najładniejsza i najbardziej lubiana, możesz wszystkim rządzić. Możesz robić, co chcesz.

Nigdy nie byłam zbyt towarzyska, ale to, o czym mówiła Maribeth – miało sens.

Przyjaciółka chciała poświęcić całe wakacje na przygotowanie metamorfozy. Wyobrażała sobie, że wróci zupełnie odmieniona, a wtedy wszyscy oniemiają z zachwyty i padną jej do stóp. Naoglądała się za dużo filmów.

– Nie – oświadczyłam i chociaż miałam na myśli jedynie sposób wprowadzenia w życie naszego pomysłu, Maribeth i tak zmarszczyła brwi.

Nie zwróciłam jednak na nią uwagi. Układałam już w głowie plan działań, przekształcając planszę i pionki do warcabów w mapę taktyczną, na której zaznaczyłam pozycje trzech najbardziej liczących się w naszej szkole koterii. Przyświecała mi myśl Henryka V: czasami nie ma znaczenia, że przeciwnik ma dziesięciokrotną przewagę. Przy odpowiedniej strategii, odpowiednich warunkach pogodowych i z odpowiednimi ludźmi tak czy inaczej można podbić Francję.

– Zrób to teraz – zaproponowałam. – Zanim Taylor wyjedzie, a wtedy twoje zwycięstwo nie będzie prowizoryczne. – Od paru miesięcy byłam objęta indywidualnym tokiem nauczania dla uczniów utalentowanych językowo i rozpierała mnie duma, że mogę wtrącić jakieś mądre słowo. – Jeśli zrobisz to teraz, nikt ci go nie odbierze.

Wspólnie stworzyłyśmy Maribeth taką, jaka jest teraz, krok po kroku, kawałek po kawałku. Połowy sztuczek, które zna, nauczyła się ode mnie. Ja z kolei wymyśliłam je albo zapożyczyłam od Machiavellego, Sun Zi i z filmu *Śmiertelne zauroczenie*.

Udało nam się – zgodnie z moimi oczekiwaniami – wniknąć w delikatny ekosystem organizacji uczniowskich. Niczym szybko rozprzestrzeniający się nowy gatunek oplatałyśmy i wrastałyśmy w kolejne, zbierające się co dwa tygodnie organy szkoły – samorząd uczniowski, szkolne centrum wolontariatu, młodzieżowe ONZ. Komitet do spraw organizacji wydarzeń towarzyskich jawił się jako nieuchronna konsekwencja naszych działań.

Tym sposobem obecny świat Maribeth jest również moim światem i za każdym razem, gdy czas wlecze się nieznośnie, a rozmowy, które słyszę i toczę, sprawiają, że mam ochotę kogoś udusić, przypominam sobie, iż sama zgotowałam sobie ten los.

Gdy wstaję, żeby udać się na poszukiwanie czegoś do picia, CJ idzie za mną do kuchni, a mnie ogarnia ponure przeczucie.

Twarz Borsena jest tak bardzo symetryczna, że wydaje się niemal nienaturalna. Ze swoją posturą, gęstymi rudawymi włosami, jednorocznym volvo średniej klasy i dołączkiem na brodzie CJ nadawałby się do reklamy patriotycznej młodzieży.

Patrzy na mnie w sposób zdecydowanie zbyt znaczący i doskonale wiem, co za chwilę się zdarzy.

Kiedy miałyśmy po czternaście lat, Maribeth opacznie uznała, że zadurzyłam się w pewnym chłopaku, Jarretcie Fitzu. Rozpowiedziała wszystkim.

Pierwszego dnia tej uroczej katastrofy zaciągnęłam ją do toalety szkolnej i usiłowałam wyjaśnić, że się pomyliła, na co ona roześmiała się i orzekła, iż Jarrett musi mi się naprawdę bardzo podobać, skoro



robię tyle hałasu o całą tę sprawę.

Przestałam więc robić hałas, ale było już za późno. Wszyscy o tym plotkowali, wobec tego po kolejnych czterdziestu ośmiu godzinach tego nieporozumienia wołałam już uznać, że faktycznie chcę chodzić z Jarrettem.

Nie byłoby problemu, gdyby nie jedna rzecz – wcale nie chciałam. W tamtym czasie jedynym chłopakiem, z którym ewentualnie mogłabym się wybrać na randkę, był chudy blondyn z kółka matematycznego, miłośnik zbiorów Mandelbrota, niebezpiecznie balansujący na krawędzi oddzielającej dzieci wybitnie zdolne do geniuszy. Wygrał olimpiadę nauk ścisłych i w następnym roku przeniesiono go do jednej z tych prywatnych szkół, gdzie uczniowie mają własne kalkulatory graficzne. Nigdy więcej go nie zobaczyłam. Jednak nie w tym tkwi sedno całej tej historii.

Sedno polegało na tym, że nieszczęsny Jarrett zaprosił mnie na randkę, co w ósmej klasie, ogólnie rzecz biorąc, oznacza spotkanie w jakimś ustronnym miejscu, trzymanie się za ręce i całowanie ze zbyt częstym wysuwaniem języka. Potem chłopak chwali się przed kolegami, że ona mu obciągnęła i chociaż nawet się do tego nie zbliżyliście, i nikt mu nie wierzy, tak czy inaczej wszyscy powtarzają jego opowieść, ponieważ jest po prostu smakowita.

Odmówiłam mu.

Wtedy Maribeth wściekła się na mnie o to, że narażam na szwank jej wiarygodność i sabotuję nasze dążenia w sferze towarzyskiej. Powiedziała, że jestem nierozsądna – chociaż akurat o brak rozsądku posądzać mnie nie można – i że nie jestem wierna naszym założeniom.

Przez tydzień się broniłam. Potem przeprosiłam, a przyjaciółka mi wybaczyła.

Teraz CJ stoi nade mną, wpatruje się we mnie z nadzieją i optymizmem.

– Dobrze ci poszło dzisiaj na hiszpańskim.

– Dzięki – odpowiadam, nie spuszczając z oka kompletu ośmiu blaszanych pojemników, które stoją na blacie w kuchni Maribeth. Puszka z kawą jest pełna po brzegi, za to poziom herbaty i cukru jest dość obniżony.

– Waverly. – CJ przysuwa się blisko, pachnie pikantnymi chipsami i czymś słodkim, od czego kręci mnie w nosie. – Tak sobie pomyślałem, że może chciałabyś pójść ze mną na bal.

Ma oczy koloru wiosennych liści albo miętówek. Na bal idzie się z kimś po to, żeby móc się tym pochwalić.

Wpatruję się w niego tak długo, aż mina zaczyna mu rzednąć.

– Dobrze – odpowiadam, ponieważ nic łatwiejszego nie przychodzi mi do głowy.

Gdy wracam do domu, powoli wkrada się we mnie tradycyjny wieczorny niepokój. Jestem gotowa rzucić sweter i strząsnąć z siebie dzień. Strząsnąć z siebie moje życie. Nocami wszystko, co udawane, wydaje mi się najbardziej nieznośne.

Mama stoi w kuchni z telefonem wetkniętym między ramię a ucho. Przed nią leży promocyjny egzemplarz notatnika ze znakiem graficznym leku Zoloft, który mama obrysowuje podwójnym rzędkiem kwiatuszków.

– Stephanie – mówi z niezachwianym przekonaniem. – Nie możesz oczekiwać od osoby, która wypracowała sobie takie a nie inne mechanizmy działania, że nagle chętnie je porzuci. Niezależnie od tego, jak bardzo pragniesz dostrzec w jej zachowaniu zmianę na lepsze, to ona musi zdecydować o tym, czy ta zmiana nastąpi.

Stephanie również pracuje w ośrodku zdrowia psychicznego jako psycholog kliniczny. Moja mama nie ma przyjaciółek ani koleżanek, ma współpracowniczki.

– Waverly? – rzuca do słuchawki, jednocześnie machając mi na powitanie. – Och, ma się super. Właśnie wróciła.

Słowo „super” odbija się echem w mojej głowie, pojawia się znikąd po raz drugi tego dnia, ale w sumie nie powinno mnie to dziwić. Ludzie używają go tak często, że niemal zatraciło swoje znaczenie. Równie dobrze mogliby nie mówić zupełnie nic.

Mamie chyba nie przeszkadza żonglowanie pustymi konwenansami. Unosi palec wskazujący i patrzy gdzieś nad moją głową.

– Stephanie... Stephanie, muszę kończyć.

Gdy odkłada słuchawkę, w kuchni nagle jakby zaczyna brakować powietrza. Wysięk, z jakim wiąże się skierowanie całej matczynej uwagi na mnie, wymaga zużycia niebotycznych ilości tlenu. Wyrywam wierzchnią kartkę z jej notesu i wrzucam ją do śmieci.

Mama wzdycha, wyjmując z szafki rondel.

– Córka Stephanie znów ma trudności w szkole – mówi, zwracając się do otwieracza do konserw. – Stephanie pomyślała, że może dobrze byłoby ostro zainterweniować, na przykład przenieść ją do innej szkoły, ale bądźmy szczerzy, to nie rozwiąże problemu. Cóż, przykra sprawa.

Nie chce mi się wypowiadać w tym temacie. Córka Stephanie to idiotka.

– Późno wróciłaś. Chcesz coś zjeść? Podgrzewam rosół z puszki, do tego może usmażę wątróbkę.

Mama uważa, że jestem nią w stadium poczwarkowym. Że pewnego dnia objawię się światu jako genialna i dysfunkcyjna psychoanalityczka poddająca interpretacji reklamy Forda.

– Zamówiliśmy jedzenie u Maribeth. Przeciągnęło się zebranie komitetu towarzyskiego. Mamy jakieś świece? Muszę przeprowadzić eksperyment.

Nie wspominałam, że mama jest chyba jedyną osobą na świecie, którą rzeczywiście mogą pokrzepić jej krzepiące potrawy. Byłby to dla niej zbyt duży szok.

Mama kiwa głową i postukuje paznokciami o kant zlewu, jak gdyby odliczała.

– Zdaje się, że zostały nam dwie cienkie świece z świąt z zeszłego roku. Zobacz w dolnej szufladzie kredensu.

Odwracam się, by wyjść do jadalni, ale mama zatrzymuje mnie w drzwiach i przelotnie całuje w policzek.

– Wiesz – jedną rękę kładzie na moim ramieniu – czasami zapominam, jak wiele kłopotów mogą sprawiać dzieci. Ja nigdy nie musiałam się martwić o ciebie. Nawet gdy byłaś mała, zawsze myślałaś, zanim coś powiedziałaś.

Właśnie dlatego mało mówię. Za dużo myślenia.

W kredensie znajduję nie jedną lub dwie świece, ale całą ich kolekcję. Są tam i podgrzewacze promieniujące niepokojem, i wysokie świece bożonarodzeniowe roztaczające woń korzennego cydru i aurę świątecznej depresji. Na samym końcu szuflady leży gruba brązowa świeca, której zapach jest uspokajający, pewny i poniekąd znajomy. Wyczuwam delikatny aromat świeżo mielonego pieprzu zmieszanego z czymś ostrzejszym, być może z wonią lukrecji. Gdy się skoncentruję, potrafię wyobrazić sobie pozostałe nuty – środek do zmiękczenia tkanin, dym papierosów – składające się na charakterystyczny zapach pewnego chłopaka. Tego o ponurych, posągowych rysach twarzy, którą warto podziwiać, ale jedynie z daleka. Tego, który może intrygować, nęcić, ale nigdy nie przynosi spełnienia obietnic.

Biorę jednak właśnie tę świecę, ponieważ ze wszystkich pozostałych to właśnie ona najmniej grozi przedwczesnym stopieniem lub przewróceniem i wywołaniem pożaru.

---

<sup>1</sup> *Deportes y pasatiempos* (hiszp.) – sport i hobby (ten i wszystkie następne przypisy pochodzą od tłumaczki).

<sup>2</sup> *Me gusta bailar* (hiszp.) – Lubię tańczyć.

<sup>3</sup> *Me gusta jugar a los bolos con mis amigos* (hiszp.) – Lubię grać w kręgle z przyjaciółmi.

<sup>4</sup> *Bueno. Y a donde juegas a los bolos?* (hiszp.) – Świetnie. A gdzie grasz w kręgle?

<sup>5</sup> *En el parque* (hiszp.) – W parku.

<sup>6</sup> *Quemar* (hiszp.) – palić.

<sup>7</sup> *Me gusta correr* (hiszp.) – Lubię biegać.

<sup>8</sup> *Gracias* (hiszp.) – dziękuję.

## Głupi

Waverly Camdenmar tak na mnie działa, że gdy widzę ją na korytarzu, ledwie się powstrzymuję, żeby nie położyć ręki na klatce piersiowej i nie sprawdzić, czy jeszcze oddycham.

Oczywiście nigdy nikomu o tym nie mówię. Nie jestem idiotą.

Waverly jest jak miejsce, do którego się przenoszę, kiedy wszystko zaczyna mnie przerastać. Czasami ludzie wieszają w pracy nad biurkiem plakat z wymarzonym miejscem na wakacje. Waverly jest właśnie czymś takim, czymś jak inspirujący cytat albo pozytywka z obracającą się baletnicą. Czymś osobistym. Tylko moim.

Leżę w łóżku i powtarzam w myślach jej imię, chociaż już samo myślenie o niej sprawia, że mam poczucie winy.

Nie zawsze tak było. Rok temu traktowałem ją jak inne fajne dziewczyny – niezła laska, ale poza moim zasięgiem. Nie ruszała mnie zbytnio. Mogłem przejść obok niej obojętnie.

Teraz sprawy wyglądają naprawdę kiepsko. Każdego dnia zastanawiam się, czy dam radę pójść na hiszpański i wysiedzieć na lekcji. Powtarzam sobie w kółko, że nie będę na nią patrzył, nie będę o niej myślał, nawet jej nie zauważę, nie będę nic sobie z niej robił.

I każdego dnia widzę Waverly w trzeciej ławce od przodu, rząd dalej od mojego. Równo poukładane ołówki, uniesiona ręka, usta rozchylone, gotowe do odpowiedzi.

To uczucie zaczyna się w sercu i bardzo szybko wzbiera, fala gorąca podnosi się coraz wyżej, zalewa szyję i twarz, policzki mi czerwienieją, a uszy płoną, jak gdyby ktoś przypiekał je ogniem.

Myślę o tym, chociaż minęła już północ i powinienem skupić się na zadaniu domowym, ale w domu nikt jeszcze nie śpi, to znaczy wrzaski wciąż trwają, a poza tym i tak zostawiłem książkę do historii w szafce.

W holu na dole tata mówi mamie, że jest histeryczką i że do niczego się nie nadaje, a ona się przed tym nie broni. Gdyby mu się postawiła, pewnie coś by pękło. W końcu rozpuściłaby się ta ohydna spoina, która wciąż jeszcze ich łączy. Stałoby się dokładnie to, co powinno.

Muszę stąd uciec. Nie na papierosa, nie na parę godzin czy nanockę do brata, ale wyrwać się stąd na dobre. Ciotka Dobra Rada miała jakieś urojenia na temat mojej osoby i studiów, ale przy całej tej jatce w domu i tragicznych ocenach studia to kolejna rzecz, o której bracia Holtowie nie powinni nawet marzyć.

Mam mgliste wspomnienia z tamtej rozmowy z Ciotką, jak zawsze po trawie: zamazany obraz i tylko

co pewien czas z przesadną wyrazistością wyskakują przed oczami jakieś mało ważne szczegóły. No dobra, powiedzmy to sobie szczerze. Miałem wtedy niezłą jazdę.

I skoro już jesteśmy przy szczerych wyznaniach, to tego typu jazdy funduję sobie prawie cały czas.

Słyszałem różne przemówienia motywacyjne, czytałem ogłoszenia przygotowane przez rozmaite organizacje. Korytarz przed gabinetem dyrekcji jest obwieszony plakatami i ulotkami na temat dokonywania odpowiednich wyborów i gdy pedagodzy albo nauczyciele mówią mi, że marnuję swój potencjał, przyznaję im rację. Nawet jeżeli czuję, że przecieka mi on między palcami, to dalej nie mam pojęcia, co z tym zrobić.

Wiem, że angielski i historię mógłbym mieć w jednym paluszku – zwłaszcza angielski. Całkiem przyzwoicie mógłbym sobie radzić ze wszystkimi pozostałymi przedmiotami. Tyle że po prostu tego nie robię.

Gdy zamykam oczy, znów widzę Waverly, która siedzi w szkolnej recepcji i patrzy na mnie, jak gdybym był niedorozwinięty umysłowo, a ona znała tę najważniejszą, ostateczną odpowiedź wartą dziesięć tysięcy punktów. Brakowało jej tylko choleonej korony na głowie.

Krzyżówkę, którą rozwiązywała z takim zapamiętaniem, jakby nic innego na świecie nie istniało, odsunęła na chwilę tylko po to, by sprawdzić, czy mam przepustkę od nauczyciela, żeby wyjść z klasy podczas lekcji. Była to jedna z tych trudnych krzyżówek, które wydają w formie książki albo publikują w „New York Timesie”. Poziomo biegło długie słowo z literami „K”, „C” i dwoma „A”. Waverly miała znużone spojrzenie, jej dolna warga wydała mi się różowa i jak gdyby nietknięta.

Poszedłem do gabinetu Ciotki, żeby nasłuchać się tego, o czym doskonale wiem: że nie wykorzystuję w pełni swojego potencjału i że muszę zacząć się przykładać. Jakby to było takie proste – wystarczy oficjalnie się dowiedzieć, że jest się do czegoś zdolnym, żeby potem zakasać rękawy i zrobić, co ma się do zrobienia, bo przecież to właśnie jest najtrudniejsze.

– Marshall – powiedziała Ciotka, gdy zbierałem się do wyjścia, a w jej cichym, smutnym głosie pobrzmiwała znajoma nuta pod tytułem: „Wiem, że to nie twoja wina”. – Rozmawiałam z paroma nauczycielami. Usłyszałam, że twoi rodzice nie przyszli na zebranie w zeszłym miesiącu.

Przytaknąłem, ze wszystkich sił usiłując nie wyglądać na ofiarę.

– Czy jest jakiś problem z zaangażowaniem rodziny w kwestię twojej nauki? Być może warto byłoby zaprosić twoich rodziców na rozmowę?

Rodzice nie przyszli, ponieważ nic im nie powiedziałem. Tkwią po uszy w swoim bagnie, a ja nie jestem w podstawówce, żeby trzeba było pilnować mnie przy odrabianiu lekcji. Mamy kupę problemów, ale brak zaangażowania akurat nie jest jednym z nich.

– To nic takiego – mruknąłem i mówiłem nie o zebraniu, ale o wszystkim: nieodrobionych zadaniach, zerowej aktywności na zajęciach, spóźnieniach, nieobecnościach. O wszystkich tych



bzdurach.

Wyszedłem z gabinetu, czując się tak, jak gdyby ktoś zdarł ze mnie wierzchnią warstwę. Stałem się przejrzysty, wystarczyło, żeby Waverly podniosła głowę, a nie zobaczyłaby płuc, kości ani krwi, tylko moje popaprane wnętrze.

Nie musiałem się jednak o to martwić. Nic ją przecież nie obchodziłem.

Wciąż siedziała nad krzyżówką, ale nie uzupełniła ani jednej kratki. Czterdzieści pięć poziomo nadal pozostawało puste, jeśli nie liczyć liter „K”, „C” i dwóch „A”. Gdy Waverly podbijała moją przepustkę, przeczytałem do góry nogami pytanie i nagle przyszła mi do głowy odpowiedź. Wiedziałem, co to za hasło, a ona nie, i była to jedyna rzecz, dzięki której poczułem się cokolwiek warty.

Gdybym nie był cholernym tchórzem, pewnie powiedziałbym coś, ale właśnie wtedy ona na mnie popatrzyła. Spojrzenie miała ostre – przeszywające – i musiałem odwrócić wzrok, żeby nie wyczytała w moich oczach odpowiedzi ani niczego innego, co się w nich kryło.

Przypominam to sobie teraz, gdy jestem sam w pokoju. Wyobrażam sobie jej kark, który zawsze wydaje się tak gładki, że pragnę go dotknąć.

Zastanawiam się nad różnymi możliwościami i wszystkie są cholernie przerażające. Mogłem zrobić coś, żeby mnie zauważyła. Mogłem jej zaimponować. Gdyby nie drobny problem polegający na tym, że gdy na nią patrzę, odbiera mi głos.

Mówię to teraz sam do siebie. Wypowiadam szeptem odpowiedź na tamto pytanie, aby poczuć, że mam coś, czego ona nie ma. Coś, czego ona pragnie.

Zamykam oczy, a kiedy znów je otwieram, pokój wydaje się mniej pusty. Przez sekundę mam wrażenie, że ją widzę: stoi w drzwiach, jej postać jest niewyraźna i blada w świetle padającym z ulicy. Zaraz potem mrużę oczy, ona znika, a ja znów jestem naćpany i samotny. Zrobiło się późno – bardzo późno.

Przewracam się na bok, czuję się zmęczony i głupi.

Mam ochotę kopnąć się w tyłek, bo dobrze znam dziewczyny takie jak ona – takie, które zachowują się, jak gdybym miał jakąś zarazę, jakby nawet stając zbyt blisko mnie, mogły się czymś pobrudzić. Mam ochotę powiedzieć jej, że wcale nie jest tak mądra, jak jej się wydaje, że w życiu chodzi nie tylko o to, aby być idealnym.

Że mogę stać się kimś innym, kimś dobrym. Doprowadzę się do porządku, jeśli tego zechce. Stanę się kimś.

Ona nigdy na mnie nie patrzy.

Niektórzy ludzie rodzą się bezsenni.

Kiedy byłam mała, nie mogłam zasnąć z prostego powodu. Miałam zbyt wiele myśli. Problem miał się rozwiązać, gdy podrosnę i moja głowa stanie się większa. Wtedy jeszcze nie wiedziałam, że moje rozmyślenia również zwiększą objętość.

W tamtych dniach, gdy po umyciu zębów, uściskaniu na dobranoc pluszowej owieczki, ułożeniu wszystkich puzzli i przeczytaniu wszystkich książeczek nadal nie odczuwałam sennej nieważkości, wybierałam się na księżyc. Kosmiczna wyprawa tego rodzaju to nic trudnego w dzieciństwie – granica między światem rzeczywistym a zmyślonym wciąż jeszcze jest na wpół przepuszczalna. Wymyśleni przyjaciele zabaw wydają się równie prawdziwi jak wszyscy pozostali. Kiedy uszczypną, odczuwamy ból. Kiedy znikną, zastanawiamy się, co takiego zrobiliśmy, że odeszli.

Późno w nocy wpatrywałam się w sufit i wyobrażałam sobie, iż jestem na księżycu. Leżę na plecach, robię aniołki w jasnym księżycowym pyłe i patrzę w dół, na moją dzielnicę, którą widzę jak przez teleskop.

Ponieważ to wszystko było zmyślane, dach mojego domu mógł się rozpuścić tak, abym widziała siebie, jak leżę pod kołdrą i marzę, że jestem fizykiem, mantikorą i Carlem Saganem. I czasami, gdy przebywałam na księżycu wystarczająco długo, twarz dziewczynki na ziemi odprężała się, powieki jej opadały. Dziewczynka zasypiała.

Teraz ta sztuczka nie działa. Księżyc zniknął, zastąpiły go inne obrazy – grzyb atomowy, który pęcznieje i rozszerza się, przekształcając w chmurę radioaktywnego pyłu, albo lśniące noże ustawione na czubkach ostrzy i obracające się idealnie zsynchronizowanym ruchem. Bez opinii specjalisty wiem, że to nie jest normalne.

Niektórzy ludzie po prostu rodzą się nie tacy, jak powinni.

W pokoju ogarnia mnie nagła chęć wydostania się z własnej skóry. Pragnienie to staje się tak przemożne, że wręcz występne.

Włączam lampkę i zapalam świecę, wydobywając z mroku jedyne miejsce, w którym nie muszę robić nic z myślą o innych ludziach. Przeciąg sprawia, że płomień migocze, rzucając roztańczone światło na łóżko, biurko i krzesło. Regał na książki zajmują komiksy w liczbie trzystu egzemplarzy, kolekcjonerskie figurki przedstawiające trzydzieści siedem postaci z horrorów ustawione w porządku alfabetycznym od Normana Batesa po ksenomorfa, oraz Franny i Zoey, tarantule zamieszkujące dwa

osobne siedmiolitrowe terraria.

Maribeth uznała za dość znamienne to, że nawet moje zwierzaki nie mogą przebywać ze sobą w jednym pomieszczeniu, nie ryzykując śmiertelnych obrażeń, ale ja uważam ten układ za odpowiedni. Franny i Zooey cieszą się swoim towarzystwem na odległość.

Kiedy się kładę, łóżko wydaje mi się czymś niesłychanie odległym. Mam ochotę się podnieść, zerwać na nogi i przemierzać pokój po kilkaset razy tam i z powrotem. Muszę jednak spać, a jeśli nawet nie uda mi się zasnąć, muszę zapaść chociażby w płytką drzemkę, osiągnąć coś na kształt stanu hipnotycznego, transu.

Dzięki uprzejmości internetu dowiedziałam się dzisiaj paru rzeczy: bezsenność to nieszkodliwe zjawisko, które od czasu do czasu dotyka każdego człowieka, a zarazem jest bezwzględnie przypisane osobom chorym umysłowo. Stanowi objaw somatycznego, w niektórych przypadkach zagrażającego życiu schorzenia, a jednocześnie ma podłoże czysto psychiczne. Głównie więc przekonałam się, że internet jako źródło informacji jest pełen sprzeczności, utrzymany w katastroficznym tonie i mało wiarygodny. Przydaje się o tyle, że znajdują się w nim opisy technik relaksacyjnych, które można wypróbować.

Przygotowałam już świeczkę, którą przyniosłam z kredensu i która przypomina przerośniętą świecę wotywną. Teraz wystarczy odliczać do tyłu od wybranej przez siebie liczby, dopóki umysł nie podda się hipnotyzującej mocy powtórzeń.

Jedenastka wydaje się odpowiednia. To liczba Lucasa i Eisensteina, a do tego jest najczęściej stosowana podczas wizualizacji zalecanych przez podręcznik do medytacji, który znalazłam w biblioteczkę mamy. Z salonu dobiega szmer telewizora, po pewnym czasie mama go wyłącza i w domu zapada cisza.

Leżę na plecach z rękami wzdłuż boków i usiłuję oczyścić umysł.

Jednak niemyślenie okazuje się znacznie trudniejsze, niż mogłoby się zdawać. Natychmiast przed oczami stają mi twarze ludzi, którzy zamieszkują moje codzienne życie – mama, Maribeth i Jamie, trener sekcji biegów przełajowych. Wiszą nade mną niczym stadko hałaśliwych ptaków, ich głosy nakładają się na siebie, mieszają, i po chwili nie potrafię już nawet rozróżnić, kto co mówi. Czy to Jamiemu podobają się bukietki storczyków katleja przypinane do sukienki, a Maribeth uważa, że mogłabym się zakwalifikować do zawodów stanowych?

Jak przez mgłę dociera do mnie, że technika odliczania do tyłu najwyraźniej działa. Zwykle o tej porze nadal byłabym podminowana, wpatrywałabym się w sufit rozgorączkowanymi, piekącymi oczami, a po skórze przechodziłyby mi ciarki zniecierpliwienia. Teraz jednak myśli zaczynają mi się plątać, wymykać, dłonie mam ciężkie i zdrętwiałe.

Zaczynam podejrzewać, że myślenie jest przereklamowane. W szkole spotykam się z różnymi ludźmi

i z moich obserwacji wynika, iż część z nich myśli raczej tylko w ostateczności. Niskie wymagania to chyba coś naprawdę przyjemnego. Nikt od ciebie niczego nie chce i wszyscy się cieszą, jeśli tylko uda ci się nie skończyć w więzieniu.

Wszyscy oprócz Ciotki...

Ciotka Dobra Rada – nagle słyszę jej głos tak wyraźnie, jak gdyby stała w pokoju obok. „Nie obchodzą mnie rezultaty testów. Obchodzisz mnie ty”.

Marshall Holt to skończony nieudacznik, który ma po prostu przyjemne rysy twarzy, ładną cerę i kształtne brwi. I jakimś cudem zaskakująco dobrze wypada na testach. Aromat świeczki staje się mocniejszy – otacza mnie mieszanina zapachów płynu do płukania tkanin, dezodorantu, dymu i obojętności, a to wszystko przesiąknięte charakterystyczną słodką, przenikliwą wonią. Być może trawki?

Naraz znów jestem w recepcji gabinetu pedagoga, siedzę za biurkiem, na którym leży sterta przepustek, a Marshall Holt czeka, aż podbiję jego dokument.

Patrzy gdzieś ponad mną, ma szerokie i miękkie usta, chociaż nigdy wcześniej tego nie zauważyłam. Potem uśmiecha się, ale nie jest to uśmiech przyjazny.

– A jednak panna idealna wcale nie jest aż tak doskonała.

Podnoszę wzrok. Jego głos brzmi realniej i ostrzej niż wszystko pozostałe, ton ma niemal oskarżycielski.

Otoczenie zmienia się tak, jak to bywa w snach. Teraz pokój jest mały i słabo oświetlony. Nie potrafię dostrzec szczegółów, czuję jednak zapach sosu pomidorowego, cebuli, psa i prania. Marshall Holt leży na nieposłanym podwójnym łóżku, nadal na mnie patrzy, ale tym razem nie ma w jego spojrzeniu agresji ani arogancji. Spogląda mi prosto w oczy, a jego źrenice są tak ciemne, że mam wrażenie, iż lada chwilę w nich utonę. Gdzieś niedaleko jacyś ludzie mówią coś podniesionymi głosami, ale nie słyszę ich wyraźnie, dobiega mnie zaledwie szmer ich rozmowy.

Marshall Holt znów się uśmiecha, teraz jednak niemal ze smutkiem.

– Czterdzieści pięć poziomo: Lukrecja Borgia.

Siadam na łóżku jak rażona prądem, przyciskam kołdrę do piersi.

Zegar wskazuje godzinę 1:29. Serce mi łomocze.

Z ulicy dobiega mnie skowyt psa tak żałosny, jak gdyby serce miało mu pęknąć z rozpacz. Na stoliku nocnym migocze świeca. Pochylam się i zdmuchuję płomień.

Lukrecja Borgia. Jak mogłam na to nie wpaść?

Gdy wchodzę na stołówkę, gdzie umówiłam się z Maribeth na kawę przed lekcją wychowawczą, przyjaciółka siedzi już razem z Loring przy naszym ulubionym stoliku.

Między nimi leży otwarty katalog z akcesoriami na przyjęcie, a pochylona nad folderem Maribeth przejeżdża palcem wzdłuż kolumny z cenami konfetti. Widząc, jak przygryza przy tym wargę, poznaję, że wszystko idzie zgodnie z planem i zamach stanu jest nieuchronny. Przyjaciółka właśnie wykonuje kolejne subtelne posunięcie, które ma nas zbliżyć o krok do celu.

Wiem, co będzie dalej. Maribeth zaznaczy wstążki z krepiny w kolorze, który sama uzna za najlepszy, jak gdyby wybór takiego a nie innego odcienia został już z góry przesądzony, a Loring będzie odsuwała się coraz bardziej, aż w końcu całkiem zniknie. Wszystko to przebiegnie bardzo zgrabnie – bez krzyku i rozlewu krwi – a Maribeth przez cały czas będzie jak zwykle czarująca i serdeczna, nad wyraz serdeczna. Dopóki trzeba.

Przyjaciółka macha mi, a ja poznaję, że Loring wyczuwa, iż równowaga sił zmienia się powoli na jej niekorzyść. Przewodnicząca wita mnie uśmiechem kasjerki banku, którą wzięto jako zakładniczkę podczas napadu. Jej usta rozciągają się w przyjaznym wyrazie, ale reszta twarzy pozostaje kamienna.

Maribeth wyciąga do mnie rękę i przesuwając się tak, aby skutecznie zepchnąć Loring na skraj ławki, po czym znacząco trzepocze rzęsami.

– Jak tam? Słyszałam, że uciąłeś sobie wczoraj krótką pogawędkę z Borsenem?

Nie zwracam uwagi na miejsce, które zrobiła mi obok siebie, i siadam po przeciwnej stronie stolika.

– Chce, żebyś poszła z nim na bal.

– O Boże, tak po prostu podszedł i cię zaprosił? – W jej głosie pobrzmiewa zdumienie, niemal oburzenie, ale uśmiechnięta twarz promienieje czystą, najwyższej próby dumą. – Mówiłam mu, żeby zrobił to jak normalny człowiek, z czekoladkami, kwiatami albo jakąś uroczą niespodzianką.

Porozumiewawczo kiwa głową i dotyka palcem mosiężnego kluczyka zawieszzonego na łańcuszku. Nie dostała tego wisiorka od Huntera, ale domyślałam się, że upamiętnia on jakieś ważne spotkanie – że któregoś dnia na początku września rozmawiali, flirtowali czy może robili razem projekt na temat ślusarstwa albo zakładów karnych o podwyższonym rygorze. Znam przyjaciółkę na tyle dobrze, aby wiedzieć, iż kluczyk odzwierciedla jej aspiracje. Jest symbolem ich wspólnej świetlanej i efektywnej przyszłości.

– W porządku – odpowiadam. – Coś takiego raczej nie przypadłoby mi do gustu.

– Och, przypadłoby, wierz mi. Byłoby to coś cudownego!

Jej zwyczaj mówienia mi, czego powinnam chcieć, jest irytujący, jednak tym razem nie przyprawia mnie o dreszcze. Nie spałam dziś zbyt długo, ale mimo wszystko spałam. Po dziwnym niby-śnie zdrzemnęłam się i przespałam cztery czy pięć pełnych godzin. Czuję się dobrze.

Słońce wstało, wszystko wydaje się nowe, czyste i łagodne. Uśmiecham się na myśl o tym, jak przyjemnie widzieć uśmiechniętą Maribeth i siedzieć razem z nią w stołówce. Trzymać w dłoniach kubek mocnej, słodko-gorzkiej kawy, dokładnie takiej, jaką lubię.

Przyjaciółka wyciąga ręce nad stolikiem i bierze w dłonie moją twarz.

– Lepiej dzisiaj wyglądasz.

Mówi to życzliwie, z troską. Odpowiednio delikatnie, by przypomnieć mi, że w pozostałe dni wyglądam strasznie.

Może jednak to nadinterpretacja, może wkładam w jej głowę moje własne myśli. Wcale nie chciała dać mi niczego do zrozumienia – a już na pewno nie chciała być uszczypliwa – i naprawdę lubię z nią przebywać. Cieszę się, że Maribeth zawsze nosi rozpuszczone włosy niczym disneyowska księżniczka, że od siódmej klasy nie zmieniła zapachu perfum, a jej twarz jest tak bardzo znajoma i urocza. Podoba mi się to, jak przy niej się śmieję i jak od niepamiętnych czasów zerkamy na siebie porozumiewawczo.

Loring w sumie też lubię, chociaż jej pomysły i zdolności organizacyjne dość mocno kuleją, a do tego przewodnicząca zawsze szuka potwierdzenia u osób pokroju Maribeth. Ta ostatnia cecha bardziej niż pozostałe wskazuje na to, że Loring czeka porażka. Gdy tylko potrzebujesz czegoś od Maribeth, jesteś przegrany.

Przyjaciółka otwarcie mierzy Loring przeciągłym spojrzeniem. Jej wargi układają się w delikatny, niejednoznaczny grymas – coś pomiędzy uśmiechem a drwiną.

– Loring, ten twój pomysł dotyczący ozdobienia stolików był naprawdę interesujący. Znalazłaś go w „Ladie’s Home Journal”?

Maribeth wygląda jak aniołek. Milczy i czeka. Czy mi się zdawało, czy zawahała się, zanim użyła przymiotnika „interesujący”? Czy przypadkiem nie zaakcentowała zbyt przesadnie słowa „naprawdę”? Trudno stwierdzić to na pewno. W tym tkwi potęga zręcznej dyplomacji.

Znam te sztuczki, ponieważ poświęciłam mnóstwo czasu i energii na zgłębienie ich. Maribeth je zna, ponieważ posiada wrodzoną zdolność podważenia niemal mimochodem czyjejś pewności siebie.

Jak na nie zareagować? Najlepiej wzruszyć ramionami, uśmiechnąć się i powiedzieć, że nie obchodzi cię brokat, kolor krepiny ani to, czy zostaniesz wykluczony. Że nie dbasz o to, jaką wartość przypiszą ci inni.

Loring spogląda przez wysokie od sufitu po podłogę okna, wpatruje się w samochody na parkingu i usiłuje zdecydować, czy przypadkiem nie została przed chwilą skrytykowana.

Wkrótce do niej dotrze, że owszem, tak było.

Nie łudźmy się. Wszyscy dbamy o to, jak ocenią nas inni.

Znaki rozpoznawcze zawodniczek z sekcji biegów przełajowych: nylonowe spodenki w rozmiarze XS i zaburzenia odżywiania.

Wśród populacji długodystansowców jestem poniekąd odmieńcem. Nie biegam po to, żeby utrzymać niską wagę ciała. Biegam, dlatego że nie znam lepszego uczucia niż przemierzanie kolejnych kilometrów ze świadomością, że za mną, zbici w niewielkie grupki, ciągną się pozostali.

Wygrywam, ponieważ mam doskonałą strategię, potrafię dobrze rozkładać siły i wyznaczać odpowiednie tempo.

Chociaż nie. Skłamałam.

Wygrywam, ponieważ prędzej wbiłabym sobie w oko rozgrzaną nad ogniem igłę, niż pogodziła się z przegraną. Nawiasem mówiąc, gdyby wymyślono zawody w wydłubywaniu oczu, zapewne również w tej konkurencji stanęłabym na najwyższym stopniu podium. Jestem gotowa przodować w każdej dyscyplinie, która zostanie ujęta w ramy konkursu.

Stojąca przy umywalce Kendry Epstein splata w warkocz włosy Palmer LeRoy. Rozmawiają o kaloriach.

– Ale co z białkiem? – dopytuje Palmer. – Może nie z wołowiny, ale z soi? Ile kalorii ma tofu po upieczeniu?

– Nie mam pojęcia, ale słyszałam, że jest dobre na cycki. Rosną od tego jak szalone. Waverly wie o tym najlepiej, prawda? – Kendry rzuca w moim kierunku ironiczne spojrzenie.

Odpowiadam śmiechem, ponieważ tak właśnie ma to wyglądać: ktoś jeden rzuca żarcik, ktoś drugi chichocze. Uśmiech jest dla innych. Piersi nie mam prawie w ogóle.

Otwieram szafkę, wydaję buty oraz spodenki do biegania, rozmyślając o plakatach na bal, braku snu, czekoladkach, kwiatkach i głupim wisiorku Maribeth. Z rozważań na temat krzyżówek i Lukrecji Borgii wyrywa mnie głos Kendry:

– No nie, Autumn, chyba żartujesz. Przestań w końcu wieszać swoje ulotki dla świrów na tablicy ogłoszeń. Czy mogłabyś je łaskawie zdjąć?

Autumn Pickerel siedzi sama na jednej z niskich ławek, wpatruje się w sfatygowany zeszyt z okładką ozdobioną kwiatami wykonanymi techniką decoupage. Dziewczyna wyciągnęła nogi przed siebie w poprzek przejścia, sznurówki jej tenisówek, brudne od ciągłego nadeptywania, sterczą zawiązane w niedbałe kokardy.

Wiszącą za jej plecami tablicę informacyjną pokrywają skserowane ulotki na temat zbiórki kibiców przed zawodami szkolnymi, reklamy skórzanych kurtek i sygnetów szkolnych. Na samym środku tablicy dostrzegam coś na kształt odręcznie narysowanej planszy do gry w bingo.

Autumn nie jest zbyt sprawna. Nie mówię o sprawności intelektualnej – nie znam jej potencjału

w tym zakresie – ale w biegach przełajowych osiąga fatalne wyniki.

Właściwie nie ma znaczenia, jak bardzo jest nieudolna. Biegi przełajowe to jedyna dyscyplina dostępna dla wszystkich. Do sekcji może się zapisać każdy, kto chce.

Ja jednak nie mam pojęcia, dlaczego ona zechciała.

Dziewczyny takie jak Autumn nie zajmują się sportem. Krążą z pochmurnymi minami między zajęciami teatralnymi a pracownią plastyczną, bawiąc się kolczykami powbijanymi w różne części ciała i ozdabiając buty wizerunkami tajemniczych lilii wodnych. Pisują wiersze o swojej miłości do ponurych androgynicznych muzyków podkreślających oczy czarną kredką. Raczej nie przychodzą na zajęcia dodatkowe z wychowania fizycznego, tylko po to, żeby potem przez cały bieg wlec się na końcu stawki. A przynajmniej nigdy wcześniej tego nie robiły.

Autumn podnosi głowę. Rudawa grzywka przysłania jej jedno oko. Światło fluorescencyjnych lamp odbijające się w metalowych kolczykach obficie zdobiących uszy dziewczyny sprawia, że wydaje się ona naładowana prądem.

– Możesz skreślić kratkę „faszyści na start” – odzywa się cichym, chropawym głosem. – Właśnie w nią trafiłaś.

Mówi wyraźnie, bez zawahania wyrzucając z siebie kolejne słowa.

Teoria robocza: Autumn jest tak bardzo odmienna od reszty społeczeństwa, że brakuje jej sposobów, w jakie mogłaby wyrazić swoją dziwaczność. Wstąpiła zatem do sekcji biegów przełajowych, aby po raz kolejny dowieść swojej ekscentryczności, tym razem poprzez zrobienie czegoś zupełnie normalnego.

Kendry bierze się pod boki.

– Boże, co z tobą? Czy ty w ogóle widzisz, jaka jesteś dziwna?

Autumn nie odwraca wzroku i w tym momencie jestem niemal pewna, że dojdzie do czegoś, chociaż nie mam pojęcia, co to będzie. Autumn wydaje się zagadkowa, ale w inny sposób niż dziewczęta, które chcą uchodzić za tajemnicze, gdy próbują flirtować z chłopcami albo szepczą między sobą jakieś sekrety. Żaden rys twarzy nie zdradza, co dzieje się w jej głowie. Nie jest ani zła, ani zdenerwowana, ani urażona czy nawet skruszona. Nie potrafię określić wyrazu jej twarzy i bardzo mnie to intryguje.

– Daj spokój. – Chwytam Kendry pod ramię i przytrzymując ją za łokieć, ciągnę lekko do siebie.

Dziewczyna przez chwilę próbuje stawiać mi opór i wpatruje się w Autumn, jak gdyby chciała ją pożyć. Jednak sekundę później wzdycha przez zaciśnięte zęby, po czym daje się odciągnąć na bok.

W hierarchii naszego arystokratycznego, gryzącego się po kostkach stada ja jestem osobnikiem beta. Pozycja ta przysługuje mi ze względu na to, że stworzyłam Maribeth Whitman. Prawo dżungli.

Kendry wykręca się z mojego chwytu. Zwykle twarzyczkę ma słodką jak miód, ale teraz maluje się na niej wściekłość.



– Tablica ogłoszeń jest zarezerwowana dla oficjalnych ulotek.

– Jestem pewna, że każdy, kto umie czytać ze zrozumieniem, domyśli się, iż szkoła nie odpowiada za treść... – przyglądam się przypiętej przez Autumn karteczce, na której widnieją dość celne podsumowania niektórych zachowań naszych zawodniczek, i przygryzam wargę, aby powstrzymać się od uśmiechu – ... „Przełaj(n)owego Bingo”. Nic wielkiego się nie dzieje.

Kendry najwyraźniej uważa inaczej i czuje się niemal osobiście znieważona tym, że plansza częściowo zasłania listę, na której można się zapisywać do sekcji pływania synchronicznego. Dziewczyna ogranicza się do pełnego pogardy prychnięcia, po czym chwyta za rękę Palmer i wyciąga ją z szatni, ostentacyjnie przechodząc nad wyciągniętymi nogami Autumn.

Po ich wyjściu Autumn wstaje, by podejść do umywalki. Nie spieszy się, idzie wolnym krokiem i kołysząc biodrami, recytuje pod nosem dziecięcą rymowankę: „Jedno z nich tu nie pasuje, jedno z nich tu inne jest...”.

Na początku myślę, że mówi o sobie, ale obrzuca mnie spojrzeniem zbyt długim i obojętnym, aby było przypadkowe.

Gdy przechodzi obok tablicy informacyjnej, zatrzymuje się przede mną. Trzymany w obu dłoniach zeszyt przyciska do piersi – nie jak tarczę; raczej jako punkt zawieszenia dla ociążonych rąk. Jest wyższa ode mnie, dobrze zbudowana i ma długie nogi. Zastanawiam się, dlaczego uzyskuje tak słabe wyniki na treningach.

– Nieźle przed tobą skaczą – stwierdza niemal sennym głosem. – Mają to wrodzone czy tak je wytresowałaś?

Nie odwracam wzroku, ale i nie odpowiadam. Prawda jest taka, że po części i jedno, i drugie.

Rozgrzewka jest monotonna i powolna, zbiegamy w stronę wschodniej części parku, a następnie ruszamy wzdłuż ulicy. W oparach spalin czuję, że serce zaczyna mi mocniej bić. Pojawia się pierwsza warstewka potu, śliska, widmowa, która na skórze twarzy i ramion wysycha zaraz po wystąpieniu.

W żyłach pulsuje mi brzydkie słowo. „Zmęczona, zmęczona, zmęczona”.

Jeszcze zanim spojrzę przed siebie, wiem, że zostałam w tyle. W stopach czuję ostry ból, którego w zeszłym tygodniu nie odnotowałam, i przez ponad kilometr jego ukłucia hamują mnie na tyle skutecznie, abym wlokła się w ogonie razem z Autumn i dziewczynami jej pokroju. Powolnymi i pozbawionymi celu. Takimi, które biegają, żeby zadowolić rodziców, złapać kondycję albo w przyszłości móc się pochwalić, że w ogólniaku uprawiały sport.

Ja jednak nie mam prawa czuć w tym momencie zmęczenia. Zeszłej nocy spałam tak naprawdę: po raz pierwszy od wielu, wielu dni zapadłam w głęboki, nieświadomy sen. Owszem, może i nie było to

przepisowe osiem godzin, ale pozwoliło się zregenerować. Przetrwąć.

Przebiegając przez Spooner Street, wydłużam krok. Otrząsam się z otępienia, nabieram mocy i rozpędu, aby po chwili wznieść się ponad drogę, ponad drzewa. Polecieć. Bieganie przypomina muzykę. Wymaga odpowiedniego rytmu i skupienia. Poświęcenia. Nawykowej umiejętności odcięcia się od wszystkich i wszystkiego. Grupa rozciągnęła się za mną wzdłuż trasy, trzymam tempo mierzone tupotem ich tenisówek. Skupiam się na tym jednym dźwięku, ignoruję w głowie szum przejeżdżających samochodów, ciężarówek, motorów, ludzkie głosy, aż zostaje czysta muzyka.

Gdy docieram do skrzyżowania Wentworth Street i Szóstej Ulicy, wiem, że zostawiłam je daleko w tyle. Mknę przed siebie niczym gra światła i cieni. Unoszę się w powietrzu.

Pot pokrywa cienką warstwą plecy i brzuch. Skóra wydaje się chłodna i gładka, jak gdybym zamieniała się w kamień.

Wbiegam na Grant Street i znów zaczyna się ból, wrzyna się w pięty, w bok kostek.

Powiem wam coś o pęcherzach: są nieistotne. Pękają, sączy się z nich woda, zostawiają blizny, ale nie powstrzymują od dotarcia do mety. Ból to seria impulsów. Bodźców przekazywanych od zakończeń nerwowych do mózgu, które mówią nam, żeby odsunąć rękę od palnika, zaszyć ranę ciętą. To funkcja wykształcona w drodze ewolucji, język przetrwania.

Ból jako konkretne, namacalne zjawisko nie istnieje.

\*

Podczas gdy mamę interesują mroczne zakamarki psychiki, tatę zajmują zupełnie inne obszary ludzkich działań. Udziela się w branży reklamowej. Jego praca polega na opracowywaniu kampanii marketingowych produktów typu farby do włosów na bazie amoniaku, wysokobiałkowe odżywki na przyrost masy czy kleje do protez zębowych. Zwykle nie załamuję się do jego grup docelowych.

Komunikujemy się ze sobą za pomocą złożonego systemu karteczek samoprzylepnych. Gdy pracuje nad nowym zleceniem, spisuje pomysły i przykleja je do kuchennego blatu. W niektóre dni kuchnia wygląda tak, jak gdyby eksplodowała w niej *piñata*.

Dzisiejszym motywem przewodnim są batoniki muesli. Na blacie widnieje jaskrawoniebieska karteczka, która w naszym języku symbolizuje emocje. Jak się czujesz, jedząc wielozłoty wafelek Sun Valley?

Odwijam papierek i odgryzam kęs batona. Jest kruchy i przypomina mi owsiane ciasteczka, które dawano nam na podwieczorek w przedszkolu.

Bazgrzę na karteczce słowo: „nostalgia”, po czym idę na górę wziąć prysznic.

Gdy wracam na obiad, na blacie znajduję dwie nowe karteluszki. Pomarańczowy oznacza podziękowanie za współpracę. Zielony – zaproszenie do bezpośredniej rozmowy. Dodatkowo na

zielonej karteczce widnieje napis: „Pizza w salonie? Oliwki i papryka bananowa”. Poniżej czerwonym wkładem swojego wiernego czterokolorowego długopisu tata zamieścił polecenie: „Zniszczyć po przeczytaniu”.

Mamy pewnie nie ma. Zwykle nie wolno nam wnosić do salonu płynnych ani plamiących przekąsek.

Lubię jeść z tatą, ponieważ nie trzyma się ściśle przyjętych z góry założeń, jak powinien wyglądać porządny posiłek. Rozmowy nie trzeba starannie dawkować w odpowiednich ilościach, serwetki nie muszą pasować do podkładek pod nakrycia.

Teraz siedzi na podłodze, plecami opiera się o kanapę. Gdy wchodzę do pokoju, podnosi głowę znad żółtego notatnika wspartego o kolano. Na ławie zauważam pudełko z pizzą.

– Co myślisz o inwestycyjnych funduszach wzajemnych? – pyta tata.

– Prawdę mówiąc, nie myślę o nich w ogóle.

Przytakuje skinieniem głowy i skrupulatnie coś notuje.

– Jednym słowem przedział wiekowy siedemnaście–dwadzieścia pięć jest niezagospodarowany.

– Tato...

Uśmiecha się i pochyla, żeby otworzyć pudełko.

– Skoro mowa o zblazowanych maślakach, to czy przypadkiem nie mamy dzisiaj piątku? Nie powinnaś być gdzieś poza domem, angażować się w coś?

Wzruszam ramionami i sięgam po kawałek pizzy.

– Zaangażowanie to przeżytek.

Długopis taty kreśli w powietrzu esy-floresy mające przywołać na myśl sylwetkę mamy.

– Rozumiem. A ty jako przedstawicielka pokolenia nastoletnich Amerykanów uważasz, że świeżość i nowość są nieodzownym elementem przeżyć, które zapewnią ci odpowiedni rozwój psychiczny?

– Tato, przestań. Pracujemy nad kolorystyką wystroju sali od dwóch tygodni. Wyobrażasz sobie, ile to jest dwa tygodnie, jeśli mówi się w tym czasie o serwetkach?

– Ach, a masz już partnera na szkolny bal? – Ręce taty zaciskają się na blacie ławy, porzucając żółty notes.

– Idę z Borsenem.

– A jakie kwalifikacje ma ten dżentelmen?

– Wybiera się na studia prawnicze, jeździ luksusowym, bezpiecznym i ekonomicznym samochodem.

– I twoim zdaniem taki partner zapewnia społeczny awans.

Przytakuje i poprawiam oliwki na moim kawałku pizzy, tak aby były rozłożone bardziej równomiernie. Nie dodaję, że wszystkie moje kontakty towarzyskie mają zapewniać społeczny awans.

Na twarzy taty malują się szczerść i otwartość. Nie wiem, w jakim stopniu jest w tym momencie marketingowcem, a w jakim moim rodzicem. Perswazyjne komunikaty to jego chleb powszedni. Nieważne, że chciał zażartować. Takie są realia – pewne znajomości zapewniają awans społeczny i już.

Po zjedzeniu pizzy i obejrzeniu dwóch odcinków serialu *Prawo i porządek* ponownie sprawdzam moje odpowiedzi w zadaniu domowym z trygonometrii. Potem idę do swojego pokoju, wydaję nową książeczkę z krzyżówkami i przez kolejnych cztery albo pięć godzin rozwiązuję łamigłówki po angielsku, następnie zaś po hiszpańsku. Niektórych słów nie znajduję w rozmówkach ani nawet w słowniku i muszę je wyszukiwać w internecie. Parę wyrażęń w ogóle nie ma hiszpańskich odpowiedników. Samogłoski są w tym języku naprawdę nieobliczalne, pojawiają się co chwile i w najmniej spodziewanych miejscach.

Gdy książka zaczyna przypominać ofiarę seryjnego mordercy, wrzucam ją z powrotem do biurka, po czym wyciągam świecę i zapalki.

Sen, w który zapadłam zeszłej nocy, nie trwał wystarczająco długo, ale był odpowiednio głęboki, a prawdziwym sprawdzianem każdego eksperymentu jest to, czy okaże się on powtarzalny. Kładę się na plecach. Płomień pali się słabo, ale pewnie. Zamykam oczy i zaczynam odliczać.

## Odlot

To nie tak, że uważam LSD za dobry pomysł. Wcale nie.

Tyle że mój brat Justin ma bzika na punkcie swoich imprez i jeśli nie będę wyglądał na przeszczęśliwego, poczuje się obrażony.

Znaczek, który mi podaje, delikatnie trzyma na końcu szpilki, żeby palcami nie zetrzeć z niego kwasu. Na papierku widać postać bożonarodzeniowego aniołka namalowanego żółtym tuszem. Zastanawiam się, czy to miał być żart, czy może bratu coś się po prostu pochrzaniło. Mamy październik.

Czasami mam wrażenie, że Justin cały czas próbuje wkurzyć tatę i jest to jeden ze sposobów, które stosuje – usiłuje przeciągnąć mnie na swoją stronę, sprawić, żebym był jak najbardziej podobny do niego. Żebym stał się dokładnie tym, za kogo ojciec i tak mnie już uważa.

Impreza jest tematyczna, odbywa się pod hasłem: „Degenerat Talent Show”. Justin wymyślił ją chyba dlatego, żeby bez obciachu ożłopać się tanim piwem, które naprawdę lubi, albo dlatego, że latem zaczął podnosić ciężary i teraz chce zaprezentować światu swoje mięśnie. A może to nietrafiona próba pokazania środkowego palca wszystkim tym, którzy naśmiewali się, gdy byliśmy dziećmi, z naszych ubrań, butów i dzielnicy, w której się wychowywaliśmy.

Jednak teraz, gdy stoję u Justina w kuchni, cała ta balanga nie wydaje mi się ani odjechana, ani nawet fajna. Zalatuje rezygnacją, czymś w stylu: „no dobra, sam siebie nazwę degeneratem pierwszy, zanim inni zaczną wytykać mnie palcami”.

Po zbyt długiej chwili namysłu biorę kwas.

– Zuch chłopak. – Justin uśmiecha się, jak gdybym był psem, który pokazał wyuczoną sztuczkę, a następnie znika w głębi domu, żeby znaleźć szklankę, otwieracz albo po prostu nudzić kogoś innego.

Mój przyjaciel Ollie patrzy na mnie, nie odzywa się jednak. Chociaż często potrafi ocenić, jak potoczą się sprawy, zwykle trzyma język za zębami.

Ollie jest łatwy w obejściu, ale trudno odgadnąć jego myśli. Parę lat temu mama go zostawiła – pewnego dnia po prostu wyprowadziła się i już. Powiedziała, że musi trochę uprościć sobie życie, wrzuciła parę szmatek i gratów na tył swojej hondy, po czym wyjechała do San Antonio. Chyba w życiu nie słyszałem bardziej popieprzonej historii. Można powiedzieć, że Ollie ma tak samo przesrane jak ja, ale to nie dlatego się przyjaźnimy. A przynajmniej zaprzyjaźniliśmy się wcześniej, niż wszystko pozostałe zaczęło się pieprzyć.

– Mars – odzywa się w końcu przyjaciel. – Jesteś pewien, że masz dzisiaj ochotę pofruwać?

To trudne pytanie.

LSD to nic wielkiego. Jest piątkowy wieczór, więc nie mam nic specjalnego do roboty. Ostatnio jednak życie wymknęło mi się trochę spod kontroli. Czuję się tak, jak gdyby wszystko wokół zaczęło się walić. Chcę się poczuć inaczej, to pewne. Ale nie chcę się czuć jeszcze bardziej rozwalony niż teraz.

Poza tym Degenerat Talent Show to nie najlepsze miejsce na wprawianie się w odmienne stany świadomości. Wielu imprezowiczów chodzi w natapirowanych fryzurach, z pomalowanymi na czarno zębami. Przychodzi mi do głowy kilka scenariuszy rozwoju wydarzeń, które nie prowadziłyby do szczęśliwego zakończenia. Perspektywy te jednak nie są na tyle katastroficzne, żebym zmienił zdanie.

– Nie – rzuca Ollie, jak gdyby chciał mnie tym powstrzymać.

Ale ja kładę znaczek na języku, ponieważ dostałem go za darmo i ponieważ niezależnie od wszystkiego, gwarantuje mi on, że będę się czuł inaczej niż teraz.

Impreza jest głośna, większa niż zwykle balangi u Justina, ludzie niemal włożą sobie na głowy. Dziewczyny się poca, makijaż spływa im z twarzy, i wiem, że niedługo będę musiał wyjść na dwór, bo w domu nie będzie czym oddychać.

– Nie musiałeś brać tylko dlatego, że Kapitan ci to dał.

Ollie ochrzcił mojego brata Kapitanem Ćwokiem, ale Justin o tym nie wie. Wydaje mu się, że „Kapitan” to tytuł honorowy, przez co prawie mi go żal. Prawie, bo w sumie jest z niego skończony ćwok.

Dziś wieczorem zachowuje się jednak jak prawdziwy brat, sprezentował mi darmową jazdę i to zupełnie bez powodu, tylko dlatego, że miał na to ochotę.

– Daj spokój, on jest w porządku.

– Tak, jest w porządku, dopóki wchodzisz mu bez wazeliny.

Parskam śmiechem, mimo że ma rację i to wcale nie jest śmieszne.

Ollie wzrusza ramionami, po czym wzdryga się, gdy Kapitan znów wtacza się do kuchni.

– Nieważne. A, właśnie, zapomniałem ci powiedzieć. Widziałem dziś przed hiszpańskim Małego Olliego.

Kapitan wybucha śmiechem i pięścią wali mojego przyjaciela w plecy.

– Co, wymyśliłeś imię swojemu fiutkowi?

Ale Mały Ollie istnieje naprawdę, to chłopak z Morgana, pierwszak, niesamowicie podobny do mojego przyjaciela – nie w wersji obecnej, ale z niedalekiej przeszłości, gdy mieliśmy po czternaście lat.

Gdzieś na początku roku szkolnego wpadliśmy na niego na szkolnym podwórku i poczuliśmy się jak w odcinku *Strefy mroku* – tak dziwnie, aż przeszły nas dreszcze. Od tamtej pory Ollie ma na oku Małego.

Przyjaciel odsuwa od siebie rękę Kapitana i nie odpowiada na jego zaczepkę.

– Stał oparty o szafki jak alfons i kręcił z jakąś gówniarą. Ale jazda.

– Wygadany jest chociaż? – pytam. Prawdę mówiąc, mało mnie to obchodzi, zdecydowanie jednak wolę ciągnąć ten temat, niż wysłuchiwać kolejnych opowieści, które Kapitan ma w zanadrzu.

Ollie kręci głową.

– Nie bardzo. Kiedy ich mijalem, wyglądał, jak gdyby chciał wskoczyć na główkę za jej bluzkę.

Kapitan jednak wtrąca się do rozmowy i nie zważając na Olliego, najzwyczajniej w świecie zmienia temat. Sadowi się na blacie między nami, po czym zaczyna snuć gawędę. Rozprawia głośno i chętnie, a ja nie mogę go słuchać. Mam jednak nadzieję, że jeśli będziemy go ignorować, to może wreszcie sobie pójdzie.

Stoję oparty o zlewozmywak, popijam piwo i czekam, aż LSD zacznie działać.

Kapitan opowiada rozwlekłą, idiotyczną historię o tym, jak Hez, jego współlokator, nie chciał wstać z głębokiego fotela Kapitana.

– ... i on nie wierzył, że to zrobię, że nasikam na niego, ale...

Ollie wzdycha, opiera się łokciem o blat i wbija wzrok w podłogę, włosy opadają mu na twarz.

– Pewnie dlatego, że trzeba być totalnym degeneratem, żeby na kogoś nasikać.

Kwas zaczyna działać, rozchodzi się po moim ciele falami. Przywodzi na myśl kamień wrzucony do wody, od którego tworzą się na wodzie zmarszczki sięgające coraz dalej i dalej.

Gdy podnoszę wzrok, napotykam czujne spojrzenie Olliego.

– Co?

Wzrusza ramionami i uśmiecha się, ale jego rysy wydają się obwisłe, jak u smutnych bohaterów kreskówek. Wiem, że ma rację – wiedziałem to od samego początku – ale teraz jest już za późno.

– Jeśli zrobi się źle, pomyśl o czymś nudnym. Jak historia czy coś w tym stylu – mówi.

– Historia nie jest nudna – odpowiadam, a mój głos brzmi jak nigdy wcześniej, jest smutny, powolny, melodyjny.

Ollie wzrusza ramionami.

– To o rybołówstwie. Albo baseballu.

Tak naprawdę chce mi przekazać jedno: „Obydwaj wiemy, że zrobi się źle”.

– Masz rację – mówię, chociaż nie jestem pewien, czy mnie słyszy. Równie dobrze mogłem to wypowiedzieć jedynie w myślach.

Przez parę chwil siedzimy, wiedząc, że mamy rację, ale świadomość tego faktu nie sprawia nam żadnej przyjemności. Wolałbym się mylić.

Skończyłam odliczać, ale nie pamiętam, w jakim momencie. Głosy, które dobiegają mnie z daleka, coraz bardziej się zbliżają. Robi się zimno.

Gdy otwieram oczy, stoję na skraju cementowej płyty otoczona chmurą ludzi. Podwórko wygląda paskudnie. Jego atmosfera przypomina zapuszczony ogród domu bractwa studenckiego albo nielegalnej wytwórni metamfetaminy. Cały taras jest zachlapany rozlanym piwem.

Tłum napiera na mnie, chłopcy w czapkach z daszkiem i podkoszulkach bez rękawów, dziewczyny oblepione makijażem, wciśnięte w beznadziejnie krótkie szorty.

Nie ma nic gorszego, niż zdać sobie sprawę, że wszyscy wokół są ubrani według jakiegoś klucza, podczas gdy ty masz na sobie dwuczęściową flanelową piżamę. Splatam dłonie pod brodą i zasłaniam się łokciami, a przez głowę przelatuje mi przerażająca myśl, że zaczęłam lunatykować i właśnie zawędrowałam na czyjeś podwórko.

Jednak ku mojemu zdumieniu chyba nikt nie zauważa mojej obecności.

Nikt nawet nie spogląda w moim kierunku i wraz z upływem kolejnych minut jestem coraz bardziej przekonana, że nikt nie zwróci na mnie uwagi. Znajduję się w alternatywnej wersji popularnego snu, w którym mamy wygłosić przemówienie przed salą pełną ludzi i nagle orientujemy się, że jesteśmy nadzy. Jak gdyby moja podświadomość podkreślała fakt, iż cały świat składa się ze ściśle połączonych ze sobą grup społecznych, ja natomiast znajduję się poza ich nawiasem.

Wszyscy piją i się śmieją. Poznają parę osób ze szkoły, ale pamiętam je głównie ze szkolnych imprez i przerw. Reszta gości wydaje się nieco starsza, nie wyglądają jednak na studentów. Na ich twarzach odcisnęła piętno przedwczesna dorosłość, w ich rysach widać nadmierne zmęczenie.

Niedaleko mnie pewien chłopak rozmawia z młodym, dwudziestoparoletnim mężczyzną, który trzyma w dłoni butelkę piwa, na twarzy zaś ma zarost, który przydałoby się nieco przyciąć, najlepiej kosą spalinową.

Chłopak nazywa się Ollie Poe, chodzi ze mną na hiszpański. Ma proste, ciemne, długie, sięgające brody włosy i nerwowy odruch dotykania obojczyka, zanim się odezwie. W zeszłym roku widywaliśmy się na lekcjach wychowania fizycznego i oprócz tego, że kiepsko grał w badmintona, zapamiętałam, iż był jeszcze słabszy z biegania: nigdy nie udało mu się pokonać półtorakilometrowego dystansu w czasie poniżej dwunastu minut.

Teraz chłopak nerwowo gestykułuje, dotyka czoła, brody.



– Słuchaj, na pewno Marsowi nic nie będzie? Może tobie wydaje się to śmieszne, ale on jest totalnie rozpieprzony, siedzi pod stołem i skubie się paznokciami jak jakiś ćpun.

Młody mężczyzna kiwa głową, po czym jednym długim haustem dopija piwo. Następnie wierzchem dłoni ociera splątaną brodę, a dopiero potem odpowiada:

– Nic mu nie jest. To gówno daje kopa, ale nie trzyma długo. Nie przeszkadzaj mu, pozbiera się.

Ollie przypomina niezborną marionetkę, kręci się, wkłada papierosa za ucho, po sekundzie znów go wyjmuje.

– A jeśli się przeziębii? Jest w samym podkoszulku. Może ktoś powinien rzucić na niego okiem, może przykryć go kocem albo coś?

Brodaty mężczyzna wzrusza ramionami i w zamyśleniu wymachuje pustą butelką.

– Jak będziesz mu przeszkadzał, to może się wściec. Zostaw go, pozbiera się.

– Kiepsko dzisiaj wyglądał, był jakiś taki rozwalony. Słuchaj, coś się dzieje u was w domu czy co?

Mężczyzna zaciska szczękę ruchem przypominającym tik nerwowy – jedno krótkie napięcie mięśni. Potem kręci głową i rozgląda się po podwórku.

– To jest mój dom.

Ollie wsuwa papierosa w kącik ust.

– Nie bądź kretynem. Wiesz, o co mi chodzi.

Brodacz drapie się po karku. Trudno rozróżnić, które elementy jego garderoby i zachowania to część kreacji aktorskiej, a które to rzeczywistość.

– Nic się nie dzieje. Tata dostał orzeczenie o długoterminowej niepełnosprawności. Chyba w zeszłym tygodniu. Zresztą nieważne. Niepotrzebnie robisz w gacie. Mars da sobie radę.

Ollie przytakuje bez przekonania, po czym zerka w stronę tylnego ogrodu, pod którym stoją przerdzewiały grill, stół piknikowy, a między nimi ułożone w stos fotele ogrodowe. Fotele wyglądają na zdadne do użytku, ale grill kołysze się niezdarnie na dwóch nogach i jednym ocalałym kole. Spojrzenie Olliego mówi, że tak czy inaczej zaopiekuje się przyjacielem, ponieważ takim już jest człowiekiem.

Po drugiej stronie tarasu w wysłużonym fotelu siedzą dwie dziewczyny o zbyt mocno wymalowanych oczach. Wydają się senne i pijane jednocześnie, między sobą tulą puszkę taniego piwa.

Jedna z nich podnosi wzrok i przez sekundę jestem prawie pewna, że mnie zobaczyła. Otwiera szeroko oczy, na jej twarzy maluje się wyraz zaskoczenia. Po chwili obok mnie przebiega chłopak z czerniejącym na szyi tatuażem i krótko przyciętym gęstym wąsikiem – prawdziwym albo przyklejonym. Rusza w stronę otumanionych dziewczyn, a wtedy ta, która wydawała się na mnie patrzeć, zrywa się na nogi i rzuca się mu w ramiona.

Odwracam się i niemal wpadam prosto na Olliego Poe.

On jednak podobnie jak pozostali nie zwraca na mnie uwagi. Wpatruje się w tył ogrodu, w miejsce, gdzie stoi opuszczony zdezelowany stół. Prawdopodobnie szuka przyjaciela, który kiepsko się dzisiaj czuje.

Na podwórku nie rośnie trawa, po wydeptanej błotnistej ziemi walają się gnijące liście. Wilgotna maź oblepia mi stopy i wypływa między palcami, gdy ruszam w stronę tylnej części ogrodu. Wiatr, który się zrywa, przenika piżamę niczym ostrze skalpela.

Stół przypomina zwykłe piknikowe ławy rozstawiane w parkach, zdobią go liczne wyryte scyzorykiem napisy. Gdy pochylam się, żeby pod niego zajrzeć, dostrzegam Marshalla Holta, który siedzi na ziemi z pochyloną głową i podciągniętymi pod brodę kolanami.

Nie przypomina znudzonego Marshalla Holta z zajęć hiszpańskiego ani pociągającego eksperta od krzyżówek z mojego snu. Obejmuje się rękami, dłonie zaciska na czubkach ramion. Kiedy podnosi głowę i patrzy w moim kierunku, zauważam, że jego źrenice przypominają plamy atramentu, niemal całkowicie zakrywają tęczę.

Z biciem serca przysuwam się bliżej.

– Hej. Co robisz?

Z gardła chłopaka wydobywa się stłumiony świst oddechu, ale odpowiedź nie nadchodzi. Cały czas spogląda mi prosto w oczy.

Przytrzymuję się stołu, zaglądam jeszcze głębiej w mrok.

– Marshall, dlaczego tam siedzisz?

Chłopak wzdryga się i odwraca twarz, kryjąc ją w ramieniu.

– Hej – szepczę. Mój głos wydaje się rozwlekły i ostrożny. Niemal czuję, jak coraz bardziej zanurzam się w sen. Pozwalam, żeby mnie pochłonał. W prawdziwym życiu nie byłabym tak delikatna ani otwarta. – Hej, Marshall, spójrz na mnie. Dlaczego nie chcesz na mnie popatrzeć?

Gdy się odzywa, głos mu się łamie, jest zachrypnięty, ledwie słyszalny.

– Nie jesteś prawdziwa.

Opieram łokcie o ławkę.

– Powinieneś stamtąd wyjść.

– Nie – mówi cicho, nie odsłaniając twarzy. Jednak już w następnej chwili niespodziewanie się obraca, jego oczy wydają się ogromne i ciemniejsze od mroku panującego pod stołem. – Jest źle... bardzo źle. Ziemia się rozpada, odłazi płatami. Księżyc wygląda jak trupia czaszka.

Siedząc na ziemi, zadzieram głowę. Lśniaca, trupio blada tarcza wisi nisko nad drzewami. Strzępy chmur przesuwają się wolno po niebie i chwilami rzeczywiście przypominają rozcapierzone, upiorne palce. Albo kości.

Spodziewam się, że scena nagle się zmieni, tak jak zwykle dzieje się to w snach, i zamiast na hałaśliwej imprezie znajdę się zupełnie gdzie indziej. Być może – gdybym podążała za tokiem myślenia Marshalla – na lekcji historii na temat symboli nazistów podczas drugiej wojny światowej.

Jednak grunt pod moimi stopami nadal wydaje się twardy i stały, a gdy znów zerkam w górę, księżyc nadal jest księżycem.

– Dla mnie wszystko wygląda normalnie. Naprawdę.

Chłopak nie odpowiada, kopie w ziemi czubkiem tenisówki.

– Marshall, spokojnie. Wszystko będzie dobrze.

– Proszę – szepcze. – Przestań wymawiać moje imię.

Przytakuję, usiłując przybrać pokrzepiający wyraz twarzy.

– Dobrze, nie będę wymawiać twojego imienia.

Przez dłuższą chwilę żadne z nas się nie odzywa. Marshall siedzi z rękami oplecionymi wokół kolan, oddycha długimi, jęklivymi sapnięciami. Wreszcie zamyka oczy i zwilża wargi.

– Jeśli jesteś prawdziwa, to mnie dotknij.

Wyciągam rękę pod stołem, zanurzam ją w granatowoczarny mrok i po chwili on również kieruje w moją stronę swoją dłoń.

Palce ma ciepłe, miększe i ostrożniejsze, niż się spodziewałam; splatają się z moimi. Jednak już w następnej sekundzie Marshall gwałtownie cofa rękę, odwraca się ode mnie, zakrywa głowę ramionami. Jego oddech robi się krótki i płytki, paniczny.

Jeden z podręczników mojej mamy radzi, żeby ludziom znajdującym się pod wpływem substancji psychoaktywnych zadawać jasne, proste pytania, które pomagają ustalić, w jaki sposób można dostosować otoczenie, aby zwiększyć komfort tych osób. Dodatkową zaletą tej metody jest to, że pozwala ocenić stan psychiczny osoby odurzonej, a jednocześnie nie przypomina przesłuchania.

Nie ruszam się z miejsca, nachylam się do przodu i nie wymawiam jego imienia. Ziemia jest mokra, grząskie błoto przenika przez moją piżamę.

– Zimno ci?

Chłopak chowa twarz w zgięciu łokcia. Biały podkoszulek wydaje się świecić w ciemnościach niczym żarówka. Widzę jedynie łuk pleców Marshalla i zarys jego głowy. Teraz się kołysze, do przodu i do tyłu. Ramiona mu drżą. Oddech wydaje się zduszony.

– Smutno ci?

Nadal kryje twarz w ramieniu.

– Odejdź. Proszę, odejdź.

Wycieram ręce o uda i wstaję.

– Dobrze, nie ma sprawy. Jeśli chcesz wylegiwać się w błocie, to niech tak będzie.

Ruszam z powrotem w stronę popękanego tarasu i gołego światła. Zatrzymuję się pośrodku podwórka. W moim kierunku zmierza Ollie Poe, przepycha się przez tłum, pod pachą dźwiga szary wojskowy koc. Kiedy mnie mija, ociera się ramieniem o moje ramię, ale wydaje się tego nie zauważać. Ze mną jednak coś się dzieje, po mojej twarzy i nogach rozchodzi się dziwne, złowieszcze uczucie.

Dziobata, świetlista twarz księżycy uśmiecha się do mnie. Drzę, obejmuję się rękami. Mam wrażenie, że rzeczywistość wokół mnie się rozrzedza, a może to ja zaczynam się rozpuszczać. Skóra mi cierpnie, czuję chłód. Potem nie ma już nic.

Na suficie w moim pokoju światło drży niespokojnie. Gdy zrzucam z siebie kołdrę, robię to tak gwałtownie, że świeczka migocze i całkiem gaśnie.

W mroku, który zapanował, zastanawiam się, gdzie ja właściwie jestem.

Sen nadal wydaje się niepokojąco żywy. Marshall Holt, jego nagie ramiona, zgięte plecy. Ciepło jego dotyku, który poczułam, gdy chwyciłam go pod stołem za rękę.

Trudno uznać te zdarzenia za realne, a do tego im bardziej usiłuję skupić się na moim obecnym otoczeniu, tym bardziej czuję się zdezorientowana, aż w końcu niczego już nie jestem pewna, prócz zimna i drapania odczuwanych przy każdym ruchu.

Młóczę powietrze, szukając w ciemnościach nocnego stolika, staram się namacać lampkę i włącznik. Chwilę później siedzę bez ruchu w kręgu światła i patrzę na swoje nogi.

Zgniłe liście oblepiają mi nogi niczym pijawki.

\*

Weekend mija w okamgnieniu. Cały czas wracam myślami do swoich stóp. Gromadzę materiały do pracy zaliczeniowej z literatury, pomagam Maribeth ogarnąć budżet samorządu uczniowskiego, wygrywam międzyszkolne zawody z przewagą niemal czterdziestu sekund. I wciąż myślę o stopach.

W poniedziałek rozmyślenia te nie są już tak intensywne i przypominają chroniczny ból zęba o jednolitym, znośnym natężeniu: można z nim funkcjonować, ale on cały czas jest.

Siedzę w ławce, podczas gdy miasta upadają, komórki się dzielą, zmyślane flagi oświetlone wyimaginowanym słońcem rzucają nieistniejące cienie. Myślę o stopach.

Przede wszystkim musiałam je umyć. Potem trzeba było zdjąć pościel, wybrać gałązki i liście z łóżka. Nie wyrzuciłam ich do śmieci, wyniosłam na dwór i przemierzyłam najbliższą okolicę w poszukiwaniu klonu.

Może to dowód na to, że zaczęłam lunatykować. Może relaksacja robi z ludźmi dziwne rzeczy. Może

sterowana automatycznie, trafiłam na balangę, której motywem przewodnim było wieśniactwo.

Kontrargumenty:

1. Zdaje się, że nikt na imprezie mnie nie zauważał prócz Marshalla Holta.
2. Wszystkie drzewa w mojej dzielnicy to topole.

Na wewnętrznej okładce zeszytu widnieje wzór na obliczenie objętości brył nieregularnych, chociaż nie przypominam sobie, kiedy go tam zapisywałam. Reszta zeszytu poświęcona jest odmianie czasowników w języku hiszpańskim.

Z frekwencją Marshalla bywa bardzo różnie, ale dzisiaj udaje mu się dotrzeć na zajęcia – pełne trzy minuty po dzwonku. Gdy otwierają się drzwi, wszyscy obracają się, żeby na niego popatrzeć. To dziwne, że każdy niezmiennie interesuje się spóźnialsłami i wpatruje się w drzwi klasy, jak gdyby tym razem spodziewał się ujrzeć w nich mechanicznego dinozaura albo nosorożca, a nie obiboka, który poszedł zapalić za boisko baseballowe i stracił rachubę czasu.

Spojrzenie Marshalla zahacza o mnie na ułamek sekundy, zanim jednak zdążam je pochwycić, biegnie dalej. Marshall Holt jest zwykłym chłopakiem, z którym zamieniłam parę słów tylko raz, w trakcie koszmarnej męczącej sytuacji pod gabinetem pedagoga. Nie ma żadnego dowodu na to, że rozmawialiśmy jeszcze raz, tamtej nocy, dlatego uznaję to wydarzenie za bardzo realistyczny sen. Jeden z tych, po którym ma się ubłocone nogi i łóżko zaśmiecone zgniłymi liśćmi.

Nie, to bez sensu.

Na pierwszy rzut oka to dobre, logiczne wyjaśnienie, ale nie wytrzymuje weryfikacji.

W lustrze zawieszonym w szatni nad umywalkami sprawdzam, jak wyglądają moje oczy. To zaczyna się stawać obsesją. Robię korektorem kilka kropek pod dolną powieką, rozsmarowuję je koniuszkiem palca. Zwykle kryjący podkład w kolorze jasna porcelana doskonale się sprawdza, ale dzisiaj wygląda blado i sztucznie.

– Znów to robi – odzywa się za mną Palmer, jej głos ocieka jadem.

Obracam się i widzę stojącą pośrodku szatni Autumn. Ramiona ma spuszczone, nogi niezgrabnie skrzyżowane. Chociaż startujemy dzisiaj w zawodach, nie przebrała się jeszcze w strój, dalej ma na sobie czarny wyblakły podkoszulek.

Oblana fluorescencyjnym światłem mrugającej sporadycznie lampy, przypomina bohaterkę tandetnego horroru – dziewczynę, która ginie w środku filmu. Nie jest ani najbardziej inteligentna, ani najładniejsza, ani nawet najbardziej wielkoduszna, ale i tak wszyscy ją lubią i robi im się smutno, kiedy umiera.

– Autumn. – Kendry bierze się pod boki. – Myślałam, że się zrozumialiśmy. Jeśli dalej będziesz wieszać swoje dziwaczne ulotki na tablicy, będę musiała zgłosić to trenerowi. W tej sekcji nie ma miejsca dla świrusek.

Autumn nie odpowiada od razu. Na środku tablicy widnieje ogłoszenie napisane dużymi drukowanymi literami:

## **ZAGINAŁ JEDNOROŻEC**

**KTOKOLWIEK WIDZIAŁ, NIECH IDZIE DO LEKARZA. KOMPLETNYCH POPAPRAŃCÓW PRZYJMUJĄ POZA KOLEJKĄ.**

Rysunek jest dobry. Przedstawia boston teriera z rogami przyklejonym do czoła.

Mam wrażenie, że Autumn spogląda na mnie kątem oka, jednak już sekundę później odwraca wzrok, a grzywka zsuwa jej się do przodu, zasłaniając niemal całą twarz.

Po dłuższej chwili dziewczyna wzdycha, po czym ostentacyjnym ruchem wysuwa środkowy palec, odgarnia nim włosy i zatyka je za ucho.

– Ja też myślałam, że się zrozumialiśmy i że przestaniesz robić zboczony z rakieta tenisową.

– Jezu. – Palmer wygląda na autentycznie przestraszona. – Nie musisz od razu gadać o tym na prawo i lewo. To był tylko żart.

Autumn wpatruje się w nią z tym samym beznamiętnym, sennym wyrazem, jaki zwykle maluje się na jej twarzy. Potem przytakuje.

– Och. Och, przepraszam. Dopiero teraz załapałam. – Głos ma chropawy. – Bardzo zabawny ten twój żart. Ale chyba zapomniałaś okraszyć go jakąś puentą. Na przykład taką: „pieprz się”.

Przez chwilę jestem niemal pewna, że wybuchnę śmiechem. Palmer i Kendry wydają się wręcz z gniewu. Zastanawiam się, czy właśnie taką sytuację mają na myśli korespondenci zagraniczni, gdy mówią o eskalacji napięcia. Atmosfera jest tak gęsta, że mam wrażenie, iż słyszę trzaski wyładowań elektrycznych.

W tym momencie Jamie wrzeszczy na cały korytarz, że zostało pięć minut do odjazdu autobusu. Palmer i Kendry łapią swoje wiatróvky i ruszają w kierunku drzwi. Po ich wyjściu w szatni zalega cisza przypominająca spokój pobojuwiska, nad którym powoli opada kurz.

Autumn nadal stoi pod migoczącą świetlówką. Gdy się odzywa, mamrocze niemal jak naćpana:

– Nie łapię jeszcze czegoś. Po jaką cholere pchasz się do nich na ochotnika. Wybacz ciekawość, ale jaki to ma sens?

Opieram się rękami o umywalkę i odczekuję chwilę, zanim odpowiadam:

– Słucham?

Zbliża się do mnie w kilku zdecydowanych krokach.

– Ty. I one. Nie wmówisz mi, że należycie do tego samego gatunku.

– Gatunek nie ma znaczenia.

– Cóż za wspaniałomyślność. Albo wyrachowanie.

Odchylam się do tyłu, usiłuję ukryć zaskoczenie, ale mimowolnie unoszę brwi.

– Przynajmniej wiem, jak przetrwać, nie przysparzając sobie wrogów.

– Jak to leciało? „Boże, strzeż mnie od przyjaciół; z wrogami poradzę sobie sam”.

Odkręcam kran, zwilżam grzywkę i zaczesuję ją do tyłu. Zamiast założyć opaskę elastyczną, przewiążuję głowę długim kawałkiem taśmy piankowej.

– Jeśli uważasz to wszystko za takie bezsensowne, dlaczego zapisałaś się na dodatkowe zajęcia? Nikt cię do tego nie zmusza.

Teraz, w opustoszałej szatni, jej rysy się zmieniły. Wydaje się czujna i przygląda mi się badawczo.

– Ten cały sport i zajęcia dodatkowe to efekt rozpoczętej przez moją mamę kampanii na rzecz uspołecznienia. Gdyby zależało to tylko ode mnie, raczej byście mnie tu nie zobaczyły.

Staram się zachować neutralny wyraz twarzy – przybrać minę psychologa, którą podpatrzyłam u swojej mamy.

– Doprawdy wstrząsające.

Autumn odwraca się do lustra, skubie dolną wargę. Z odbicia spogląda na mnie opanowana, stanowcza dziewczyna.

– Zadałam ci poważne pytanie, a ty zmieniłaś temat. Ty, one, dlaczego?

Wzruszam ramionami. Kendry i Palmer może i nie powalają na kolana inteligencją, ale wiedzą, jak poruszać się po meandrach towarzyskich rozmów i pustych komplementów, a do tego wydaje się nie przeszkadzać im to, że ja nie opanowałam tej sztuki.

– Bywają użyteczne.

Autumn krzywi się do mnie z lustra.

– Jezu Chryste, jesteś socjopatką!

– Raczej pragmatyczką. – Deklaracja ta brzmi zbyt ostro jak na dzienną wersję Waverly, dodaję więc łagodniej: – A to różnica.

Autumn przewraca oczami.

– Daj spokój. Zadajesz się z takimi frajerami aż żal. Co z tego masz poza satysfakcją na myśl, że jesteś od nich lepsza w każdej dziedzinie?

– Ta satysfakcja jest mniejsza, niż ci się wydaje.

– Och.

Wiem, jak to zabrzmiało, ale niezależnie od tego, jak bardzo arogancka albo interesowna się wydaje, prawda wygląda znacznie gorzej. Rezygnacja z organizowania balów, z samorządu uczniowskiego – czyli z towarzystwa Maribeth i jej popleczników – oznaczałaby samotność, totalne, niekończące się osamotnienie. To niebezpieczeństwo wisi nade mną od zawsze, od czasów szkoły podstawowej. Dlatego też zgłębiam zasady rządzące hierarchiami i normy społeczne, dlatego przestrzegam tych reguł. Panuję nad sobą i nawet gdy czasami się potknę i zapomnę przybrać odpowiedni wyraz twarzy albo zacznę opowiadać o galaktykach spiralnych, Palmer i Kendry zwykle tego nie zauważają.

Przez chwilę spodziewam się, że Autumn zgani mnie za moją wyniosłość, tak jak zrobiłaby to Maribeth. Że raz jeszcze usłyszę, iż mam wadliwe oprogramowanie. Ona jednak tylko powoli wzrusza ramionami.

– Hej, w końcu załapałam. Twoja wina tragiczna polega na tym, że nie masz umiejętności społecznych. Cóż, zdarza się najlepszym.

Wpatruję się w nią, kręcąc głową.

– Taka jest twoja linia obrony? Celowo wkurzasz wszystkich wokół, a potem zwalasz to na brak umiejętności społecznych?

– Och, nie! Moja wina tragiczna polega na tym, że nigdy nie kłamię. To zupełnie coś innego. Jeśli chcesz, mogę ci pokazać, w czym tkwi różnica.

– Dzięki, jako osobnik społecznie niedostosowany opowiadam się bardziej po stronie milczenia.

Szeroki uśmiech, który wypływa na twarz Autumn, upodabnia ją do szczerzącego kły zwierzęcia.

– Waverly, proszę. Myślisz, że nie znam twojej słodkiej tajemnicy?

Czuję ukłucie wstydu, gdy przypomina mi się nocna wędrówka w samej piżamie wśród tłumu nieświadomych mojej obecności ludzi. Pobudka w łóżku pobrudzonym zgniłymi liśćmi oblepiającymi moje stopy. I Marshall, dotyk jego ciepłych dłoni pod stołem piknikowym.

Krzyżuję ręce na piersiach.

– Jakiej tajemnicy?

– Że inteligentna z ciebie bestyjka.

Z ulgą parskam śmiechem.

– Wszyscy o tym wiedzą. Co semestr na ostatniej stronie „Kuriera” drukują listę wzorowych uczniów.

– Nie mówię o stopniach. – Szerokim gestem wskazuje opustoszałą szatnię. – Mówię o tym. O balach, klubach, hasłach i uściskach dłoni. Wiesz, że to błazenada, ale i tak w to wchodzisz.

Milczę.



– Założę się, że grasz w szachy – ciągnie Autumn.

Kręcę głową.

– Przestałam w gimnazjum.

– Bo to rozrywka dla dziwaków, prawda?

– Można tak powiedzieć.

– Ale pewnie byłaś w nich dobra.

– Nie robię nic, w czym nie byłabym dobra.

Stoimy naprzeciwko siebie, oddzielone drewnianą ławką. Zbyt gruba warstwa kredki, którą Autumn maluje powieki, zaczyna się zlepić w grudki.

– Nie przestałaś grać – oznajmia w końcu dziewczyna. – Po prostu znalazłaś sobie większą szachownicę i bardziej interesujące pionki.

\*

Bieg tego wieczoru jest długi i odrealniony. Ja również czuję się odrealniona, naładowana energią niczym akumulator, mknę przed siebie jak po torze wyścigowym, a mózg pracuje mi na pełnych obrotach.

Autumn jest nieobliczalna. To jedna wielka niewiadoma.

Mijam przecnicę za przecnicą, usiłując przewidzieć, w jaki sposób ta dziewczyna może mi zaszkodzić.

Chociaż rozpatruję tę sprawę na różnych poziomach, nie potrafię znaleźć motywu, nie umiem wyjaśnić jej nagłego zainteresowania moją osobą. Może Autumn po prostu mnie lubi, ale nie jestem na tyle naiwna, aby przyjąć to tłumaczenie za dobrą monetę. Nie wydaje mi się też, żebym miała coś, czego mogłaby ode mnie chcieć.

Potrzebuję zdobyć więcej informacji. Muszę też przygotować plan pracy semestralnej z literatury, schłodzić stopy lodem, wybrać sukienkę na bal i w najbliższych dniach – o ile góry ustąpią i pagórki się zachwieją – zacząć regularnie sypiać.

Od czasu nocnej imprezy, po której znalazłam liście w łóżku, nie jestem zbyt skora do praktykowania technik relaksacyjnych. Oznacza to nawrót bezsenności, ale przynajmniej mam pewność, że nie skończę boso w czyimś ogródku. Nadal ezoteryczny wymiar piątkowych zdarzeń nie jest dla mnie całkiem jasny, jednak odkąd skończyłam z paleniem świecy i odliczaniem, historia się nie powtórzyła.

Pozostaje mi bieganie, ale na szczęście, jeśli biegnę odpowiednio długo, zawsze pojawia się uczucie odprężenia i niezachwianego spokoju. Nogi mam potem jak z waty, ale to nie zakłóca uniesienia, w jakie wpadam. Gdy tylko wślizguję się tylnymi drzwiami do domu, znajduję się w euforycznym stanie

nieważkości.

Jednak jeszcze przed północą poziom endorfin opada. Stopy mam obolałe. Wzrok się wyostrza, jak gdybym patrzyła przez teleobiektyw, przedmioty odcinają się od tła z przerażającą wyrazistością. Nie pozostaje mi nic innego, jak usiąść na kanapie w salonie i obejrzeć *Podziemny krąg*, a kiedy wszystkie inne sposoby zawiodą, obejrzeć ten sam film ponownie.

Czuję się jak zmarnowana młodość Jacka.

# MARSHALL

## Góra, dół

Do Kapitana chodzę, kiedy wszystko inne robi się zupełnie bez sensu.

W domu tematem wieczoru stała się wina – kto ponosi większą, kto na kogo zrzuca i tak dalej – a ja nie mam nastroju słuchać gadaniny, od której chce się rzygać.

Siedzimy na werandzie, gramy w Omahę przy białym stole ogrodowym. W komplecie do stołu są cztery krzesła i składany parasol, który ledwie się mieści pod pochyłym dachem.

Kapitan i Hez parę miesięcy temu buchnęli cały ten zestaw z miejskiego basenu, który wybudowano na jednym z nowych osiedli. Stół jest tak ogromny, że trudno przez niego otwierać drzwi i załadować pralkę, ale jego nowi właściciele są z siebie tak dumni, że nie ma mowy, żeby się go pozbyli.

Hez rozdaje, przewraca karty i pilnuje licytacji. Właśnie wyłożył piątkę kier i czeka, co zgłoszę.

Po drugiej stronie stołu Ollie i Kapitan po raz milionowy wdają się w głupią gadkę o problemach Olliego z dopięciem spraw z dziewczynami.

– Dół – mówię, bo mam przeczucie, że będzie nisko.

Hez przewraca kartę leżącą na wierzchu talii. Trójka.

– Góra – rzucam, a Hez wykłada następną. Dziesiątka.

Kapitan rozsiada się wygodnie w kradzionym fotelu ogrodowym i patrzy na Olliego spod przymrużonych powiek.

– Skoro taki z ciebie playboy, to powiedz, dlaczego nosisz koszulki, które działają na panny gorzej niż śmierdzące pachy?

Ollie ubiera się w takie same ciuchy mniej więcej od czasu, gdy odeszła jego mama. Dżinsy, stare podkoszulki ze zdjęciami różnych kapel i rozpinane koszule z kołnierzykami i sztywnymi mankietami. Teraz mój przyjaciel unosi się w fotelu, przez chwilę rozgląda się uważnie po werandzie i pustym ogródku. Następnie obraca się do Kapitana.

– Na jakie panny? Tych, których tu nie ma?

Nagle gdzieś odpływam. Myślę nie o pannach, ale konkretnie o jednej dziewczynie. O halucynacjach po kwasie, w których pokazała się Waverly. Zjawiała się w ogrodzie, jej blada, świetlista postać wyłoniła się z ciemności i naraz wszystko stało się tak realne, że można było oszaleć.

Miała niesamowicie czystą twarz, czystsza niż cokolwiek, co w życiu widziałem, a wszystko dookoła było ohydne i brudne. Świat się rozpadał, obłaził ze skóry, wystawały spod niej nagie kości. Musiałem się skupiać na każdym pojedynczym oddechu – nabierałem jeden, potem kolejny, potem jeszcze

następny – inaczej chyba przestałbym w ogóle oddychać.

I Jezu, zobaczyłem ją w chwili, gdy mnie już prawie nie było. Gdy orbitowałem jak jakiś pieprzony astronauta. A potem, po tym, jak minęła cała wieczność, dotknęła mojej ręki.

– Góra – mówię do Heza. Trzecia karta to królowa i kolejka przechodzi na Kapitana, a ja kończę swoją bez karniaka.

– Masz ochotę? – pyta Hez, postukując w kieszeń roboczej koszuli, w której nosi fajkę.

Wzruszam ramionami i zbieram karty.

– Nie wiem. Może później.

Hez tak naprawdę ma na imię Isaac, ale jeszcze w gimnazjum Kapitan właściwie bez powodu nadał mu ksywkę Hezbollah i tak już zostało.

Po przeciwnej stronie stołu Kapitan dalej nabija się z Olliego, jak gdyby nie umiał sobie znaleźć lepszej zabawy.

– Jesteś po prostu wybredny. Bierz przykład z Marshalla: nie wybiera, nie przebiera, więc co rusz jakąś zalicza.

Ollie rzuca mu jedyne w swoim rodzaju spojrzenie, po czym wyciąga z dłoni Heza wierzchnią kartę, nie racząc nawet zalicytować.

Przy Kapitanie najlepiej się zamknąć i pozwolić mu się wygadać. Gdy byliśmy młodszy, bywało jeszcze gorzej: albo obrywałem z byle jakiego powodu, albo brał mnie gdzieś ze sobą, a potem zostawiał. Teraz tylko zachowuje się jak gnojek.

Hez podnosi kartę Olliego z podłogi i każe mu wypić karniaka. Kapitan zaczyna opowiadać dowcip, który usłyszał w pracy od jednego z mechaników. Dopijam resztę piwa, chociaż powinienem zostawić je na przyszłe karniaki.

Przesiadanie u Justina w zwykły dzień, kiedy wiem, że jutro muszę iść do szkoły, to niby nic wielkiego. Za pierwszym razem wydawało się to atrakcją, mile widzianą odmianą. Ale z czasem stało się szarą codziennością, bo żadna inna codzienność nie chciała się zdarzyć.

Hez łąduje fajkę, spogląda na mnie z uniesionymi brwiami. Podaje mi fifkę, a ja biorę ją, chociaż przez ostatnie piętnaście minut tłumaczyłem sobie, że muszę wrócić na właściwie tory i że nie będę palił, nie teraz, nie dzisiaj. Bez sensu. Jestem zbyt rozwalony, zbyt spragniony ciepła, dymu i nicości.

To wszystko wypełnia mi teraz płuca, a ja zaczynam mieć wyrzuty sumienia, że znów wybrałem łatwiejszą drogę. Myślę o ludziach, którzy są silniejsi. Którzy stawiają czoła przytłaczającym okolicznościom, dźwigają się na nogi o własnych siłach i zostają świetnymi przywódcami albo szlachetnymi wybawcami mieszkańców Trzeciego Świata.

W następnej chwili czuję, że się unoszę, a jednocześnie jestem zbyt ociężały, żeby ruszyć ręką albo

nożą. Ulatuje ze mnie znudzenie i poczucie beznadziei, a ja po prostu siedzę i odpuszczam sobie wszystko.

Jest cieplej niż w piątek. Ogródek wydaje się większy, gdy nie ma tego tłumu ludzi.

Ollie dyskutuje z Kapitanem, czy zabawa z dwoma pannami w łóżku liczy się jako trójkąt, jeśli one się nie dotykały. Kapitan mówi, że tak, o ile obie bawiły się z tobą w tym samym czasie.

Ollie twierdzi, że obchodzi go to mniej niż gówno.

Gdy Kapitanowi w końcu nudzi się nękanie Olliego, pochyla się nad stołem i szturcha mnie pięścią.

– Jak tam, mama dalej urządza rodzinne obiady?

Przytakuje, odwracając wzrok. Co on może o tym wiedzieć. Nie przyszedł na żadną taką imprezę. Nasza siostra Annie cały czas jest w pracy, w szkole albo w jakimś innym ważnym miejscu, więc wzruszająca tradycja, która miała zjednoczyć rodzinę, w sumie ma niewiele wspólnego z rodzinną atmosferą.

Zwykle do uroczystego obiadu siadamy tylko ja i rodzice.

Dorastając w popieprzonym domu, gdzie starzy cały czas się kłócą, można się przyzwyczaić do myśli, że kiedyś wreszcie się to skończy, dlatego gdy pewnego dnia usadzili nas w rzędzie na kanapie i wyłożyli kawę na ławę, nie byliśmy zdziwieni.

Tata spotykał się z kobietą, która pracowała w biurze fabryki produkującej chipy. Mówił o tym obojętnie, nie wydawał się wielce uszczęśliwiony albo zakochany, mama zaś miała zaczerwienione oczy, ale już nie płakała. Postanowili się rozwieść.

W filmach ludzie zawsze wyglądają na zdruzgotanych taką wiadomością. Ale u nas było inaczej. Siedząc w salonie, zacząłem wyobrażać sobie nowe, spokojniejsze życie i poczułem, że właściwie może być lepiej.

Tyle że było coś jeszcze. Tata od pewnego czasu miał problemy – ze wzrokiem, z równowagą. Nic poważnego, ale jego stan się pogarszał.

A potem przyszły wyniki, niedobre. W badaniach wyszły zmiany w mózgu, w rdzeniu kręgowym, i nagle rodzice postanowili ze sobą zostać. Wytrzymać. Mama obiecała wybaczyć tacie, a on przyrzekł nie pieprzyć się więcej z tamtą kobietą, w której nie był zakochany, i sytuacja wróciła do normy. Czyli rodzice dalej się awanturowali, ale teraz oboje czuli się na tyle winni, że co pewien czas starali się udawać, iż się nie nienawidzą, a my mieliśmy udawać razem z nimi.

Ollie wyjmuje Hezowi talię z dłoni i kładzie ją przede mną.

– Rozdajesz. Hej, wpadniesz do mnie jutro? Pomyślałem, że możemy...

– Te całe obiady to jeden wielki syf – mówi Kapitan, rozsiadając się na krześle jakby nigdy nic. – Kiedy wreszcie powiesz ojcu, żeby się od ciebie odpieprzył? Matce zresztą mógłbyś powiedzieć to samo.

Atmosfera na werandzie nagle się zagęszcza, ale ja nie czuję w piersiach nic, wypełnia je pustka. Gwałtownie odsuwam krzesło i odpycham od siebie stół, żebym mógł przejść.

Kapitan rzuca się do przodu, próbując ratować puszkę piwa, która zakołysała się niebezpiecznie.

– Jezu, chodzi mi tylko o to, że nie musisz ich dalej znosić, jeśli dają ci tak popalić. Coś taki wrażliwy?

Ale w tym momencie go nie słucham, chcę jedynie wyjść i nie patrzeć na niego, nie myśleć o tym, jak dopieprza ludziom na prawo i lewo, jak nie mamy sobie tak naprawdę nic do powiedzenia ani jak spędziłem pięć zasranych godzin pod stołem u niego w ogrodzie, przeżywając na jawie swoje najgorsze koszmary. Kapitan nabija się tylko z tego, jak gdyby wybebeszenie człowieka z najbardziej makabrycznych wyobrażeń i lęków było rozrywką stulecia. Muszę stąd wyjść.

Kapitan patrzy na mnie, ale nie odzywa się więcej. Po długiej, krępującej chwili milczenia rzucam karty na stół i wychodzę.

Mógłbym się nie zatrzymywać, ruszyć korytarzem, przejść przez salon i wyjść frontowymi drzwiami. Powłóczyć się po okolicy, a potem może wrócić do domu albo napisać do Heather McIntire i sprawdzić, co porabia.

Ale tego nie robię. Gdy myślę, że miałbym się z nią całować, czuję odrazę do siebie samego.

Zza ściany dobiega mnie głos Kapitana, który tłumaczy Oliemu, że nie zaliczy żadnej panny, jeśli dalej będzie się zachowywał jak fajfus bez jaj. Dom jest cichy i pusty. Siedzę w salonie brata i nie robię nic.

Bolą mnie stopy.

Pulsują przenikliwym bólem, który daje o sobie znać, gdy tylko wyskakuję z łóżka. Wchodzę pod prysznic, stoję pod strumieniem wody i po piętnastu minutach ból nieco ustępuje. Czuję się otępiała, głowę mam jak wypchaną bawełną.

Przez cały rano telefon wetknięty w boczną kieszeń torby natrętnie brzęczy.

Przyszło pięć wiadomości. Przeliczam je: rzeczywiście pięć. Autorem wszystkich jest CJ, z którym znam się od dwóch lat, ale o którym tak naprawdę nic nie wiem. Przynajmniej nic istotnego. Wiadomości również pozbawione są znaczących treści.

– Skąd ten twój wisielczy nastrój? – Na trzeciej przerwie Maribeth dziarskim krokiem podchodzi do mojej szafki i opiera mi brodę na ramieniu.

Siłą woli zmieniam wyraz twarzy z pochmurnego na neutralny, po czym podaję przyjaciółce telefon, na którym wyświetla się treść ostatniej wiadomości: „zwiąłem z historii, tesh nie znosisz rzymian?”.

– CJ pisał do mnie dziś rano. Kilka razy.

– Naprawdę? To wspaniale! To coś naprawdę nadzwyczajnego, wiesz?

Przez chwilę zastanawiam się nad możliwymi interpretacjami wypowiedzi Maribeth, ale tak czy inaczej odpowiedź nasuwa mi się tylko jedna: nie widzę nic nadzwyczajnego w tym, że dostałam pięć esemesów od tej samej osoby. CJ ma mój numer. Wie, jak obsługiwać telefon. Cała reszta to wypadkowa tych dwóch okoliczności.

– Nie jest ci przyjemnie, kiedy wiesz, że myśli o tobie? – pyta Maribeth, a ja uzmysławiam sobie, że nigdy nie będę mogła odpowiedzieć jej tak, by mnie zrozumiała.

Gdy patrzę na telefon i widzę wiadomość od Borsena: „Jak się masz, mała” zakończoną trzema znakami zapytania i wykrzyknikiem, wiem, że nie pasujemy do siebie. Wcale nie chodzi o swobodne podejście do gramatyki czy interpunkcji, ponieważ nie jestem radykałem pod tym względem. Po prostu nie sądzę, żebyśmy mogli się porozumieć chociażby w podstawowych kwestiach.

Mijają kolejne zajęcia, dzień wydaje się odrealniony i bezkresny. Mam wrażenie, że serce bije mi coraz wolniej.

Na ostatniej godzinie lekcyjnej idę na dyżur. Biuro pedagoga jest puste – jak zwykle we wtorek – i przez pierwszy kwadrans zajmuję się ścieraniem kurzu z fotokopiarki oraz porządkowaniem formularzy. Kompulsywne sprzątanie nie może jednak trwać w nieskończoność, zawieszam więc na

drzwiach tabliczkę z napisem: „Zaraz wracam”, wypisuję sobie przepustkę i wychodzę trochę się przejść.

Chciałabym porozmawiać z kimś i móc mówić szczerze. Chciałabym ponazywać wszystkie myśli, które tłuką mi się po głowie jak szalone, i wiedzieć, że istnieje na tym świecie ktoś, kto je zrozumie.

Zamiast tego krążę po szkole, aż w końcu trafiam do toalety w zachodnim skrzydle, stoję przed ścianą wyznań i patrzę na wyjawione tajemnice. Jest ich całe mnóstwo i brzmią o wiele prawdziwiej niż słowa wypowiedzane na głos w codziennych rozmowach. Tysiące prawd na temat narkotyków, seksu i przyjaźni. Na temat piękna, zazdrości, ciała. Miłości. Nawet jeśli zdołałabym przeczytać je wszystkie w ciągu godziny, za godzinę znów przybyłoby nowych.

*Nie wiem, co to znaczy zachowywać się  
jak normalny człowiek, i trudno mi z tym żyć.*

*Moja najlepsza przyjaciółka mnie nie lubi.*

*Mój chłopak nie jest nawet miły.*

*Dlaczego bycie samą wydaje się straszniejsze  
niż bycie nieszczęśliwą?*

W rogu, obok kaloryfera, ktoś napisał:

*Nie chcę się zagłodzić,  
chcę tylko być szczupłą.*

*Nigdy nie myślałam, że to stanie się problemem.*

Przyglądam się charakterowi pisma, usiłuję ustalić, czy znam autorkę tego wpisu – może to ktoś z sekcji biegów przełajowych?

A może to nie ma znaczenia.

Może liczy się tylko to, że wyznanie jest prawdziwe.

Czując ucisk w piersiach, rozpinam torbę. Postępuję bez sensu. Mieszam się w nie swoje sprawy. Grzebię jednak w torbie w poszukiwaniu piórnika wyładowanego bronią szczerego rażenia.

Wyjmuję zielony flamaster, którego nigdy nie używam. Odnoszę wrażenie, że to nie ja, ale ktoś inny zdejmuję zatyczkę i drukowanymi literami starannie pisze pod wyznaniem:

*Porozmawiaj z Sharon z dyrekcji*

*o programie Zdrowe Wybory.*

*Rodziców informują dopiero*



*po trzeciej wizycie u psychologa.*

Wychodzę z toalety, zastanawiając się, czy udzielanie specjalistycznych porad bez odpowiedniego przygotowania nie jest nadużyciem.

W głębi ducha odczuwam jednak spokój.

Nie trzeba chyba mieć dyplomu, żeby praktykować zwykłą przyzwoitość.

\*

Dom – miejsce, w którym wewnętrzne napięcie nieco ustępuje, a kontrolka sygnalizująca zagrożenie ze strony bezpośredniego otoczenia w końcu gaśnie. Nikt mnie tu nie obserwuje, nikt nie oczekuje ode mnie niczego poza inteligencją, dowcipem i opanowaniem.

Na kuchennym blacie leży sterta jadłospisów z daniami oferowanymi na wynos przez różne lokale, wokoło unosi się ciepły aromat imbiru i trawy cytrynowej. Moi rodzice stoją naprzeciwko siebie oparci o szafki, jedzą tajską potrawę z papierowych pojemników i rozmawiają o determinizmie psychologicznym.

Nie znam żadnych innych rodziców, którzy lubiliby siebie tak bardzo jak moi. Przyciągają się niczym nukleony, pasują do siebie jak różnoimienne bieguny magnetyczne. Porozumiewają się za pomocą chłodnego, logicznego języka teorii i statystyki, ale wpatrują się w siebie wzrokiem flirtujących podlotków.

– Przypomnij mi – prosi mama – to badanie z Cambridge na temat automatycznego jedzenia. – Pasemka siwizny, które przetykają jej włosy, w świetle kuchennej lampy połyskują srebrzyście. – Sugerowano w nim, że jedzenie produkowane na skalę przemysłową uzależnia, czy raczej udowodniono, że przy użyciu manipulacji można sprawić, aby ludzie jedli, cokolwiek im się podsunie?

Tata uśmiecha się i wymachuje palcami.

– Czy chcesz mi przez to powiedzieć, że wolna wola to pojęcie wadliwe, ponieważ nie bierze pod uwagę presji rówieśniczej?

Mama przełyka kolejny kęs pad see ew, po czym zaczyna miniwykład na temat warunkowania społecznego.

Siadam na wysokim barowym stołku przy blacie i przyglądam się rytuałom godowym rodziców. Wyjadając zielone curry z plastikowego kubka, myślę o tym, że nigdy nie widziałam dwojga ludzi tak bardzo w sobie zakochanych i tak niedoścignionych.

Rzecz nie w tym, że kiedy trzeba, potrafią udawać lepiej niż ja, ponieważ wcale tak nie jest. Mama to chyba najdziwniejsza osoba, jaką znam. Chodzi raczej o to, że rodzice opanowali niespotykany język. Rozmawiają narzeczem, którym można się komunikować jedynie z kimś, kto cię całkowicie rozumie.

Nagle przelatuje mi przez głowę, że chciałabym wiedzieć, co sądzą na temat ściany wyznań. Może któreś z nich byłoby w stanie wytłumaczyć z psychospołecznego punktu widzenia, na czym polega atrakcyjność konfesyjnego graffiti. Może w końcu pojęłabym sens zapisków w toalecie. Jednak gdy tylko zaczynam sobie wyobrażać, jak potoczyłaby się taka rozmowa, wiem, że skończyłaby się całkowitą katastrofą. Ja starałabym się wyjaśnić, dlaczego ich superracjonalna, przestrzegająca zasad córka niszczy mienie szkolne, a oni byliby całą tą sprawą równie zdumieni jak Maribeth.

Reagowanie na zachowania ludzi, którzy rozpaczliwie próbują zwrócić na siebie uwagę, nie leży w mojej naturze. Nigdy nie lubiłam się angażować w problemy innych. Jednak to, co dzisiaj zrobiłam, wydaje się bardziej wypełnieniem moralnej powinności. Skoro ktoś prosi – błaga – o pomoc, zapewne jej potrzebuje.

Gdy wychodzę z kuchni, niemal czuję, jak mama zerka w stronę drzwi, w których właśnie zniknęłam. Wie, że już mnie tu nie ma, zarejestrowała tę informację. Tyle że w tym momencie nie ma ona dla niej znaczenia.

W pokoju obsypuję proszkiem mineralnym dwa świerszcze, po czym karmię Franny i Zooney i przez chwilę patrzę, jak ostrożnie tropią ofiary w swoich terrariach.

Po zakończonej masakrze siadam z kolanami podciągniętymi pod brodę, wokół mnie leżą rozrzucone notatki z fizyki. Zastanawiam się, czy znów zapalić świeczkę – czy powinnam to zrobić, czy to bezpieczne. Czy wyobraziłam sobie to, co się stało w piątek. I jak dalece jest możliwe wyobrażenie sobie czegoś tak niepodważalnego, jak kupa błota i liści w pościeli.

Maribeth uznałaby, że wszystko jest możliwe, jeśli się do tego przyłożysz. Tyle że zapewne miałyby na myśli zdanie z wynikiem celującym testu kompetencji, a nie dokonanie pod osłoną nocy teleportacji. Usiłuję sobie wyobrazić, co powiedziałyby, gdyby wiedziały, że miałam tak realny sen, iż obudziłam się z ubłoconymi stopami.

Przyjaciółka zawsze wierzyła w moc wytrwałości w obliczu wyzwań. Nie rozumiesz pewnej sytuacji społecznej albo przykładu na matematyce? Nie ma sprawy. Nauczysz się, rozwiązując tę trudność. Chcesz być jedną z najbardziej wpływowych dziewczyn w szkole, ale nie wiesz, jak to zrobić? Zapewnij sobie pomoc przyjaciółki, przygotuj plan i nie oglądaj się za siebie. Gaz do dechy, cała naprzód, po drodze dojdiesz, co i jak. Kolejne ruchy będą wypływały z poprzednich.

Ale ja wiem jeszcze coś: rzeczywistość nie zawsze musi być uporządkowana i kierować się zasadami zdrowego rozsądku.

W pierwszej klasie pojechałam do Baker na zawody regionalne i wieczorem cała nasza drużyna długo nie kładła się spać. Siedziałyśmy stłoczone w hotelowym pokoju, jadłyśmy drażetki czekoladowe i paplałyśmy o tym, kto już to zrobił, a kto jeszcze nie (chodziło oczywiście o seks – w tego typu rozmowach zawsze chodzi o jedno).

Gadałam o bzdurach już cały dzień i z minuty na minutę czułam się coraz gorzej. Nikt nawet nie myślał o spaniu, a ja byłam totalnie rozdygotana i miałam wrażenie, że jeśli zaraz nie ucieknę, rozsypię się na kawałki jak stłuczona filiżanka.

Wzięłam jednego dolara, kartę magnetyczną i zeszłam na dół po coca-colę, ale gdy znalazłam się w holu, nie zatrzymałam się, tylko szłam dalej. W uszach mi dzwoniło, w dłoniach czułam mrowienie, przyspieszyłam kroku. Pod portykiem hotelowi boye mocowali się z bagażami, chcieli jak najszybciej wnieść je do środka, ponieważ zanosilo się na deszcz. Nad ulicą wisiały ciemne chmury.

Miałam na sobie krótką ałtasową piżamę w kaczuszki. Powinnam drzeć z zimna, ale od chodnika parowało ciepło. Gdy zeszłam z krawężnika, zerwał się wiatr. Poczułam pod gołymi stopami szorstką nawierzchnię ulicy i zaczęłam biec.

Minęłam sześć przecznic, zanim pierwsza błyskawica pocięła niebo oslepiającą siatką pęknięć przypominających stłuczoną szybę samochodową. Wtedy dotarło do mnie, że robię coś lekkomyślnego, a nawet niebezpiecznego, ale czasami trudno określić, w jakim stopniu naprawdę grozi nam niebezpieczeństwo, a w jakim jest ono złudne.

Skreśliłam w szeroką aleję przecinającą dzielnicę mieszkaniową i wtedy niebo rozdarła kolejna błyskawica, ale tym razem grzmot rozległ się tak blisko, aż zadrżał chodnik. Przez sekundę cały świat zapłonął białym światłem, a na ulicy pojawiły się chmury ciem. Sfrunęły z drzew, wystrzeliły spod kół zaparkowanych samochodów. Noc zdawała się rozbłyskiwać milionami srebrnych odprysków. W następnej chwili porywisty podmuch wiatru zmiótł z ulicy liście, pozrywał gałęzie z drzew. Rozproszył ćmy. Piorun trzasnął niczym bat i nocne motyle zniknęły.

Do tej pory nie wiem, czy one w ogóle istniały, czy może wymyśliłam je sobie, żeby uczynić tę noc magiczną, a może po prostu było to złudzenie optyczne. Pomknęłam z powrotem do hotelu. Nikt nie zauważył mojego zniknięcia. Strzepałam kamyki z nóg i położyłam się do łóżka, które dzieliłam z Kendry. Nie byłam pewna, czy wspomnienie z nocnego rajdu było prawdziwe, czy zmyślane. I czy w ogóle wyszłam z hotelu w trakcie burzy.

Odsuwam zadanie domowe na bok, po czym wyjmuję świecę. Żyję w prawdziwym świecie, a na świecie nie istnieją zjawiska niewytłumaczalne. Mimo to serce bije mi mocniej na samą myśl o ćmach i zwiędłych liściach. Nie wiedzieć czemu oddycham szybciej. Gdy zdobywam się na odwagę, żeby zapalić zapałkę, trzymam ją tak długo, aż płomień sam gaśnie, przypalając mi koniuszki palców. Wpatruję się w osmolone opuszki, usiłując ustalić, czy czuję w nich ból.

Zapalam kolejną zapałkę, płomyk migoce, odbijając się w słoiku, w którym umieściłam świeczkę. No dobrze. Należy myśleć logicznie. Rozważyć możliwości. Być może sen jest zjawiskiem z pogranicza cudu – furką prowadzącą do nieznannej rzeczywistości. Być może tamtej nocy przypadkiem przeniosłam się we śnie na czyjeś podwórko.

A może sen to zwykła czynność fizjologiczna, a ja daję się zastraszyć świecy.

Biorę głęboki oddech i przykładam płomień do knota.

Przykryta kołdrą, zaczynam odliczać, jak gdybym przygotowywała się do wylotu w kosmos.

Z rękami przyciśniętymi do boków zapadam się w ciemność i chłodne gęste powietrze.

## Błyszczczyk

Wizyty w domu Kapitana zwykle kończą się tak, że ktoś zaczyna rzygać. Tym razem padło na Olliego.

Udało mu się dowlec do kuchennego zlewu, nad którym teraz pochyla się i spluwa. Gdy pytam, czy chce, żebym odwiózł go do domu, wzrusza ramionami i mówi, że potrzebuje tylko jeszcze chwilę poleżeć, co w jego języku oznacza, że tak, chciałby już stąd pojechać, ale boi się, że zarzyga mi samochód. Podaję mu szklankę wody i zostawiam leżącego na boku na podłodze w łazience Heza.

W tym momencie nie ma przy mnie nikogo, kto wtrącałby się w moje sprawy, i łatwo mogę paść ofiarą decyzji, przed którymi przyjaciel zwykle mnie powstrzymuje. Gdy jednak przeglądam listę kontaktów w telefonie, nie mogę znaleźć na niej Heather. Zamiast tego na samym środku listy zauważam nowy wpis: „Nie chcesz tego zrobić”.

Parskam pod nosem ironicznym śmiechem. Mimo że nie ma Olliego pod ręką, żeby mógł się przyznać, wiem, że maczał w tym palce. Jak dawno ostatnio do niej pisałem? Wystarczająco dawno, żeby jej imię nie znajdowało się w kontaktach od ładnych paru miesięcy. Wystarczająco dawno, żebym prawie zapomniał o gównianym uczuciu, które ogarnia mnie na myśl, że to, co bywało między nami, to nie to, o co mi chodzi. Ale jej usta są zawsze ciepłe, piersi fantastyczne i wiem, że ona zawsze do mnie oddzwoni.

Siedzę w salonie i grzebię przy odtwarzaczu płyt, gdy przychodzi.

Właśnie z taką dziewczyną powinienem być – z taką, która zawsze będzie czekała, aż pierwszy zadzwonię, i może nawet zauważy, że od tygodnia co wieczór kończę nawalony w domu brata, ale nie będzie psuła nastroju, niepotrzebnie wypytujac. To taka dziewczyna, która zawsze ma w zanadru jakiś żart albo wytłumaczenie, a potem wycofuje się, gdy sprawy zajdą za daleko.

Najwyraźniej jest pijana i nie przeszkadza jej, że nie mam ochoty mówić zbyt wiele. Łatwo przejść do rzeczy. Przyciągnąć ją do siebie. Zabawić się.

Jak przez mgłę pamiętam, że w historii Kapitana o Hezie i głębokim fotelu pojawił się motyw sikania. Ale fotel jest wygodniejszy niż kanapa, a kiedy opieram się i zbliżam twarz do obicia, tapicerka pachnie w miarę dobrze.

Zaplątujemy się w siebie, osuwamy na poduszki. Heather zaczyna wodzić dłonią po moich ramionach. Gdy dotyka mojej klatki piersiowej, ciśnienie mi skacze. Kładę rękę na jej plecach, tuż nad tyłkiem, a wtedy ona napiera na mnie i pochyla się w oczekiwaniu na pocałunek.

Ciało ma miękkie i chciałbym, żeby ciągnęło mnie do niej coś więcej niż obłąkańcze pragnienie wsunięcia ręki pod jej koszulkę. Uczucie, które mnie ogarnia, gdy Heather wciska udo między moje kolana, sprawia, że zaczynam nienawidzić siebie.

– Nie mam stanika – szepcze, jak gdyby sądziła, że nie zdążyłem tego zauważyć. Wargami rozsmarowuje mi na uchu błyszczak do ust.

Dotykam z boku jej piersi, bioder. Oddziela nas jedynie cienki materiał koszuli. Zapadam się w nią, zatracam się w dotyku jej ust, ale właśnie w tym momencie rozlega się śmiech. Beznamiętny i pogardliwy.

Gdy otwieram oczy, w rogu pokoju dostrzegam Waverly Camdenmar. Stoi ze skrzyżowanymi rękami i uniesionymi brwiami. Ma na sobie niebieską piżamę z kołnierzykiem, kieszenią i guzikami w kształcie ptaków. Na jej twarzy maluje się dziwny wyraz – mieszanina fascynacji i wstrętu, jak gdyby oglądała jakiś odrażający program w telewizji. I jak gdybym był jego gwiazdą.

Heather McIntire chodzi w szkole na wszystkie zajęcia o profilu podstawowym i należy do tego typu dziewczyn, które wieszają się na takich chłopakach jak Marshall. Tradycyjnie ma na sobie zbyt grubą warstwę pudru i zbyt cienką koszulkę. Siedzi Marshallowi na kolanach, on dotyka jej biodra i ud. Opieram się o ścianę i czekam, aż mnie zauważą.

Patrzę, jak Marshall przesuwa rękę wyżej, sięga jej piersi. Nagle uzmysławiam sobie, że usta mam wyschnięte i puste. Nienaruszone. Przed oczami staje mi CJ Borsen, ale już po sekundzie znika jako niezbyt nęcąca perspektywa. Nie potrafię sobie nawet wyobrazić, żebym mogła go całować tak, jak Marshall całuje Heather – wargami, językiem, jak gdyby chciał ją połknąć. Taka scena w naszym wykonaniu wydaje się nie tylko niemożliwa, ale wręcz odpychająca.

Najwyraźniej jednak Heather nie ma nic przeciwko temu, co robi z nią Marshall. Odchyliła głowę do tyłu, przymknęła oczy. Przywarła do jego szyi i wije się niczym kałamarnica.

Marshall wzdycha, wsuwa dłoń za jej dzinsy, i w tym momencie nie potrafię się już dłużej opanować – parskam śmiechem. Nic innego nie przychodzi mi do głowy. Śmieję się, ponieważ cała ta sytuacja zrobiła się nieznośnie żenująca.

Marshall natychmiast otwiera oczy, a gdy jego spojrzenie pada wprost na mnie, sztywnieje i wstrzymuje oddech.

Heather zapewne myśli, że jej partner właśnie wpadł w ekstazę, ponieważ zaczyna obsypywać go pocałunkami jeszcze bardziej zapamiętałe, chyba w przekonaniu, iż udało jej się udoskonalić technikę całowania. Marshall spogląda ponad jej ramieniem i nie odrywa wzroku od mojej twarzy. Gdy się uśmiecham, wyszarpuje rękę z jej spodni.

– Cześć – mówię.

Opiera się o fotel, kręci głową i porusza ustami, bezgłośnie wypowiadając pytanie: „co?”.

Heather spogląda w moim kierunku, ale nasze spojrzenia nie potrafią się spotkać.

– Rozmawiasz z kimś?

Marshall nie odpowiada, kręci jedynie głową i wyplątuje się z ramion dziewczyny. Heather osuwa się z fotela na dywan, wygląda na oburzoną, ale on wstaje i obchodzi ją bez słowa.

– Hej – woła dziewczyna ostrym głosem, w którym pobrzmiwa zakłopotanie. – Hej, co się dzieje?

W pokoju dudnią basy, z głośników wylewają się niepokojące dźwięki. Marshall znika w drzwiach prowadzących na tył domu.

– Co jest, do cholery? – rozlega się kolejny okrzyk Heather, ale słycać w nim nie złość, lecz urazę.

Minutę później odpycham się od ściany i idę za nim. W domu panuje półmrok, w powietrzu unosi się zapach popcornu. Dywan drapie w stopy. Wszystko, czego dotykam, wydaje się na wskroś prawdziwe.

Znajduję Marshalla w małej pralni, do której wchodzi się z werandy. Chłopak przeciska się obok stołu ogrodowego z parasolem i opiera się o pralkę. Ja zatrzymuję się w drzwiach i patrzę, jak odpala papierosa. Po zapaleniu nie zaciąga się jednak, tylko trzyma papierosa w palcach i przez osiatkowaną werandę patrzy na podwórko.

– Powinieneś go zgasić – mówię, na co on podskakuje jak rażony prądem.

Obchodzę stół i zatrzymuję się obok Marshalla.

– Nie słyszałeś? Znalaziono wstępne dowody potwierdzające tezę, że palenie zabija.

Chłopak przywiera mocniej do pralki, odsuwa się ode mnie. Usta ma tak mocno zaciśnięte, że jego szczęka wydaje się zadrutowana.

– O co ci chodzi? – szepcze ochryple.

Uśmiecham się, jednak niezbyt pewnie.

– O nic mi nie chodzi.

Marshall parska zmęczonym, przygaszonym śmiechem, ale choć śmieje się bez przekonania, tak czy inaczej nagle robi mi się głupio.

Zbieram się w sobie, prostuję ramiona, unoszę brodę.

– Nie chodzi mi o nic oprócz tego, że opary twojego uzależnienia chemicznego kierują się prosto na mnie, a bierne palenie to cichy zabójca.

– Żartujesz. – Ma kamienną twarz i nadal na mnie nie patrzy. – Po co tu przyszedłeś?

Prócz smrodu papierosa wyczuwam zalatującą od niego woń piwa, trawki i słodkich dziewczęcych perfum. Wskazuję salon, w którym prawdopodobnie Heather wciąż siedzi na podłodze.

– Hej, to nie ja właśnie kumuluję kolejne złe decyzje na swoim koncie. Powiedz lepiej, po co ty tu przyszedłeś?

Zerka na mnie, po czym zgniata peta w wyszczerbionym spodku.

– Pytasz, czemu przyszedłem do domu brata? Bo to mój brat. Mam go nie odwiedzać?

Patrzę na niego tak długo, aż odwraca wzrok. W końcu pociera twarz ręką i wzdycha:

– Cholera, to skomplikowane. Poza tym co z tobą, nie masz własnych problemów?

Nie odpowiadam. Na takie pytania się nie odpowiada. Każdy ma jakieś problemy.

– Po prostu... trochę się ostatnio u mnie popieprzyło i już. I jakoś nie chce mi się gadać o tym z kimś, dla kogo całym życiem są dobre oceny i popularność w szkole.



Wydaje się zły, a oprócz tego zmęczony. Przypomina mi się jego przysypianie na lekcjach, jak gdyby nie potrafił powstrzymać się od drzemki, gdy tylko pojawiają się czasowniki przechodnie.

– Mimo to mógłbyś, wiesz? Pogadać ze mną. – Kiedy wypowiadam te słowa, mój głos brzmi wyjątkowo łagodnie. Takim głosem mogłaby mówić dziewczyna, która dzisiaj w dobrej wierze napisała poradę na ścianie szkolnej toalety i która mimo wszystko bywa troskliwa, nawet jeśli zdarza jej się to bardzo rzadko. – Gdybyś chciał.

Parska ironicznym śmiechem, odwraca się i spogląda na ogród.

– Słuchaj, teraz chcę tylko wrócić do środka, otworzyć piwo i udawać, że wszystko gra, wszystko w porządku.

Powiedział: „udawać”... Stoi tyłem do mnie, jakby żałował, że nie całuje się w tym momencie z Heather.

– Upijanie się i obmacywanie z przypadkowymi ludźmi to coś zupełnie przerażającego.

– To coś zupełnie normalnego.

Unoszę brwi.

– Cóż, każdy sobie radzi, jak może.

– Zamknij się – rzuca oschle, a ja nie potrafię określić, czy w jego głosie pobrzmiwa znudzenie, wściekłość czy może uraza. – Nie o to chodzi. I ona nie jest kimś przypadkowym. To... to Heather.

Ton jego głosu trochę mnie przeraża. Sprawia, że Marshall wydaje się kimś innym niż chłopak, który udziela znudzonych, bezczelnych odpowiedzi lub przesypia powtórkę materiału. Kimś innym niż arogant rzucający mi na biurko przepustkę i patrzący na mnie, jakbym była nikim. Powietrzem.

Bawi się zgaszonym papierosem, ściska go, skubie. Z wyszarpanych w bibułce dziur wystają skrawki tytoniu.

Wyciągam rękę, wydaję Marshallowi papierosa z dłoni i kładę niedopałek na spodku.

– Przestań.

Zamiast protestować albo wziąć go z powrotem, chłopak patrzy na mnie spod przymrużonych powiek.

– Co ci się stało w rękę?

Odwracam dłonie. Światło na werandzie jest przyćmione, ale wystarczająco jasne, żeby oświetlić warstewkę sadzy i mały, lśniący pęcherz na moim palcu wskazującym. Na leżącym na spodku papierosie widnieje czarny odcisk mojego kciuka.

– Nic. Eksperyment naukowy. – Odwracam spojrzenie i wycieram rękę o pizamę. – Zapalałam zapalną.

Na dworze ktoś odpala parę rac. Flara wspina się po niebie, wlokąc za sobą snop iskier, po czym

wybucho z cichym trzaskiem.

Marshall nie dopytuje. Wciska rękę w kieszeń džinsów i wyjmuję czerwoną plastikową zapalniczkę.

– Następnym razem wypróbuj to.

Przysuwam się trochę, niemal dotykam jego ramienia. Tutaj, w pralni, jesteśmy tylko we dwoje, ja i moje dziwne nocne zwidy. Wszyscy zostali gdzieś daleko.

– Nie śpię – mówię.

Marshall kręci głową, w dłoni nadal trzyma zapalniczkę.

– Co takiego?

– Pytałeś, czy nie mam własnych problemów. Nigdy nie śpię. Taki mam problem.

Nie odpowiada. Przypatruje mi się tak długo, że zaczynam czuć się niezręcznie, jakby rzeczywiście mnie widział.

– Mógłbym radzić sobie lepiej – odzywa się w końcu. Mówi cicho, nasza rozmowa przypomina wymianę wyznań. – W szkole – dodaje. – Gdyby nie to, że moje życie to jeden wielki syf. Ale naprawdę mógłbym.

– Mógłbyś, ale tego nie robisz – odpowiadam szeptem takim, jakim mówi się do konającego. Jak w finale tragedii.

Marshall wzdycha, palcami odgarnia włosy z czoła i zaczesuje je do tyłu.

– Nie chcę o tym gadać.

– Bo wiesz, że mam rację.

– Dobra, jasne, masz rację. Możemy sobie darować ten fragment?

– Który?

– Ten, w którym mi mówisz, że jestem leniwym gnojkiem albo nic nie wartym nierobem. Doskonale wiem, jak bardzo żalosne jest moje życie.

Milczymy. To ja pierwsza odwracam wzrok.

Na dworze wystrzela kolejna seria rac. Deszcz iskier wygląda pięknie i kojarzy się z fabryką, jak gdyby ktoś spawał dźwigary na niebie. Zastanawiam się, gdzie można kupić takie race i ile one kosztują. Może powinnam sprawić sobie kilka sztuk. Lubię patrzeć na coś, co pędzi jak szalone, aby na koniec eksplodować.

– Przyglądam się tobie – mówi Marshall, a jego głos nagle łagodnieje. – Przyglądam się tobie i zastanawiam się, dlaczego ta dziewczyna jest taka smutna? Dlaczego jesteś smutna?

Obracam do niego twarz, krzyżuję ręce na piersiach.

– Nie jestem smutna.

Oparty o pralkę i przygarbiony chłopak sprawia wrażenie załamane. Na jego twarzy oświetlonej

żółtawą poświatą lampy na werandzie maluje się przygnębienie. Usta jednak rozciągają się w uśmiechu.

– Bzdura – odpowiada. – Wciskasz mi kit.

Prostuję się.

– Wybacz, ale nie sądzę, żebyś był ekspertem w dziedzinie racjonalnej oceny stanów emocjonalnych.

Marshall wzrusza ramionami.

– Jak sobie chcesz. W sumie to obojętne, ale wiedz, że nikogo nie uda ci się nabrać.

– Wszystkich udaje mi się nabrać – oświadczam i wiem, że to prawda.

Wszystkich prócz niego.

Czuję, że krew mi rzednie, konsystencją zaczyna przypominać powietrze albo wodę. Dłonie mam coraz słabsze, świat wymyka mi się z rąk, Waverly znika i boję się, że za chwilę obudzę się we własnym łóżku.

– Przepraszam – raptownie odzywa się Marshall, spojrzenie ma utkwione w ogrodzie.

– Za co?

– Za to... że nie jestem... – urywa, nabiera powietrza, jakby chciał coś jeszcze powiedzieć, ale dopiero za chwilę, gdy pozbiera myśli. Usta ma otwarte, widzę trud, z jakim szuka właściwych słów. Pragnę mu pomóc, dokończyć zdanie za niego, ale się powstrzymuję.

W milczeniu wyciąga do mnie rękę, podaje mi zapalniczkę, ja jednak nie potrafię unieść zdrętwiałej dłoni. Patrzy na mnie ostrożnie, z życzliwością wręcz niemożliwą do zniesienia. Nagle przestaję czuć pod stopami spękane linoleum, przestaję czuć zimno, nie czuję już nic.

– Lepszy – kończy szeptem, gdy ja zaczynam znikać. – Za to, że nie jestem lepszy.

Budzę się bez tchu, w piersiach czuję ucisk, jak gdyby bolało mnie serce.

\*

Zaczynam podejrzewać, że rozmowy, które mają jakiegokolwiek znaczenie, potrafię prowadzić tylko z nieznanymi. Moja prawdziwa, nieprzepuszczona przez filtr osobowość nie nadaje się do codziennego użytku i cały poranek wydaje się potwierdzać słuszność mojego twierdzenia.

W stołówce przed zajęciami z literatury powiedziałam Maribeth, że udekorowanie sali balowej łukiem z balonów w kolorze irlandzkiej zieleni to świetny pomysł, chociaż uważam, że trudno o bardziej szkaradny odcień. Do tego podczas ostatniej rozmowy z Autumn Pickerel byłam bardziej szczerą niż podczas jakiegokolwiek wymiany zdań z ludźmi, których nazywam przyjaciółmi. Nocą, w snach, stać mnie na to, żeby mówić i robić dokładnie to, czego chcę, ale nie potrafię tego za dnia. W prawdziwym życiu. Większą część drugiej godziny lekcyjnej spędzam na rozważaniu swoich fundamentalnych problemów z komunikacją.

Tak czy inaczej sprzeciw wobec irlandzkiej zieleni nakładałby na mnie obowiązek przedstawienia bardziej interesującej propozycji, a takie rzeczy jak kolory balonów po prostu niezbyt mnie obchodzą.

Gdy przed trygonometrią zaczyna się tradycyjny napływ wiadomości tekstowych od Borsena, wyjmuję telefon i włączam w ustawieniach tryb „ignoruj”. Wytrwałość chłopaka powinna mi pochwalać, jednak kiedy widzę esemesy od niego, czuję jedynie ciężar w piersiach.

Siedzę pochylona nad biurkiem, wyobrażam sobie, że to Marshall do mnie pisze, i po raz pierwszy tego dnia się uśmiecham. Wiadomości od niego byłyby dowcipne i zaskakujące. Nie traktowałyby o niczym. I każde pytanie kończyłoby się tylko jednym znakiem zapytania. Sama nie potrafię zdecydować, w jakim stopniu to, że w moich fantazjach pojawia się motyw poprawnej interpunkcji, jest godne podziwu, a w jakim jest żalosne.

Wydzieram z notesu kartkę i układam wiadomość, choć oczywiście mu jej nie przekażę. Dużo w niej oczywistości, a mało tych wszystkich pozostałych rzeczy, które za trudno ująć w słowa.

*Cześć,  
myślałam o tym, co powiedziałaś wczoraj w nocy. Miło, że pytasz, ale wcale nie uważam się za osobę smutną. Sądzę, że po prostu jestem zmęczona. I przepraszam za wzmiankę o kumulacji złych decyzji na twoim koncercie. Ta uwaga była nie na miejscu.*

*Pozdrawiam*

Następnie drę kartkę na szesnaście kwadracików i wkładam je do kieszeni torby. W przerwie między lekcjami wyrzucam strzępy wiadomości, mimo że nie zapisałam na niej żadnych imion.

Spotykam się z Maribeth po hiszpańskim, idziemy razem w stronę szafek i rozmawiamy o tym, że musimy jeszcze kupić sobie sukienki oraz jak trudny będzie kolejny semestr, w którym dojdzie nam z matematyki rachunek różniczkowy i całkowy. Tematy niezawodne, dodające otuchy. Taka właśnie jest Maribeth. Wierzy w określoną z góry przyszłość.

Marshall nie dotarł na lekcję hiszpańskiego, najwyraźniej z premedytacją, ponieważ gdy dochodzimy do holu, widzę, że stoi obok swojej szafki w towarzystwie drugiego imprezowicza, swojego kolegi Olliego Poe. Marshall wydaje się ponury i znudzony, a jego oczy są ciemne. Patrę na niego dłuższą chwilę, zanim odwracam wzrok.

Maribeth opiera się o mnie, zarzuca mi rękę na ramię.

– Uważam, że powinnyśmy włożyć coś naprawdę efektownego, na przykład cekiny albo suknie w barwach kamieni szlachetnych, jak myślisz?

Kątem oka widzę, że Marshall odsuwa się od ściany i rusza przez hol w moją stronę. Odwracam się

plecami do niego i przybieram obojętny wyraz twarzy.

Maribeth nie zraża się moim milczeniem i dzielnie wylicza kolejne szczegóły naszych strojów, rozwodząc się nad tym, jak ważny jest dobór odpowiedniego bukietu, ja jednak nie umiem się skupić na jej wywodach.

Obecność Marshalla przyciąga niczym grawitacja planety, która nagle zmieniła swoją trajektorię. Jest tak blisko, że czuję zapach jego pomiętej koszulki i włosów, znaną mi już mieszaninę woni detergentów, pieprzu, alkoholu, dezodorantu i trawki. Nie zwracam się jednak w jego stronę. On również milczy.

Maribeth patrzy teraz ponad moim ramieniem i przestępuje z nogi na nogę.

Koncentruję się na otwartej szafce – na półce stoi krzywo ułożona książka do matematyki, na jej grzbiecie widnieje wytłoczony na złoto symbol wydawnictwa. Marshall zatrzymał się tuż za mną.

W końcu, gdy nie mogę już dłużej udawać, że nie zauważam jego obecności, obracam się i biorę pod boki.

– Przepraszam... mogę ci w czymś pomóc?

Stoi piętnaście centymetrów przede mną, spogląda w dół z miną, jak gdybym właśnie uderzyła go pięścią prosto w brzuch.

W dłoni trzyma plastikową zapalniczkę.

Przez jedną potworną chwilę mam wrażenie, że serce przestanie mi bić. Moje policzki drętwiąją. Światło w holu jest zbyt jasne. Zapalniczka wygląda na tanią, ma wiśniowy kolor. Tę samą podawał mi na werandzie zeszłej nocy.

Stoimy, niemal dotykając się stopami, chociaż wydaje mi się, że oddzielają nas tysiące kilometrów.

W następnej sekundzie Marshall wciska mi w dłoń zapalniczkę, po czym odchodzi.

– Rany – mówi Maribeth. – Co to miało znaczyć?

Odwracam się plecami do otwartej szafki, staram się zachować obojętny ton.

– To Marshall Holt. Chodzi ze mną na hiszpański.

– Ale on zachowywał się tak... jakby coś do ciebie miał?

Wydaję trudny do określenia dźwięk i ustawiam książki od największej do najmniejszej. To zapewnia złudzenie porządku.

Maribeth z przejęciem nie może ustać w miejscu. Wytrzeszcza oczy, pochyla się, łapie mnie za nadgarstek.

– Co to jest? Co on ci dał? To prezent?

– To nic takiego. Myślał, że mogę tego potrzebować. Nic ważnego. – Chociaż tak naprawdę chcę powiedzieć, że nic nie jest już ważne. Najbardziej podstawowe zasady logiki, jakimi rządzi się ten świat, zostały złamane. Nic już nigdy nie będzie ważne.

– Waverly, mówię poważnie. Co masz w ręce?

Przez chwilę wydaje mi się, że zaraz zaczniemy się siłować. Przyjaciółka będzie chciała podważyć zaciśnięte palce i wyciągnąć ze mnie całą historię.

Ona jednak odrzuca włosy do tyłu, wsuwa mi rękę pod ramię i ciągnie mnie w kierunku łazienki.

– Jezu, po co my w ogóle o tym rozmawiamy? Muszę ci powiedzieć, co Hunter powiedział, że CJ o tobie powiedział na treningu!

Mam ochotę usiąść na podłodze i siedzieć tak, dopóki nie nabiorę pewności, że zagrożenie hiperwentylacją minie. Mam ochotę rzucić się w stronę gabinetu fizyki i przez następne pięćdziesiąt lat badać zapalniczkę pod mikroskopem, żeby sprawdzić, czy rzeczywiście jest prawdziwa. Nawet jeśli rozłożę ostatnie zdanie przyjaciółki na najmniejsze części składowe, ponazywam je i przeanalizuję, i tak pozostanie ono całkowicie pozbawione znaczenia.

W łazience Maribeth staje przy umywalkach, otwiera puderniczkę i nachyla się do lustra.

– Właśnie tego ci potrzeba – mówi do swojego odbicia. – CJ dosłownie zrewolucjonizuje twoje życie. Wreszcie będziesz mogła chodzić na randki, zaczniesz funkcjonować jak normalna dziewczyna, a nie jak pustelnica skazana na dożywotnią samotność w towarzystwie bandy kotów. I do tego jest na tyle pojętny z matematyki i innych takich, że nie będziesz miała ochoty go zamordować po pierwszym spotkaniu. Jest idealny. Wręcz stworzony dla ciebie.

Przytakuję skinieniem głowy. Przepaść między prawdziwą mną a obliczem, które pokazuję światu, zapewne właśnie się powiększyła o kolejnych parę metrów.

Zapalniczka, którą trzymam w dłoni, jest gładka i twarda w dotyku. Moje tętno zaczyna wracać do normy. Przesuwam palcami po ścianie wyznań, zastanawiam się nad ludźmi, którzy spisali tu swoje marzenia, obawy, najskrytsze myśli.

Przelewanie tego wszystkiego na kafelki szkolnej toalety jest aktem ostatecznej odwagi albo skończonej głupoty.

Gdyby ktoś włożył mi marker do ręki, napisałabym: „Nigdy nie śpię”.

Specjalnie dla osób zainteresowanych poszukiwaniami duchowymi mogłabym również napisać: „Przenikam czas i przestrzeń”.

Mogłabym też wyznać: „Zeszłej nocy Marshall Holt powiedział mi, że jestem smutna, i teraz cały czas się zastanawiam, czy miał rację”.

– Chodź – mówi Maribeth. – Odprowadzę cię do gabinetu zwierzeń. Muszę zrobić ksero ulotek na temat banków żywności dla samorządu.

Gdy mówi o samorządzie, mam ochotę wyciągnąć kolejną kartkę z notesu i porwać ją na strzępy. Opuszczam rękę, po czym wychodzę za przyjaciółką z łazienki.

Jeszcze przed zakończeniem wieczornego biegu czuję za oczami gorący ucisk. Poruszam się zbyt wolno, jestem zbyt zmęczona, żeby wytrząsnąć z siebie wszystkie luźne fragmenty układanki, które nie chcą się złożyć w spójną całość. Trudno oderwać się od ziemi, gdy nogi tak bardzo ciężą.

Dużo się zmieniło. Granica między snem a jawą się zatarła, ale nawet teraz gdzieś w głębi duszy nie wierzę, że to wszystko zdarzyło się naprawdę. Ludzie nie mogą tak po prostu zamykać oczu, leżąc w sypialni, i otwierać ich, będąc zupełnie gdzieś indziej. Nie mogą zaczynać rozmów we śnie i kończyć ich w rzeczywistości. Wszystko to, co dotyczy zeszłej nocy, jest absolutnie niemożliwe.

Jednak zapalniczka jest prawdziwa. Skądś się wzięła. Wcześniej była w kieszeni Marshalla, teraz zaś leży na biurku w moim pokoju. Wszystko mi się płacze. Nie potrafię przestać myśleć o uczuciu, które mnie ogarnęło, gdy stałam obok niego na werandzie, ani o tym, w jaki sposób wymówił słowo: „lepiej”. Cały miniony dzień wydaje się snem.

Znam dobrze to poczucie odrealnienia, dezorientacji. Kolejne objawy przedłużającej się bezsenności, zjawiska bezwzględne, ale bynajmniej mi nieobce. Dlatego mam na nie swoje sposoby. Na tym etapie najbardziej pomaga pudełko lizaków lodowych oraz maraton filmowy złożony z wybranych przeze mnie horrorów. Te najlepsze oglądałam miliony razy, ale muszę coś zrobić, żeby złagodzić napięcie w żyłach i mrowienie na skórze.

Siadam więc przed telewizorem i przerzucam kanały w poszukiwaniu czegoś krwistego. Nie jestem sadystką. Krew i przemoc nigdy mnie nie ruszały. Tak naprawdę mało rzeczy mnie rusza, dlatego czasami dobrze poczuć, że istnieje coś, co doprowadza do przyspieszonego bicia twojego serca.

Przełączam powtórki *Kronik Seinfelda*, reklamy wyjątkowo trwałych mikserów, aż w końcu decyduję się obejrzeć walki w klatce. Trafiam na retransmisję – po północy programy w telewizji kablowej zaczynają się powtarzać.

Walkę toczą Mikołaj Fiodorow, Serbski Psychopata, i obrońca mistrzowskiego tytułu Andrew Saint John. I chociaż widziałam ten pojedynek już dwa razy i wiem, jak się skończy, podciągam kolana pod brodę i zaciskam pięści. Tak wygląda elementarna prawda o naszym świecie. Może jest brutalna i bezmyślna, ale przynajmniej prawdziwa.

W połowie drugiej rundy otwierają się drzwi, a ja podskakuję ze strachu. To mama. Gdy widzę jej sylwetkę rysującą się na tle uchylonych drzwi, czuję nagły przypływ adrenaliny, jak gdybym została przyłapana na robieniu czegoś karygodnego.

– Co oglądasz? – pyta, przekrzywiając głowę i spoglądając na ekran, na którym Saint John miażdży twarz Fiodorowa o matę.

Odpowiadam bez zastanowienia i na tyle pewnie, że nawet można by uznać moją odpowiedź za prawdziwą.

– Piszę esej o dominujących zachowaniach mężczyzn.

Tragedią jest to, że mamie wydaje się to normalne.

– Cóż, cieszę się, że bierzesz się za trudne zagadnienia. Pewnie większość dzieciaków poszłaby po linii najmniejszego oporu i zdecydowałaby się na temat, z którego niewiele dla siebie wyniesie. A z antropologicznego punktu widzenia ludzka agresja to niesłychanie interesujący problem.

Chciałabym jej powiedzieć, że ludzka agresja to coś więcej niż dwóch facetów okładających się pięściami. Istnieją formy przemocy niezwiązane z bezpośrednim atakiem fizycznym. Równie dobrze agresją można nazwać to, co robimy z Maribeth w stołówce podczas lunchu. Przemoc, jaką dobrze znam, to podteksty, ironiczne komentarze i złośliwe plotki. Ich skuteczność widać po tym, że Loring ani razu nie pokazała się w tym tygodniu na zebraniach komitetu.

Mama wpatruje się w telewizor.

– Kończysz już? – pyta. Saint John przygniata do prętów klatki zakrwawionego, wijącego się Fiodorowa. – Powinnaś się położyć.

– Tak – odpowiadam. – Jeszcze minutę.

Wiem, że nie muszę jej okłamywać. Jeśli ktokolwiek jest w stanie pojąć szkodliwe efekty nadaktywności umysłowej, to właśnie ona. Jednak wyznanie mamie prawdy byłoby swego rodzaju porażką.

Mogłabym poprosić o lekarstwo i ona by mi je dała. Chętnie skierowałaby mnie do jakiegoś psychoanalityka, przepisała tabletki. Być może oznaczałoby to kapitulację, ale przynajmniej w końcu przespałabym całą noc.

Na ekranie Saint John dusi Fiodorowa, przygniatając go do maty całą masą swojego ciała.

Mama przygląda się walce, trzymając ręce na biodrach. Taką postawę przybiera zawsze, gdy chce okazać zainteresowanie.

– Myślisz, że się podda, skoro tamten tak go przycisnął?

Kręcę głową, podczas gdy Saint John przełącza się na tryb „całkowite zniszczenie”, podnosi Fiodorowa z maty, po czym rzuca nim o podłogę, a następnie przeciąga po smudze jego własnej krwi.

Mama stoi pośrodku pokoju, delikatnie ściąga brwi.

– I nikt nie przerwie walki?

– Nie, dopóki każdy zawodnik ma szansę inteligentnie się obronić.

– Inteligentnie? – powtarza mama i chociaż zauważam pobrzmiewającą w jej głosie ironię, wiem, że nie dostrzega wszystkich czynników wchodzących w grę.

Krew jest śliska. Można wykorzystać tę właściwość strategicznie. Odpowiednia ilość krwi może odmienić przebieg walki.

Fiodorow wyślizguje się nagle z uścisku przeciwnika, wyszarpuje rękę i pięścią wali Saint Johna



w bok głowy. Uderza raz, drugi. Po trzecim uderzeniu Saint John wiotczeje, chwieje się na nogach, opiera o pręty klatki, a wtedy Fiodorow wkracza do akcji. Rzuca się na plecy Saint Johna, jednym ramieniem obejmuje go za szyję, a drugim wykręca mu rękę.

Komentatorzy wrzeszczą jeden przez drugiego. Twarz Saint Johna robi się fioletowosina i w tym momencie na matę wpada sędzia, aby ratować zawodnika z opresji.

– Cóż – wzdycha mama. – Po tym wszystkim na pewno zastanowi się dwa razy, zanim potrąci kogoś ramieniem na korytarzu.

Nie odpowiadam. Wiem, że to miał być żart, ale porównanie jest trafniejsze, niż mamie mogło się zdawać. Zdobywanie popularności w szkole to krwawy sport.

## Duszność

Przestaję myśleć o szkole mniej więcej w połowie drugiego drinka. Przy szóstym przestaję myśleć o domu.

Zapominam o rodzinnych obiadach i świadectwach. Zapominam o tym, że tata bierze dziewiętnaście pigułek dziennie, ale to wciąż za mało, żeby przestały mu się trząść ręce i żeby nie snuł się po domu jak żywy trup. Jakby zaraz miał się rozpaść. Zapominam o mamie, która puszcza mimo uszu wszystkie wredne komentarze pod swoim adresem, jak gdyby była to ojcu winna. Jak gdyby zasługiwała na nie.

I jasne, Kapitan potrafi być skończonym gnojkiem, a w jego kuchni zawsze śmierdzi niewyniesionymi od tygodnia śmieciami, ale tu przynajmniej wszystko jest przewidywalne. Żadnych awantur, żadnego płaczu. Nie ma zadań domowych z angielskiego i nikt nie pyta, dlaczego nie mogę brać przykładu z siostry.

Nie panuje tu atmosfera porażki.

Tyle że to największe kłamstwo ze wszystkich. Skoro piję bourbon w kuchni Kapitana, porażka jest nieunikniona, ponieważ aby jej uniknąć, powinienem być w domu i przykładać się do odrabiania zadań.

Ollie stoi obok mnie, opiera się o blat i skubie róg etykiety odchodzącej od butelki z piwem.

– Wyglądasz nieźle. – Na jego twarzy powoli pojawia się ironiczny uśmiech. W języku Olliego oznacza to: „wyglądasz na nieźle zalanego”.

No i co z tego? W końcu o to chodzi, nie? Dobijam do brzegu. Jeszcze chwila, a może uda mi się nawet przestać myśleć o Waverly.

Wzięła zapalniczkę. Stałem naprzeciwko niej w holu, podałem jej moją zapalniczkę, a ona ją wzięła. Jasne, kiedy ktoś ci coś podaje, czasami bierze się tę rzecz bez zastanowienia. Ona jednak, patrząc na mnie, wydawała się tak rozbita, jak gdybym był kimś więcej niż pierwszym lepszym koleśkiem z ulicy.

Tak mi się przynajmniej zdawało. Ale może źle mi się zdawało.

Na świecie zdarzają się co prawda różne dziwne rzeczy. Jedną z najbystrzejszych, najbardziej nieetykalnych dziewczyn w szkole mogła przecież w środku nocy, ubrana w samą piżamę, pojawić się w domu mojego brata i powiedzieć mi, żebym rzucił palenie.

Pewnie nie zrobiłaby tego, ale teoretycznie – mogłaby.

Dziewczyna, dla której układam w myślach wiersze miłosne, mogłaby stanąć na werandzie tak blisko mnie, że czułbym zapach jej włosów, i mogłaby powiedzieć, że nigdy nie śpi. To naprawdę mogłoby się

zdarzyć.

Jednak nie każda rzecz, która jest możliwa, jest również prawdopodobna. Dziewczyny takie jak ona nie przychodzą bez zaproszenia do cudzych domów. Nie wyjmują chłopakom papierosów z ręki i nie oznajmiają im, że przebywanie w ich towarzystwie przypomina wkraczanie na obszar klęski żywiołowej. Przede wszystkim jednak, nawet jeśli tracą ochotę na rozmowę, nie znikają nagle, nie rozplývają się w powietrzu.

Może właśnie tak wyglądają flashbacki, które przytrafiają się zagorzałym fanom LSD.

Teraz chcę tylko dotrzeć do tego punktu, kiedy jest się tak pijanym, że nie czuje się rąk, bo gdy nie czuje się rąk, przestaje się czuć również wiele innych rzeczy.

Oparty o blat Ollie cały czas mi się przygląda.

– Hej – zaczepia mnie, przybierając ton człowieka, który wszystko ma gdzieś.

Zwykle Ollie nie musi się wysilać, żeby właśnie tak brzmieć, ponieważ to jego stan naturalny. Zakłada włosy za uszy i odwraca spojrzenie.

– Wiesz, myślałem, żeby pogadać z tą małą. Z tą pierwszoklasistką, koło której kręci się Mały Ollie. Powinna wiedzieć, co jest grane. Jemu na sto procent chodzi o jej zasoby naturalne i dobrze, żeby zdawała sobie z tego sprawę. Widać po niej, że może zrobić coś głupiego, bo on naprawdę jej się podoba. I to może się źle skończyć, mówię ci.

Zamierzam nalać sobie następną kolejkę i być może powiedzieć, że czasami trzeba, żeby coś się źle skończyło, bo wtedy człowiek się hartuje, zaczyna więcej rozumieć, ale właśnie w tym momencie do kuchni zagląda Kapitan. Zalutuje od niego tanim dezodorantem i błazenadą. W ustach trzyma cygaro.

– Koleś, dobrze słyszałem, że chcesz przygruchać sobie pierwszoklasistkę? Zupełnie ci odbiło? Houston, mamy problem!

– Nie o to chodzi. – Ollie wygląda na zakłopotanego.

Kapitan prycha, zaciąga się cygarem i wydmuchuje obłoczek dymu prosto w twarz Olliego.

– Jasne, że nie chodzi ci o to, żeby przelecieć tę małą. Jasne, koleś.

Innym razem może zrobiłbym z nim porządek, powiedziałbym mu, żeby spadał i dał nam spokojnie pogadać, ale teraz jestem spowolniony, nie potrafię zebrać myśli, dlatego się nie odzywam.

Ollie krzywi się, wystawia środkowy palec i wrzuca pustą butelkę do śmieci z taką siłą, że cały kosz się trzęsie.

Czuję, że powinienem odpuścić sobie tę imprezę. Wytrzeźwieć trochę. Zebrać się i pójść do domu.

Gdy mówię bratu, że na dziś mam chyba dosyć, on wybucha śmiechem i wali mnie pięścią między łopatki.

– Czekaj, powiedziałaś właśnie, że jesteś cienias? Tak, zdaje mi się, że właśnie nazwałeś się

cieniasem.

Smród cygara unosi się wszędzie wokół, przenika moje ubrania.

– Bądź facetem. – Kapitan sięga po butelkę i przesuwa ją po blacie w moją stronę. Bądź facetem.

Cały czas odnoszę paskudne, beznadziejne wrażenie, że nie chcę tego wszystkiego robić. Ale to głównie prawda, bo gdybym nie chciał, nie pakowałbym się na tę równię pochyłą.

Zgadza się?

Heather znajduje mnie w kuchni, chociaż nie pamiętam, żebym do niej pisał. Od razu zabieramy się do roboty. I przez chwilę mi się to podoba, całowanie jest jak farba, która zakrywa całe ohydztwo, jakie w sobie noszę. Usta Heather pomalowane truskawkowym błyszczakiem smakują jak różowe cukierki zapamiętane z dzieciństwa.

Jutro będę się czuł parszywie. Nie jest to żadne założenie ani obietnica, ale fakt, i fajnie wiedzieć, że jest coś stałego i pewnego na tym świecie. Niektórzy ludzie powtarzają: „do dupy z takim życiem”, jak gdyby byli jego ofiarami, jak gdyby zostali wykorzystani przez okrutny los. Ja wiem coś innego. Sam sobie zgotowałem swój los. Własnoręcznie go zmontowałem.

Jestem w tym tak cholernie skuteczny, że aż boli.

– Podoba mi się twoja bluza – mówi Heather, wdrapując się na mnie. Dziwnym, prawie magicznym sposobem znaleźliśmy się nagle w salonie. Heather wetknęła kolana w rogi fotela, siedzi więc na mnie okrakiem. – Uwielbiam tę piosenkę, tę część o akwarium.

Głos ma wysoki i cichy, jak mała dziewczynka, i wiem, że tak naprawdę nie obchodzi jej Pink Floyd. W rzeczywistości nie ma pojęcia, że dostałem tę bluzę od taty w zeszłym roku na urodziny, ponieważ to on lubi Pink Floyd i jego zdaniem *Wish You Were Here* to świetna płyta, a ja jako jego syn powinienem również wpaść nad nią w zachwyty. Heather nie ma o tym wszystkim pojęcia, ale wydaje jej się, że zna słowa tego wielkiego przeboju. Na dodatek uważa, że powinna je znać i uwielbiać ze względu na mnie.

Muszę uważać na obściskiwanie się z tą samą dziewczyną dwa wieczory z rzędu. Jeszcze pomyśli, że między nami zaczyna się robić coś na serio. Ale kiedy się pochyla i zaczyna mnie całować, przestaję się zastanawiać nad czymkolwiek.

Po wszystkim, zataczając się, schodzę do piwnicy, gdzie Hez ma sypialnię i wszystko śmierdzi skarpetami. Zamykam się w łazience i siadam na podłodze.

Jest tutaj tak gorąco, że można się udusić. Do tego zaczyna mi się robić niedobrze, żołądek podchodzi mi do gardła za każdym razem, gdy poruszam głową.

Zaraz potem czuję gwałtowny napływ śliny, zapowiedź zbliżających się wymiotów. To dobrze. Wstrzymam oddech i zamknę oczy. Wyrzucę z siebie wszystko, piwo, bourbon, cikliwy smak

cukierkowych pocałunków Heather i poczuje się lepiej. Wyczyszcze się.

Wanna nie jest zbyt sterylna. Jej wnętrze zdobi czarna obwódka zaskorupiałego brudu, ale i tak się w niej kładę, ponieważ marzę tylko o tym, żeby znaleźć się gdzieś, gdzie nie będę się czuł jak w piekarniku. Chłodny dotyk ceramiki przynosi ulgę.

Opieram głowę o bok wanny. Jest tak zimna, że zaczynam szczerkać zębami. Skórę mam napiętą i lepka, nie czuję dłoni, zaczyna mi się kręcić w głowie i jest to najwspanialsze, a zarazem najgorsze uczucie, jakie znam.

Poprawiam się, wyciągam nogi i opieram wygodnie plecy. W ustach czuję smak porażki. Smak truskawek i bourbona.

Gdy kolejne cyfry rozpływają się w szum, otwieram oczy.

Znajduję się w malutkiej łazience bez okien, wytapetowanej jeszcze chyba w latach siedemdziesiątych zeszłego wieku. Marshall Holt leży rozwalony w wannie z głową przekrzywioną na bok. Podłoga jest lodowata.

– Marshall. – Nie odpowiada ani się nie porusza, kopię więc w bok wanny. – Marshall!

Chłopak mruga, patrzy na mnie i przeciąga dłonią po twarzy.

Kucam przy nim, po czym wzdrygam się, czując zalatującą od niego woń mocnego alkoholu.

– Ty jesteś naprawdę pijany.

Przytakuje i obraca głowę, uderzając nią o ścianę. Ma czerwone oczy, jego oddech śmierdzi tak, że gdyby przyłożyć mu do ust zapalną, pewnie zionąłby ogniem.

Jednak mimo że jest zalany w trupa i wygląda co najmniej niechlujnie, nie pasuje do łuszczącego się linoleum i obłazącej tapety. Ma woskową cerę, delikatne usta i łagodnie zarysowane kości policzkowe. Nigdy wcześniej nie pomyślałam w ten sposób o żadnym chłopaku: że jest aż nazbyt czysty, niewinny. Dla odmiany podłoga jest podejrzanie lepka. W powietrzu unosi się zapach stęchlizny, a wszystko wokół jest zarośnięte brudem pielęgnowanym z zacięciem typowym dla młodych mężczyzn.

– Co ty sobie robisz? – Niezgrabnie balansuję na jednej nodze, usiłując oczyścić stopę drugiej nogi, wycierając ją o łydkę. – To jest obrzydliwe. I głupie.

– Tak? – Spogląda na mnie. – A co, jeśli ci powiem, że to jest i tak lepsze niż gówno, w którym zwykle się taplam?

Wyczuwam w tonie Marshalla napięcie, odwracam wzrok. W jego spojrzeniu jest zbyt wiele szczerości. I wszystko to wydaje się aż nazbyt prawdziwe.

– Jesteś duchem? – pyta nagle bełkotliwym, niewyraźnym głosem.

– Nie.

– No to kim?

– Dziewczyną.

Przejeżdża dłonią po twarzy, marszczy brwi, jak gdybym właśnie zadała mu szczególnie trudną zagadkę do rozwiązania.

– Czyli w szkole, kiedy widzę tę cholerną księżniczkę Waverly Camdenmar, to też jesteś ty? I jutro

znów będziesz sobą, to znaczy nią, i będziesz to wszystko pamiętała?

Potwierdzam skinieniem głowy. Mam jedynie wątpliwości, czy on będzie to wszystko pamiętał, ale taktownie zachowuję te przemyślenia dla siebie. Poza tym zauważam, że jestem za bardzo zadowolona z tego, iż zna moje nazwisko.

Marshall usiłuje się podciągnąć i wstać. Siada na krawędzi wanny, pochyla głowę, zamyka oczy.

– O Boże.

– Wszystko w porządku?

Przytakuje, nie podnosząc głowy.

– To tylko mdłość.

– Mdłości.

Patrzy na mnie spod przymrużonych powiek.

– Co?

– Mdłość oznacza coś innego. Ty masz mdłości.

– Chryste, aleś ty drobiazgowa.

Jest blady i lepki od potu, oddycha przez nos, a ja w duchu przyznaję mu punkt za użycie słowa: „drobiazgowa”. Siedzi, wspierając się rękami o krawędź wanny, bierze długie, miarowe wdechy. Chwilę później, nie otwierając oczu, wyciąga rękę i podnosi deskę sedesową.

Spodziewam się, że zaraz rzuci się w kierunku muszli klozetowej, ale on tego nie robi. Siedzi bez ruchu z zamkniętymi oczami i spuszczoną głową.

W końcu odchrząkuje, po czym szepcze niepewnie:

– Mogłabyś coś dla mnie zrobić?

Gdy patrzę na niego z góry, jego ramiona wydają się szersze, niż myślałam, bardziej muskularne, i zaczynam czuć się nieswojo. Krzyżuję ręce na piersiach, jak gdybym chciała się przed czymś ochronić.

– Co takiego miałabym zrobić?

– Odkręć zimną wodę i włóż pod nią rękę.

Patrzę na niego, zastanawiam się, czy przypadkiem nie jest to jakaś sztuczka albo żart. Jego prośba wydaje się jednak na to zbyt prosta. Zbyt szczerą.

Po chwili odkręcam kran i wsuwam dłoń w strumień chłodnej wody.

– Dobrze, włożyłam rękę pod wodę.

– Jest zimna?

– Tak. Co dalej?

– Czy... czy mogłabyś położyć mi rękę na karku? Tylko na chwilę.

Gdy dotykam palcami jego szyi, wypuszcza powietrze z płuc i zaczyna drżeć. Kręgi, które

wyczuwam pod ręką, wydają się twarde, gruzłowate i jak gdyby dopasowane do mojej dłoni.

Sadowię się obok niego na krawędzi wanny.

– Lepiej?

Potwierdza skinieniem głowy, osuwa się nieco na bok i opiera ramieniem o moje ramię.

– Tak. Tak jest dobrze.

Ma ciepłą rękę, czuję, jak jego ciało porusza się w rytm oddechu.

Siedzimy obok siebie w milczeniu. Moja dłoń spoczywa na jego karku, a jego głowa przechyla się coraz bardziej na bok, jest coraz bliżej mnie, aż w końcu opiera się o moje ramię.

Marshall wzdycha cicho, sennie. Nachylam się i delikatnie dotykam policzkiem jego włosów. Po raz pierwszy tego dnia czuję się tak, jak gdybym znalazła się we właściwym miejscu.

– Dlaczego tak uparcie dążysz do autodestrukcji? – pytam półgłosem.

– Nie wiem – odpowiada cicho. – A ty?

– Ze mną to co innego. Po prostu... jestem zdeterminowana.

Dopiero po chwili uzmysławiam sobie, że kiepskie to moje usprawiedliwienie. Ogarnia mnie niespodziewana wesołość i zaczynam chichotać, niemalże histerycznie.

W następnej sekundzie Marshall również parska urywanym śmiechem.

– Jasne. Zapisujesz się na te wszystkie kółka i wymyślasz sobie różne bzdurne zajęcia, żeby tylko nie zająć się tym, co naprawdę cię gryzie. Chcesz z siebie zrobić chodzący ideał. Nie ma sprawy. Ale mój sposób jest łatwiejszy.

Wiem, że powinnam wyprowadzić go z błędu i oświadczyć, iż nie mam problemu z zajmowaniem się tym, co mnie gryzie, ale jeszcze bardziej niż złośliwa insynuacja oburzyło mnie określenie, jakim skwitował całe moje życie: „bzdurne zajęcia”.

– Przynajmniej nie degraduję się dla zabawy.

Marshall raptownie przestaje się śmiać.

– Nie masz bladego pojęcia o tym, z jakich powodów robię cokolwiek.

Jego głos jest ostry, nachylam się jeszcze bardziej, żeby zajrzeć mu w twarz.

– To może mi opowiesz o tych powodach? Co jest nie tak z twoim życiem?

Przełyka ślinę, wbija spojrzenie w podłogę.

– Co jest nie tak? – powtarzam szeptem.

To trudne pytanie i wypowiadam je półgłosem, ponieważ na trudne pytania zwykle padają trudne odpowiedzi. Połowa mnie nie chce niczego wiedzieć, ale druga połowa, ta lubiąca się w brutalnej prawdzie, musi się dowiedzieć, musi wysłuchać tych wszystkich brudów.

Marshall nie odpowiada. Odwraca się, garbi, zrzuca moją rękę z karku. Jego twarz nabiera



niezdrowego, szarawego odcienia. Wygląda strasznie.

Mimo to z niewiadomych powodów chłopak się uśmiecha.

– Chyba musisz już iść.

– Słucham?

– Potrzebuję trochę prywatności, do cholery.

– Dlaczego? Co chcesz zrobić?

Patrzy na mnie przeciągle, po czym wystawia dwa palce niczym święty z obrazka i wkłada je do ust, jak gdyby wsuwał między wargi lufę pistoletu. Następnie pochyla się nad muszlą klozetową.

– O mój Boże! To obrzydliwe.

Wyjmuje palce z ust.

– W takim razie wyjdź. Doping niczego tu nie ułatwi.

Nie ruszam się z miejsca. Marshall patrzy na mnie wyzywająco i chociaż nie mam ochoty tego wszystkiego oglądać, nie zamierzam stchórzyć przed czymś tak żalnym. Potrzeba czegoś więcej niż wymioty pijanego głupka, abym odwróciła wzrok.

Chłopak pochyla się nad toaletą, wkłada palce głęboko do gardła i wywołuje odruch wymiotny. Szybko cofa rękę, ale nic się nie dzieje.

Wzdycha z rozdrażnieniem i ponawia próbę. Tym razem słyszę, że się krztusi, chociaż nic nie widzę, bo nisko zwiesił głowę i muszla klozetowa zasłania jego twarz. Cała operacja przebiega zdumiewająco cicho i profesjonalnie, jak gdyby miał w tym spore doświadczenie.

Spuszcza wodę, opiera się łokciem o deskę, ręka zwisa mu nad muszlą. Ma zamknięte oczy. Zastanawiam się, czy powinnam go dotknąć, położyć mu rękę na plecach albo pogłodzić go po włosach, ale widząc jego sztywne, napięte barki, postanawiam nie ruszać się z miejsca. Uzmysławiam sobie, że obejmuję się rękami, rozluźniam więc uchwyt i opuszczam ramiona.

– No – mówi, nie otwierając oczu. – To sobie pooglądałaś. – Nagle wydaje się zupełnie wycieńczony, jak po zaciętej walce.

– No, pooglądałam.

Pochyla się i dotyka czołem spłuczki.

– Co z tobą, Waverly?

Stoję nad nim, spoglądam na jego zgarbione plecy, wilgotne włosy. Patrząc na niego z tej perspektywy, dostrzegam, że uszy trochę mu odstają, a kark wydaje się mocno kościsty. Pijany wygląda głupio i bezsensownie, jak gdyby stan odurzenia wydobywał jego najgorsze rysy.

– To dziwne pytanie, zwłaszcza że zadaje je ktoś, kto alkoholizuje się bez opamiętania w tygodniu, a na koniec zachowuje się jak rasowa bulimiczka.

– Mówię poważnie – szepcze. – Chleję, rzygam, a ty przyglądasz się temu jakby nigdy nic.

– Może interesuje mnie życie w upodleniu.

– Ciekawe masz zainteresowania. Bardzo praktyczne. Możesz podać mi ręcznik?

Rzucam mu spłóviały ręcznik kąpielowy, a on łapie go, nie podnosząc głowy. Wyciera usta, potem rękę. Przez cały czas nie patrzy na mnie.

– Jak się masz? – pytam w końcu.

Siada na linoleum i podnosi na mnie wzrok. W następnej chwili wybucha śmiechem. Jego twarz jest spocona i blada, a oczy są przymknięte.

– Naprawdę, panno wzorowa, naprawdę? Chcesz wiedzieć, jak się mam? Jak skończony debil. Mogłabyś przestać na chwilę bawić się moim kosztem i podać mi płyn do ust?

W jego głosie pobrzmiwa tyle zmęczenia i goryczy, że nie do końca wiem, której części jego wypowiedzi się uchwycić. „Bawię się jego kosztem?”

– Słucham?

– Płyn do płukania ust. Poszukaj w szafce.

Otwieram apteczkę i podaję mu olbrzymią butelkę z substancją o jaskrawym kolorze, reklamowaną jako ostateczny pogromca zapalenia dziąseł.

Marshall pociąga łyk, przepłukuje usta, po czym wypłuwa zieloną pianę do toalety. Następnie powoli dźwiga się na nogi.

– Posuń się – mówi, mijając mnie w drodze do umywalki.

– Jesteś odrażający – rzucam, choć tak naprawdę wcale tak nie uważam.

Gdy odkręca kurek, z kranu tryska strumień wody, który odbija się od umywalki i ochlapuje nas oboje. Wydaję stłumiony jęk i odskakuję, a wtedy Marshall przykręca kurek i ze strumienia robi się strużka.

– Przedtem miałeś się dobrze – bardziej pytam, niż stwierdzam.

Stojąc plecami do mnie, namydla i szoruje dłonie.

– W jakiej rzeczywistości miałem się dobrze?

– Widziałam, że nie było z tobą źle. Siedzieliśmy tu razem. Czuliśmy się dobrze. Ale potem ty zacząłeś te masochistyczne praktyki.

Nabiera wody w złożone dłonie, płucze twarz i dopiero wtedy odpowiada.

– U mnie bywa albo źle, albo jeszcze gorzej. – Przenosi spojrzenie z popękanej umywalki na podłogę. Woda ścieka mu po policzkach i szyi, kapie z brody. – Źle jest już teraz, a później będzie tylko gorzej. Nawet jeśli położę się spać, zanim zrobi się gorzej, rano obudzą mnie koszmarny ból głowy i mama, która będzie walić do drzwi i pytać, czy napiję się 7 Up.

– Mógłbyś przestać się upijać. To też jest jakieś rozwiązanie.

Zakręca kran i obraca się do mnie.

– Może i jest, ale nie zawsze. Czasami robi się rzeczy, przez które później czuje się paskudnie, żeby nie czuć się cholernie paskudnie teraz.

Patrzy na mnie tak, jak gdyby było mu przykro, jak gdyby dzielił się ze mną jakimś przygnębiającym sekretem i chciał za to przeprosić. Mam ochotę mu powiedzieć, że ja nigdy nie odkładam nieprzyjemności na później. Zawsze funduję sobie męczarnie od razu. Dlatego dobrze biegam. Dlatego jestem dobra we wszystkim.

Z korytarza dobiegają nas czyjeś okrzyki, kaszel i odgłosy kroków. Jakiś facet woła Marshalla po imieniu. Zatrzymuje się przed łazienką, po czym zaczyna się dobijać do drzwi.

Marshall wciąż na mnie patrzy, ręce ma skrzyżowane na klatce piersiowej. Coś w jego postawie sprawia, że nagle mam ochotę go objąć i przytulić. On spogląda na mnie tak samo bezradnie i oboje milczymy.

Znów rozlega się pukanie, a następnie łomotanie. Ktoś kopie w drzwi.

Marshall wzdycha, opiera się o ścianę, żeby utrzymać równowagę.

– Przepraszam, muszę otworzyć.

Gdy uchyla drzwi, widzę przez nie jego brata stojącego w korytarzu.

– Mars, wyglądasz parszywie. Czy mi się zdawało, czy przed chwilą haftowałeś?

Marshall odgarnia z oczu wilgotne kosmyki włosów. Uśmiecha się szeroko i swobodnie.

– Tak, już mi lepiej.

– Nie chrzań. Lepiej będzie, jak nadrobisz stracone kolejki. Daję ci na to pięć minut.

– Nie, na dzisiaj mam dosyć.

Brat wpycha go do łazienki, wymachuje trzymaną w dłoni butelką taniej, oleistej tequili.

– Daj spokój, stary. Nie rób sobie jaj.

Marshall kręci głową i obraca się, żeby na mnie spojrzeć, ale ja zaczynam już znikać.

\*

Następnego dnia w szkole Marshall wygląda fatalnie. Ma podkrążone oczy i jest ubrany w te same rzeczy, co zeszłego wieczoru.

Wyjmuję puderniczkę, po czym unoszę ją tak, żeby w lusterku zobaczyć tę część klasy, która jest za mną, i przekonać się, jak wygląda kac gigant. Po sprawdzeniu obecności Marshall kładzie głowę na ławce i nie podnosi jej aż do dzwonnka na przerwę.

Gdybym miała jeszcze jakiegokolwiek wątpliwości odnośnie do autentyczności swoich snów, lekcja

hiszpańskiego je rozwiewa. Istnieje tylko jedno wytłumaczenie na to, skąd wiedziałam, w co Marshall przyjdzie ubrany. Skąd wiedziałam, że będzie miał na sobie właśnie tę a nie inną niebieską koszulę i podarte džinsy, a jego twarz będzie blada jak ściana. Nie mogłabym być tego wszystkiego tak absolutnie pewna, gdybym nie stała nad nim w łazience zeszłego wieczoru i nie poczyniła tych obserwacji na własne oczy.

Dzisiaj poznajemy słówka związane z okresem świątecznym, ale dla mnie to nic więcej jak powtórka. Jestem z materiałem pięć rozdziałów do przodu. Czasowniki dotyczące Święta Dziękczynienia opanowałam już w drugim tygodniu września.

Nie potrafię wyjaśnić tego, co ostatnio mi się przytrafia. Teoretycznie powinnam mieć w głowie chaos, wpaść w obłęd i zwątpić we wszystko, w co do tej pory wierzyłam. Jednak w praktyce nowe doświadczenia niezbyt różnią się od tego, co czuję, gdy otwieram segregator i widzę, że zadanie domowe jest już gotowe, chociaż nie pamiętam, abym je odrabiała. Moje ciało wydaje się niematerialne. Zrobione z dymu i pary wodnej. Jak gdyby pilna, odpowiedzialna Waverly była czymś niewiele więcej niż abstrakcją.

Dyżur w gabinecie pedagoga upływa mi na wpatrywaniu się w zegar, wodzeniu palcem po ciemnych słojach widocznych na drewnianym blacie biurka i przypominaniu sobie, że jestem tutaj. Że tak wygląda rzeczywistość.

Gdy sekundnik zegara po raz kolejny nerwowo przeskakuje i nikt nie przychodzi, podrabiam przepustkę, po czym wymykam się do toalety, żeby przeczytać zbiór nowych sekretów, które pojawiły się na ścianie od wczoraj.

W większości świeża porcja wyznań dotyczy tego samego – chłopaków, ciała, nienawiści do samej siebie. Jak zwykle kompleksy, namiętności i przytłaczająca nuda.

Jest jednak coś jeszcze. Pod moim wpisem na temat możliwości odbycia poufnych wizyt u psychologa, widnieje rząd nowych gryzmołów. Trzema różnymi markerami, trzema różnymi charakterami pisma napisano to samo słowo:

*Dziękuję*

\*

Po treningu Autumn czeka na mnie w szatni, stoi przy umywalkach, podczas gdy ja rozczesuję włosy i zdejmuję buty do biegania.

– Hej – odzywa się nagle. – Co teraz porabiasz?

Zerkam znad splątanych sznurówek, usiłuję przeprowadzić analizę składniową jej pytania.

– Co porabiam?

– Chciałabyś wpaść do mnie czy coś?

Chowam buty do bocznej kieszeni torby sportowej. Staram się zachowywać tak, jak gdyby propozycja Autumn była czymś najnormalniejszym w świecie, ale twarz nie chce mnie słuchać. Nie wiem czemu moje usta mimowolnie rozciągają się w lekkim uśmiechu. Nie do końca rozumiem, co się dzieje, ale wygląda na to, że Autumn właśnie postanowiła się ze mną zaprzyjaźnić.

– Nie mogę. Mam zebranie w sprawie budżetu balu.

– Brzmi strasznie – stwierdza dziewczyna pogodnie. – Stanowczo powinnam pójść z tobą.

– Czy ty mnie słyszysz? To zebranie w sprawie budżetu.

– I co z tego? Działacie w konspiracji? Wstęp tylko dla wtajemniczonych? W takim razie to chyba niezła zabawa, co?

Spoglądam na nią zgryźliwie i kręcę głową.

– Jeśli wyszukiwanie rozbieżności w arkuszach kalkulacyjnych rzeczywiście cię kręci, to przyznam, że bardzo specyficznie pojmujesz rozrywkę. Tak czy inaczej na zebranie nie można przyjść tylko dlatego, że nagle komuś się zachciało. Trzeba być członkiem samorządu.

Autumn odwraca się i przeczesuje palcami włosy, jak gdyby rozważała moje słowa. Po chwili spogląda na mnie.

– Jeśli tak naprawdę nie lubisz swojego idealnego życia, to po co ci to wszystko?

– Lubię je. Poniekąd.

Wpatruje się we mnie, przygryzając wargę.

– Rany, aleś ty popieprzona. Uwielbiam cię za to!

Uśmiech, który pojawia się na mojej twarzy, jest bardziej wymuszony i ponury niż zwykle, jak gdyby nastawienie Autumn było zaraźliwe.

– Moje szanse na normalność są minimalne. Jestem jedynym dzieckiem marketingowca i psycholożki.

Autumn parska śmiechem, odrzucając głowę do tyłu i łapiąc się za brzuch. Jest ładna, kiedy się śmieje.

Jej włosy są rozczochrane, ale ich przyjemny ciemnorudy odcień przywodzi na myśl dzikie zwierzęta, lisy albo jelonki. Fascynuje mnie jej gotowość do uważnego przyglądania się wszystkiemu, co się pojawia. To dość orzeźwiające – mam wrażenie, że Autumn nie uznaje czegoś takiego jak odpowiedniość czy stosowność. Cokolwiek się dzieje, ona wydaje się zadawać dwa podstawowe pytania: „ok, i co dalej?”, lub: „a dlaczego by nie, do cholery?”.

Przykładam dłonie do czoła i zastanawiam się, co Maribeth uznałaby za dopuszczalne. Na jakie zachowania pomstowałaby, a które by tolerowała. I którym nie byłaby w stanie zapobiec.

– Mogłabyś – oświadczam w końcu. – Mogłabyś przyjść. Nie na zebranie samorządu. W tym semestrze na to już za późno. Ale gdybyś chciała, w następnym tygodniu u Maribeth będzie spotkanie wolontariuszy. Mogłabyś pomóc przy dekoracjach – urywam, po czym czując się zobowiązana do szczerości, dodaję: – chociaż raczej ci się tam nie spodoba.

Autumn uśmiecha się do mnie cierpliwie.

– Naprawdę myślisz, że nie potrafię dobrze się bawić w różnych sytuacjach?

Policzki ma zarumienione, jakby brała udział w jakiejś emocjonującej grze, i natychmiast zdrowy rozsądek każe mi pożałować tego, że ją zaprosiłam. Sam pomysł, aby wpuścić Autumn i Maribeth do jednego pomieszczenia, wydaje się niepokojący. Poza tym jest jednak odrobinę ekscytujący.

– Słuchaj, musisz coś zrozumieć. Maribeth ma... silny instynkt terytorialny. Wszystko, co robi, bierze na poważnie. Nie chodzi o to, żebyś rzeczywiście przejmowała się tym balem, ale powinnaś udawać, że się przejmujesz.

– Nie potrafiłam nawet udawać, że się przejęłam, gdy w zeszłym roku na biologii pozwoliłam, żeby żaba Andrew Wiesmana zjadła robaki do dysekcji, chociaż wpisano mi to do szkolnych akt. Może ty wtajemniczysz mnie w arкана tajemnej sztuki pozorowania uczuć?

Przyciskam dłonie do powiek i siadam na ławce, rozważając, jak rozegrałabym tę sprawę na miejscu Autumn. Istnieje wiele sztuczek, które można zastosować, by oszukać ludzi, że jest się jednym z nich.

– Powinnaś być pełna szacunku i zaangażowana. Pomocna. Wciąż nie mamy motywu przewodniego na bal, mogłabyś więc coś zaproponować.

– Coś w stylu „Podwodne zauroczenie” albo „Gwiezdna miłość”?

– Nie. Coś na serio. Żaden żart ani nawiązanie do filmu. Poza tym pomysł musi być tak sformułowany, żeby Maribeth mogła trochę w nim pozmienić i udawać, że to ona na niego wpadła.

Autumn unosi brwi, jak gdybym właśnie zasugerowała coś isticie odrażającego.

Jej reakcja nie powinna mnie obchodzić, ale mimo wszystko czuję się zganiona. Mam ochotę się wytłumaczyć. Nagle wydaje mi się ogromnie ważne, żeby moja nowa znajoma pojęła, że owszem, może i sprawiam wrażenie cynicznej, ale doskonale rozumiem zasady rządzące systemem społecznym. Znajomość tych reguł jest niesłychanie użyteczna. A stosowanie się do nich wcale nie jest czymś tak wstrętnym, jak się zdaje.

– Dobra, wiem, że to może wyglądać na skomplikowane, ale w rzeczywistości nie ma nic prostszego. Zaproponujesz coś w stylu: „Ulotna chwila”, Maribeth bardzo się to spodoba, ale nie będzie chciała wykorzystać tego hasła, ponieważ nie wyszło od niej, zmieni więc słowo albo dwa i w końcu stanie na: „Chwilo trwaj” albo „*Carpe diem*”.

Cały mechanizm jest dość oczywisty, ale doświadczenie nauczyło mnie, że inni ludzie nie zawsze

przywiązują taką wagę do relacji interpersonalnych jak ja.

– Sposób, w jaki przerobi twój pomysł, nie ma już większego znaczenia. Liczy się to, że staniesz się cennym zasobem. Sukces towarzyski tak naprawdę odnosi ten, kto potrafi stać się cenny dla innych.

Autumn nadal przygryza wargę i patrzy na mnie jak na osobę po ciężkim urazie psychicznym, ale ogranicza się do krótkiego komentarza:

– W porządku, skoro więc mam się skumplować z przyszłą elitą lokalnej społeczności, pewnie przydałoby się, żeby ktoś mi pokazał, jak mam się wystylizować na... dobrze rokujący okaz.

– Chwileczkę, to, że nie smaruję się kredką do oczu jak opętana, nazywasz stylizacją?

– Oczywiście. Wszystko jest stylizacją. Chodź, zabawimy się trochę. Wpadniemy do drogerii i pomożesz mi skompletować przebranie!

Za czterdzieści pięć minut powinnam razem z Maribeth i Palmer przeglądać budżet zbliżającego się balu, ale prawie wszystkie największe wydatki zostały już rozliczone, a poza tym istnieją przecież wspaniałe wynalazki w postaci kalkulatorów. Dziewczyny poradzą sobie beze mnie. I chyba miło będzie spędzić czas z kimś, kto nie oczekuje, że będę tryskać radością i entuzjazmem podczas rozmowy na temat kolorów spinek do włosów.

Ruszamy Detmer Avenue w stronę drogerii, a ja w myślach układam krótką listę zakupów dla Autumn.

Przydadzą się jej nowe dodatki i inna kredka do oczu. Ta, której używa, upodabnia ją do wściekłego szopa.

Jeśli chce się przebywać w bliskim otoczeniu Maribeth, trzeba pozorować autentyczność. Maribeth nie udaje i pogardza wszystkimi – z wyjątkiem mojej starannie uformowanej osoby – którzy symulują. Dlatego jest niezwykle ważne, żeby Autumn wtopiła się w otoczenie i sprawiała wrażenie, iż należy do tego towarzystwa od zawsze.

Ogólnie rzecz biorąc, lubię ład i porządek. Lubię mieć plan i systematycznie go realizować, ale moja towarzyszką woli chodzić między regałami w sposób zupełnie niekontrolowany. To dyletantka. Musi wypróbować każdą pomadkę, każdą odmianę pudru i każdy rodzaj błyszczycy, nawet te, które rażą w oczy swoimi kolorami. Piętnaście minut poświęca na porównywanie cieni do powiek, nakłada kolejne warstwy barwnych próbek aż po samą brew.

Gdy za pomocą malutkiej gąbki starannie obkleja łuk brwiowym złocistym brokatem, w końcu interweniuje.

– Co ty wyprawiasz?

– Jestem pawiem – oznajmia, otwierając szeroko oczy i trzepocząc rzęsami.

Widząc jej bezcenną minę, parskam śmiechem, chociaż wcale tego nie chcę.

Radość Autumn i zapamiętanie, z jakim ogląda pomadki do ust i kolorowe kredki do oczu, wydają się wręcz ujmujące. Nigdy nie widziałam, żeby biegi przełajowe czy życie towarzyskie wzbudzało w niej tyle entuzjazmu, co wybór kosmetyków do makijażu.

Podczas gdy moja nowa znajoma kontempluje cienie do powiek, zastanawiając się, czy kupić platynowy połysk w kremie, czy może perłową perfekcję w kamieniu – przy czym gołym okiem widać, że obydwie barwy niczym się od siebie nie różnią – dla zabicia czasu wędruję w stronę sąsiedniego przejścia, gdzie po kolei zdejmuję nakrętki z antyperspirantów dla mężczyzn.

Czuję się trochę jak skończona idiotka, ale przez kilka minut porównuję aromaty, dopóki nie znajdę takiego, który przypomina mi Marshalla. Ta woń to zaledwie jeden z elementów jego mrocznego, złożonego zapachu, ale mimo to przez chwilę stoję i po prostu ją wdycham.

Gdy zza półki wychyla się głowa Autumn, niemal upuszczam dezodorant.

– Co robisz? – pyta. Zmyła z siebie puder, cienie i błyszczczyk, jej policzki różowią się naturalnie. Wygląda na osobę dobrą i życzliwą. Na kogoś, kto dochowałby tajemnicy.

– Nic. – Nakładam zatyczkę i udaję nagle zainteresowanie pastami wybielającymi.



## Chory

Kaszel to nic nowego, normalny skutek uboczny palenia. Od miesięcy na niego pracuję.

Tyle że teraz, w ciągu jednej nocy, zmienił się w dziwny charkot.

Jestem w domu, leżę na kanapie przed telewizorem. Pokój oświetla blask ekranu, głos jest wyciszony. Poza tym w domu jest raczej ciemno i to w miejscach, gdzie spodziewałbym się światła. To przez żarówki, przepalają się po kolei i nikt ich nie zmienia. Dziwne, jak szybko różne drobiazgi zaczynają się nagromadzać. Opadłe liście, wyczerpane baterie, skrzypiące zawiasy. Dom zapada w sen jak przeklęte królestwo w bajce. Wszyscy czekamy, aż pojawi się ktoś, kto to naprawi.

Odkąd tata dostał orzeczenie o niepełnosprawności, niektóre sprawy się nie zmieniły. Mama dalej chodzi do pracy w energetyce i wodociągach, wraca do domu, włącza telezakupy albo robi coś w kuchni. Tata pakował układy scalone w AgiTech, a po pracy i w weekendy grał na gitarze albo majsterkował w garażu. Teraz co tydzień dostaje zastrzyki i prawie cały czas za bardzo trzęsą mu się ręce, żeby mógł się zabrać do jakiejś roboty. Dużo śpi. Albo udaje, że to robi.

Słyszę mamę, która kroi coś w kuchni, szykuje ekologiczne warzywa smażone bez tłuszczu z mięsem z ekokurczaka, a wszystko to kupione w sklepie ze zdrową żywnością, na którą nas nie stać, ale która nie zawiera konserwantów, sztucznych barwników ani innych chemikaliów wywołujących – jak głosi internet – różne paskudne choroby.

Potrzebuję napić się wody. Potrzebuję przykryć się kocem. Gdyby była tu Annie, podałaby mi go. Pewnie usiadłaby ze mną i pooglądała jakiś serial kryminalny, porozmawiała o futbolu uniwersyteckim, dopóki bym nie zasnął.

Chciałbym, żeby ktoś się mną zaopiekował jak dzieckiem, chciałbym nie musieć udawać dorosłego faceta ani że wszystko jest w porządku. Ale w domu, w którym mieszka przewlekłe chory, to właśnie on ma monopol na złe samopoczucie. Jeśli jedna osoba stale wymaga opieki, nikt inny nie ma prawa jej potrzebować.

Nad telewizorem wisi rodzinny portret, nasza piątka na tle szarego marmuru. Zdjęcie sprzed trzech lat. Justin i tata stoją z tyłu, w takich samych koszulkach baseballowych i z takimi samymi szyderczymi uśmiezkami na twarzy. Ustawiona przed nimi mama udaje przeszczęśliwą panią domu, a ja staram się jak mogę być niewidzialny. Wpatruję się teraz w swoją podobiznę i zastanawiam, kiedy moje rysy tak bardzo stwardniały, kiedy przestałem rozmawiać. Uśmiechać się. Z całej piątki tylko Annie wydaje się naturalnie radosna. Ja z kolei wyglądam na zmartwionego. Zawstydzonego tym, że w ogóle istnieję.

Im ciszej i spokojniej leżę, tym łatwiej przenieść mi się gdzie indziej. Nie pamiętam zbyt wiele z zeszłej nocy, ale spotkanie z Waverly jest bardzo wyraźne, jak gdyby była to jedyna prawdziwa rzecz, która mi się przytrafiła. Nie powinienem o niej myśleć. A zwłaszcza nie powinienem mieć nadziei, że może, jakimś cudem, znów mi się pokaże.

Chowam twarz w kanapie i wyobrażam sobie Waverly siedzącą obok mnie na skraju wanny. Przypominam sobie jej włosy pachnące czystością, dotyk jej ramienia. O tym, jak w ułamku sekundy zniknęła z łazienki Heza, staram się nie myśleć. Inaczej bym zwariował. Głowa mi pęka, jakby chciała się rozpaść na miliony kawałków. Gdy zamykam oczy, wciąż czuję ciężar jej dłoni na moim karku i to, jak cholernie ufny się wtedy poczułem. Miałem wrażenie, że może i wszystko jest do dupy, ale istnieje szansa, że będzie lepiej.

Dziwne, że tak ciągle pyta mnie, czy wszystko w porządku, skoro gołym okiem widać, jak jest. Tamtego wieczoru na werandzie Kapitana wydawała się cholernie smutna, słyszałem w jej głosie coś, co przypominało drżenie owadzich skrzydeł. Wyczuwałem też ból, jak gdyby była cała potłuczona, chociaż wyglądała na absolutnie nietkniętą. Chyba zaczynam rozumieć.

Diabelnie sprytne. Wystarczy wypytać kogoś, jak się ma, udowodnić, że jego życie to totalna porażka, i już nie trzeba się nikomu tłumaczyć ze swoich brudów.

Nasz pies Sznycel kręci się koło kanapy, bo wydaje mu się, że skoro tak długo siedzę przed telewizorem, to pewnie zaraz nadejdzie pora na przekąski i głaskanie. Ja jednak nie mam apetytu.

Połykam parę tabletek gripexu i czekam, aż zaczną działać i przestanie łupać mnie w głowie. Zakrywam twarz ramieniem, żeby zasłonić światło, i przenoszę się donikąd. W pustkę. Myślę o Waverly i nie obchodzi mnie nawet, że nie powinienem tego robić. To nie ma znaczenia. Nie ma znaczenia. Żadnego. Nie może mieć żadnego znaczenia. Bo, do cholery jasnej, to nie jest naprawdę.

Zasypiam i śni mi się, że ktoś wwierca mi się w czaszkę wiertarką udarową. Kiedy się budzę, pora wziąć kolejną dawkę gripexu. Pierwsza jeszcze nie zadziałała.

Gdy miałam osiem lat, kobieta, która pracowała w szkole jako asystentka nauczyciela, zabroniła mi pokazywać koleżankom i kolegom zdechłą wiewiórkę koło koszy na śmieci, ponieważ w ten sposób straszę dzieci, a poza tym jeśli będę rozmawiać o rozkładających się ciałach, nikt nie będzie się chciał ze mną bawić, a przecież chyba chcę, żeby inni mnie lubili?

Nie wiedziałam, co odpowiedzieć. Nie robiłam tego po to, żeby inni mnie lubili, ale też wcale nie chciałam nikogo nastraszyć.

Gdy wróciłam do domu, poszłam do gabinetu i opowiedziałam mamie, co usłyszałam od pani asystentki. Potem położyłam się na podłodze i czekałam, aż mama objaśni mi sytuację.

– Nie musisz przestać rozmyślać o autolizie i procesie gnilnym – oznajmiła po chwili namysłu. Leżąc pod biurkiem i żując końcówkę ołówka, wpatrywałam się w jej nagie stopy założone za drążek łączący nogi krzesła. – Mogłabyś jednak zastanowić się, czy nie warto byłoby mówić o tym mniej.

Jej ton był rzeczowy. Przeanalizowała problem i przedstawiła rozwiązanie.

Wsunęłam ołówek głębiej między zęby i z całej siły zacisnęłam szczęki.

– To o czym mam mówić? – spytałam cicho i niewyraźnie.

Mama przez chwilę milczała.

– Cóż, na przykład o tym, co ich interesuje. Na pewno coś wymyślisz. – Wzięła głęboki oddech, a następnie usłyszałam, jak zamyka laptop. – Poznasz wielu ludzi, Waverly, i większość z nich po prostu nie będzie zainteresowana procesem rozkładu.

Miałam wrażenie, że jej słowa rozbiegły się po mojej głowie lśniąca pajęczyna. Potwierdzały wszystko, co od dawna podejrzewałam, ale czego nie potrafiłam nazwać.

Mama gwałtownie odsunęła krzesło i zajrzała pod biurko. Przestałam pocierać stopami o dywan. Wstrzymałam oddech.

– Kochanie – powiedziała łagodniejszym już głosem. – Wszystko z tobą w porządku. Po prostu jesteś o krok przed wszystkimi. Wiesz o tym, prawda?

Słyszałam te słowa od przedszkola, przytaknęłam więc, ale ważniejsze było to, że w końcu poznałam prawdę.

Leżałam na plecach, wpatrywałam się w słoje drewnianego blatu i ssłam skórę ramienia, chociaż wydawało mi się, że już z tego wyrosłam.

Skoro doszło do takiej rozmowy, oznaczało to, że albo coś było nie tak ze mną, albo z całym

światem, a ponieważ znałam się już trochę na rachunku prawdopodobieństwa, wiedziałam, kto w tym starciu ma większe szanse.

W blasku świecy, z sercem bijącym szybko i słabo, zamykam oczy i pomału odliczam.

Możliwość, że zaczynam wpadać w obłąd – lub że świat w niego wpada – powinna mnie napawać strachem, ale tak nie jest. Przez całe popołudnie nie mogę się doczekać wieczoru. Chcę jak najszybciej uporać się z obowiązkami, żeby w końcu zapalić świecę i sprawdzić, czy znów przeniosę się gdzieś indziej. Nawet jeśli zaczynam szwankować na umyśle, nawet jeśli szwy rzeczywistości zaczynają się pruć, nie boję się. Ponieważ niezależnie od tego, jak nieprawdopodobne to wszystko się zdaje, Marshall jest jedynym człowiekiem, przy którym mogę być sobą i czuć się na miejscu.

Mogę mówić prawdę, wyrzucać z siebie najgorsze, najszczerze rzeczy. Mogę straszyć innych i nie przejmować się konsekwencjami.

Gdy otwieram oczy, stoję w drzwiach małego salonu o niskim suficie. Marshall leży przed telewizorem, rozciągnięty na kraciastej kanapie, obok której siedzi płowy pies. Czworonóg przekrzywia głowę i wpatruje się we mnie. Po tych szczegółach oraz po wystroju wnętrza poznaję, że nie znajduję się w domu brata Marshalla.

Telewizor mruga, na przemian oblewając salon światłem i ciemnością. Marshall z ręką niezgrabnie wsuniętą pod głowę patrzy w ekran, jak gdyby wcale go nie widział.

Stoję w drzwiach, obserwuję, czekam. Marshall wydaje się zmęczony. Wygląda nienaturalnie młodo.

Obok mnie przemyka dziewczyna w czerwonym fartuchu sprzedawczyni sklepu spożywczego. Włosy ma ściągnięte w kucyk. W świetle telewizora jej rysy wydają się zamazane i łagodne. Niesie stertę książek, ale trzyma je w taki sposób, że nie widzę ich tytułów.

– Mars, idź do łóżka.

Chłopak kręci głową, zerka na mnie, po czym znów odwraca wzrok.

– Lecą *Wojny magazynowe*. Chcę jeszcze trochę pooglądać. – W następnej chwili krzywi się, chowa głowę w poduszkę i zanosi się kaszlem.

Dziewczyna upuszcza książki w bezładny stos obok kanapy i ściąga przez głowę fartuch, zostając w zwykłej szarej podkoszulce.

– O, fu. Znów jakaś infekcja, powiedz mamie, żeby załatwiła ci jakiś antybiotyk.

Ponownie przechodzi obok mnie, znika w korytarzu, po czym minutę później wraca z kocem. Gdy podaje go Marshallowi, chłopak bierze go i niezdarnie się nim okrywa.

Ten gest wydaje się niesamowicie czuły i mam wrażenie, jak gdyby coś szarpało mnie w piersiach. Dziewczyna zbiera książki, na wierzch sterty kładzie telefon i kluczyki do samochodu, po czym

szturchnięciem biodra odpycha od siebie łeb płowego psa.

Po jej wyjściu Marshall obraca głowę.

– Cześć. Co słyszeć w krainie duchów?

Chcę odciąć się zgryźliwie, zauważyć na przykład, że lepsza bezsenność niż tyfus, ale w końcu mówię jedynie:

– Cześć.

Chłopak skinieniem głowy wskazuje kanapę, siadam więc na skraju sofy, uważając, żeby nie oprzeć się o niego ani nie dotknąć przetartego koca. Marshall przywiera do poduszek, robiąc mi miejsce, ale nie podciąga nóg ani nie siada.

Garbię się lekko, wsuwam dłonie między kolana.

– Wygląda na to, że zdecydowałeś się dzisiaj zostać w domu. Aż tak cię męczy kac?

Kręci głową.

– Jestem chory. Jakaś infekcja. Obrzydliwa sprawa.

Mam ochotę powiedzieć mu, że jego stan wcale mnie nie obrzydza, ale słowa nie chcą mi przejść przez gardło. Częstuje go więc komentarzem w tradycyjnym stylu:

– Może to znak od Boga, żeby nie całować się z kim popadnie.

Gdy się uśmiecha, jego usta wykrzywiają się w grymasie bardziej przypominającym ból niż wesołość. Nie za bardzo wiem, co powinnam zrobić. Nie jestem dobra w otaczaniu bliźnich troską.

– Potrzebujesz czegoś? – pytam i może nie brzmi to zbyt troskliwie, ale za to uczynnie. Chcę po prostu, by wiedział, że wcale nie bawi mnie jego cierpienie.

Podnosi wzrok. Na jego policzkach widać plamy gorączkowych wypieków.

– Mogłabyś położyć mi na karku swoją chłodną rączkę?

Nagle czuję się zażenowana i opuszcza mnie śmiałość.

– Ale najpierw zanurzyć ją w zimnej wodzie?

– Nie, chcę tylko poczuć jej dotyk. – Głos ma cichy i rzeczowy. Szczery. – Podoba mi się... że jest taki realny. Chyba trochę liczyłem na to, że się pojawisz, wiesz?

Problem w tym, że ja też.

Gdy go dotykam, zamyka powieki i wyciąga rękę, szukając mnie po omacku. Skórę ma suchą, wściekle gorącą. Jego dłoń parzy mnie w udo, kiedy kładzie ją na mojej nodze i pociera kciukiem miejsce tuż powyżej kolana. W świetle telewizora wydaje się zniszczony, ma zapadnięte policzki i zapadnięte oczy od conocnego imprezowania. Dotyka mnie łagodnie, ale pewnie, jak gdyby celowo.

– Musisz bardziej o siebie zadbać – oświadczam.

Uśmiecha się na te słowa. Ścisną moją nogę i nie otwiera oczu.

– Powiedziała dziewczyna, która nie sypia.

Dopiero w następnej sekundzie uzmysławiam sobie, że nawiązuje do tego, co mu wyznałam podczas rozmowy na werandzie.

– Tak, ale ja przynajmniej nie choruję.

Klepie mnie lekko i nie odpowiada. Jego znaczący uśmiech sprawia, że robi mi się głupio z powodu wygłaszanych truizmów. Od dotyku rozpalonej dłoni, która wciąż spoczywa na moim udzie, zaczynam czuć kłucie i gorąco w policzkach.

– Dlaczego cały czas to robisz? – pytam. – Upijasz się, ćpasz. Nie widzę w tym sensu.

Chowa twarz w poduszce i parska śmiechem.

– To nie musi mieć sensu. To po prostu sposób bycia.

– Bycia kim? – W moim tonie pobrzmiewają wyzwanie i wyraźna sugestia. Bycia nikim ważnym, nikim produktywnym. Nikim, kto osiąga sukces.

Chociaż głowę nadal ma odwróconą i wydaje się, że bardziej niż do mnie, mówi do obicia kanapy, słyszę go dostatecznie wyraźnie.

– Bycia tutaj, a jednocześnie niebycia.

W głosie Marshalla odkrywam nie zawstydzienie, a zaskakującą rzeczowość.

Spoglądam na jego dłoń. Jest miększa, delikatniejsza, niż ją zapamiętałam, o czystych paznokciach i długich, smukłych palcach. Moje udo pod nią wydaje się żylaste. Sprawne. Salon jest pełen mebli – niskich stolików, foteli, lamp – jak gdyby oprócz nas dwojga miało się w nim pomieścić mnóstwo ludzi.

Marshall bierze wdech, mam wrażenie, że chce coś powiedzieć, ale w tym momencie łapie go ostry atak kaszlu. Odpycha się od kanapy, siada zgięty wpół, opiera czoło o kolana. Jego twarz przybiera niepokojący fioletowy odcień, krew wydaje się zbierać pod skórą.

– Wszystko w porządku? Chcesz napić się wody?

Kręci głową, policzki nadal ma zaczerwienione, próbuje złapać oddech. Po minucie z powrotem się kładzie.

Znów przykładam dłoń do jego karku, masuję kciukiem gładką rozpaloną skórę, dotykam wgłębienia za uchem.

– Naprawdę nie powinieneś palić w takim stanie. Poza tym jeśli to infekcja dróg oddechowych, antybiotyki prawdopodobnie nie pomogą. Większość tego typu zakażeń jest wirusowa.

Wzdycha i uśmiecha się lekko, z rezygnacją.

– Waverly, przy tobie można zwariować, ale mówię to jako komplement. Poważnie.

– Mars? – Z kuchni dobiega kobiecy głos. – Z kim rozmawiasz?

– Z nikim – odkrzykuje. – To telewizor.

Do pokoju wślizguje się kobieta, ładna, wyglądająca na nieśmiałą i zbyt młodą jak na matkę trójki w większości dorosłych dzieci. Podchodzi do Marshalla ostrożnie jak do materiału radioaktywnego i pochyla się nad kanapą, żeby dotknąć jego czoła. Syn nie ułatwia jej zadania. Siostrze nie stawiał oporu, z wdzięcznością przyjął koc i dobroduszne zaczepki, ale gdy zbliża się do niego matka, wzdryga się.

– Nic mi nie jest. – Dźwiga się na łokciu, odwraca.

– Mars, skarbie, jesteś rozpalony. Przyniosę ci aspirynę.

Na jej twarzy maluje się niepokój, którego moja mama nie potrafiłaby pojąć. U mnie w domu troski świata materialnego mają drugorzędne znaczenie. Wychowano mnie w przekonaniu, że o ile jesteś w stanie przeczytać przepis na opakowaniu mieszanki na naleśniki i dosięgnąć palników kuchenki, poradzisz sobie w życiu. Nieżyt dróg oddechowych nie jest chorobą zagrażającą życiu.

Kobieta pochyla się nad synem, odgarnia mu włosy z czoła, jakby był małym dzieckiem. Marshall kładzie się bokiem na poduszkę, ale nie patrzy na mamę, wpatruje się we mnie.

A ja odchodzę. Czuję, że moja skóra staje się coraz cieńsza. Nie znoszę tego uczucia przezroczyści, znikania.

Chłopak rzuca mi błagalne spojrzenie i bezgłośnie wymawia prośbę: „Zostań”.

– Muszę iść – odpowiadam, ale gdy poruszam ustami, nie dobywa się z nich żaden dźwięk.

\*

Marshalla nie ma w szkole. Ten fakt nie powinien być najważniejszą wiadomością dnia. Muszę popracować nad bibliografią projektu z literatury, zestawem ćwiczeń z trygonometrii i nie mam czasu zajmować się czyjąś problematyczną frekwencją.

Jego ławka jest nieznośnie pusta, gdy spoglądam na nią w lusterku puderniczki.

Podczas dyżuru w gabinecie pedagoga niemal wychodzę z siebie.

Nie wiem, czy okręcać się na krześle obrotowym, przemierzać pokój tam i z powrotem, czy rwać włosy z głowy. Wypisuję więc sobie przepustkę do łazienki w zachodnim skrzydle.

Nie mam do wyznania żadnego sekretu, nie potrzebuję się wykrzyzczyć ani zostać wysłuchana. Od przedszkola nie przepadam za zwierzeniami. Mimo to po sześciokrotnym okrążeniu pustej toalety wyjmuję długopis.

Dziewczynie, która boi się, że zajdzie w ciążę od seksu oralnego, piszę:

*Poczytaj podręcznik do anatomii.*

*Albo obojętnie który numer „Cosmopolitan”.*

Wszystkim dziewczętom, które na wstępie narzekają na rzekomo najserdeczniejsze przyjaciółki o to, że kopiują ich styl / zachowania / powiedzonka / akcesoria, a następnie ogłaszają pełnym wyższości tonem:

*mogłaby już sobie darować,*

odpowiadam, parafrazując popularny film:

*Nie jesteś swoją torebką od Prady.*

Piszę to tylko raz, po czym prowadzę strzałki do poszczególnych skarg będących wariacjami na temat tego samego problemu.

Gdy czytam:

*Myślę, że Austin Greer jest moją pokrewną duszą,  
a on nawet nie wie o moim istnieniu,*

kręcę głową i odpisuję:

*To, że tak czujesz, wcale nie znaczy, że tak jest naprawdę.*

Obok mojego pierwszego wpisu ktoś dodał:

*Jestem zaburzona i jest mi z tym dobrze.*

*To najlepsza decyzja w moim życiu i nie zamierzam  
tego zmieniać dla nikogo.*

*Pilnuj swojego nosa, szmato.*

Zastanawiam się chwilę, po czym zamieszczam swoją, jak do tej pory najdłuższą i najszczerzą wypowiedź:

*Mam siedemnaście lat.*

*Nie jestem doświadczonym pedagogiem  
ani dyplomowanym psychologiem.*

*Każdy, kto nie wie, co robić,  
albo boi się i szuka pomocy, może ją otrzymać,  
ale musi o nią poprosić.*



\*

Noc jest niczym innym jak przewlekłym, nieprzerwanym ciągiem bezsennych minut. Kolejna przypomina poprzednią. Następna również.

Mijają cztery dni, odkąd Marshall leżał na kanapie, wpatrując się we mnie płonącymi, zaczerwienionymi oczami. Cztery dni, odkąd siedziałam obok niego, dotykałam jego karku, a on położył rękę na moim udzie. Cztery dni, odkąd go widziałam. I odkąd zaznałam choć odrobinę prawdziwego snu.

Wypróbowałam wszystkie tradycyjne sposoby – gorące mleko i nudne książki. Po zażyciu podwójnej dawki apapu noc stałam się otepiała i potwornie chciało mi się pić, ale ani trochę spać.

Nadal zapalam świeczkę na stoliku nocnym, jednak choćbym nie wiem jak sumiennie odliczała, nic się nie dzieje. Po dwóch bezowocnych godzinach przyznaję, że wytrwałość w tym wypadku do niczego nie prowadzi, i zdmuchuję płomień.

Poniedziałek uznałam za dzień, w którym wszystko powinno wrócić do normy. Nikt nie może chorować dłużej niż trzy doby, prawda? To niemożliwe. Nieefektywne.

Jednak jego wciąż nie ma w szkole. Na hiszpańskim robimy zadania z repetytorium, ale tylko dla zabicia czasu. Nie musimy oddawać ich nauczycielce, ponieważ wtedy musiałaby je pewnie ocenić. Czasami gdy mrugam, kontury klasy wydają się drgać i mienić. Zamiast wstawiać czasowniki z końcówką „-er”, rysuję w książce spirale.

Wspomnienie dłoni Marshalla leżącej na mojej gołej nodze żyje własnym życiem. Zakrada się niespodziewanie do moich myśli, prześlizguje między wynikami z biegów a zadaniami domowymi, żeby nagle wynurzyć się na powierzchnię i przesłonić wszystko inne.

\*

Wtorek. Wtorek jest lepszy.

I chociaż wiem, że moje względnie dobre samopoczucie tego dnia powinno być wynikiem piątki, którą postawił mi pan Aimsley za esej o Virginii Woolf, albo spotkania z Maribeth, która przed trygonometrią czeka na mnie z kawą i oznajmia, iż przekazany przeze mnie wzór na kwiaty z krepiny jest doskonały, jednak w rzeczywistości ten dzień wydaje się lepszy, ponieważ po dzwonku na szóstą godzinę lekcyjną do sali języka hiszpańskiego wchodzi Marshall. Wygląda na zmęczonego, ale przytomnego.

Obserwuję go w lusterku puderniczki i czekam, aż na mnie spojrzy. Nie robi tego. Przez przypadek nawiązuję za to kontakt wzrokowy z Borsenem, który wykorzystuje tę okazję, żeby puścić mi oko

i trącić mnie w kostkę czubkiem tenisówki. Udaję, że grzebię w torbie w poszukiwaniu gumki albo długopisu – nie potrafię zdecydować, czego konkretnie. Gdy w końcu wyciągam pudełko spinaczy, nagle wszystko wokół wydaje mi się sztuczne. Uderza mnie niepokojąca myśl, że równie dobrze cała ta klasa mogłaby być teatralną dekoracją, i niemal dostaję przez to zawrótów głowy.

Siedząca przy biurku pani Denning sprawia wrażenie osoby pogrążonej w cichej desperacji i robi mi się jej żal bardziej niż zwykle. Zastanawiam się, co mogło sprawić, że taka kobieta jak ona postanowiła zostać nauczycielką hiszpańskiego w szkole średniej. Może została objęta programem ochrony świadków albo jakiś mściwy bóg karze ją za przewinienia w poprzednim życiu. Istnieje przecież tyle innych zawodów, których wykonywanie nie wiąże się z codziennym upokorzeniem.

– Kto chciałby rozdać sprawdziany? – pani Denning pyta zboląłym głosem, przygotowując się w duchu na brak odpowiedzi.

Gdy podnoszę rękę, wydaje się zaskoczona, ale zdobywa się na blady uśmiech. Kiedy trzeba wybrać między mną a kimś innym, większość nauczycieli woli dla bezpieczeństwa postawić na pewniaka.

Idę wzdłuż rzędów, rozdając kartki.

Gdy dochodzę do Marshalla, zapach jego włosów sprawia, że mam ochotę zemdleć w uroczy, niefrasobliwy sposób, co doskonale się sprawdza w powieściach wiktoriańskich, ale w prawdziwym życiu jest raczej zupełnie niepraktyczne.

Poprzestaję więc na pogłębieniu oddechu podczas przerzucania kartek w poszukiwaniu tej oznaczonej jego nazwiskiem.

Nie oblał. W paru miejscach stracił kilka punktów za akcenty, zapomniał, że czasownik *poner* jest nieregularny.

Na samym dole pani Denning przesadnie ozdobnym pismem zanotowała: „Dobra robota :) Miło widzieć, że zacząłeś się przykładać. Jeśli mimo wszystko chcesz poprawić na lepszą ocenę, możesz zostać po zajęciach :) :)”.

Kładę przed nim sprawdzian wierzchem do dołu. Nie podnosi wzroku. Jego dłonie leżą na blacie ławki, smukłe, czyste i nieruchome. Przypominam sobie rękę Marshalla na moim udzie i zastanawiam się, czy to wspomnienie również go prześladowuje. Czy w ogóle do niego wraca.

Nie myśląc o tym, co właściwie robię, pochylam się nisko i pozwalam, żeby mój oddech owiał jego kark – wydycham powietrze długo i powoli, dopóki ciemny rumieniec, który momentalnie wypływa mu na twarz, nie zaleje mu policzków, a koniuszki uszu nie zaczną płońać.

Ruszam dalej wzdłuż ławek. Marshall zostaje za mną z oczami utkwionymi w odwróconym teście i z rozpaloną głową.

W ciągu niecałego tygodnia Autumn staje się zupełnie inną osobą. Jej metamorfozę warto by zilustrować wideoklipem z energicznym podkładem muzycznym w wykonaniu Mindless Self Indulgence albo The Offspring. Jej włosy lśnią, ubrania przywodzą na myśl panienkę z dobrego domu. Zmienił się nawet jej sposób chodzenia, ale to prawdopodobnie dlatego, że zamiast tramppek nosi buty na koturnie.

Zastaję ją przy mojej szafce, wygląda niczym łagodniejsza, bardziej różowa wersja dawnej Autumn. Cień do powiek perłowa perfekcja sprawia, że dziewczyna wydaje się zupełnie nieszkodliwa.

– Nieźle – mówię, a ton mojego głosu rzeczywiście wyraża uznanie.

Autumn stoi ze skrzyżowanymi nogami, owijając wokół palca kosmyk włosów. Kiedy jednak na jej twarz wypływa chytry uśmiech, znów wygląda normalnie.

– Zgadzam się z tobą.

W chwili gdy podziwiam jej nieposklejane tuszem rzęsy i poprawiam założoną za ucho grzywkę tak, aby przykryła kolczyki w małżowinie, w szatni pojawia się Maribeth. Rusza prosto do nas i staje między nami ze swoim najśłodszym, najbardziej fałszywym uśmiechem na ustach.

Niewinny trzepot rzęs przyjaciółki nie wróży niczego dobrego.

– Cześć, nowa koleżanko. Waverly, muszę z tobą porozmawiać. Właśnie widziałam szkice dekoracji na środek stołów, które zaprojektował CJ, i raczej nic z tego nie będzie.

Rozkładałam ręce gestem prezentera, który pokazuje uczestnikowi teleturnieju główną wygraną.

– Maribeth, to jest Autumn.

Przyjaciółka obraca się do Autumn, przygląda się jej w głębokim skupieniu.

– Okej... – W jej głosie pobrzmiewa powątpiewanie, a brwi wyginają się dramatycznie.

Autumn zakłada włosy za ucho, przysuwa się do mnie i pochyla nieco głowę. Odnoszę wrażenie, że traktuje mnie jak ochroniarza, przy którym można poczuć się pewniej, i jest to dla mnie zupełna nowość.

To ja zawsze byłam osobą działającą ludziom na nerwy – najwyższa doradczyni Maribeth Whitman, arcykapłanka świątyni wiedzy. Zaufany porucznik, szara eminencja. Dziewczyna, której trzeba przypominać, że należy się uśmiechnąć. Nierozłączna towarzyszka Maribeth. Ją uwielbiają tłumy. Mnie uwielbia tylko ona.

Teraz jednak obok mnie stoi Autumn, opiera się plecami o rząd szafek, ramieniem dotyka mojego ramienia.

Maribeth szeroko otwiera oczy i usta w przesadnym zachwycie.

– Waverly, co widzę? Zaprzyjaźniasz się i wywierasz wpływ? Na pewno dobrze się czujesz? Czyżby zepsuła się twoja płyta główna?

Autumn przybiera lekko drwiący wyraz twarzy.

– Aktualizacja danych! Waverly staje się człowiekiem!

Maribeth nie wygląda na rozbawioną.

– Gdzieś ty ją znalazła? – zwraca się do mnie. Jak gdyby Autumn była przybyszem z kosmosu i nie rozumiała naszej mowy albo nie stała tuż przy nas.

– Chodzi ze mną na treningi.

Mina Maribeth mówi sama za siebie. Można w niej wyczytać mnie więcej tyle: „No i...? Chodzi z tobą wiele innych mało znaczących osób, ale żadna z nich nie stoi tutaj i nie oddycha tym samym powietrzem co ja, więc w czym rzecz, Waverly? Oświeć mnie”.

– Ma zdolności plastyczne – tłumaczę dalej. – A ktoś musi nam pomóc z dekoracjami na stoły.

Maribeth przygląda mi się, po czym wydaje się łagodnieć.

– Och, to świetnie się składa! Wciąż mamy jedno wolne miejsce po odejściu Loring.

Mówi to pogodnie, jak gdyby wspominała o incydencie, który nie ma z nią nic wspólnego. Jak gdyby Loring z własnej woli pozbyła się funkcji w Komitecie. Zastanawiam się, jak dalece Maribeth rzeczywiście wierzy w swoje słowa.

– Idealnie – odpowiadam. – Autumn przyszlaby więc dziś wieczorem.

– Idealnie! – wtóruje mi Maribeth. I może nawet rzeczywiście tak uważa.

Bawiąc się naszyjnikami, zwraca się do Autumn:

– Robimy z wycinanek lampiony na elektryczne świeczki. Czworoboczne, może nawet pięcioboczne. Najlepiej, żeby miały motyw kwiatowy, tylko żadnych lilii.

Następnie przerzuca włosy przez ramię i zostawia nas przy otwartej szafce.

Autumn opiera się o brzeg metalowych drzwiczek, odprowadzając spojrzeniem Maribeth, która znika w tłumie.

– Co to było?

Wzruszam ramionami i prostuję podręczniki. Nie pamiętam, ile razy Maribeth nazywała mnie kosmitką, cyborgiem, geniuszem i robotem, ale po raz pierwszy wprowadziła mnie w zakłopotanie, zwracając się tak do mnie w czyimś towarzystwie.

Autumn patrzy teraz na mnie, czekając na wyjaśnienia. Czekając na coś.

Odgarniam palcami kosmyki włosów z oczu.

– A tak w ogóle, pewnie powinnam była cię spytać. Jak się masz w kwestii robienia latarni z papieru?

– Podobnie jak w kwestii wełny stalowej albo chomików miniaturowych. Powiedz, kiedy ona tak sapie, to znaczy, że język ją świerzbi, żeby komuś przypieprzyć, ale się powstrzymuje?

Przytakuję.

– Słynne westchnienie potępienia.

Autumn wybuchła śmiechem tak, jak jeszcze nikt nie śmiał się w odpowiedzi na moje słowa – serdecznie i radośnie, z głową odrzuconą do tyłu.

Dopiero w połowie drogi na salę gimnastyczną przychodzi mi coś na myśl. Może w szatni przysunęła się do mnie nie po to, żeby ochronić siebie, ale by wystąpić w mojej obronie.

\*

Zebranie komitetu do spraw nadmiaru konfetti należy do tego typu spotkań, podczas których ma się ochotę wbić sobie ołówek w oko.

Wszyscy – czyli wszyscy zaliczający się do elity naszej szkolnej społeczności – siedzą na włóchatym dywanie w domu Maribeth i kulturalnie sprzeczą się na temat doboru kolorów.

Usiłuję skoncentrować się na niezwykle atrakcyjnym zadaniu zwijania serpentyn, ale moje myśli cały czas gdzieś błądzą. Chciałabym być w łóżku, sam na sam ze świecą i fascynującą możliwością spotkania Marshalla Holta.

Zastanawiam się, czy jest może zbyt wcześnie, czy może potrzebuje więcej czasu, żeby wrócić do zdrowia. Czy czując mój oddech na szyi, zarumienił się, ponieważ to byłam ja, czy może chodzi jedynie o fizjologię i hormony i tak samo zareagowałby na oddech każdej innej dziewczyny. Staram się rozstrzygnąć, czy ten Marshall, którego spotykam w realistycznych snach, istnieje naprawdę, czy może wymyśliłam go sobie i jest efektem ubocznym moich wysiłków, aby normalnie funkcjonować. Czy on w ogóle o mnie myśli. Czy sposób, w jaki gładził kciukiem moje kolano, cokolwiek znaczy.

– Waverly, uważaj na krawędzie. Rysujesz je krzywo – upomina mnie Maribeth, a ja wracam myślami do rzeczywistości i zadania, które właśnie wykonuję.

Wycinamy szablony na ozdobne latarnie, co działa na mnie oślepiająco.

Po drugiej stronie koła, w którym siedzimy, Autumn i Hunter Pennington wymieniają się nożem do papieru. Autumn co chwilę szturcha Huntera linijką, a jemu najwyraźniej bardzo się to podoba. Podaje jej kolorową bibułę i udaje urażonego, gdy dziewczyna zachowuje się tak, jak gdyby nie była zainteresowana jego pomocą.

Przyglądam się Maribeth, staram się przewidzieć jej reakcję. W blasku wbudowanego w sufit i meble oświetlenia wydaje się spokojna i nieporuszona, kiedy jednak zerkam w bok i widzę jej odbicie w szklanych drzwiczkach witryny, minę ma żalną.

Ozdoby na stół nabierają ładnych kształtów. Wzór Autumn jest dobry, na tyle łatwy, że nawet nieprzyzwyczajeni do robótek ręcznych sportowcy radzą sobie z wycięciem i złożeniem go. Moje lampiony są zgrabne, mają precyzyjnie zaprojektowane zakładki i nacięcia. Latarnie Palmer przypominają wściekłe, zmutowane żuki. Projekty Autumn są subtelne, niemal kunsztowne. Wiem, że

zanim dzisiejsze spotkanie dobiegnie końca, Maribeth wymyśli coś, aby nakłonić Autumn do wykonania wszystkich lampionów.

Autumn postukuje w dolną wargę długopisem, lustruje wzrokiem zbiór szablonów rozłożonych na dywanie Maribeth.

– Więc jak, cała impreza będzie w tematyce ogrodowej czy tylko lampy?

– Jeszcze nie wiadomo. Wciąż się zastanawiamy – odpowiada Palmer, która wygląda na znużoną i cierpiącą bez skargi.

Ona i Kendry nie kryją swojej nieufności wobec nowej uczestniczki spotkań, ale nie odważyły się jeszcze na jawną złośliwość. W końcu Autumn zjawiła się z błogosławieństwem Maribeth. A przynajmniej bez jej sprzeciwu.

Autumn otwiera usta, prawdopodobnie po to, żeby wysunąć starannie zaplanowaną propozycję, którą nakreśliła jej w zeszłym tygodniu, ale zanim wypowiada choć słowo, odzywa się Maribeth.

– Och, ale wiecie, co mi wpadło do głowy? – Jej ton sugeruje, że dokonała odkrycia na miarę odnalezienia Świętego Graala. – Powinniśmy zorganizować ogólnoszkolne głosowanie, jak podczas wyborów do samorządu. W ten sposób ludzie będą czuli, że to również ich bal.

Jej spontaniczna propozycja jest pozornie niezobowiązująca i zarazem wielkoduszna, ale ja wiem, że Maribeth w rzeczywistości próbuje zatuszować fakt, że wciąż jeszcze nie wymyśliliśmy motywu przewodniego na bal. Że ona go nie wymyśliła.

Autumn przewraca oczami i nie kryje się z tym, a mnie zapala się czerwona lampka. Zastanawiam się, czy ona w ogóle zdaje sobie sprawę z tego, że jej drwiące miny widzą wszyscy zebrani.

– Chyba że – dodaje Kendry, zerkając na Autumn jadownicę – ktoś ma jakiś lepszy pomysł?

Dyskretnym skinieniem daję Autumn znak, żeby nie przegapiła okazji. To jest jej szansa – ulotna chwila, którą powinna wykorzystać.

Dziewczyna uśmiecha się błogo.

– Mam mnóstwo lepszych pomysłów. Tryskam nimi o każdej porze dnia i nocy. Wierście mi, nie chcecie przekazać władzy w ręce ludu. Chyba że marzy wam się zebrać trzysta głosów na motyw przewodni pod tytułem: „moja faja”.

To, co się dzieje w następnej sekundzie, absolutnie nie powinno się stać.

Dziewczyny wydają się zgorszzone, ale Hunter Pennington i Chris Webb rechoczą i trącają się łokciami w sposób, który jednoznacznie sugeruje, że byliby pierwsi do zagłosowania na wspomniany motyw.

Maribeth otwiera usta, żeby odpowiedzieć, ale Autumn przerywa jej ospałym ruchem ręki.

– Zresztą motyw może być jakikolwiek. To i tak nie ma znaczenia.

Brwi Maribeth unoszą się tak wysoko, jak gdyby zamierzały poderwać się do lotu, a ja się krzywię.

– Słucham? Motyw przewodni to podstawa całego balu.

– Chcę tylko powiedzieć, że na te imprezy przychodziłoby więcej ludzi, gdyby nie były tak obciachowe. Choć raz moglibyśmy zrobić coś porządnego, na przykład „Kultowe filmy” albo „Bohaterowie Hollywood”. Wtedy przebrania byłyby motywem przewodnim.

Maribeth siedzi sztywno wyprostowana, niewinnie mruga.

– A przebieranki nie są obciachowe? Wybacz, ale czegoś tu chyba nie rozumiem.

Autumn ciągnie dalej, zupełnie niezrażona sarkazmem ani jawną niechęcią.

– Sami pomyślcie, jeśli podamy jakiś naprawdę szeroki, ciekawy temat, ludzie poubierają się w najprzeróżniejsze stroje. Chłopaki mogliby wybierać spośród setek bohaterów i nie musieliby przychodzić w krawatach, jeśli nie mieliby na to ochoty; nie musieliby nawet zakładać marynarek. W końcu Marlon Brando rzadko kiedy grał w smokingu, prawda?

Dziewczyny mierzą ją spojrzeniem pełnym nieufności, ale siedzący naprzeciwko mnie Hunter przytakuje, jak gdyby jego zdaniem Autumn mówiła do rzeczy, a pozostali chłopcy z drużyny wydają się bardziej zainteresowani i uważni niż kiedykolwiek wcześniej, nie licząc niedawnej wzmianki o głosowaniu na różne części ciała.

Jednak Maribeth pozostaje nieprzekonana.

– Świetnie, więc wszyscy przyjdą ubrani tak samo jak co dzień? Wybacz, ale jaki w tym wszystkim sens?

– Och, sama nie wiem. Może taki, że choć raz będzie dobra zabawa?

Nie ruszam się. To dość zaskakujące, jak szybko rozmowa przybrała obrót najgorszy z możliwych. Wszyscy pozostali pilnie składają lampiony, jakby obawiali się, że nawiązanie kontaktu wzrokowego grozi natychmiastowym unicestwieniem.

CJ pochyla się nad ławą i szepcze mi do ucha:

– Ładnie dzisiaj wyglądasz – oznajmia. – Jak ta dziewczyna z filmu *Śniadanie gdzieś tam*. Jeśli przejdzie pomysł Autumn, powinnaś przebrać się za nią.

– Holly Golightly – odpowiadam automatycznie w oczekiwaniu na katastrofę, która nieuchronnie się zbliża.

Maribeth siedzi ze sztywno wyprostowanymi plecami, ledwie trzymając nerwy na wodzy. Zastanawiam się, w jakim stopniu jej wściekłość została wywołana naruszeniem obowiązującej w komitecie hierarchii, a w jakim jest ona wynikiem tego, że Hunter co chwila pociąga Autumn za kitkę.

Dziewczyna przenosi wzrok na mnie i unosi delikatnie brwi, bez słów przekazując mi wiadomość: „Dobra robota, Waverly. Plan wypalił w stu procentach”.

– Co ty na to, Waverly? – pyta na głos, jednak w jej tonie pobrzmiwa nie wahanie, lecz pewność: „Uważasz tak samo jak ja, Waverly, prawda?”.

– Moglibyśmy zrobić coś w stylu „Najdroższe wspomnienia” – odpowiadam, starając się naprowadzić Autumn z powrotem na właściwy trop.

– A może nawet coś, co nie jest tak potwornie oklepane – oświadcza Autumn. Uśmiecha się promiennie, a ja nie mam zielonego pojęcia, co ona wyprawia.

Nie potrafię nawet ocenić, czy cały ten jej występ to czysta złośliwość, czy może autentyczna próba przeforsowania pomysłu na bal, na który chciałyby pójść. Jednego jestem absolutnie pewna: Maribeth nie puści płazem braku entuzjazmu i uległości wobec niej.

Przywołuję na twarz wyraz przejęcia i zaangażowania.

– A co powiecie na motyw: „Ulotna chwila”? – Czasami trzeba zarzucić cały plan i improwizować, żeby ocalić skórę.

Przez chwilę wydaje mi się, że to jednak nie jest dobry pomysł. A jeśli nawet, to na pewno spóźniony.

Nieoczekiwanie Maribeth łagodnieje. Uśmiecha się.

– Brzmi dobrze – stwierdza. – Tak, to naprawdę dobre. Można by wtedy jako upominki rozdawać gościom miniaturowe zegarki albo klepsydry, prawda?

Aprobata Maribeth sprawia, że kwestia motywu przewodniego zostaje rozstrzygnięta w niecałe pięć minut.

Posyłam Autumn spojrzenie, którym chcę przekazać jej swoje niezadowolenie, ona jednak nie zwraca na mnie uwagi. Wróciła do składania dekoracji, jak gdyby nic się nie stało, i teraz wspiera się dłonią o ramię Huntera, z którym co chwilę wybucha krótkimi, stłumionymi salwami śmiechu.

Proszę ją, żeby pomogła mi przygotować lemoniadę. Prowadzę ją prosto do kuchni, stamtąd zaś ciągnę do sklepionego przejścia, z dala od pobojuwiska w salonie.

Stajemy naprzeciwko siebie przy bujnym bukiecie sztucznych kwiatów.

– No co? – pyta. – Och, przestań. To nic takiego, zwykła mała sprzeczka.

Niepokoi mnie, że jej zdaniem starcie tego kalibru można uznać za nieistotną utarczkę. W świecie Maribeth nie obowiązuje zasada: „co było, to było”.

Nie potrafię w dwóch zdaniach wyjaśnić, jak bardzo Maribeth angażuje się we wszystkie swoje projekty, rezygnuję więc z tłumaczeń. Opieram się o imitację kolumny doryckiej, po czym wskazuję w kierunku pokoju, w którym zostało całe towarzystwo z Hunterem włącznie.

– Zakazany owoc, Autumn.

Dziewczyna wzrusza ramionami i nie wygląda na szczególnie skruszoną.



– Musiałam. Chciała mnie wysiudać.

– I myślisz, że wieszając się na chłopaku, którego sobie upatrzyła, zwiększasz swoje szanse na to, żeby tu zostać?

Autumn nachyla się do mnie, zniża głos.

– Teraz to już są zawody. Ona nie może się mnie pozbyć, bo chce wygrać na oczach wszystkich. Zwycięstwo walkowerem nie jest w jej stylu.

Unoszę brwi. Oceniała Maribeth bezwzględnie i całkowicie trafnie.

– Może przynajmniej odpuścisz jej trochę? Przemyśl to.

– Słuchaj, teraz myślę tylko o tym, żeby wrócić do domu, wejść na serwis plotkarski i zapchać się tostami. – Pochyla głowę, zwiesza ramiona. – Waverly, co my tu robimy? To wcale nie jest zabawne.

– Wiem, że to nie jest zabawne. Nigdy nie było – odburkuję nie do końca zgodnie z prawdą. Kiedyś mnie to bawiło. W szóstej klasie.

Autumn wzdycha, opiera się łokciami o ozdobny murek.

– Mam to gdzieś. Przeproś ode mnie królową społeczników. Idę do domu.

Kuca, wyplątuje torbę ze sterty plecaków i butów zrzuconych w korytarzu. Nikt nie jest w stanie znieść monotonii planowania szkolnych imprez i szlachetnych działań na rzecz społeczności, ale świadomość, że nie jestem odosobniona w awersji do kolorowego brystolu, dodaje mi mniej otuchy, niż mogłoby się zdawać. Nawet Autumn wykazała się mniejszą wytrzymałością, niż deklarowała.

– Co robisz jutro? – pytam, chociaż nie mam w zanadrzu żadnej kuszącej propozycji. – Po treningu idziemy na zakupy. Wybierz się z nami, jeśli chcesz.

– Dobra, czemu nie. – Autumn zarzuca torbę na ramię, po czym rusza w stronę wyłożonego marmurem holu. Nagle jednak zatrzymuje się i obraca. – CJ ma rację – oświadcza. – W sprawie sukienki. Powinnaś poszukać czegoś w czerni albo granacie, z głębokim dekoltem z tyłu, łódką z przodu.

– Stawiamy na barwy kamieni szlachetnych. Maribeth dobrała już kolory bukietów, kupiła spinki i tak dalej.

Brzmi to tak, jakbym podporządkowywała się we wszystkim przyjaciółce, i wcale nie jest mi z tym dobrze. Prawda jednak wygląda tak, że pozwalam, aby Maribeth wyręczyła mnie w wyborze kwiatków na bukiet nie dlatego, że jestem jej ślepo posłuszna, ale ponieważ nic mnie to wszystko nie obchodzi. Jeśli tylko nie muszę włóczyć się po kwiaciarniach i marnować czasu w sklepach z akcesoriami, jestem gotowa na daleko posunięte ustępstwa.

Autumn uśmiecha się i kręci głową.

– Wybrała kamienie szlachetne, bo świetnie pasują jej odcienie szafirowe i turkusowe. Tobie będzie

lepiej w czymś bardziej stonowanym. W sukience absolutnie klasycznej i tradycyjnej. Wystarczy spojrzeć na taki ciuch z innej strony i proszę bardzo, niespodzianka. Poza tym przydałby ci się inny partner. U ciebie i Borsena występuje ewidentna niezgodność intelektów.

Parskam śmiechem, chociaż w piersiach czuję dziwny ucisk, jak gdyby zaczynało mi brakować powietrza. Chciałabym już być w domu, zakopać się pod kołdrą i zapalić świecę. Chciałabym być z Marshalllem.

Autumn stoi w drzwiach, patrzy na mnie bez słowa. Uśmiecha się, a mnie nie wiedzieć czemu coś ściska za gardło. Nagle marzę jedynie o tym, żeby ruszyć przed siebie i biec, biec jak najdalej.

## Pozytywka

Pierwszy dzień w szkole po chorobie zawsze jest dziwny, jak gdyby straciło się więcej czasu, niż się zdawało.

Gdy stanąłem na parkingu, budynek wydawał się większy, niż go zapamiętałem, i przez chwilę miałem wrażenie, że cały świat rośnie, rozszerza się.

Ollie przywitał mnie jednak jak zwykle, podszedł do mnie przy zachodnim wejściu, jakby czekał tam na mnie od zawsze, absolutnie pewny, że kiedyś w końcu się zjawię.

Heather chciała wiedzieć, gdzie się podziewałem i jeśli dobrze się czułem, dlaczego nie dzwoniłem. Problem w tym, że nie mogę sobie wyobrazić, żeby miała przyjść do mnie do domu i usiąść obok na kanapie. Wysyłać wiadomości albo przeglądać czasopisma, podczas gdy ja kaszlałem, spałem i oglądałem telewizję.

Choć raczej potrafię sobie to wyobrazić, ale bolą mnie od tego oczy.

Teraz czuję się już lepiej.

Zrobiłem się przezroczyty i chyba zrzuciłem parę kilogramów, ale jest lepiej.

Mam zaległości ze wszystkich przedmiotów – zaległości, których nie da rady całkiem nadrobić, ale po obiedzie posiedziałem trochę nad paroma rzeczami, nad powtórkami i zestawami zadań, które do tej pory olewałem. Chociaż z esejami i pracami zaliczeniowymi będzie trudniej, spłodziłem już jedno wypracowanie i przejrzałem *Czarownice z Salem*. Historia to totalna porażka, ale tylko dlatego, że na razie nie chciało mi się na nią spojrzeć.

Siedzę teraz przy cholernym biurku, gapię się na zadany rozdział z fizyki, ale tak naprawdę nie widzę go.

Rozpraszają mnie różne bzdury. Cały czas wracam myślami do szkatułki Annie. Była zrobiona z białej sklejki, wyłożona różową podszewką, a w środku stała plastikowa baletnica w koronkowej sukience. Po otwarciu uruchamiała się pozytywka, zaczynała wygrywać melodię, a tancerka obracała się w kółko.

Lubiłem zakradać się do pokoju siostry i otwierać jej szkatułkę. Annie nienawidziła, gdy grzebałem w jej rzeczach, ale warto było zaryzykować parę szturchnięć, żeby popatrzeć na wirującą baletnicę.

Przynosiło mi spokój. To malutkie, rzadko widywane przeze mnie pudełko, którym byłem zauroczony. Siostra wyrzuciła je jakieś dziesięć lat temu. Od tamtej pory w moim życiu nie ma spokoju.

Gaszę w końcu światło i kładę się do łóżka. Jestem zmęczony, ale nie śpiący. Chociaż żebra mam

obolałe, najgorszy kaszel już minął i przez ostatnie dni dużo spałem. Był to twardy sen człowieka odurzonego lekami i zdążyłem zapomnieć, jak się zasypia bez podwójnej dawki środka przeciwgorączkowego.

Gdy zamykam oczy, pojawia się Waverly, wkracza na scenę tandetnego teatru mojej wyobraźni. Nie pasuje tutaj, a jednak coraz częściej przychodzi – nie potrafię odepchnąć od siebie myśli o niej. I prawdę mówiąc, chociaż czuję się głupio z tego powodu, wcale nie chcę.

Ma na sobie cienką, jedwabistą bluzkę, którą czasami nosi. Być może to prawdziwy jedwab, przez co jeszcze bardziej pragnę jej dotknąć. Jej skóra wydaje się mleczna, przypomina chińską porcelanę albo ręcznie malowane lalki z Europy. Prawdziwa i nieprawdziwa. Teraz jednak mało mnie to obchodzi.

Stoi parę centymetrów ode mnie, patrzymy na siebie i nagle obraz znika. W salonie na dole rodzice wrzeszczą na siebie jak ludzie zapraszani do puszcanych w dzień programów *talk show*. Poduszka pod moją głową jest nierówna. Pościel śmierdzi papierosami i mentolowymi pastylkami na kaszel, a ja próbuję się bardziej skoncentrować.

Waverly leży na plecach, patrzy na mnie.

Gdy odpinam pierwszy guzik, krew zaczyna pędzić gwałtownym strumieniem, eksploduje w klatce piersiowej. Waverly przygryza wargi, spogląda na mnie tak szczerze i ufnie, że pragnę ją objąć i z całych sił przyłgnąć do niej, jak tonący do swojego ratownika. Zamiast tego jednak pochylam się, muskam palcami jej bluzkę, dotykam guzików. Zaczynam od góry, wypycham jeden za drugim przez dziurki, i kończę na samym dole.

Bluzka rozchyła się, odsłaniając zarys jej piersi, skraj białego koronkowego stanika. Talię ma szczupłą i Boże, ta jej skóra... Gładzę ją po policzku, a ona się uśmiecha.

Wymawia moje imię i dodaje:

– Pocałuj mnie.

Gdy pochylam głowę, żeby spełnić jej nakaz, wyciąga do mnie ręce. Kładzie dłonie na moim karku i całuje mnie powoli, jak gdyby nie chciała śpiesznymi ruchami popsuć tej chwili. Jakbym był jedyną osobą, którą pragnie całować.

W ciemności majaczą nieokreślone kształty. Mrok rozlewa się wokół mnie. Nie potrafię powiedzieć, czy jest go dużo, mało, czy umiarkowanie. Stoję w samym jego środku, zawieszona w nieznanej przestrzeni.

Zapach wydaje się znajomy, dywan pod stopami szorstki. W pomieszczeniu rozlega się cichy, nieprzerwany dźwięk, który doprowadzi mnie do szału, jeśli nie ucichnie. Nagle uzmysławiam sobie pełen wymiar całej tej sytuacji.

Mój głos brzmi ostro, przypomina przenikliwy szept, niemalże pisk:

– O Boże, powiedz mi, że nie robisz tego!

Marshall gwałtownie siada na łóżku, uderza plecami w ścianę. Naciąga kołdrę na piersi i przez chwilę słyszę jedynie jego chrapliwy oddech.

W następnym momencie dobiega mnie dźwięk przełykanej śliny. Gdy w końcu Marshall się odzywa, głos mu się łamie.

– Waverly?

Nie jestem słaba.

Nie jestem delikatna ani krucha – ani też przesadnie wstydliva – niemniej ogarnia mnie zażenowanie, czuję, jak rumieniec zalewa mi twarz.

Doskonale zdaję sobie sprawę z tego, że nie powinnam się tu znajdować. Do tej pory poniekąd byłam w stanie ignorować te wszystkie nocne spotkania. Mogłam budzić się rano i rozmyślać nad plastikowymi zapalniczkami, niebieskimi koszulkami czy liśćmi na stopach; mogłam wmawiać sobie, że to nie ma większego znaczenia albo że wszechświat jest tajemniczy. I że nic z tego nie zdarzyło się naprawdę.

Jednak to, co się tu dzieje, to obrzydliwa, niezaprzeczalna prawda i przez sekundę stoję nieruchomo pośrodku pokoju, obejmuję się ramionami i czuję się jak mała, zagubiona dziewczynka.

Marshall siedzi oparty o ścianę, z kolanami podciągniętymi pod brodę. Żadne z nas się nie rusza. Po chwili moje oczy przyzwyczajają się do ciemności.

– Nie możesz tu być – szepcze Marshall i trudno powiedzieć, czy ma na myśli to, że nie powinno mnie tu być, czy to, że nie wierzy w moją obecność.

Podchodzę do łóżka, powłócząc nogami po dywanie, stopą odsuwam na bok porozrzucone książki i poniewierające się skarpety.

Zatrzymuję się przy rogu materaca, po czym siadam. Pościel jest ciepła i miękka. Przenika ją zapach dezodorantu Old Spice i włosów Marshalla – intensywna, aromatyczna woń dymu, od której napręża mi się skóra.

– Jak ty to robisz? – szepcze i cofa się przede mną, przyciskając plecy do ściany.

Przesuwam się głębiej, opieram o wezglowie. Gdy ocieram się ręką o jego ramię, głośno wciąga powietrze. Jest bez koszulki.

– Czego chcesz, Waverly?

Przestaję się wiercić. Jego głos brzmi niepewnie, niespodziewanie smutno.

Siedzimy bez słowa w ciemności, nie poruszamy się, nie dotykamy. Materac jest gąbczasty, zapadnięty pośrodku, a ja nigdy wcześniej nie czułam się tak wyzwolona, nigdy nie siedziałam na łóżku chłopaka razem z nim w środku nocy, mając na sobie jedynie piżamę. Nigdy dłoń nie paliła mnie tylko dlatego, że przed chwilą dotknęłam jego nagiego ramienia.

– Chcę, żebyś mnie pocałował – mówię, ale brzmi to źle: nieśmiało i cicho, jak gdybym tak naprawdę tego nie chciała. To jednak tylko pozory. W rzeczywistości, gdy wymówiłam te słowa na głos, uświadomiłam sobie, że w życiu niczego bardziej nie pragnęłam.

– Nie mogę – odpowiada.

– Dlaczego?

– Czy to ma być jakiś żart? – Głos znów mu się łamie, jakby brakowało mu tchu. – Dziewczyny jak ty nie są dla takich jak ja.

Przez chwilę milczę. Potem nachylam się i szepczę mu do ucha:

– Ale w nocy nie jesteśmy sobą. Możemy robić, co chcemy.

Odwraca twarz do ściany.

– Tak? W takim razie to jest żalosne. Tanie: głupia, tania fantazja. – Krzyżuje ręce, jak gdyby chciał się ochronić. W jego głosie pobrzmiewa gorycz.

Ja natomiast jestem w stu procentach zadowolona z tej fantazji i gotowa się jej poddać.

Obejmuję go za szyję i całuję.

Temperatura naszych zwartych ciał jest bliska wrzenia. Gdy przyciskam swoje usta do jego warg, przez chwilę mam wrażenie, że nie zniosę tego, że każda kolejna sekunda stanowi zagrożenie dla mojej integralności i może skończyć się implozją.

Owszem, całowałam się już wcześniej – podczas szkolnych balów i innych oficjalnych imprez – ale były to długie, nieciekawe pocałunki, których nic nie podsycalo, które z niczym się nie wiązały. Tak jak teraz całuję się po raz pierwszy w życiu.

Marshall siedzi i pozwala mi przejąć inicjatywę. Jego miękkie usta się nie rozchylają. Daje mi do

rozumienia, że to moja decyzja, to ja pierwsza podjęłam działanie i wzięłam na siebie ryzyko. Ryzyko odrzucenia.

Odsuwam się, zdyszana i oszołomiona. Czyli przez cały ten czas, gdy myślałam, że to, jak na mnie patrzy, może coś znaczyć... myliłam się.

W następnej sekundzie Marshall kładzie dłoń na mojej ręce i oddaje mój pocałunek.

Nie całujemy się jak w filmach czy w książkach. On nie porywa mnie w objęcia, nie rzuca na łóżko, zaślepiony pożądaniem i niezaspokojeniem. Przygarnia mnie do siebie powoli, delikatnie. Dłonie Marshalla, duże i ciepłe, wsuwają się pod moją bluzkę od piżamy. Jego usta smakują pastą do zębów.

Tors ma gładki, dotykam go i popycham z powrotem pod ścianę, klękam nad nim. Wtedy on przesuwając nogę tak, żeby jego udo znalazło się między moimi kolanami, i teraz trudno już powiedzieć, do kogo należy inicjatywa.

Nigdy wcześniej nic nie zelektryzowało mnie tak bardzo, jak poczucie, że jego usta idealnie pasują do moich. Gdy nie potrafię już więcej znieść, zsuwam wargi po jego szyi, muskam jego tors, schodzę coraz niżej.

On natychmiast chwytając mnie za ramiona i odpycha.

– Nie powinniśmy tego robić.

– Dlaczego? Czy nie o tym śniłeś?

Gdy odpowiada, jego głos brzmi ostro i tęsknie.

– Nie.

Kłamie, a jednocześnie mówi prawdę. Nieważne, czy mu się podobam, czy nie, czy obserwował mnie kiedyś w korytarzu i marzył, żeby mnie dotknąć. Teraz nie ma to żadnego znaczenia.

Liczy się tylko realność tej chwili – moje dłonie na jego nagich ramionach, moje ciało w miejscu, w którym z punktu widzenia prawdopodobieństwa nie mogłoby się w żaden sposób znaleźć. Liczy się fantazja, która nie powinna się urzeczywistnić.

Jego brzuch porastają włosy, ale nie ma ich wiele. Schodzą cienką linią w stronę bokserów, gdzie gęstnieją. Ruszam ich śladem, pozwalam palcom odnaleźć pasek od spodenek. Mięśnie jego brzucha drżą i szarpiają się, gdy dotykam bioder.

Myślałam o tym. Rozważałam to bardzo hipotetycznie. Waverly z przyszłości rozbiera się dla swojego hipotetycznego chłopaka z przyszłości – w dojrzałym, pseudodorosłym świecie, może na studiach, ponieważ Waverly z teraźniejszości nie ma czasu zajmować się doskonaleniem sztuki miłości ani zastanawiać się, czy jest w ogóle na to gotowa. Waverly z teraźniejszości rozmyślała jedynie, czy pozwolić Borsenowi na niewinny pożegnalny pocałunek.

Ciało Marshalla nieruchomieje pod moją ręką, jak gdyby wstrzymał oddech.

Prostuję się, ale nie cofam dłoni.

– Chcesz, żebym przestała?

– Nie – odpowiada, leżąc płasko na plecach i opierając ręce na moich udach. W jego głosie słychać tyle skruchy, że niemal mnie to rozśmiesza. „Nie powinniśmy tego robić, ale nie przestawaj”.

Nigdy wcześniej nie dotykałam chłopaka – nie w ten sposób. Nigdy o tym nie rozmyślałam zbyt wiele, nawet kiedy nocowałam u koleżanek i w żartach schodziłyśmy na sprośne tematy. Żenujące erekcje ósmoklasistów podczas zajęć wychowania fizycznego nigdy nie robiły na mnie większego wrażenia.

Marshall ściska moje uda, dyszy, jakby z trudem łapał oddech. W następnej chwili przetacza się, siada, chwyta mnie i przyciąga mocno do siebie.

Jego wargi parzą mnie w szyję i sprawiają, że w moich żyłach rozchodzi się błyskawica. Wreszcie przychodzi pora na kulminację, gorączkową, troskliwą. Szarpie się z moimi spodniami od piżamy, ściąga je z bioder i ud, dotyka mnie, a ja ujmuję jego twarz między dłonie, pragnąc poczuć miętowy smak jego ust, pragnąc go pocałować i to nie dlatego, że tęsknię do czyichś pocałunków.

Tęsknię do jego pocałunków.

\*

Mam problem.

Nie jest to problem teoretyczny. Nie chodzi o to, że poniekąd przystałam na monogamiczny związek z Borsenem, podczas gdy jedynym człowiekiem, o którym potrafię myśleć, jest Marshall Holt.

Nie chodzi o to, że Autumn Pickerel okazuje się aniołem zniszczenia, którego pomogłam stworzyć, a następnie uwolniłam, teraz zaś stoję z boku i przyglądam się, jak obraca w perzynę znaną nam rzeczywistość. Nie chodzi o to, że zbliżają się zawody regionalne i sprawdzian z trygonometrii, a zeszła noc była jedyną, którą przespałam w ciągu ostatnich kilku miesięcy.

Z boku szyi mam ogromną, gigantyczną malinkę.

Fioletowo-czerwoną, kształtem przypominającą nieco Hiszpanię. Jest na tyle duża, że z powodzeniem mogłaby się ubiegać o status autonomicznego kraju. Gdy arteria szyjna pulsuje mi w szyi, malinka wydaje się oddychać.

Wpatruję się w lustro nad komodą. Nie istnieje puder na tyle kryjący, żeby był w stanie zamaskować to kłębowisko popękanych naczyń włosowatych. Całkowita katastrofa.

Zawsze funkcjonowałam bardziej w świecie abstrakcji niż konkretnego. To zupełnie normalne, że noce wydają mi się realniejsze niż dni.

Zamykam oczy, próbuję powiązać wszystko w całość. Pewnej nocy, niespełna dwa tygodnie temu,



zapalam świeczkę i kładę się spać. Budzę się oblepiona zgniłymi liśćmi. Od tamtej pory bywają chwile – zwykle gdy jestem pod wpływem dużej ilości kofeiny albo zaczynam się czuć we własnym ciele jak w pułapce – kiedy dystansuję się od całej tej sytuacji. Zadaję sobie pytania: „Jak to możliwe? Czy jestem przy zdrowych zmysłach?”.

Malinka jest jednak prawdziwa, wrażliwa na dotyk. Nie jest żadnym niesamowicie sugestywnym snem. Nie jest plastikową zapalniczką, którą wręczył mi znany z widzenia chłopak. Jest prawdziwa i przypomina o tym, że całowałam się z Marshalllem Holtem i obściskywałam się z nim jak obłąkana. I że było to coś wyjątkowego.

Stoję przy komodzie, wpatruję się intensywnie w swoje odbicie, jak gdybym siłą wzroku mogła przywrócić dawny stan rzeczy, mogła przywołać dawną Waverly, porządną i poukładaną. Albo przynajmniej sprawić, że malinka zniknie.

Nic z tego. Skóra pozostaje ewidentnie zaczerwieniona.

Na dnie szkatułki z biżuterią leży lśniąca opaska na szyję, którą babcia kupiła mi na zakończenie siódmej klasy. Nie pasowała do szorstkiego stylu bycia i kłóciła się z moim ogólnym poczuciem estetyki, teraz jednak kryształ górskie mrugają do mnie z pudełka, jakby chciały powiedzieć: „Weź nas, załóż nas. Od tego jesteśmy”.

Opaska jest nieznośnie ozdobna, pokryta neowiktoriańskim filigranem. Gdy zapinam ją na szyi, dziewczyna patrząca na mnie z odbicia nagle wydaje się zadziwiająco autentyczna. Jest delikatna i niewinna – subtelna, jak to ujęła Autumn. Nigdy wcześniej nie wyglądałam bardziej prawdziwie.

Godziny lekcyjne ciągną się bez końca.

Każdą dziesięciminutową przerwę spędzam, guzdrając się przy swojej szafce i czekając na jakiś znak, jednak Marshall przez cały czas stoi obrócony plecami do mnie.

Gdybym mogła zobaczyć jego twarz, prawie na pewno potrafiłabym zgadnąć, co myśli. Wyczułabym, czy unika mojego wzroku, ponieważ dokładnie wie, co wydarzyło się między nami, czy może nie patrzy na mnie, ponieważ tak naprawdę w ogóle się nie znamy i nic nas nie łączy.

Jednak nawet gdy wspinam się na wyżyny racjonalizmu, wiem, że ta druga ewentualność nie wchodzi w rachubę. Pod opaską ślad na mojej szyi ciemnieje niczym znamię.

Dlatego spoglądam na drugi koniec szatni i czekam na dzwonek. Marshall tymczasem niezmiennie stoi do mnie tyłem i pogrążony w rozmowie z Olliem Poe, ignoruje mnie niemal ostentacyjnie.

Wydaje się, że Maribeth wybaczyła mi wydarzenia zeszłego popołudnia. Łaskawie puściła w niepamięć nieszczęsną dyskusję z Autumn, a przynajmniej postanowiła ukryć swoje niezadowolenie i oszczędzić je na późniejszą okazję. Gdy spotykamy się pod szafkami, mierzy mnie szybkim

spojrzeniem, ale nie komentuje opaski, którą założyłam.

Wręcza mi za to pół czekoladowego batonika i przez następne pięć minut raczy mnie przezabawną opowieścią o Palmer pragnącej znaleźć buty na koturnie, które idealnie leżałyby na jej stopach, choć przecież powszechnie wiadomo, że takich butów nigdy się nie znajdzie. Szczebioczemy o kolorowej lamecie i mimo iż głos mam ostrzejszy niż zwykle, z boku mogłabym się wydawać nadzwyczaj radosna i beztroska.

W porze lunchu idziemy do knajpki Mały Syczuan, gdzie za siedem dolarów można kupić dwudaniowy zestaw obiadowy. Tablica zawieszona na tylnej ścianie głosi, że mamy do wyboru trzydzieści siedem potraw, wszystkie serwowane w styropianowych pojemnikach i skandalicznych porcjach.

Maribeth zwykle zawetowałaby chińszczyznę, ale kiedy dzisiaj wychodzę z tą propozycją, przytakuje z powagą, jak gdyby się o mnie martwiła.

Dzień wydaje się pogodny. Mam wilczy apetyt na coś tłustego i supersłonego. Przyjaciółka nie czyni żadnych pogardliwych komentarzy na temat dzisiejszego menu nawet w chwili, gdy otrzymujemy zamówione dania i jej potrawa wygląda jak skąpana w smarze.

Wracamy do szkoły, przytrzymując płaszcze szarpane wiatrem.

– Hej, idziemy po zawodach do galerii na zakupy, prawda? – rzuca Maribeth. Zwalnia kroku, po czym zupełnie się zatrzymuje. – Pomyślałam sobie, że Autumn mogłaby wybrać się z nami.

Zdanie wisi w powietrzu przez jedną ulotną sekundę, zanim rozplywa się, ginie na wietrze. Nie wiem, co odpowiedzieć.

Maribeth niepewnie wzrusza ramionami i odwraca wzrok.

– Oczywiście, jeśli będzie chciała.

Przytakuję, usiłując wyglądać na zamyśloną, ale w głębi duszy jestem pod wrażeniem. Autumn wiedziała, co mówi, stwierdzając, że Maribeth nie uznaje zwycięstw walkowerem.

Jesteśmy w połowie trawnika. Kolejny silny podmuch wiatru podrywa z ziemi chmurę niedopałków i papierków, żeby szurnać nimi po parkingu. Niebo spowijają zbite, jednolicie szare chmury.

Gdy przestępuję nad rozmokłym pudełkiem po frytkach, moją stopę przeszywa ból. Jeśli uczucie w podbiciu nie przestanie przypominać oddzierania mięśni od kości, będę musiała pójść do kogoś z trenerów – ale dopiero w ostateczności. Odkąd Molly Bruin, lekarz medycyny sportowej, zaczęła zbierać artykuły na temat nadmiernego wysiłku rujnującego zdrowie młodocianym lekkoatletom, uwielbia sadzać ludzi na ławce rezerwowych „w celu regeneracji sił”. Wizyta u niej na pewno nie skończyłaby się dobrze.

Maribeth nachyla się do mnie i uśmiecha się porozumiewawczo.

– A jak tam sprawy z Borsenem?

– Dobrze – odpowiadam, usiłując nadać swojemu głosowi radosny, frywolny ton. Jakbym w ogóle o nim myślała. – Naprawdę dobrze.

Chcę jedynie zaspokoić jej ciekawość, ale gdy tylko wypowiadam te słowa na głos, ogarnia mnie autentyczne, radosne podniecenie. Rumieniec w przyпіływie emocji zalewający mi twarz jest prawdziwy. Myślami znów jestem w ciemnościach z Marshalllem Holtem.

Dwadzieścia cztery godziny temu byłam inną dziewczyną. Nie myślałam o seksie, chłopakach ani nagich ciałach, ale teraz wzmianka na ten temat jest kusząca – otwiera pole do ciekawych rozważań. O tym, jak go całowałam i jak zuchwała się czułam. O tym, że bez mrugnięcia zrobiłabym to raz jeszcze. I że cały czas pragnę zerwać z niego ubrania zębami.

Maribeth przygląda mi się uważnie.

– O mój Boże, Waverly! Masz see-kret. – Ostatnie słowo niemalże wyśpiewuje. Otwiera szeroko oczy, a ja zakrywam ręką szyję, chociaż mam przecież założoną opaskę.

Na boisku futbolowym mażoretki ćwiczą przed zawodami regionalnymi. Skandują jednym głosem energiczną przyśpiewkę, którą zwykle zagrzewają do walki szkolnych sportowców, i Maribeth zaczyna recytować w tym samym rytmie:

– Waverly ma see-kret, tak, tak, sekret ma!

– Nie, nie mam.

Przyjaciółka wyciąga rękę i wsuwa swoją dłoń w moją.

– Dobrze, nie musisz mi teraz niczego opowiadać, ale daj spokój, naprawdę myślałaś, że się nie zorientuję?

Zawsze chce mnie trzymać za rękę, a ja często wtedy czuję, że brakuje mi tchu – jakbyśmy wypadły za burtę, Maribeth oplotła mnie całą sobą i pociągnęła na dno. Nie znoszę kłamstwa, splatam więc moje palce z jej palcami i oddaję uścisk.

Przyjaciółka przywiera do mnie ramieniem, zadziera głowę i patrzy w zachmurzone niebo.

– O mój Boże! Czy nie masz ochoty zwariować ze szczęścia?

Przez chwilę nie potrafię wymyślić nic, co chciałabym jej odpowiedzieć. Mażoretki na boisku maszerują w dresach i różnokolorowych czapkach. Przypominają nakręcane zabawki.

– Waverly... Waverly, co z tobą? Nie wariujesz z radości? Dlaczego wyglądasz, jakbyś się niczym nie przejmowała?

Mażoretki obracają się, tworząc zawily szyk, a ja kręcę głową.

Czy możesz powtórzyć pytanie?

Wypuszczają nas wcześniej z siódmej lekcji ze względu na zawody. W szatni Autumn podchodzi do mnie, jak gdyby moje towarzystwo było dla niej najbardziej naturalną rzeczą na świecie. Ma na sobie sweterek tak różowy, jakiego w życiu nie widziałam, i po części czuję ulgę, że nie wróciła do szalonej fryzury i makijażu w stylu Kleopatry. Nadal gra rolę pomocnej członkini komitetu. Trudno mi tylko określić, czy sweter, który włożyła, to ironiczne przejawskrawienie, czy może naprawdę w ten sposób postrzega Maribeth. Oraz mnie.

– Elegantka dzisiaj z ciebie. – Skinieniem głowy wskazuję jej opaskę w pepitkę.

Autumn rzuca na ziemię torbę i szkicownik, po czym zrywa ze stóp koturny, które lądują obok pozostałych rzeczy.

– Wzajemnie razy sto. Powinnaś nosić więcej biżuterii. Pasuje ci.

Wokół nas panuje gorączka przygotowań, dziewczyny biegają tam i z powrotem z taśmami kinezyjologicznymi i szczotkami do włosów. W przeciwległym rogu Palmer rozciąga się, ćwicząc pozycje jogi, i z zamkniętymi oczami wyciąga rękę do sufitu.

Przesuwam palcami po opasce na szyi, wyobrażam sobie pogryziony fragment skóry, który zakrywa. Nie wolno nosić biżuterii podczas zawodów. Malinka tak czy inaczej musi więc wyjść na światło dzienne.

Gdy zdejmuję opaskę, nie robię tego ostentacyjnie. Autumn nie odzywa się ani słowem, ale niemal czuję, jak jej mózg pracuje, starając się obmyślić sposób, w jaki odnieść się do śladu na mojej szyi. Uśmiecham się, ponieważ z uśmiechem na twarzy wyglądam niewinniej, i czekam na pytanie, które może paść w każdej sekundzie.

– Waverly.

Mówi to takim tonem, że w dole pleców czuję ciarki. Przyciskam palce do miejsca nad obojczykiem, po czym znów je cofam.

– Waverly.

– Co? – Głos mam niepewny, zdezorientowany, niemal jak osoba wyrwana z drzemki.

Autumn obejmuje mnie, ściska mocno, kołysząc mną na boki, po czym wypuszcza z objęć, wybuchając śmiechem i odwraca się.

– Waverly – oznajmia. – Wydajesz się szczęśliwa. Do cholery, chyba zaczynasz topnieć.

W autobusie wiozącym nas na bieżnię Dove Creek siadamy obok siebie, Autumn podaje mi jedną ze swoich słuchawek i razem słuchamy muzyki, podczas gdy wszyscy wokoło piszczą i się śmieją.

Nie znam piosenek, które mi puszcza, ale melodie wpadają w ucho. Opieramy się o siebie ramionami, kiwamy głowami w rytm muzyki. Tak samo robiłyśmy z Maribeth, gdy byłyśmy młodsze, ale z jakiegoś powodu przestało mi to sprawiać przyjemność. Teraz jest mi przyjemnie.

Autumn wygląda przez okno i patrzy na mijające nas samochody. Nie ciągnie mnie za język, żeby wydobyć więcej informacji, nie obchodzą jej plotki ani nie chce wiedzieć, skąd się wzięła na mojej szyi malinka wielkości kontynentu.

Dopiero w połowie drogi przez miasto dociera do mnie dlaczego. Autumn nie milczy w sprawie malinki z uprzejmości czy przez życzliwość. Po prostu pochodzi z tej odległej kategorii społecznej, w której całowanie się i macanie jak wygłodniałe zwierzęta uznaje się za coś normalnego.

\*

– Nie możesz tego włożyć – stwierdza Autumn.

Zawody, ogólnie rzecz biorąc, zakończyły się kompletną porażką.

W klasyfikacji generalnej uplasowałam się na czwartej pozycji. Miałabym lepszy czas, gdyby nie stopy, które bolały jak dźgane nożem. Autumn nie otarła się nawet o punktowane miejsca.

Teraz jesteśmy w galerii handlowej i stawiam czoła swojemu karykaturalnemu odbiciu wystrojonemu w atłasową, sięgającą podłogi kreację.

Jest to czwarty sklep, który odwiedzamy, i z każdą zakończoną niepowodzeniem wyprawą coraz bardziej zaczynam przyzwyczajać się do myśli, że Autumn zna się na modzie. Jej bezładne fryzury i mało wyszukane podkoszulki nigdy nie sprawiały wrażenia szczególnie modnych, jednak obojętność wobec stroju noszonego w szkole nie przekłada się w jej przypadku na bierność wobec przejawów mody w rzeczywistości pozaszkolnej. Jeśli chodzi o suknie wieczorowe, Autumn ma zdecydowanie wyrobiony gust.

Moje odbicie posyła jej surowe, rozdrażnione spojrzenie.

Dziewczyna wytrzymuje mój wzrok i odlicza na palcach.

– W tym momencie należy zadać parę podstawowych pytań. Po pierwsze, kim jesteś? Po drugie, co robisz w tym czymś? Po trzecie, pytam poważnie: kim jesteś? Po czwarte, ile zajmie ci zdjęcie tego czegoś?

– Wszystko przez te bukietki – mówię, usiłując zachować spokój. – Jarmarczne kompozycje ze storczyków. Muszę mieć coś, co pasuje do koloru fuksjowego.

– Gównu mnie to obchodzi. Występujesz przeciwko elementarnym zasadom doboru kolorów tylko ze względu na parę kwiatków, które kosztują dwadzieścia dolarów. Nie zamierzam patrzeć na to, jak się upokarzasz, wkładając tę kieckę.

Powłócząc nogami, ruszam w stronę przebieralni, gdzie usiłuję wyswobodzić się z sukienki. Materiał jest chłodny i śliski. Prawdopodobnie już po minucie nie wytrzymałabym i zdarłabym go z siebie.

Gdy wynurzam się z przymierzalni, zastaję sklep w takim samym stanie, w jakim go opuściłam. Niestety nie splonął ani nie wyleciał w powietrze.

Szarpnięciem zdejmuję z wieszaka różową sukienkę w fasonie princeska i podnoszę wysoko, chociaż wiem, że nie ma mowy, abym ją kiedykolwiek włożyła.

– Co sądzisz o tym?

Autumn stoi w dziale „odzież wierzchnia zimowa”, przez rękę trzyma przewieszony czarny strój.

– Sądzę, że trąciłaby pornografią. Nie szkodzi, znalazłam już wszystko, czego ci trzeba. Czeka na ciebie, aż będziesz gotowa zejść z drogi występku i skierować się w stronę światła.

Sukienka, którą mi pokazuje, jest czarna, pozbawiona rękawów, z dekoltem w kształcie łódki, z tyłu zaś z rozcięciem: dokładnie tak jak Autumn zapowiadała. Nie przypomina żadnej z kreacji, na które Maribeth kiedykolwiek zwróciłaby uwagę w katalogach, ale gdy tylko ją wkładam, wiem, że nie będę już siebie widziała w niczym innym.

Wyglądam jak ja, ale lepiej. Waverly w wersji wyrafinowanej. Ramiona proste i precyzyjne, plecy gładkie, dopasowane – niezbyt twarde, niezbyt miękkie, takie w sam raz.

Autumn posyła mi uśmiech w kolorze różanych pąków. Uśmiech osoby, która mistrzowsko opanowała sztukę dobierania odcieni błyszczyka.

– Proszę – mówi łagodnie, czule. – Prawda, że lepiej?

Obok niej staje Maribeth, trzymając na ręku żółtą atłasową pomyłkę, którą, jak przypuszczam, wybrała dla mnie.

– Jest dość... prosta – oświadcza, marszcząc lekko brwi i posyłając mi zmartwione spojrzenie.

Autumn wyciąga dłoń, odsuwa mi włosy z czoła i przygląda się uzyskanemu efektowi.

– Czy chcesz przez to powiedzieć, że Waverly nie wygląda w niej jak obłąkana łyżwiarka figurowa z obsesją na punkcie brokatu? Bo jeśli tak, to jasne, masz absolutną rację.

Maribeth otwiera usta. Policzki ma zarumienione i mierzy mnie zatroskanym wzrokiem, ale na starannie podtrzymywanej fasadzie pojawia się nagle rysa. Przez ułamek sekundy widzę wrzącą pod spodem złość.

Mimo to przyjaciółka nie dyskutuje, ponieważ przygotowując projekt z wiedzy o społeczeństwie w ósmej klasie, obydwie czytałyśmy ten sam artykuł na temat retoryki i funkcjonowania mózgu – otwarty sprzeciw wywołuje reakcję typową dla sytuacji zagrożenia, a wtedy jakiegokolwiek perswazje nie mają już najmniejszych szans.

Zdejmuję sukienkę i idę z nią do kasy.

Gdy mój nowy nabytek spoczywa w torbie bezpiecznie zawinięty w bibułkę, przenoszę uwagę na Autumn. W końcu ktoś musi pilnować, żeby nie wpadła w amok, nie zaczęła terroryzować innych klientów ani wszczynać utarczek z Maribeth.

Ruszam za nią na dział wyprzedaży, gdzie błędę wśród czerwonych metek z ceną i zagonów

poliestru.

– Po co tu przyszłaś? – pyta Palmer, wyrastając za naszymi plecami. – Skoro niczego nawet nie chcesz przymierzyć?

Autumn patrzy na nią wzrokiem pełnym samozadowolenia.

– Potraktuj to jako działalność społeczną. A sukienkę sama sobie szyję.

Zwykle przyznanie się do rękodzielniczych aspiracji wywołałoby wymianę pełnych politowania spojrzeń, ale Autumn dała się już poznać jako utalentowana plastyczka. Jej ozdoby zrobiły pewnego rodzaju wrażenie nawet na Maribeth.

Przyjaciółka opiera się o stojak z przecenioną odzieżą i bawi się naszyjnikami.

– Naprawdę? A w jakim będzie stylu?

Autumn uśmiecha się i odwraca.

– To tajemnica.

Wiem, że pozostałe dziewczyny umierają z ciekawości. Palmer i Maribeth nie uznają sekretów w naszym gronie. Nawet najbardziej obleśne, najbardziej nikczemne tajemnice są tak naprawdę dobrze znanymi nam wszystkim faktami.

Jednak w tym momencie z przymierzalni wychodzi Kendry w tragicznej kreacji z cienkich splecionych pasków ozdobionych kryształami górskimi.

– Ile w niej widać?

Autumn przekrzywia głowę, przyglądając się koleżance.

– Wszystko. To znaczy poczekaj: masz na myśli takie abstrakcyjne pojęcia jak dobry gust czy powaga? Bo tego akurat nie widzę. Za to twoje cycki: w całej okazałości.

Kendry zamiera w siatce z nitek, rękami zakrywa piersi. Spodziewam się wybuchu, ona jednak jest już w odwrocie, odpina sukienkę, szamocze się z ramiączkami.

Palmer obraca się i macha w kierunku Autumn ordynarnie wzorzystą sukienką mini.

– Co z tobą? Jezu, jesteś jadowita jak żmija!

Autumn wzrusza ramionami, po czym leniwym, niemal tanecznym ruchem obraca się lekko i unosi rękę.

– Jeśli nie chciała usłyszeć, że ma wszystko na wierzchu, to nie powinna pytać ludzi o zdanie w chwili, gdy ma wszystko na wierzchu.

Wyrazu, jaki maluje się na jej twarzy, nie powstydziałaby się żadna Madonna, która wyszła spod dłuta renesansowego mistrza.

Po przygnębiającej rewii mody wieczorowej Kendry i Palmer przypuszczają natarcie na sklepy

obuwnicze, Autumn ulatnia się do magicznej krainy, którą zamieszkuje w czasie, gdy akurat nie bawi się ze mną w samorząd uczniowski, a ja i Maribeth idziemy coś zjeść.

Mam ochotę pobyć w kojącej ciszy, ale przyjaciółka woli omówić zaliczenie z chemii, menu zaplanowane na bal oraz ostatni podbój Palmer i rozstanie, które nastąpiło wkrótce potem. Między nami dalej jest tak samo jak wcześniej, nic się nie zmieniło. Powinno mi pochwlebiać to, że Maribeth wybiera do tych rozmów mnie, a nie kogoś innego.

– Tak czy inaczej Logan był beznadziejny – stwierdza, bawiąc się włosami.

Wypowiada się autorytatywnie, jak gdyby Palmer niczym się nie różniła od niej czy ode mnie, a nasze potrzeby i pragnienia były identyczne. Jak gdyby czymś oczywistym było to, że muszę mieć jakiegokolwiek zdanie na temat krótkotrwałych związków Palmer i jej byłych chłopaków.

– Nie pasował do nas – kontynuuje przyjaciółka z powagą i wiem, że ma na myśli ogromną przepaść, która dzieli pełne aspiracji członkinie samorządu uczniowskiego i mniej ambitnych chłopaków z drużyny lacrosse. A może nawiązywała jedynie do bezceremonialnego nawyku Logana, który poprawia się w kroczu przy wszystkich.

Maribeth najwyraźniej zauważa moje rozkojarzenie. Nachyla się do mnie, zniża głos do konspiracyjnego szeptu.

– Powiedz, jak wygląda sukienka Autumn?

– Nie wiem. Nie dopuściła mnie do tajemnicy.

– Och, a ja myślałam, że jesteście teraz najlepszymi przyjaciółkami.

Mówi to lekko, jakby naprawdę uważała, że przyjaciółki można zmieniać jak rękawiczki i że można mieć tylko jedną naraz. Że mogłabym zastąpić ją kimś obcym.

Odwracam wzrok i piję koktajl mleczny, doskonale zdając sobie sprawę z tego, że wolałabym teraz siedzieć w knajpcie i popijać koktajl z Autumn.

– Nie. Chodzimy razem na treningi, to wszystko.

Maribeth przytakuje, przenosi spojrzenie na stojak z okularami przeciwsłonecznymi i stadko rozwrzeszczanych dzieci szalejących na sali zabaw. W następnej chwili kładzie dłoń na mojej ręce i patrzy na mnie szeroko otwartymi oczami.

– Dobrze, to może przynajmniej opowiesz mi o nocy pełnej dzikiej namiętności?

– O czym ty mówisz?

– Waverly, masz malinkę! Szkoda, że nie widzisz teraz swojej miny. To mina osoby skrywającej przed światem swoje rozwiązłe oblicze! Chyba nie powiesz mi, że CJ aż tak skutecznie podbił twoje elektroniczne serce?

Wypuszczam z ust słomkę, po czym przytakuję skinieniem głowy.



To głupie kłamstwo. Skandaliczne, ale mimo wszystko potwierdzenie wersji Maribeth wydaje się znacznie mniej problematyczne niż zaprzeczenie.

Jeśli Maribeth postanowi zbadać sprawę, prawda natychmiast wyjdzie na jaw, ale nie sądzę, żeby do tego doszło. Przyjaciółka nie skonfrontuje mojego oświadczenia z Borsenem – takie zachowanie uznałaby za niestosowne. Bardziej prawdopodobne jest to, że opowie o wszystkim Hunterowi, gdy wybiorą się razem do kina albo umówią na wspólne odrabianie lekcji czy przy innej tego typu okazji.

Tyle że Huntera zapewne nie bardzo obchodzi, kto kogo i w jakich okolicznościach gryzł w szyję, jeśli jedną z tych osób nie był on sam.

A do tego Autumn wydaje się niezwykle sprawnie zawłaszczać niektóre sfery życia Maribeth, z jej chłopakiem włącznie.

## Otępiały i głodny

Przez większość czasu umieram z głodu. Na lekcjach, na przerwach, późnym wieczorem, gdy wszyscy już zasną. Podczas lunchu czy w domu Justina dokończam to, czego inni nie dojedzą. Siadam do stołu i wszystkie resztki znikają.

Dopóki tata nie zachorował, właściwie nie mieliśmy rodzinnych posiłków. Teraz co wieczór spotykamy się przy makabrycznej kolacji z materiałowymi serwetkami i rozmowami, które nigdy nie kończą się dobrze.

Gdy ojciec pyta bezbarwnym głosem, jak tam w szkole, nie podnoszę nawet wzroku.

– Dlaczego nie możesz być miłszy? – pyta mama. – Dlaczego choć raz nie możemy zjeść normalnej kolacji?

Ojciec postukuje widelcem o krawędź talerza jak gdyby dla zabawy, ale to przez drżenie rąk. Czasami układ nerwowy działa mu w miarę dobrze, a czasami bardzo źle. W te gorsze dni wszystko inne też działa gorzej.

– Ponieważ, kochanie, jeśli jeszcze tego nie zauważyłaś, dowiadujemy się od niego czegokolwiek tylko wtedy, gdy urządzimy przesłuchanie.

Czekam, aż jedno z nich powie w końcu prawdę – że skupiają się na mnie dlatego, żeby nie musieć koncentrować się na niczym ważnym. Wiem, że powinienem być wdzięczny. W całej naszej dzielnicy pełno jest dzieciaków, których rodzice są skończonymi obibokami i nieudacznikami albo ich po prostu nie ma, bo gdzieś sobie wyjechali, tak jak mama Olliego, ale moi starzy są inni. Oni jedynie taplają się w ohydnych bagnie pretensji i żalu, wciągając w to gówno wszystkich dookoła. Czuję, że oblepia ono cały dom, całego mnie.

– Shane. – Głos mamy robi się wysoki, zaczyna jej drżeć podbródek. – Czy moglibyśmy skończyć ten temat i cieszyć się wspólnym posiłkiem? Proszę?

Wiem, że ojciec nie przeprosi. Nie powie niczego miłego ani nie zmieni tematu. Zaprze się i nie ustąpi o milimetr. Popatrzy na mamę przez stół, jak gdyby patrzył na powietrze, a ona, cała czerwona, z wilgotnymi oczami, będzie starała się powstrzymać płacz. Ja będę siedział i patrzył w talerz. Czuję w gardle gulę, której nie potrafię przełknąć.

Kiedy byłem mały, działałem na nich jak obszar neutralny. Zawsze się kłócili, ale nie robili tego przy mnie. Nawet teraz, gdy jesteśmy razem w jednym pomieszczeniu, czasami ich sprzeczki nie przeradzają się w koszmar ze względu na mnie.

Ale czasami jest inaczej.

Wystarczają niecałe dwie minuty, żeby kłótnia stała się awanturą. O mnie, o wysokie rachunki, o Annie, Sznycla i samochód. O wszystko i o nic – żrą się o wszelkie możliwe bzdury, o które logicznie myślący dorośli ludzie nigdy się nie kłóca. Kto postawił mleko na niewłaściwej półce w lodówce, kto zapomniał odebrać pocztę.

Nigdy nie ocierają się nawet o prawdziwe problemy: dlaczego nowe leki immunosupresyjne nie przynoszą poprawy. Co dalej z leczeniem. Czy zaburzenia z okresowych zostały oficjalnie przekwalifikowane na przewlekłe. Dlaczego cały czas udają, że są w stanie znieść swoją obecność. Kto przestał kochać kogo.

Mama szykowała kolację dwie godziny, jakby chciała w ten sposób wynagrodzić to, że od prawie trzech tygodni ojciec nie wychodzi z domu. Przesuwa półmiski z miejsca na miejsce i mam wrażenie, że próbuje znaleźć magiczne ułożenie, dzięki któremu wszystko się naprawi, a tata znów poczuje się lepiej.

Teraz pochyła się nad stołem i wyciąga do mnie rękę, ale nie dotyka mnie.

– Mars, nic nie jesz.

– Nie jestem głodny – odpowiadam, chociaż lunch dosłownie pochłonałem, dojadłem resztki pizzy Olliego i wciąż czułem, że mam apetyt na więcej.

– Znów chcesz się rozchorować?

W tym domu słowo „choroba” brzmi jak nieprzyzwoitość. Wisi w powietrzu, zatruwa atmosferę. Po nieskończeniu długiej chwili dusznego milczenia wstaję od stołu i wyrzucam do śmieci niedojedzoną kolację, czyli prawie całą porcję. Mama zaczyna płakać.

Zamykam się w pokoju, ciasnej, ciemnej norze, ale i tak jest lepiej niż wcześniej, gdy mieszkałem tu z Justinem. Nie mam za wiele do roboty, wyciągam więc zadanie domowe.

W salonie przedstawienie toczy się dalej, jakby ta ich koncentracja na duperelach chroniła przed czymś większym, przed wspomnieniem, że dawno temu, z powodów, których żadne z nich nie potrafi już sobie przypomnieć, się kochali.

Przysuwam się bliżej biurka i otwieram książkę do angielskiego. Właśnie zaczynamy nowy rozdział – literatura wielkiego kryzysu. Wystarczy rzut oka na parę stron i mam już dosyć. We wstępie pełno jest zdjęć dzieciaków, których życie zniszczyły susze i burze pyłowe. Twarze mają obojętne i spalone słońcem, ale ich oczy świdrują mnie spojrzeniem, jak gdyby nienawidziły gościa z aparatem, wiedziały, że na nich patrzę.

Nie mogę tego znieść. Podobnie było w szkole podstawowej, kiedy głos robił się ochryply i wiązał mi w gardle, bo spłonął las albo zdechł jakiś pies, a nauczycielka mówiła, że to nic takiego, to tylko opowiadanie, i że mam czytać dalej. Nie pozwalano mi przestać.

Gdy miałem jakieś dwanaście albo trzynaście lat, Annie tłumaczyła mi, że inni ludzie nie czują tak samo jak ja. Nie boli ich brzuch po obejrzeniu wiadomości ani nie chce im się płakać, bo ktoś jest smutny.

– Nie wiem, czy wiesz, ale ludzie są tak jakby otepiali. Zwykle myślą tylko o sobie, nawet jeśli wcale nie mają takiego zamiaru.

Wcześniej uważałem, że jestem taki sam jak wszyscy, tyle że pozostali lepiej ode mnie nauczyli się lekceważyć te różne odczucia – że robili coś, dzięki czemu wyłączali je, a ja byłem po prostu nieudacznikiem, który nie potrafi się tego nauczyć.

Kiedy Annie powiedziała, że nie jestem nieudacznikiem, ulżyło mi. Może i byłem nienormalny, ale przynajmniej nie ofiarą losu. Jakiś czas potem zacząłem palić trawkę i spodobało mi się, że nie musiałem niczego czuć, jeśli nie chciałem.

Muszę skończyć ten rozdział z angielskiego. Muszę się stąd wynieść. W salonie jazda trwa w najlepsze, jak zwykle.

Zakładam słuchawki i podkręcam głośność na maksa.

Sypialnia jest obskurna i ciasna, z jednym oknem bez firanek. Jak przez mgłę pamiętam jej układ z poprzedniej nocy, ale mam wrażenie, że wygląda trochę inaczej. Przy włączonym świetle wszystko jest mniejsze. Dywan ma przygnębiający ciemnopomarańczowy kolor.

Marshall siedzi plecami do mnie, zgarbiony nad małym biurkiem, przed nim leży otwarty podręcznik. Zjada krakersy prosto z torebki, nie odrywając oczu od książki. Gdzieś niedaleko słychać krzyki.

On najwyraźniej jest do tego przyzwyczajony. Ma na uszach duże didżejskie słuchawki, które prawdopodobnie wytłumiają wszelkie odgłosy z zewnątrz, ponieważ gdy dotykam jego ramienia, podskakuje i upuszcza długopis. Obraca się, zdiera z głowy słuchawki i wpatruje się we mnie rozszerzonymi ciemnymi oczami.

– Wybacz. Nie chciałam cię wystraszyć.

Przez moment siedzi nieruchomo, nadal na mnie patrzy. Po chwili zaciska szczęki i zamyka oczy.

– Jak ty to robisz? – pyta, niemalże wstrzymując oddech.

– Nie wiem – odpowiadam, choć tak naprawdę chciałabym powiedzieć: „Co za różnica?”.

Owszem, zgadzam się, że tego typu rozważania powinny być istotne, ale dla mnie przestały mieć znaczenie mniej więcej wtedy, gdy obudziłam się z olbrzymią, nieprawdopodobną malinką. Nazywam się Waverly Camdenmar. Od zawsze fascynują mnie niezgłębione tajemnice. Jestem gotowa wskoczyć w tę króliczą norę i spaść aż na samo jej dno.

Jedna łyżeczka gwiazdy neutronowej waży ponad sto milionów ton, a żyrafy potrzebują zaledwie dwudziestu minut snu na dobę. Pewna gwiazda w konstelacji Centaura ma diamentowe jądro, a gdy na Wenus pada, z nieba leje się kwas siarkowy. Na szyi mam siniaka o kształcie i wielkości ust Marshalla Holta. Skoro te wszystkie rzeczy są prawdą, skąd jego uparta pewność, że moja obecność nie może być prawdziwa?

Kiedyś w końcu będzie musiał się poddać tej anomalii, tak samo jak zrobiłam to ja. Nie będzie miał wyjścia. Będzie musiał skoczyć na głęboką wodę, zanurzyć się w coś, co stanie się jego własną wersją kompulsywnego biegania, bezsenności i wypraw na odległe samotne księżyce.

– Może znajdujemy się w tym delikatnym, niepewnym miejscu, gdzie zlewają się sen i jawa.

Wpatruje się we mnie, kręcąc głową.

– Nie. Sny mogą być dziwaczne i tak dalej. Ale nie mogą się zlewać ze zwykłym życiem. Rzeczy

albo są prawdziwe, albo nie, i jeśli ktoś nie potrafi tego rozróżnić, trafia do wariatkowi, gdzie go zamykają razem z innymi świrami. Widziałem, jak znikasz na moich oczach, rozpływasz się jak jakaś cholerna czarodziejka, i to nie może być prawdziwe. To nie może się dziać.

– Dlaczego ludzie zawsze to robią?

– Co robią?

– Powtarzają, że coś nie może się dziać, gdy ewidentnie to coś się dzieje? – Wolałabym jednak powiedzieć mu teraz: „Twoje usta to pierwsza realna rzecz w moim życiu, która jest bardziej interesująca niż astrofizyka”. Chciałabym spytać: „Pokieroszowałeś mi szyję. Co to znaczy? Czy to, że pokieroszowałeś mi szyję, znaczy cokolwiek?”. – Od półtora tygodnia przeczymy logice i rzeczywistości, a ty nagle zaczynasz widzieć w tym problem?

– Tak. – Głos ma obojętny, tak bardzo napięty, że aż drżący. Czasami tak właśnie jest. Im mocniej coś trzymamy, nie chcąc, żeby wymknęło się spod kontroli, tym bardziej zdradzamy się z wewnętrznym drżeniem. – Właśnie tak. Nie rozumiesz, że przedtem było inaczej?

– Przedtem?

Odwraca wzrok, kręci głową.

– Słuchaj, kiedy jesteś nawalony, może się dziać, co chce, nie ma sprawy. Ale kiedy jesteś normalny, inne rzeczy również powinny być normalne albo... albo zgodne z jakimiś zasadami. Tym razem nie jestem nawalony, jasne?

W jego głosie słyhać zawziętość, jak gdyby usiłował coś udowodnić, jednak jego rozumowanie graniczy z absurdem. Świat zawsze działa według określonych zasad. To, że nie potrafimy ich pojąć, nie oznacza, że nie istnieją.

– Nie jestem pijany, naćpany ani... ani nie majaczę. Siedzę w swoim zasranym pokoju, próbuję odrabiać lekcje – ciągnie Marshall, wymawiając dobitnie każde słowo.

W innych okolicznościach potulnie wysłuchałabym jego zastrzeżeń. Pokiwałabym głową, zmarszczyła brwi i unikała konfrontacji, ponieważ tak właśnie się robi – na siłę dopasowałabym się do formy, którą narzuca świat. Jednak teraz, w tym pokoju, moja forma nie ma znaczenia. Jestem zupełnie inną osobą niż za dnia.

– Marshall – oświadczam tonem konkretnym i szorstkim, podobnym do tego, który przybiera Jamie, gdy mamy słabe wyniki na treningach. – Rozumiem, że to wszystko wytrąca cię z twojej strefy komfortu. Naprawdę to rozumiem, ale to się dzieje i już. Nie możesz dłużej zatykać uszu i śpiewać na cały głos, żeby niczego prócz siebie nie słyszeć. Ten etap jest już za nami.

Otwiera usta i spodziewam się, że dalej będzie się ze mną spierał choćby o to, jak można zjawisko tak wszechobecne i niezawodne jak prawa fizyki nazwać strefą komfortu. Jednak po chwili zamyka usta, spuszcza wzrok i przytakuje skinieniem głowy.

– Okej. – Stoję oparta rękami o tył jego krzesła. – Niech ci będzie.

Dopiero teraz mam okazję rozejrzeć się po pokoju. Przypomina wystawę muzealną albo wykonaną w celach edukacyjnych makietę zatytułowaną: „środowisko naturalne północnoamerykańskiego ćpuna”. Okaleczone łóżko, niedobrana komoda, małe rozchwierutane biurko i właściwie niewiele więcej. Szafa wnękowa jest uchylona, wygląda z niej kłębowisko trudnych do rozróżnienia ubrań. Słuchawki są ewidentnie najdroższym sprzętem w tym pomieszczeniu.

Wiem, że powinnam coś zrobić, coś powiedzieć, ale nie mam pojęcia co. Przez większość życia trzymałam się pomocnych scenariuszy rozpisanych na różne sytuacje, ale nagle żaden z nich nie przystaje do okoliczności. Jak rozmawiać z kimś, kogo widziało się klęczącego na podłodze łazienki? Kogo można bez ostrzeżenia oglądać w najbardziej intymnych momentach? Kto wsuwał dłonie pod twoją koszulkę i ma ochotę zrobić to ponownie, a ty na dziewięćdziesiąt dziewięć procent nie masz nic przeciwko temu?

– Co czytasz? – pytam, pochylając się, żeby zerknąć na książkę.

– Nic. Zadanie domowe.

– Myślałam, że nienawidzisz szkoły.

Zamyka podręcznik.

– Nienawidzę szkoły, a nie literatury amerykańskiej.

Ostatnim razem, gdy byliśmy tak blisko siebie, doszło do gorączkowej szamotaniny. Jego dłonie zdierały ze mnie kolejne warstwy zewnętrznego pancerza. Jego usta odnajdywały drogę do moich z pewnością powracającej komety.

– Czego chcesz? – Podnosi wzrok, żeby spojrzeć mi w oczy.

W piersiach czuję ogromną pustkę. Nagle niezwykle istotne wydaje mi się to, że Marshall jest jedyną osobą, która mnie o to pyta.

– Żebyś mnie pocałował.

Mówię bez zawahania. Odpowiadam jego ustom i ciemnym oczom o zdecydowanym spojrzeniu. Odpowiadam ciepłu jego ciała, kształtowi warg.

Czekam, aż wstanie i mnie obejmie, ale on nadal garbi się przy biurku.

– Przestań. Nie mów czegoś tylko po to, żeby mówić.

Kładę łokieć na oparciu krzesła, pochylam się nad odsłoniętym, zarumienionym karkiem.

– Marshall. – Jego imię brzmi dziwnie w moich ustach. – Chcę, żebyś mnie pocałował.

Gdy nadal się nie porusza, ujmuję jego dłoń, powoli ją obracam, po czym przykładam do obojczyka. Jest ciepła i sprężysta, a on cały drży, lecz nie stawia oporu.

– Pieprzę to – szepcze.

Jego bezwładna ręka strasznie mi ciąży, więc po chwili ją puszczam.

Wtedy Marshall podnosi w końcu głowę i patrzy na mnie otwarcie, a ja mam wrażenie, że widzę go zupełnie nagiego.

– Czy istnieje ktoś, kogo nie okłamujesz?

Pyta, jak gdybym była mitomanką, jak gdyby każde słowo, które pada z moich ust, było przekłamaniami albo zmyśleniem. Jak gdyby nie można mi było zaufać. To, co dzieje się teraz między nami, ma niewiele wspólnego z czułością i rozkoszą. Cisza, która zapadła, jest ostra i kłująca.

– Ciebie – mówię, odwracając wzrok. – Nie okłamuję ciebie.

Bycie szczerym jest na swój sposób emocjonującym przeżyciem. Biorę głęboki oddech i nie ciągnę dalej. Ponieważ dokładność ma znaczenie. Ponieważ nieczęsto mam okazję to robić, a poza tym nie mam nic do stracenia.

– I chyba jeszcze Autumn. Jej też nie okłamuję.

Marshall kręci głową.

– Jakiej Autumn?

– Pickerel. Chodzi z nami do szkoły.

W tym momencie Marshall wybucha śmiechem – ostrym, urywanym.

– Żartujesz sobie? Autumn? Nie zadajesz się przecież z Autumn.

– Nie masz pojęcia, z kim się zadaję.

– Nie... nie wierzę. Ona jest nikim. Jest zdecydowanie za dziwna, żebyś się z nią kumplowała.

I znów wracamy do punktu wyjścia. Choćbym nie wiem jak szeroko się uśmiechała, jak daleko biegła, ostatecznie i tak wszystko sprowadzi się do kwestii tego, kim jestem.

Obejmuję się rękami, chwytam się za łokcie i kręcę głową. Autumn nie jest nikim, to żywa, nieposkromiona siła natury. To Bette Davis, Dorothy Parker i Madonna. To Tyler Durden i Tony Soprano. Autumn to Cthulhu, Niszczyciel Światów.

Obracam się wzburzona, przemierzam pokój, żeby mieć trochę więcej przestrzeni i móc odetchnąć swobodniej. Gdy osuwam się na jego łóżko, materac wydaje się niski i grząski. Sadowię się w dołku pośrodku i kładę.

– Może po prostu nie znasz jej zbyt dobrze.

– Mówisz poważnie? Była moją najlepszą przyjaciółką przez jakieś osiem lat. Zapraszała mnie na wszystkie swoje urodzinowe imprezy. Nie wierzę, że zadajesz się z Autumn.

Oświadcza to dobitnie i nagle zaczynam rozumieć. Marshall poznał ją z różnych stron – wie, że jest zuchwałą, przerażającą i zaskakującą – i tak naprawdę chodzi mu o to, że Autumn nie mogłaby zachowywać się w ten sposób wobec mnie.



Kryję twarz w poduszce. Przyciskam ją tak mocno, że pod zamkniętymi oczami rozbłyskują dziwne wzory.

– Nieważne. Chcę tylko powiedzieć, że nie jestem notoryczną kłamczuchą, rozumiesz?

Słyszę skrzypnięcie krzesła, a po chwili materac obok mnie ugina się łagodnie.

Kiedy unoszę głowę, Marshall na mnie patrzy. Spojrzenie ma ciemne i refleksyjne, jak woda w studni albo proza Kafki. Nie wiem czemu, onieśmiela mnie ono.

W następnym momencie Marshall wyciąga rękę, jak gdyby chciał dotknąć mojej szyi, ale zabrakło mu odwagi.

– No właśnie. Wielkie dzięki za to.

– Przepraszam. Nie przypuszczałem, że... – mówi ciężko, jego głos jest przepełniony uczuciem. Pochyla się, a ja mam wrażenie, że w pokoju nagle zaczyna brakować powietrza. Czekam, aż mnie pocałuje i przywróci mi oddech.

Przez sekundę jestem pewna, że to właśnie zrobi. Przyłgnie do mnie z siłą grawitacji, przycisnie swoje usta do moich, a ja w końcu przestanę się czuć tak, jakbym czekała na katastrofę.

On jednak zamyka oczy i się odwraca.

– Waverly. – Głos Marshalla wydaje się obcy. Ociężały, gęsty, mam wrażenie, że niemal materializuje się w powietrzu. – Podobasz mi się.

Nie wiem, co powiedzieć. Jego wyznanie nie brzmi jak kłamstwo, ale jest zbyt niemożliwe, aby mogło być prawdziwe.

– Od wczorajszej nocy?

– Nie – odpowiada, nadal na mnie nie patrząc. – Nie. Od dłuższego czasu.

Wpatruję się w sufit, usiłuję przeniknąć wzrokiem tynk i deski, żeby zobaczyć nocne niebo.

– Jak długo?

– Pamiętasz zeszły rok? – pyta rzeczowo, jak gdyby zadawał bardzo konkretne pytanie.

Pamiętam wiele rzeczy z zeszłego roku. Trwał on – bądź co bądź – całe dwanaście miesięcy.

Marshall wydaje się jednak niezrażony takimi drobiazgami jak zawilości chronologii. Obserwując dywan, bmie dalej:

– Na historii Mosley opowiadał o typowo amerykańskim slangu z lat dwudziestych i wspominał o *carrying a torch*<sup>1</sup>, a ja popatrzyłem na ciebie. Pamiętasz?

Rzecz w tym, że pamiętam.

Był to podstawowy kurs historii, który musiałam zaliczyć, zanim mogłam się zapisać na prawdziwy, rozszerzony. Marshall siedział naprzeciwko mnie przy sąsiednim stoliku do pracy grupowej. Za każdym razem, gdy podnosiłam głowę znad notatek, wiedziałam, że jest przede mną, ale nie zwracałam na niego

większej uwagi.

Wspomnienia z tamtych lekcji są dość mgliste, Marshall wydaje się w nich częścią tła, a nie prawdziwą osobą. Był bardziej czymś w rodzaju plamy o niedookreślonym kształcie i kolorze, niczym kolejne dzieło sztuki mijane w galerii, ale wystawione obok Warhola i Pollocka, niezbyt więc przykuwające uwagę. Był tym mniej znanym artystą współczesnym.

Jednak w dniu, w którym omawialiśmy szalone lata dwudzieste, wystawę światową i związane z nią wyrażenia potoczne, Mosley podał nam różne frazy, wypisał je jedna pod drugą na tablicy: „*all wet, the bee’s knees, on the lam, dolled up, the cat’s pajamas*”<sup>2</sup>. I na samym dole: „*carrying a torch*”.

Podniosłam wzrok i przez sekundę spojrzenia moje i Marshalla skrzyżowały się, a wtedy cała nieokreśloność, nieostrość jego postaci zniknęła. Myślałam tylko o tym, jak niesamowicie ciemne ma oczy. W następnej chwili podparł ręką brodę i przeniósł wzrok gdzieś dalej. Nie odwracał spojrzenia przez nieśmiałość czy zażenowanie, po prostu kontynuował lustrowanie otoczenia – powoli i ze znużeniem, jak gdyby żadna osoba ani rzecz nie potrafiła na dłużej przykuć jego uwagi.

– Jak długo? – powtarzam pytanie. – Jak długo ci się podobam?

Ostatnim razem był niepokojąco bezpośredni, teraz jednak wpatruje się w podłogę.

– Nie wiem. Dość długo.

Niezależnie od tego, co rzeczywiście ma na myśli, jaką skalą odmierza czas, wiem, że mówi prawdę. Wspomniana lekcja historii odbyła się niemal rok temu.

– Dlaczego? – Chociaż moje pytanie brzmi konfrontacyjnie, tak naprawdę pragnę jedynie zrozumieć.

Nie byłam szczególnie czarująca, ujmująca czy fascynująca. Nie byłam sympatyczna. Nie byłam najładniejszą z ładnych ani najzuchwalszą z zadziornych. Byłam po prostu... no właśnie, taka sama jak on.

Marshall robi dziwną minę, jak gdyby usiłował się nie skrzywić. Raczej nie takiego wyrazu twarzy zwykle spodziewa się po kimś, kto ma wytłumaczyć źródło swojego zauroczenia drugą osobą.

– Widziałem cię kiedyś na korytarzu – mamrocze. – Poprawiałaś skarpetkę. Miałaś pełno pęcherzy, a twoja skarpetka chyba przykleiła się do nich. Próbowалаś ją oderwać. Piętę miałaś zmasakrowaną i pomyślałem, że ja nie potrafiłbym czegoś takiego zrobić.

– Czego?

– Chodzić po tym, jak pęcherze pękają.

Przymykam oczy, przywołuję wrażenie – przenikliwe ukłucie, metaliczny dotyk, przyjemne pieczenie.

– To nie takie trudne. Trzeba po prostu przestać zwracać uwagę na ból.

– Nie potrafię tak – odpowiada prosto, zwyczajnie, jak gdyby było to coś oczywistego. Jak gdyby

nie było się czego wstydzić.

– Może za mało się starasz.

– To była ta twoja inna twarz – szepcze. – Inna niż w klasie. Wiedziałem, że tylko ja ją zauważyłem, tylko ja zobaczyłem, że leci ci krew. I chyba się w tym zakochałem.

– Nie można się zakochać w kimś, kogo się nie zna.

– Nie zakochałem się w tobie – prostuje, a jego policzki czerwienią się wściekle. – Zakochałem się w tamtym obrazie. W tym, jak odrywałaś skarpetkę. To było takie... intymne.

– Czyli zadurzyłeś się we mnie, bo leciała mi krew z pięty?

– To nie tak.

– No to jak? Uznałeś, że może potrzebuję pomocy? Albo że mnie znasz?

– Nie. – Parska ochryplym, pozbawionym radości śmiechem. – Nie jestem aż tak głupi. Wiedziałem, że zawsze będziesz tylko dziewczyną od kaca.

Usiłuję zinterpretować to ostatnie wyrażenie, ale jest tak dziwaczne, że nie umiem go rozgryźć.

– Kim?

Nadal się uśmiecha, teraz jednak gorzko, boleśnie. Nie patrzy na mnie.

– Ollie to wymyślił. To taka dziewczyna, przez którą ma się kaca. Taki idiotyzm.

Siedzę, wpatrując się w niego. Nie potrafię sobie wyobrazić, jak można obarczać odpowiedzialnością za swojego kaca kogoś, z kim w życiu nie było się na tej samej imprezie.

– Chcesz mi powiedzieć, że jestem urojonym epicentrum twoich pijatyk?

– To nie tak – powtarza. – Trudno to wytłumaczyć.

Przekrzywiam głowę, unoszę brwi.

– Naprawdę? Czyli dobrze, że mamy na to całą noc.

Marshall wierci się z zakłopotaniem, bawi się krańcem koca.

– Czasami trzeba się nawalić z jakiegoś powodu, rozumiesz? I tak naprawdę nie jest ważne, czy robisz to z powodu kogoś, z powodu jakiejś sytuacji, czy z powodu tego, że jesteś skazany na siebie. Czasami trzeba wywalić z siebie całe to gówno.

Siedzę oparta o ścianę z kolanami podciągniętymi pod brodę. Mam ochotę wyciągnąć do niego rękę i powiedzieć mu, że jest idiotą. Istnieje tyle innych sposobów, które pozwalają się wyzwolić i nie wiążą się z nadużywaniem środków odurzających.

Jestem specjalistką od uciezek na długie dystanse.

Marshall przyciska dłonie do twarzy.

– Chcę tylko powiedzieć, że czasami wykorzystywałem cię jako powód. Kiedy ma się powód, bardzo łatwo nawalić się do nieprzytomności. To fajna sprawa. Można zapomnieć o wielu rzeczach.

Czasami robi ci się niedobrze, ale to też jest w porządku, bo przez chwilę nie ma nic oprócz mdłości. Ale kiedy jest po wszystkim, wracasz tam, skąd zacząłeś, tyle że czujesz, że masz napięprzone nie tylko w głowie, ale że cały jesteś rozpieprzony. Wtedy włączysz do łóżka, zwijasz się i marzysz, żeby było inaczej.

Nagle dociera do mnie, że mówi bezosobowo, ponieważ tak jest łatwiej, niż gdyby miał mówić w pierwszej osobie.

– Kojarzę ci się więc z tym strasznym uczuciem.

– Nie. – Zaciska i rozluźnia szczękę, przygryza dolną wargę. – Kojarzysz mi się z chęcią bycia lepszym.

Jestem parę centymetrów od niego, a zarazem mam wrażenie, że dzielą nas tysiące kilometrów. Siedzimy obok siebie i znów moje pożądanie budzą zwykłe drobiazgi. Wszystkie te głupie drobnostki, do których nigdy się nie przyznawałam, na przykład to, jak kiedyś na historii, widząc odbity na jego policzku wzór koszuli, zapragnęłam go pocałować.

Patrzy na mnie tak, że niemal czuję jego spojrzenie ślizgające się po mojej skórze. Jest bardzo bliski, wręcz namacalny, a ja od zawsze wolę przyglądać się z dystansu rzeczom, które mnie pociągają.

Wstaję i przemierzam pokój, ponieważ mam wrażenie, że wyjdę ze skóry, jeśli nie zacznę się ruszać. Chociaż stąpając po skołtunionym dywanie, czuję, jak stopy przeszywa mi ból, oddycham głęboko i nie przestaję krążyć po sypialni.

Marshall znów przywiera do ściany.

– Waverly – mówi. – Wszystko w porządku. Spokojnie.

Głosy dobiegające z salonu cichną, przez chwilę słychać jedynie ich szmer, ale zaraz znów wybucha jazgot. Nic nie jest w porządku.

Obydwoje zastygamy w bezruchu, przysłuchujemy się wrzaskom, choć udajemy, że wcale tego nie robimy.

W następnym momencie Marshall krzywi się i zaczyna skubać róg kapy.

– No tak, głupia sprawa. – Wzdryga się, jak gdyby usiłował coś z siebie strząsnąć. – Przepraszam. Nie wiem, czy zdążyłaś zauważyć, ale mamy tu jeden wielki syf.

Podchodzę z powrotem do łóżka. Do kakofonii dołączają nowe dźwięki. Głos ojca Marshalla zostaje zastąpiony przez wysoki świdrujący ton, który brzmieniem przypomina pikulinę albo rozstrojony nerwowo klawier. Dziewczęcy głos przenika przez ściany, słychać go bardzo wyraźnie.

Chwytam Marshalla za rękę. Gdy splatamy palce, znów się wzdryga.

– To twoja siostra?

Przytakuje, odsuwa się ode mnie i ociera dłoń o łóżko, jak gdyby chciał zetrzeć z niej moją troskę.

– Annie. Potrafi się wściec.

– A ty nie?

Kręci głową.

– Jestem lepszy w uzalaniu się.

Wydaje się niemożliwe, żeby ktokolwiek na chroniczny konflikt mógł reagować żalem, ale nie mówię tego na głos. Na twarzy Marshalla maluje się autentyczna, niewytłumaczalna szczerość. Chłopak wygląda tak, jakby naprawdę było mu przykro.

Gdy w przygnębieniu wzrusza ramionami, gest ten ma w sobie coś z przeprosin.

– Mama chyba po prostu nie potrafi pogodzić się z tym, że ojciec jest palantem, i skończyć z nim. Nie potrafi pozwolić mu odejść.

Przysuwam się bliżej, ponieważ nie wiem, co powiedzieć, a bycie blisko czasami daje tyle samo, co odpowiednio dobrane słowa.

– To przerażające – mówi, patrząc przed siebie z cierpkim grymasem. – To, jak bardzo ona go kocha. Jak bardzo kocha wszystkich. I myślę, że ja też mógłbym taki być, gdyby na czymś cholernie mi zależało. To przerażające wiedzieć, że jestem taki sam jak ona.

– Jaka ona jest? – pytam, choć tak naprawdę chcę zapytać: „Jesteś taki jak ona, czyli jaki?”.

Wbija spojrzenie w sufit. Sztywnieje na całym ciele, jak gdyby szykował się na przyjęcie ciosu.

– Dobra, posłuchaj – mówi w końcu. – Boi się pajaków. Cholernie się boi, na ich widok krzyczy i tak dalej. Ale kiedy znajdzie jakiegoś w domu, łapie go do szklanki i wynosi na dwór, bo nie potrafi go zabić.

Opieram się ramieniem o jego ramię, choć tak naprawdę pragnę złapać go i z całej siły do niego przywrzeć. Mówi tak szczerze, że jestem w stanie mu uwierzyć. Nie potrafię sobie wyobrazić, jak zabija pajaka.

Przez chwilę nie robi nic. W następnym momencie przetyka ślinę, wyciąga rękę i delikatnie obejmuje mnie ramieniem. Nie jest to pocałunek, o który prosiłam. Nie tego się spodziewałam. Wypuszczam powietrze z płuc i pozwalam, by pociągnął mnie w dół, na łóżko.

Marshall wysuwa brodę, opierając ją o moją głowę, a gdy mówi, jego oddech muska moje włosy.

– Proszę, powiedz mi czemu. Czemu ja?

Dziwne uczucie leżeć tak blisko kogoś, czuć bicie jego serca. Kładę dłoń na piersi Marshalla i zamykam oczy. Wszystko wydaje się przepelnione niezwykłym znaczeniem i nieogarnięte, niemożliwe do wyrażenia słowami. Zaciskam pięść na jego koszuli, starając się nie zrobić tego zbyt kurczowo, desperacko.

Odpowiedź, którą chce poznać, nie istnieje. A przynajmniej nie istnieje taka, która mogłaby go

usatysfakcjonować. Jestem niematerialna. Jestem ulotną, nieodgadnioną istotą zamieszkującą swój umysł, niemal całkowicie zmyśloną. Siedzę tu razem z nim, ale równie dobrze mogłabym w tej chwili znaleźć się w sonecie, zamieszkać w cząsteczce organicznej czy wniknąć w zadanie matematyczne.

Czułość, z jaką mnie przytula, jest wręcz przerażająca. Zapadam się jeszcze bardziej w łagodne, pewne objęcia, z ustami wtulonymi w materiał jego koszuli szepczę:

– Dlaczego polubiłeś mnie przez pęcherze?

Przyciska usta do moich włosów i jest to najcieplejszy dotyk, jaki kiedykolwiek czułam.

– Nie wiem. Może dlatego, że zdawały się oknem do ciebie. Że mogłem dzięki nim zobaczyć, co jest w środku.

Policzkiem wyczuwam bicie jego serca. Rytmiczne uderzenia sprawiają, że z coraz większym trudem panuję nad opadającymi powiekami.

– I może dlatego – odpowiadam mu w końcu – znalazłam się tutaj, a nie w sypialni Borsena, Maribeth czy gdzieś w Tunezji.

W rzeczywistości chcę przez to powiedzieć, że ze wszystkich pogodnych, pełnych dobrych intencji ludzi, którzy codziennie chwalać mnie i wynagradzają za moją dwulicowość – za mój talent do nakładania starannie skonstruowanej maski – to właśnie on dostrzegł we mnie coś prawdziwego.

\*

Budzi mnie pikanie zegarka. Momentalnie odczuwam ból, który zaczyna się w stopie i promieniuje na całą nogę. To nie wróży nic dobrego.

Świeczka stojąca na stoliku obok łóżka nadal pachnie dymem i przyprawami, ale stopiła się nocą na tyle mocno, że knot utonął w kałuży wosku. Żeby go wydostać, wydłubuję go spinaczem.

Lekceważę ból. W końcu to moja specjalność. Wszystko jest w porządku – wszystko jest normalne i wykonalne.

Podczas trzeciej lekcji stopa boli mnie tak bardzo, że ledwie mogę na niej stanąć. Łydka zaczyna mi drętwieć. Zamiast na zajęcia z trygonometrii idę więc do gabinetu Molly Bruin, który mieści się przy sali gimnastycznej.

– Ma pani chwilę? – pytam, zatrzymując się w progu i siląc na swobodny ton.

Lekarka poprawia okulary, podnosi głowę znad biurka i przygląda mi się badawczo.

– Jasne, co się dzieje? Nieczęsto tu zaglądasz.

Próbuję znaleźć słowa, które mogłyby opisać powagę sytuacji, ale nie potrafię poruszyć językiem.

Gdybym rozmawiała z Marshalllem, byłoby inaczej. Oczywiście zaciskałabym pięści, żeby ukryć drżenie rąk. Odwracałabym wzrok, ale przynajmniej coś bym powiedziała. Teraz jednak, kiedy otwieram

usta, nie wydobywa się z nich żaden dźwięk.

Stoję naprzeciwko biurka Molly, niemo poruszając wargami jak ryba. Zeszłej nocy mówiłam, że łatwo ignorować ból, ale tak naprawdę nie ma w tym nic łatwego. Gdybym była teraz z Marshalllem w zaciszu jego pokoju, może nawet bym to przyznała. Zamykam oczy i przypominam sobie, jakie to uczucie rozmawiać z kimś szczerze.

– Chodzi o moje stopy – mamroczę, najwyraźniej spodziewając się, że Molly cudownym sposobem wyczyta wszystko z jednego niezgrabnego zdania.

Lekarka patrzy na mnie pytająco, jakby czekała na dalszy ciąg, ale mówi jedynie:

– Dobrze, zdejmij buty i wskakuj na leżankę.

Gdy siadam i wyciągam stopę, Molly dotyka palcami podeszwy, bada piętę i podbicie.

– Na pewno masz opuchliznę. Czy to boli?

Przytakuję, czując, jak znajome mrowienie przeszywa mi łydkę. Lekarka naciska moją piętę, a ja z całej siły ściskam krawędź leżanki, żeby nie szarpnąć się z bólu.

– Jak dużo biegasz?

– Dużo.

– Więcej niż każe wam Jamie?

– Tak.

Molly bierze głęboki wdech, jak gdyby szykowałą się do wydania werdyktu. Postawienia diagnozy.

– Nie spodoba ci się to, ale musisz zrobić sobie trochę przerwy.

Kręcę głową.

– W przyszłym tygodniu zaczynają się zawody regionalne. – Słyszę w swoim głosie desperację i nie cierpię się za to. Nienawidzę wchodzić na wysokie tony. Wydaję się wtedy delikatna jak skorupka jajka. Łatwa do stłuczenia, krucha.

Lekarka wzdycha, staje bliżej leżanki, składa dłonie w piramidkę.

– Chcę, żebyś mnie posłuchała. Twoje stopy są pokiereszowane.

Trzymam dłonie płasko na obiciu z dermy. Biorę jeden oddech, drugi. Unoszę głowę i uśmiecham się najładniejszym uśmiechem członkini samorządu uczniowskiego.

– Mogę to rozbiegać. Wiem, że tak czy inaczej mogę mieć dobry czas.

– Waverly, nie słuchasz mnie. Jeśli nie przerwiesz treningów, twój stan będzie się pogarszał.

– A jeśli przerwę?

– Dasz stopom odpocząć, będziesz przykładac lód. I jeśli za dwa miesiące wszystko będzie wyglądać dobrze, może pomyślę o przywróceniu cię na treningi od wiosny.

W gabinecie jest ciepło. Ogrzewanie musi być włączone na cały regulator. Siedzę i wpatruję się

w kulkę zwiniętej taśmy sportowej leżącej obok kosza na śmieci.

– Przykro mi – dodaje Molly i mam wrażenie, że nie kłamię. – Wiem, jakie to dla ciebie ważne.

Potwierdzam nieznacznym skinieniem głowy. Nie potrafię wydobyć głosu przez gulę, która utkwiała mi w gardle.

Lekarka wyciąga rękę, klepie mnie po ramieniu i wtedy zaczynam rozumieć. Ona myśli, że jestem zdruzgotana, ponieważ nie będę mogła uczestniczyć w zawodach, chociaż tak naprawdę głównie one obchodzą.

Obchodzi mnie tylko bieganie. Nie znam innego sposobu na ucieczkę przed wewnętrznym zgiełkiem, na wyłączenie nieustannie pracującego mózgu.

Jeśli nie będę mogła biegać, zostanie mi tylko świeca, która robi się coraz mniejsza.

\*

Nie mogę biegać. To jest fakt. Nie mogę biegać, nie potrafię się skoncentrować, nie mogę spać.

Wszystko nagle zaczyna mnie przerastać.

Siedząc pośrodku łóżka, zabarykadowana w fortecy zadania domowego, nie naciagam na siebie kołdry. Nie zapalam świecy.

Tak bardzo pragnę zobaczyć Marshalla, że pragnienie to robi się wręcz namacalne i smakuje jak metal. Nie, tak nie może być. Lepiej przeczekać, uspokoić serce walące w piersiach. Rozmasować ból ściskający gardło kleszczami.

Siedzę z brodą opartą o podciągnięte kolana, po raz kolejny czytam notatki na temat twórczości Edgara Allana Poe i przypominam sobie, że moim największym atutem jest wytrzymałość. A może każda komórka mojego ciała powoli zaczyna się rozpadać? Nie, tak się nie dzieje. Zakaz biegania nie oznacza, że serce przestanie mi pracować a płuca oddychać. Jest bolesny, ale podobnie jak większość innych bolesnych spraw można go przeżyć.

Rankiem znów funkcjonuję bez zarzutu. Tak wygląda teraz moje życie.

Od wielu tygodni jestem z materiałem do przodu na każdych zajęciach. Ostatnio jednak tezy stawiane przeze mnie w rozprawkach nie zawsze są całkowicie sensowne. Nie szkodzi. Ktoś, kto na początku roku wyrobi sobie renomę, staje się niemalże nietykalny. Nauczyciele do końca semestru oceniają go na podstawie pierwszego wrażenia.

Hiszpański szybko staje się centralnym punktem moich dni, osią, wokół której obraca się wszystko inne. Sama świadomość, że na zajęciach będzie Marshall, jest przyjemna. Dodaje otuchy jak kamyczek, który nosi się w kieszeni, aby mieć co zrobić z rękami.

Na każdej lekcji wpatruję się pilnie w zeszyt, usiłując ukryć to, jak bardzo jestem wyczulona na jego



obecność, on zaś siedzi nieporuszony na końcu klasy i usiłuje ukryć, że na mnie patrzy.

Nawet sam fakt przebywania w pobliżu Marshalla w jakiś sposób mnie odmienia. Waverly sprzed tygodnia za żadne skarby nie poszłaby do Molly, nawet jeśli wyłaby z bólu. Wypruwałabym sobie flaki, starałabym się nie kuśtykać podczas treningów, żeby tylko moje nazwisko znajdowało się na liście aktywnych zawodników.

Teraz mleko się już rozlało. Siedzimy na hiszpańskim w swoich ławkach i dokładamy wszelkich starań, żeby się lekceważyć. On tradycyjnie ponury i znudzony. Ja jak zwykle wyprostowana, z uprzejmym wyrazem twarzy i nienagannym porządkiem w piórniku. Tak wyglądamy za dnia. Za dnia jesteśmy zupełnie inni.

Aby uczcić piątek albo dlatego że skończyły się nam w rozdziale ćwiczenia konwersacyjne, a może z powodu zbliżającego się balu, pani Denning postanowiła sięgnąć po narzędzie będące szkolną zmurą: pracę własną. Pod pozorem nauki mamy poćwiczyć umiejętności interpersonalne. Będziemy doskonalić misterną sztukę prawienia komplementów w języku, którego większość z nas nie opanowała na poziomie choćby elementarnym.

Nauczycielka wręcza nam przecięte na pół, ponumerowane kartki, a my podajemy je dalej następnym osobom w rzędzie.

Losuję kartkę, na której widnieje imię: „Laurel Bacard”, i próbuję ułożyć parę pochlebnych, poprawnych zdań, używając słownictwa opanowanego w ostatnich tygodniach. Chciałabym pochwalić zdumiewająco misterne jasne pasemka we włosach koleżanki, ale nie mam pojęcia, jak to powiedzieć po hiszpańsku.

Na końcu klasy Marshall pochyla się nad przejściem, obraca się i coś szepcze. Wygląda to tak, jakby chciał się zamienić kartkami z Olliem Poe.

Gdy wyciągam segregator, ręce mi się trzęsą. Serce łomocze. Wiem, co za to odpowiada. Przez cały dzień piję kawę. Puls na przemian przyspiesza i zwalnia. Krew zdaje się podłączona do sieci wysokiego napięcia jak ogrodzenie w nowoczesnych więzieniach o zaostrowym rygorze.

Odnajduję pustą stronę i piszę:

*Jestem słupem energetycznym.*

Następnie wymyślam pięć nudnych, bezspomych faktów na temat Laurel, składam kartkę na pół i podaję ją adresatce. CJ wyciąga rękę, przekazuje nad moim ramieniem wiadomość do kogoś na początku rzędu.

Nie znam charakteru pisma Marshalla. Nigdy nie badałam go pod tym kątem. To jednak nie ma znaczenia. Nikt inny na świecie nie napisałby tego, co odczytuję na kartce, która wylądowała na mojej

ławce.

Mija trochę czasu, zanim rozszyfruję wszystkie czasowniki, część za pomocą słownika. Nie znam poprawnych form odmiany połowy z nich.

Po odcyfrowaniu całej wiadomości wpatruję się w kartkę. Jego komplementy są stanowcze, skreślone spieszonym, pochyłym pismem. Obok nich widnieje moje schludnie wykaligrafowane tłumaczenie:

*Przy niej czuję, że życie może być lepsze.*

*Sprawia, że chcę być odważniejszy.*

*Staram się być szczery, kiedy jestem z nią.*

*Staram się być prawdziwy.*

*Boję się, że bez niej nigdy nie będę tak dobry.*

Podczas gdy inni zgłaszają się i czytają na głos komplementy, które otrzymali, ja siedzę i słyszę jedynie szaleńcze dzwonięcie w uszach. Mam ochotę dygotać na całym ciele, śmiać się i tańczyć. Czuję mrowienie na skórze głowy. Uśmiecham się bezwiednie – szerokim, spontanicznym uśmiechem, od którego bolą mnie policzki.

– Waverly – mówi pani Denning. – Wygląda na to, że dostałaś jakieś miłe komplementy. Chciałabyś może przeczytać parę z nich?

W tym momencie uśmiech, który jeszcze sekundę wcześniej rozpromieniał mi całą twarz, znika. Żadne ze zdań, które Marshall do mnie skierował, nie nadaje się do publicznego odczytania.

Gorączkowo przetrząsam osobistą bazę danych w poszukiwaniu czegoś normalnego. Oceny – oceny zawsze są bezpieczne.

– *Era inteligente*<sup>3</sup>.

– Dalej, proszę – zachęca pani Denning.

– *Ella corra muy rápido*<sup>4</sup>. – Mój głos, ostry i rzeczowy, kłuje mnie w uszy.

A może to tylko uraza, która odżywa we mnie za każdym razem, gdy jestem chwalona za to, jaką ludzie chcą mnie widzieć, a nie za to, kim jestem.

Pani Denning klaszcze w dłonie, uśmiecha się, jak gdyby chciała powiedzieć: „czyż to nie wspaniała zabawa?”.

– Jeszcze jedno zdanie, jeśli możesz.

Biorę krótki, uspokajający wdech, unoszę brodę i recytuję:

– *Ella está muy organizada*<sup>5</sup>.

W tym momencie Marshall wstaje i wychodzi z klasy.

Przyciskając do piersi książkę dla nauczyciela, pani Denning odprowadza go zdumionym wzrokiem. Nagle ogarnia mnie przemożne pragnienie, żeby za nim pójść, przygwoździć go do ściany niczym wampirzyca z powieści gotyckiej i odwzajemnić komplementy.

Nauczycielka marszczy brwi, omiata klasę badawczym spojrzeniem.

– Coś mu dolega?

Nikt się nie odzywa. Ollie Poe z nachmurzoną miną wpatruje się w swoje dłonie.

– Oliver, nie wiesz, czy Marshall dobrze się czuje?

Gdy Ollie podnosi wzrok, na jego twarzy maluje się szczerłość i coś na kształt bezradności.

– W zeszłym tygodniu był chory. Może jeszcze nie do końca wyzdrowiał.

Pozostałe minuty zdają się trwać całą wieczność.

Gdy wreszcie rozlega się dzwonek, czuję jego brzęczenie w zębach.

---

1 *Carry a torch* (idiom., ang.) – wzdychać do kogoś.

2 *All wet; the bee's knees; on the lam; dolled up; the cat's pajamas* (idiom., ang.) – całkowicie się mylić; uważać się za bóg wie co; ukrywać się przed policją; wyszykować się; uważać się za pępek świata.

3 *Era inteligente* (hiszp.) – Jest inteligentna.

4 *Ella corra muy rápido* (hiszp.) – Biega bardzo szybko.

5 *Ella está muy organizada* (hiszp.) – Jest dobrą organizatorką.

Odpuść sobie

Policzki palą mnie i szczypią. Nie pomaga nawet to, że stoję przez dłuższą chwilę w pustym korytarzu przed pracownią plastyczną.

W myślach wciąż słyszę Waverly. Jej opanowany, szkolny głos, którym recytuje bzdurną zmyśloną listę. Pominęła moje uczucia, oceniła je i przekreśliła, usunęła każde słowo, które mówiło prawdę na temat tego, za kogo ją mam.

Jeśli jednak czuję się odrzucony i jak idiota, to tylko na własną prośbę. Ponieważ pomyślałem, że to, co dzieje się w środku nocy, może mieć cokolwiek wspólnego z realnym życiem. Oczywiście nigdy nie przeczytałaby tak osobistych wyznań całemu światu. To nie w jej stylu. I nawet jeśli przedstawiłaby wszystkim moje wypociny, dalej czułbym w środku to samo: jak gdybym się rozpadał, jak gdybym nie miał pojęcia, które kawałki mojego życia są prawdziwe. Nie świadczyłoby to o niczym.

Z rękami w kieszeniach idę w kierunku parkingu. Jestem prawie na końcu korytarza, tuż przy podwójnych drzwiach, gdy niedaleko za mną rozlega się głośny, przyprawiający o dreszcze gwizd.

Autumn Pickerel rzuca się na mnie jak pitbul. Wali mnie dłonią między łopatki, aż stękam.

Gdy się obracam, stoi przede mną z rękami na biodrach tak blisko, że niemal stykamy się stopami. Ma na sobie koronkową sukienkę i luźny, rozpinany z przodu sweterek. Generalnie może nie jest to jakiś szczególnie dziwaczny strój, ale na niej wygląda dziwacznie, jak gdyby przebrała się w kostium, żeby upodobnić się do innych ludzi.

– Gdzie się, do cholery, podziewałeś, odludku?

– Nigdzie – odpowiadam, wycofując się w stronę parkingu. – Cały czas w tej samej okolicy.

– Aha. – Włosy ma bardziej proste niż zwykle i coś dziwnego stało się z jej oczami, jak gdyby miała cztery razy więcej rzęs niż ostatnio, kiedy ją widziałem. – To znaczy, że w końcu znalazłeś sposób na to, żeby stać się niewidzialnym: wystarczy naciągnąć kaptur i zwać z testu z fizyki?

Parskam śmiechem, ale brzmi on ponuro. Nie potrafię przy niej udawać, że wszystko w porządku.

Przez sześć lat szkoły podstawowej nie miało znaczenia to, że moim najlepszym kumplem była dziewczyna. Ale potem, gdy przeszliśmy do kolejnej klasy, nagle przestaliśmy się kumplować. Można by pomyśleć, że tak to już jest – w gimnazjum wszyscy zmieniają przyjaciół. Tyle że Autumn jest inna. Inaczej patrzy na ludzi, potrafi zobaczyć rysy i słabe punkty, a potem próbuje te dziury jakoś załatać. I problem w tym, że trudno wytrzymać z kimś, kto widzi, co w tobie siedzi, kiedy nagle wszystko robi się popieprzone.

Stoi tak blisko mnie, jakby ta sytuacja była czymś normalnym. Jakbym ciągle ją znał. Minęły trzy lata, odkąd ostatnio byłem u niej w domu. Osiem miesięcy czy jakoś tak, odkąd ostatnio z nią rozmawiałem. Ale kiedyś w moim życiu był czas, że mówiłem jej o wszystkim.

– Co tu robisz? – pyta, machając papierami, które trzyma w ręce.

Przez chwilę mam ochotę powiedzieć jej prawdę. Ale prawda jest zbyt skomplikowana, żeby wyjaśnić ją w paru słowach. Co miałbym powiedzieć? Że wyszedłem w środku lekcji z klasy, bo Waverly potraktowała mnie jak powietrze, czyli jak zwykle?

– Muszę odetchnąć świeżym powietrzem.

– Naprawdę? – Autumn zerka przez podwójne drzwi na parking. – Czy przypadkiem razem z powietrzem nie będziesz też wdychał oparów zioła zwanego *cannabis indica*?

Zawsze potrafiła doskonale wyczuć mój podły nastrój i właśnie dlatego przestałem patrzeć jej w oczy. Od całej tej historii z tatą omijam ją szerokim łukiem.

Wzruszam ramionami, skinieniem głowy wskazuję jej sukienkę i lśniąco, elegancko uczesane włosy.

– Co to ma być, jakieś przebranie?

– No, no. – Wojowniczo unosi trzymane w ręku kartki. – Dzięki temu grzecznemu wdzianku w ciągu ostatnich dwóch tygodni wybierano mnie do kserowania różnych bzdur na lekcję częściej niż przez całe moje bezużyteczne życie.

Pewnie nawet mówi prawdę. To bez sensu, że ludzie zawsze uważali Autumn za mało pomocną. Jasne, jest hałaśliwa, a jej żarty często wkurzają innych, ale lubiła pomagać, odkąd pamiętam – to jej naturalny tryb działania, coś jak wewnętrzny przymus, od którego nie można się uwolnić.

– I co teraz? – pyta, krzyżując ręce. – Powinnam się zmyć? Skoro najwyraźniej nie chcesz ze mną rozmawiać? – Nie mówi z pretensją ani złością, po prostu ustala fakty.

– Nigdy nie byłem gadatliwy. Poza tym ostatnio chyba masz dobre towarzystwo do rozmowy, prawda? Elitarne?

Próbuję ją wybadać, znaleźć coś prawdziwego. Coś konkretnego. Coś, co połączy świat nocnych dziwactw z rzeczywistością.

– Chodzi ci o Waverly Camdenmar? – Autumn unosi jedną brew. – Może przyjdiesz na bal i sam się przekonasz?

Odwracam twarz w nadziei, że nie zobaczyła, jak gorąco nagle mi się zrobiło.

– Chyba nie mówisz poważnie?

– Z ręką na sercu – oświadcza i wydaje się, że rzeczywiście nie żartuje. Zakłada ręce i wpatruje się we mnie. – Daj spokój, nie zastanawiasz się, jak to jest zrobić czasem coś innego?

Nie potrafię znaleźć na to odpowiedzi. I chociaż nie umiem też sobie wyobrazić, jak niby miałyby

wyglądać moja zabawa na balu, sam pomysł... sam pomysł wydaje się interesujący. Możliwy.

– Mógłbym przyjść z Heather.

Autumn marszczy brwi.

– Serio, Holt? Przestań. Wcale nie trzeba mieć osoby towarzyszącej. Ja nie będę miała i jestem przekonana, że i tak mnie wpuszczą.

Tyle że Autumn to tego typu osoba, która może przychodzić, gdzie tylko jej się podoba, i wszędzie czuje się dobrze. Ja nie jestem pewny, czy potrafię pojawić się we własnym życiu na trzeźwo. Każdy dzień przypomina zlepek przypadkowych zdarzeń. Nawet z Heather: to ona namierzyła mnie. „Wydajesz się smutny”, powiedziała. Stałem oparty o stół bilardowy w piwnicy jej rodziców, było to pod koniec zeszłego roku. Przysunęła się tak blisko, że dotknęliśmy się rękami, a potem zaprowadziła mnie na górę, wisząc na mnie przez całą drogę, bo była pijana, a ja tego potrzebowałem. Albo chciałem. Czasami trudno odróżnić jedno od drugiego.

Autumn wygląda na totalnie znudzoną.

– Zresztą mnie to obojętne. Postaraj się tylko ograniczyć do jednego kiepskiego wyboru na ten wieczór.

Czuję, że chce mi przekazać coś jeszcze, jakąś tajemniczą wiadomość, którą powinienem odszyfrować.

Kiedyś mieliśmy własny wymyślony język, ale może wcale nie był on tylko nasz. Chodzi o to, że Autumn używa nawet najzwyklejszych słów w taki sposób, że brzmią jak wymyślone przez nią. Sądziłem, że to nasza tajemna mowa, ale skoro znaczenie nadawała jej Autumn, to może była to po prostu odmiana zwykłego języka, którym się kiedyś posługiwałem.

Autumn uśmiecha się i nagle tak bardzo przypomina tamtą dziewczynę, która dawniej rysowała dla mnie postacie Deadpoola i Batmana czy naśmiewała się z moich kart z pokemonami, że zastanawiam się, jak mogło mi przyjść do głowy, iż założyła na siebie jakieś przebranie.

– Muszę lecieć. – Macha mi przed nosem kserówkami. – Czyli widzimy się na dorocznej błazenadzie, tak?

Gdy znika, wychodzę na boisko baseballowe i siadam na ławce rezerwowych. Robiłem to często po tym, jak się dowiedziałem o chorobie taty, ale szybko wydało mi się to idiotyczne. Bardzo dawno tu nie byłem.

Wieczorem po rozmowie, podczas której rodzice powiedzieli nam o ojcu, pojechałem z Olliem, Hezem i Kapitanem do kanionu Gray Rock, rozpaliliśmy ognisko i nawaliliśmy się kompletnie.

Czułem się naprawdę kiepsko, ale byłem zbyt otepiały, żeby się tym przejmować. Za to następny ranek był tragiczny.

Gdy wracaliśmy z kanionu, Kapitan co chwilę naciskał hamulec albo dodawał gazu, a ja prawie całą drogę przesiedziałem z głową między kolanami.

Byliśmy w połowie tego cholernego krętego i pofałdowanego odcinka i poczułem, że zaraz nie wytrzymam. W głowie miałem chmurę dymu, cały się trząsałem.

Chyba wydałem jakiś dźwięk ostrzegawczy, bo Ollie od razu pochylił się nade mną i walnął Kapitana w ramię.

– Justin, zatrzymaj się. Marshall chyba musi wysiąść.

– Mars, jeżeli się tu zrzygasz, urwę ci jaja.

Wdychałem powietrze przez nos, wypuszczałem przez usta i próbowałem mu powiedzieć, że to przez drogę i że bardzo chce mi się pić. W gardle czułem obrzydliwy smak zeszłej nocy.

Ollie podniósł się, zaczął grzebać w styropianowej lodówce za siedzeniem, ale znalazł tylko pół butelki zwiertzałej coli.

– Hej, to będzie dobre – powiedział Hez. – Cola uspokaja żołądek.

Wypiłem więc colę małymi łykami i zacząłem sobie wmawiać, że wszystko w porządku, wszystko dobrze – jestem zmęczony i mam kaca, ale poza tym wszystko jest pod kontrolą.

Nie zadziało.

Tata dalej był chory, dalej był dupkiem, moje życie dalej było rozpieprzone i nawet cola smakowała jak whisky. Dwie minuty później stałem na poboczu z zamkniętymi oczami i rękami opartymi o kolana. Nie była to najpiękniejsza chwila w moim życiu.

Potem poczułem się i lepiej, i gorzej. Gdy przestałem się zajmować tylko tym, żeby nie rzygnąć Kapitanowi na siedzenia, zacząłem myśleć o całej reszcie. Coś w środku mnie pękło. Próbowałem sobie powtarzać to, co zwykle – że obudzę się jutro i będę się czuł dobrze, jak gdyby nie było całego tego dzisiejszego dnia.

Ale mój tata stał się niepełnosprawny, może do końca życia, a mama do końca życia miała już być żałosna i nieszczęśliwa. Ja z kolei obudzę się jutro i wcale nie będę się czuł lepiej. Będę się czuł strasznie. Będę się czuł cały czas tak samo i nigdy nie będzie lepiej.

Gdy w końcu podniosłem głowę, Ollie stał nade mną i mrużył oczy od słońca.

– Jak tam, Mars?

Byłem pewny, że pyta o pęknięcie w moim środku, o uczucie bezdennej pustki, która wypełniała mi piersi. Gdybym chciał mu odpowiedzieć, musiałbym wywalić z siebie wszystko o rozwodzie, którego nigdy nie będzie, o tym, że sobie nie radzę, że tata jest chory i że rodzice już zawsze będą taplać się w tym gównie. A ja nie potrafiłem wymówić tego głośno.

– Już dobrze – wymamrotałem totalnie rozbitym głosem. – Wszystko dobrze.

Ollie, nie ruszając się z miejsca, pokręcił głową.

– Co ty pieprzysz? Wyrzygałeś z siebie pół butelki coli. Od kiedy czujesz się dobrze? Chłopaki chcą tylko wiedzieć, czy dasz radę wrócić do samochodu.

Wyciągnął rękę, w której trzymał coś pogniecionego i ociekającego wodą. Dopiero po chwili dotarło do mnie, że to jedna z roboczych koszul Kapitana.

– To Justina.

– Pieprzyć go – mruknął Ollie, dokładniej wykręcając mokry materiał. – Jest zimna. Wytrzyj twarz. Dobrze ci zrobi.

Gdy wziąłem koszulę, pachniała jak stopiony lód z dna lodówki turystycznej – mokrym styropianem i ziemią. Przetarłem twarz, przyłożyłem wilgotny materiał do karku i zrobiło mi się trochę lepiej.

Gdy wreszcie wróciłem do samochodu Kapitana, Ollie na mnie nie patrzył. Przycisnął się do drzwi na drugim końcu tylnego siedzenia i pomyślałem, że na wszelki wypadek chce się trzymać ode mnie z daleka, ale wtedy on poklepał miejsce obok siebie i powiedział:

– Połóż się, jak chcesz.

Popatrzyłem na siedzenie i przytaknąłem. Kiedy się położyłem i zamknąłem oczy, przestało mnie tak bardzo boleć. To głupie: tak naprawdę poczułem się lepiej, gdy przestałem udawać, że wszystko dobrze.

Obudziłem się, kiedy Kapitan zatrzymał się na podjeździe. Leżałem rozwalony na całej długości siedzenia z jedną ręką unieruchomioną pod bokiem i głową przyciśniętą do kolan Olliego.

Ollie spał oparty o drzwi z dłonią na moim ramieniu i jej ciężar był jedynym dotykiem, jaki byłem w stanie znieść.

Siedzę oparty o cement, z nogami na barierce, gdy zza rogu wiaty wychodzi Ollie.

Staje nade mną, minę ma niepewną, słońce świeci mu w plecy.

– Co jest, do cholery?

Chociaż wiem, że chodzi mu o to, dlaczego wyparowałem z klasy w środku lekcji, jego pytanie dotyczy czegoś więcej. Wszystkiego, co poszło źle, nie tak. Dotyczy mnie, tego, że chciałem czuć się ważny. Zauważony przez Waverly. Nie mam pojęcia, dlaczego sobie ubzdurałem, że będzie inaczej. To jest prawdziwe życie.

– Nie wiem – odpowiadam, oglądając swoje dłonie. – Naprawdę nie wiem.

Ollie siada i wyciąga papierosy.

– Denning wysłała mnie, żebym sprawdził, czy żyjesz.

Wpatruję się w boisko baseballowe, przypomina mi się, jak w pewne wakacje, gdy miałem



dwanaście lat, tata co sobotę próbował mnie nauczyć podkręcania piłki. Nienawidziłem tego.

– Nie – odpowiadam, gdy przyjaciel podsuwa mi paczkę. – Po prostu musiałem się przewietrzyć.

Rzuciłem palenie, ale niektóre nawyki trudno zmienić. Chociaż nie palę, dalej codziennie wychodzę z Olliem na parking. W kieszeni kurtki noszę pół paczki cameli i kiedy robi się ciężko, gładzę palcami opakowanie, jak gdybym szykował się do otwarcia paczki i wyciągnięcia papierosa.

Dobrze pamiętam, dlaczego w ogóle zacząłem palić. Bez papierosa, który przypomina, żeby wziąć wdech, często brakuje mi powietrza.

Obok mnie Ollie otwiera wieczko zapalniczki i za chwilę z trzaskiem je zamyka.

– Idziemy do Kapitana w weekend? Mam trochę skuna, więc jeśli nie będzie nic lepszego do roboty, będziemy mogli sobie zapalić.

– Nie mogę – odpowiadam. – Chyba zabiorę Heather na ten cały bal.

Mina, którą ma Ollie, rozbawiłaby mnie do łez, gdyby nie robił jej w reakcji na moje słowa. Jest mi cholernie głupio, że się za mnie wstydzi i że tak naprawdę przyznaję mu rację.

– Może to wcale nie taki kiepski pomysł – dodaję w końcu. – Może być niezły ubaw.

Przez dłuższą chwilę milczymy, a kłamstwo wisi między nami jak chmura, która z każdą sekundą się powiększa. Próbuję odsunąć od siebie tę myśl, wyobrażając sobie silny wiatr rozganiający obłoki, ale niewiele to pomaga.

– W takim razie może ja też się wybiorę – rzuca Ollie, udając niedbały ton.

– Co?

Przyjaciel wzrusza ramionami i obraca w palcach zapalniczkę.

– Ta pierwszoklasistka zaprosiła na bal Małego Olliego.

– No i?

– Zgodził się, ale słyszałem, jak mówi Carterowi z drużyny piłkarskiej dla nowych, że na balu ma być jakaś panna, która go kręci, i może uda mu się ją zaliczyć. Cokolwiek to dla niego znaczy. Pewnie gówniarz marzy, żeby dotknąć jej cycka.

– Stary, szpiegujesz pierwszaków?

Ollie patrzy na boisko.

– Nie mogę znieść, że koleś zachowuje się jak skończony kretyn. Chyba mi nie powiesz, że twoim zdaniem ta historia nie jest zupełnie popieprzona?

Jasne, że jest, ale raczej nie mam potrzeby uderzać z tego powodu w moralizatorski ton. Czasami ludzie po prostu są kretynami i nie trzeba ich na siłę zmieniać. Kapitan jest tego najlepszym przykładem. To cymbał, ale Olliego jakoś niespecjalnie to rusza.

– Dlaczego w ogóle cię to obchodzi? Przecież nawet ich nie znasz.

Ollie marszczy brwi.

– Skoro już ten koleś łązi po szkole i udaje mnie, to wolę mieć go na oku. A ta mała wydaje się fajna.

– I co z tego?

– Wiesz, bardzo ciekawe, że poucza mnie ktoś, kto idzie na bal z Heather.

– Odpieprz się.

– Dlaczego to robisz? – Ollie nie odrywa wzroku od swoich butów. – Co ty w niej widzisz?

Myszę o Heather wyrywkowo. Przypominam sobie jej lepkie włosy, jej śmiech i głupoty, które wychodzą z jej ust za każdym razem, gdy je otworzy.

– To nie takie proste.

Ollie przekrzywia głowę i patrzy na mnie, jak gdyby czekał, aż go przekonam, że w moim życiu nie ma już spraw, które są proste.

Wzruszam ramionami i odchrząkuję.

– Sam nie wiem, to po prostu Heather. Jasne, czasami jest wkurzająca i za głośno mówi, ale to nie znaczy, że jest złym człowiekiem.

– Stary, o czym ty mówisz? Heather masz gdzieś. Pytam, co widzisz w tej zimnej, nadętej panience, w tej całej Camdenmar?

Wpatruję się w oczka siatki w kształcie rombów. Chcę zapytać, skąd to wszystko wie, ale w sumie takie pytanie nie miałoby większego sensu. Ollie zawsze doskonale słyszał to, co inni próbowali przemilczeć. Taką ma zdolność.

Otwieram usta, myślę o Waverly. Siedzi na moim łóżku ze spuszczonej oczami, lekko odwróconą głową, dłonią na mojej dłoni. Znów zamykam usta.

Nie mam pojęcia, jakimi słowami to wszystko opisać. Nie potrafię wyjaśnić tego, że wyczuwam, jaka jest zdenerwowana, przez cały czas. Jej napięcie jest dla mnie prawie słyszalne i przypomina trzepot ćmy zamkniętej w słoiku. Sprawia, że chcę ją uratować, chociaż wiem, że nie mogę i że ona nigdy się nie przyzna, iż potrzebuje ratunku. W snach obejmuję ją tak długo, aż nerwowo, panicznie dźwięk milknie, a ona mięknie w moich ramionach. Jej dziwaczne wizyty w moim pokoju to jedyne fragmenty dnia, które mają dla mnie jakąkolwiek wartość. Jedyne chwile, które nie są do dupy.

Nie wiem, jak to powiedzieć i sprawić, żeby mi uwierzył, dlatego patrzę na niego i wzruszam ramionami.

– Może mam dosyć tego, że nic mi się nie chce oprócz ćpania i chlania. Ona cały czas stara się być lepsza. Ja chyba... też chcę być lepszy.

– Dlatego rzuciłeś palenie? – zgaduje Ollie.

– Może i tak.

Ollie bez słowa zarzuca mi rękę na ramiona i po chwili opieram się o niego. Siedzimy tak długo, dotykamy się głowami, milczymy. Przechodzi mi przez myśl, że gdybym mógł wybrać brata, byłby nim Ollie. I może tyle wystarczy. Na ten moment, dzisiaj, niczego więcej nie potrzebuję.

# WAVERLY

Przez pierwsze pięćdziesiąt siedem minut zebrania komitetu koncentruję się na tym, żeby nie wyglądać na osobę, która ma ochotę uciec przez tunel wydrążony we własnym oczodole.

Siedzimy w kuchni Maribeth przy olbrzymim owalnym stole, podczas gdy gospodyni przegląda ostateczną listę kontrolną. Bal odbędzie się za dwadzieścia dziewięć godzin. Przed nami jeszcze wiele obowiązków do wykonania.

Ja mam za zadanie zadzwonić do sklepu z artykułami imprezowymi i upewnić się, że nasze zamówienie na metaliczne konfetti zostało zrealizowane. Autumn sprawdzi, czy drukarnia przygotowała specjalnie zaprojektowane transparenty. Maribeth zajmie się didżejem i cateringiem, ponieważ nikomu nie ufa na tyle, żeby powierzyć mu to zadanie. Odnotowuję brak naszych wysportowanych kolegów. Ich zadaniem jest niewchodzenie nam w drogę. Mogą się z tego wywiązać, pozostając w domach.

Maribeth sięga po łądygę selera i spogląda na wszechwiedzącą listę.

– Czyli zostają upominki, którymi miała zająć się Kendry po powrocie z debaty, ale może powinniśmy ją w tym wyręczyć?

– Och? – Autumn kopie mnie pod stołem, przybierając niewinną minę. – Powinniśmy?

– Cóż – odpowiada Maribeth z beznamiętnym, rzeczowym wyrazem twarzy, którego nie znoszę. – Chcę tylko powiedzieć, że umiejętności organizacyjne nie są najmocniejszą stroną Kendry. Nie zauważyłyście?

– Kendry nie jest głupia – oświadcza Autumn. – Cała sztuka polega tu na posortowaniu stosu małych klepsydr i plastikowych zegarków. Dziewczyna chyba potrafi zliczyć do dziesięciu?

– O Jezus, przestań. Chodzi mi tylko o to, że i tak ma już dużo na głowie. – Maribeth mówi tonem osoby szczerze zatroskanej. Jak gdyby sama wierzyła w to, że próbuje wyświadczyć Kendry przysługę, a nie potraktować ją protekcjonalnie.

Autumn rozpira się na krześle i ze znudzoną miną patrzy w sufit.

– Czasami zachowujesz się jak wściekła suka.

Biorę oddech i wypuszczam powietrze z płuc, ale robię to automatycznie. Prawdę mówiąc, mam nadzieję, że coś wybuchnie. Gustowny telewizor w kuchni, różowa lemoniada i granitowe blaty, wszystko wyleci w powietrze.

Maribeth udaje jednak, że Autumn niczego nie powiedziała. To jej ulubiona sztuczka – zachowywać się tak, jak gdyby dane spojrzenie, słowo czy zdanie nic nie znaczyło, ponieważ ona jest ponad tym. Ja jednak wiem, że jest inaczej. W mrocznej przestrzeni kryjącej się za twarzą porcelanowej lalki liczą

się tylko słowa i spojrzenia.

Z ołówkiem przy kartce, gotowym, by wykreślić kolejną pozycję, Maribeth rozgląda się wokoło.

– Czyli Kendry zajmie się upominkami po powrocie z debaty. A do kogo ty zadzwonisz, Autumn?

– Do „Magicznego Zakładu Poligrafii Bezuszytecznej Wydrukuj To Sam”.

Maribeth wzdycha. Jej usta tworzą niebezpiecznie cienką linię.

– Mogłabyś choć przez pięć minut mówić na poważnie?

Autumn wspiera brodę na dłoni.

– Poważnie? Zaraz dostanę tętniaka z nudów. Poważnie. – Następnie obraca się do mnie, jakbyśmy nie siedziały przy stole Maribeth i nie planowały balu Maribeth. – Hej, wpadniesz dziś do mnie, jak to się skończy? Będziemy za głośno słuchać muzyki z winyli mojej mamy i jeść same niezdrowe świństwa.

Pytanie wisi w powietrzu dłużej, niż powinno. Niczego nie pragnę bardziej, niż znaleźć się już u Autumn.

Gdy przytakuje niezobowiązująco, Maribeth wyciąga z rąk Palmer listę zadań i zakreśla numer, przy którym zapisana jest drukarnia. Na jej twarzy maluje się zniecierpliwienie. Zawsze wolą robić coś, niż nie robić nic.

Gdy Palmer i Maribeth zmagają się z listą, Autumn zdejmuje nakrętkę z markera i sięga po moją rękę.

– Daj, nie ruszaj się.

Szybkimi zgrabnymi ruchami rysuje na mojej skórze kaskadę kwiatów w stylu art déco, połączonych ciągnącą się od łokcia wstążką.

Rysunek zaczyna się na wewnętrznej stronie przedramienia i wije po nadgarstek, gdzie się zwięża, i kończy pasmem maleńkich kokardek okrążających mały palec.

Na tym opiera się całe prawo nieprzewidywalności Autumn Pickerel: im bardziej starasz się przewidzieć jej zachowanie, tym bardziej prawdopodobne, że ci się to nie uda.

Maribeth radzi sobie w taki sam sposób, w jaki zwykle stara się opanować sytuację, która zdaje się wymykać spod kontroli: stosuje bierną agresję.

– Autumn, ależ ty jesteś kreatywna! Mam tylko nadzieję, że da się to doszorować przed balem. – Obraca się do mnie, pogodna i bezlitosna. – Czy może zamierzasz wystąpić w wieczorowych rękawiczkach? Właściwie dobry pomysł, trochę odwracałyby uwagę od twojej prostokątnej sukienki. Och, Autumn, przypomnij mi raz jeszcze, jak nazywa się to miejsce, do którego masz zadzwonić?

Autumn sięga do miski po marchewkę i zdecydowanym ruchem szczęk odgryza jej końcówkę, nie spuszczać wzroku z Maribeth.

– Nazywa się „Pieprz Się Wieprzu”. Trochę dziwną mają nazwę, ale cholernie dobrze znają się na

swojej robocie.

W notesie zapisuję:

Zdanie: Nie chcę nikogo rozczarować.

Implikacja materialna: Jeśli rozczaruję ludzi, odrzucą mnie.

Sprzeczność: Chcę rozczarować wszystkich.

\*

Dom Autumn znajduje się w jednej ze starszych dzielnic, schowany na samym końcu podejrzanej ślepej uliczki. Na podjeździe leży sterta gromadzących się od tygodnia gazet, wokół schodów walają się zasy suchych liści. Wnętrze domu jest ciemne i zagracone, a jego męczący wystrój przywodzi na myśl przejaskrawione lata osiemdziesiąte.

Przemykamy obok krzykliwych dzieł sztuki, kluczymy między rażąco niedobranymi meblami, aby dojść do położonej na tyłach sypialni Autumn.

Ściany jej pokoju oblepiają zdjęcia z plotkarskich czasopism, na podłodze poniewierają się ubrania wywrócone na lewą stronę, kolorowe długopisy i pudełka z przyborami do szycia.

– Nie patrz w kąt – woła gospodyni, przeciskając się obok mnie.

Dostrzegam zarys człekopodobnej postaci, która wygląda na staromodny manekin krawiecki, zanim Autumn zasłoni płachtą materiału tajemniczą kukłę.

– Moja sukienka na bal. Nie możesz jej jeszcze zobaczyć.

Mimo że manekin skrył się pod płótnem, nadal mam tu co oglądać. Sypialnia jest ogromna i nieproporcjonalnie długa, jak gdyby kiedyś służyła za pokój rekreacyjny. Na każdym skrawku płaskiej przestrzeni walają się najrozmaitsze drobiazgi – farby, pióra, kleje. Pod jedną ścianą stoją pokaleczony stół kreślarski i mosiężna lampa, która wygląda na autentyczny antyk. Jedynym meblem, na którym można usiąść, jest gigantyczne dębowe łóżko z wysokim, wygiętym wezgłowiem.

Brodzę między rupieciami, usiłując nie nadziać się na przypadkowo leżącą luzem igłę, po czym opadam na skraj materaca.

– Naprawdę zadzwonisz do drukarni czy może chcesz, żebym ja to zrobiła?

Autumn rusza przetartym przeze mnie szlakiem, po czym daje wielkiego susa i ląduje na samym środku aksamitnej kapy.

– Mam się tobą wyręczać? – pyta, przewieszając się przez krawędź łóżka i spuszcza głowę w dół.

– Nie ma mowy. Nie będę dodawała ci roboty, tylko po to, żeby zrobić na złość Maribeth. Jedno jest pewne, strasznie się jara tymi banerami.

Siedzę i przyglądam się Autumn. Myślę, że mówi poważnie, ale nie jestem tego pewna.

– To znaczy, że podporządkujesz się jej poleceniom? Ponieważ cię o to poprosiłam?

Autumn jeszcze przez minutę zwisa z krawędzi. W końcu podnosi się, odsuwa włosy z twarzy.

– Waverly, muszę ci zadać jedno bardzo ważne pytanie.

– Słucham – zachęcam, a w głowie wertuję katalog trudnych, osobistych spraw, o które mogłaby zahaczyć.

– Jak można mieć siedemnaście lat i nie wiedzieć, na czym polega przyjaźń?

Wybucham śmiechem, ponieważ to rzeczywiście straszne. I prawdziwe. Ponieważ nagle zdaję sobie sprawę z tego, że to ona oferuje mi przyjaźń, za którą tęskniłam, zanim jeszcze uświadomiłam sobie, iż brakuje mi przyjaźni.

Aksamitna kapa jest skandalicznie kiczowata i cudownie miękka. W tym olbrzymim pokoju, gdzie nie słyszy i nie widzi mnie nikt prócz tajemniczej sukienki Autumn majaczącej w kącie niczym duch, o wiele łatwiej wydobyć głęboko skrywaną prawdę o sobie.

– Nie żyję tak, jak myślisz – mówię i natychmiast ogarnia mnie niepokój. Powiedziałam zbyt wiele. Przyjaciółka zacznie mi się bliżej przyglądać, intensywniej. Zobaczy wystrzępione brzegi, mroczne, niezdrowe fascynacje – pająki i nihilizm, zmutowane komórki, skalpele i sarkofagi.

Autumn wzrusza jedynie ramionami i odrzuca głowę do tyłu.

– Czy ktokolwiek żyje tak, jak zdaje się innym?

– Nie wiem, wydajesz się dość autentyczna.

Przeciąga się jak kot i zmienia pozycję, siadając po turecku. Dziwne, jak łatwo wtopić się w czyjś świat. W szkole również dzielimy swoją przestrzeń z innymi ludźmi, ale to nie to samo. Tam jesteśmy niejako sąsiadami i to wszystko – lśniącymi samochodami zaparkowanymi na dokładnie wyznaczonych miejscach parkingowych.

– Każdy wciska się w jakąś formę – odpowiada. – Ja lubię myśleć, że wybrałam najlepsze z możliwych alter ego dla swoich talentów i upodobań.

Nigdy nie słyszałam, żeby ktoś z taką swobodą mówił o kreowaniu wizerunku. Maribeth nie przyznałaby nawet, że od paru lat właśnie tym głównie się zajmujemy.

– Dlaczego wstawiałaś się dzisiaj za Kendry? Przecież jej nie lubisz.

Autumn spogląda na mnie ze zdumieniem.

– Jezu, nie mam pojęcia. Dlatego, że Maribeth mówiła o niej wstrętne i niesprawiedliwe rzeczy i to wtedy, gdy Kendry nie mogła się obronić. Dlatego, że to było słuszne. To znaczy... nigdy nie chciałaś zrobić czegoś tylko dlatego, że tak należy?

Rzecz w tym, że chyba raczej nie. Przynajmniej nie w taki sposób, jaki Autumn ma na myśli – nie

robiłam nic ze szczerego odruchu serca, moje działania jako wolontariuszki ograniczały się do pracy, która miała mi przynieść społeczną korzyść. Ściana zwierzeń to jedyne miejsce, gdzie odważyłam się kogoś pocieszyć lub za kimś ująć. Mój najszlachetniejszy poryw.

– Nie współczułabym komuś, kto nazywał mnie dziwolągiem i traktował jak trędowatą – mówię. – Wiem, że tu chodzi o zasadę, ale czy zasady są wystarczającym powodem, żeby odpuścić Kendry to, jak się do ciebie odnosiła?

Autumn wyciąga rękę i przeczesuje mi włosy palcami.

– Zasady to jedyna rzecz, która się liczy.

Nie mogę się przyzwyczaić do swobody, z jaką dotyka ludzi. Jej gesty nie są jednak agresywne ani protekcyjne, sprawiają wrażenie naturalnych.

– Masz trochę zapuszczoną fryzurę.

– Miałam się podciąć w zeszłym tygodniu. Zapomniałam. – Prawdę mówiąc, ostatnio zapominam o wielu sprawach.

– Mogę to zrobić. Nie bój się, naprawdę się na tym znam.

Dwa tygodnie temu nie dopuściłabym jej tak blisko siebie, ale gdy teraz otwiera szufladę biurka i wyjmuje nożyczki, wstaję i ruszam za nią, ponieważ wierzę Autumn. Kiedy mówi, że coś potrafi, istnieją spore szanse, iż tak jest w rzeczywistości.

Prowadzi mnie wąskim korytarzem do łazienki pomalowanej na niebieski kolor przypominający odcieniem wodę na pływalni. Sadza mnie na krawędzi wanny, po czym wyjmuje z bieliźniarki drewniany taboret i stawia go koło mnie.

– Chyba nie stchórzysz, co?

– Nie. Zamierzasz mnie oszpecić?

– Zrobię cię na Audrey – oznajmia, unosząc nożyczki. – Obiecuję.

Delikatnie kładzie dłoń na mojej brodzie, umiejętnie obraca mi głowę tak, żebym na nią patrzyła, i przygląda się mojej twarzy.

Gdy mruży powieki, na jej twarzy maluje się taki sam wyraz jak wtedy, gdy znalazła mi sukienkę na bal. Jest to mina człowieka, który widzi coś odległego i skomplikowanego. Widzi nie tę osobę, którą jestem, ale tę, którą powinnam być.

Już po pierwszym cięciu czuję się lżejsza, jak gdyby Autumn w porozumieniu ze mną zmieniała kształt Waverly. Kształt wszystkiego.

Nigdy tak naprawdę nie rozumiałam chęci eksperymentowania, wypróbowywania nowych rzeczy, dlatego z zaskoczeniem stwierdzam, że to może być... fajne. Że można dbać o wygląd, zajmować się modą czy stylem tak po prostu – nie z niechęcią, nie dlatego, że nie ma się innego wyjścia, ale dla czystej



przyjemności.

Autumn pracuje szybko, lekko wysuwając język i jedną dłonią przytrzymując mnie za czubek głowy. Przyglądam się jej zgrabnym ruchom, anielskiej twarzy i błyskającym nożyczkom.

Jej ewidentna znajomość sztuki fryzjerskiej to kolejna sprawa, która umacnia mnie w przekonaniu, jak mało wiem o Autumn. Bywa szczerą i zabawną, ale nadal jest w dużej mierze niewiadomą. Stała się przedmiotem moich dociekań, interesującą dziedziną badań. A także, mam nadzieję, moją przyjaciółką.

Jest też przyjaciółką Marshalla. Gdy zdaję sobie z tego sprawę, czuję mrowienie w policzkach. Przyjaciółka Marshalla. Nagle dociera do mnie, z czym się to wiąże – o ilu rzeczach, które go dotyczą, mogłaby mi powiedzieć.

– Autumn, czy wiesz coś o... – Słowa jednak więzną mi w gardle, nie chcą przejść przez usta. Próbuję więc inaczej: – O chłopakach. Co o nich wiesz?

– Myślą rozporkiem i śmierzdzą fast foodami?

– Ale chodzi mi o to, co to może znaczyć, jeśli całujesz się z chłopakiem, on robi ci olbrzymią malinkę, a następnym razem trzyma cię za rękę, ale już nie całuje? Czy to możliwe, że ktoś może cię tak bardzo lubić, że chce się tylko... przytulać?

Autumn wydaje dziwny pomruk i grzebykiem odgarnia mi włosy z twarzy.

– Myślę, że lepiej by było, gdyby CJ Borsen trzymał ręce i język przy sobie.

Mówi ironicznie, inaczej niż brzmiałoby to w wykonaniu Maribeth. Opinia Autumn ma mniej wspólnego z chęcią, aby wszelkie intymne relacje były zatwierdzane przez komitet, a więcej z niezbyt wysokim mniemaniem o Borsenie.

– Och, właśnie – dodaje, jedną ręką przytrzymując mi głowę, podczas gdy nożyczki ocierają się o moją skroń. – Powiedzieć ci coś dziwnego?

Ostrożnie przytakuję. Pytanie Autumn właściwie nie ma sensu, niemniej czekam na rewelację, która w osobliwym świecie dziewczyny uchodzi za dziwną.

Fryzjerka przycina ostatnie pojedyncze pasemka, niedbałym gestem zakłada mi włosy za ucho. Jej dotyk jest niczym wstrząs, przypomina mi, że to, co się dzieje, dzieje się naprawdę, w jak najbardziej realnym świecie. Gdy skończymy, wrócę do domu i będę wyglądać tak, jak wystylizowała mnie Autumn.

Dziewczyna macha nożyczkami, strzepując je nad umywalką.

– Wiesz w ogóle, który to Marshall Holt? Chodzi cały czas na haju, ale mniejsza z tym. Ostatnio pytał o ciebie. Oczywiście udając, że wcale nie pyta.

Przestaję oddychać, ponieważ płuca odmawiają mi posłuszeństwa. Jestem niemal pewna, że to jakaś przebiegła sztuczka, dowcip, który ma mnie rozśmieszyć, ale kiedy się obracam i patrzę na Autumn,

widzę, że nie żartuje.

– Dlaczego... co chciał wiedzieć?

– Tylko czy się znamy. Czy się kumplujemy.

Przytakuję i zaraz przypominam sobie, że mam się nie ruszać.

– Mówił, czemu pyta?

Dziewczyna kręci głową.

– Nie, nie wprost. Myślę, że może mu się podobasz i tyle.

Przygryzam wargę od wewnątrz najmocniej jak potrafię, ale moje usta i tak najchętniej rozciągnęłyby się w uśmiechu od ucha do ucha.

Autumn unosi brwi i grozi mi palcem.

– Przestań stroić miny. Są gorsi faceci od niego, wierz mi.

Natychmiast zmieniam wyraz twarzy na neutralny. Tamtego wieczoru Marshall stanowczo twierdził, że przyjaźni się z Autumn, ale czy na pewno ich światy miały jakąś część wspólną? Jakoś trudno mi to sobie wyobrazić.

– Często się widujecie?

Przeczesa mi włosy, przyciskając grzebyk tak mocno, że mrowi mnie skóra głowy.

– Kiedyś widywaliśmy się bardzo często.

– A teraz już nie? Pokłóciliście się czy coś?

– Och, nie, nic w tym stylu. – Autumn wymachuje nożyczkami w geście protestu. – Przeprowadziłam się i tyle. Mama dostała awans i stwierdziła, że czas kupić dom z dwoma łazienkami. Ale i tak pewnie dałby sobie ze mną spokój. Nie przepada za malowaniem, robótkami ręcznymi i konfrontacjami. Ja nie przepadam za chlaniem do nieprzytomności. Na dodatek od zeszłego roku, po całej tej historii z ojcem, zaczął się trzymać z daleka od wszystkich.

Rzuca to mimochodem, jak gdyby mówiła o powszechnie znanym fakcie.

– Po jakiej historii?

Spogląda na mnie ze zniecierpliwieniem, zbulwersowana moją niewiedzą w tym temacie.

– Jego tata zachorował na stwardnienie rozsiane. Zrobiła się z tego podwójna masakra, bo już wcześniej w domu było nieciekawie. Rodzice mieli się rozwieść, ale potem jego mama przypomniała sobie, że jest uzależniona od awantur z mężem i dlatego lepiej byłoby zostać razem. Totalna porażka. Wtedy Marshall odleciał na trochę.

Chłonę wszystko, co mówi, usiłując pamiętać o odpowiednim wyrazie twarzy. Jaka to była mina? Ta, którą powinnam mieć, gdy słucham o nieszczęściu obcego człowieka?

– Czyli przestał się odzywać do przyjaciół, między innymi do ciebie?

– To nie tak. On po prostu... jak to się mówi, kiedy ktoś tak jakby zapada się w siebie?

Kręcę głową.

– Chyba nie ma na to określenia.

– A powinno być. No więc jedyną osobą, którą mógł znieść, był Ollie, pewnie dlatego, że Ollie potrafi czasem siedzieć cicho.

Przymykam oczy, podczas gdy Autumn muska nożyczkami moje czoło, nadając kształt grzywce.

– Ty tego nie potrafiłaś?

– Och, nie, nigdy. Kiedy widzę strup, nie potrafię się powstrzymać, żeby go nie zdrapać.

Splatam dłonie, przypominam sobie ostatnią noc w jego pokoju, to, jak otwarcie wtedy ze mną rozmawiał, nawet jeśli coś robiło się bolesne albo żenujące. A dziś w klasie napisał: „Staram się być szczerzy, kiedy jestem z nią. Staram się być prawdziwy”. To niezbity dowód, że na swój sposób próbuje podzielić się z kimś tym wszystkim, co dźwiga.

Przytrzymując mnie pod brodę, Autumn układa grzebieniem włosy wokół mojej twarzy.

– I wiem, że nic mi do tego, ale zadaje się z Heather McIntire. Ohyda. Na angielskim zamiast robić zadania, ona woli zanudzać mnie opowieściami o jego atrybutach, chociaż ja wciąż nie mogę uwierzyć, że dalej to robią.

– Co robią?

Autumn wzrusza ramionami, ale kąciki jej ust wykrzywają się w dziwnym grymasie. Irytacji? Zniesmaczenia?

– To samo, co u niej w domu na łóżku rodziców.

Nawet jeśli kiedykolwiek zdawało mi się, że jestem chłodna albo obojętna, teraz się okazuje, jak bardzo się myliłam. Dokładnie czuję moment, w którym znaczenie słów Autumn dociera do mojego serca. Zamykam usta.

Spodziewam się, że Autumn znów zgani mnie za minę, ale tym razem jedynie parska śmiechem i kręci głową, najwyraźniej opacznie interpretując mój przerażony wzrok.

– Tak, wasza świątobliwość, Marshall sprowadził niewinne dziewczę z drogi cnoty.

Wiem, że powinnam również się roześmiać – wiem. Próbuję. Jednak udaje mi się jedynie odchrząknąć. Unoszę rękę, przeczesuję włosy palcami, mimo że kawałki ściętych pasemek zaczynają przez to fruwać wszędzie dokoła, a Autumn nie skończyła jeszcze cieniować tyłu.

– Skąd wiesz? – pytam po chwili milczenia, na tyle dłużej, że stała się krępująca.

– Hm, ze szkoły? To żadna wielka tajemnica. Poza tym każdy to robi z tym czy z innym, prawda?

Całkowicie się z nią nie zgadzam. Rozwiąłość seksualna nie jest nieodłącznym elementem życia nastolatków. Ja nigdy z nikim tego nie robiłam.

– A jeśli chodzi o Marshalla, moim zdaniem to kolejna rzecz, przez którą będzie go męczył kac gigant. Tego chłopaka należałoby chronić przed nim samym.

Stwierdza to jak sędzia, który rozpatrzywszy sprawę z należytą starannością, ogłasza werdykt. Zastanawiam się, czy Autumn rzeczywiście jest aż tak naiwna. Nikogo nie da się uratować przed samym sobą.

– Może po prostu ona mu się podoba.

– Żartujesz sobie? Na podstawie jego przygód miłosnych można by nakręcić półgodzinny film instruktażowy pod tytułem: „Jak się tego nie robi z dziewczynami”. Ona mu się tak naprawdę nie podoba, ale jara go to, że on jej się podoba. Sama widzisz. Żalotne.

Moje wnętrze przeszywa lodowaty dreszcz. Może Marshall jest tego typu człowiekiem, który pragnie akceptacji do tego stopnia, że gotowy jest obdarzyć uczuciem każdego, kto go polubi.

Autumn stoi nade mną z jedną nogą w wannie, a drugą na podłodze.

– I do tego rozmawiał ze mną o balu, jak gdyby na takich imprezach czuł się jak ryba w wodzie. Powiedział, że może przyjdzie z Heather, co jest najgorszym pomysłem wszech czasów.

– Ona jest całkiem ładna.

Dziwnie się czuję, słysząc, że wypowiadam osąd na temat Heather bez zastanowienia, bez wahania. Jak gdybym już wcześniej zaprzętała sobie głowę kwestią jej wyglądu.

Autumn wzrusza ramionami i jednym pociągnięciem grzebienia robi mi z boku głowy przedziałek.

– Może, jeśli ktoś gustuje w ludowych dziewczynach i ich mądrościach. Nie nasz problem. No dobra, zobacz.

Prowadzi mnie do lustra nad umywalką, w którym mogę obejrzeć swoje odbicie, swoją nową, idealnie ukształtowaną fryzurę. Wyglądam niewinnie. Nieskazitelnie.

– Jeśli chcesz, mogę cię nauczyć, jak robić do tego makijaż. Najbardziej będzie pasowało kocie oko. Warto dorzucić coś efekciarskiego, żeby ożywić trochę sukienkę. Co powiesz na sztuczne rzęsy?

Pytanie po mnie spływa. Przesyt informacjami i uczuciami sprawia, że nie jestem w stanie przyjąć nic więcej do wiadomości.

Spoglądam na Autumn, usiłując wyglądać na osobę uprzejmie zainteresowaną i niezbyt przywiązującą wagę do odpowiedzi.

– I jak myślisz, zrobił to?

– Co?

Pocieram szyję. Malinka powoli blednie.

– Zaprosił Heather?

Dziewczyna obrzuca mnie nieprzytomnym spojrzeniem, jak gdyby kształt mojego przedziałka był

w tym momencie tysiąc razy ważniejszy niż ucisk, który czuję w gardle.

– A, cholera, pewnie tak. Widziałam, jak rozmawiał z nią po biologii. Wyglądała na przeszczęśliwą.

Gdy dom ogarniają ciemności i cała dzielnica wydaje się pogrążona we śnie, zapalam świecę. Jest wypalona już do połowy, ale nie chcę teraz o tym myśleć.

Nerwowo przełykam ślinę, a wraz z nią niepokój, zniecierpliwienie i wszystkie pozostałe uczucia.

Naciągnąć kołdrę na głowę. Odprężyć się. Oddychać. Odliczyć. Powtórzyć.

To, co powiedziała mi Autumn, nic nie znaczy. To, co powiedziała mi Autumn, nie obchodzi mnie ani trochę.

Odprężyć się. Oddychać. Odliczyć. Powtórzyć.

Gdy otwieram oczy, Marshall siedzi w swoim pokoju na podłodze. Opiera się plecami o łóżko, na kolanach trzyma podręcznik. Dziwnie widzieć go tak bardzo pogrążonego w nauce. Pilnie odrabiającego lekcje w piątkowy wieczór. Stojąca na biurku lampka oświetla sypialnię ciepłym blaskiem, ale kiedy Marshall podnosi głowę, jego spojrzenie jest pełne rezerwy. Odwraca wzrok.

Przed wizytą w domu Autumn byłam gotowa rzucić się na niego i podziękować mu za komplementy. Teraz przeszkadza mi myśl o Heather McIntire, o tym, że raz, dwa razy, a może więcej, niż chciałabym wiedzieć, był z nią nagi. „Proszę, niech to będzie nieprawda”, gdzieś głęboko w mojej duszy rozlega się szept, modlitwa obolałego serca. „Proszę, niech to się okaże kłamstwem”. Ale wiem, że jest inaczej.

Ostrożnie przechodzę między porzucanymi długopisami, otwartymi książkami i leżącymi luzem zmiętymi kserówkami, po czym siadam na dywanie. Dzieli nas wąska szczelina, centymetr wolnej przestrzeni. Siedzimy ramię w ramię, patrząc prosto przed siebie.

W końcu przechyliłam się lekko na bok i opieram barkiem o jego bark.

– Nie odzywamy się do siebie czy po prostu tak bardzo wciągnęły cię mitochondria?

Wzrusza ramionami, cały czas wpatrując się uważnie w schemat oddychania komórkowego.

Ja nie spuszczam wzroku z jego profilu.

– Daj sobie spokój z bierną agresją i powiedz mi, o co chodzi.

Przez dłuższą chwilę milczy, ale chociaż wygląda to tak, jak gdyby mnie zignorował, znam go już dość dobrze i wiem, że próbuje ubrać w słowa to, co ma do powiedzenia. Wreszcie bierze głęboki oddech, po czym odchrząkuje, nadal patrząc prosto przed siebie.

– Dlaczego wymyśliłaś tę bzdurną listę na hiszpańskim?

Pytanie jest absurdalne. Dlaczego nie ośmieszyłam go publicznie? Dlaczego zrobiłam, co mogłam, żeby zachować jego wyznania w tajemnicy, żeby nie zedrzeć z jego serca powłoki ochronnej ku ucieście tłumu?

– Naprawdę chciałeś, żebym przeczytała to wszystko na głos?

Kręci głową, spuszcza wzrok.

– Nie. Nie wiem. Chyba nie. – Następnie zamyka oczy. – Tak – mówi. – Tak, chciałem, żebyś przeczytała to na głos.

Ton ma stanowczy. Jego zdecydowanie to kolejny dowód na to – gdybym miała jeszcze jakieś wątpliwości w tej kwestii – że nieszczęśliwie martwi się o swoje uczucia. Jest gotowy odsłonić je przed całym światem, ponieważ najgorsze, co może go spotkać, to nie emocjonalne wybebeszenie, ale lekceważenie z mojej strony.

Wiem, że powinnam wszystko wyjaśnić – może nawet przeprosić – jednak nie potrafię znaleźć odpowiednich słów. Moje tłumaczenia brzmią jak argumenty.

– Naprawdę myślisz, że jedno głupie zadanie cokolwiek znaczy? Jak mogłabym przeczytać te wszystkie rzeczy na lekcji?

Podnosi głowę, spogląda na mnie i nagle czuję się tak, jak gdyby wejrzał do mojego wnętrza, dotarł na samo dno mojej duszy i zobaczył, że wcale nie przemilczałam jego komplementów, aby go chronić, ale dlatego że mogły one powiedzieć zbyt wiele o mnie. Nie chciałam zedrzeć swojej powłoki ochronnej.

– Ponieważ są prawdziwe. Chcę się po prostu przekonać, że istniejesz, widzisz mnie i to wszystko jest prawdą.

Całuję go, ponieważ nie przychodzi mi do głowy nic bardziej prawdziwego – w ten sposób można powiedzieć wszystko, czego nie potrafi się wyrazić słowami. Gdy oddaje mój pocałunek, jego usta smakują inaczej niż zwykle, słodko i tęsknie.

– Nie smakujesz papierosami – szepczę, przytulając się do jego piersi.

Kręci głową.

– Próbuję rzucić.

– Jak ci idzie?

– Ciężko.

Znów go całuję, obejmuję za kark, przyciągam do siebie. Czuję na skórze przyjemny dotyk jego oddechu, nasze twarze są niemożliwie blisko. Jest mi lepiej niż kiedykolwiek za dnia. Dotykam jego torsu i modlę się, żeby nie uznał tych pieszczot za nagrodę pocieszenia.

Najwyraźniej jednak nie ma nic przeciwko nim, ponieważ nagle dźwiga mnie, przenosi na łóżko i zaczynamy przetaczać się po pościeli. Pragnę jedynie łączyć wdychać zapach jego dezodorantu,

jego rozczochranych włosów i po każdym haŕście coraz bardziej zapominać o swoim ŕyciu.

Marshall zatrzymuje się, unieruchamia mnie między łokciami. W tym momencie jeszcze dotkliwiej odczuwam to, jak blisko są nasze ciała. Jak mało ubrań mamy na sobie.

– Fajna fryzura – szepcze, jak gdyby przekazywał mi jakąś głębką prawdę, której nie jestem w stanie pojąć.

– Dzięki – mamrocę z równie niedorzeczną powagą.

Patrzy na mnie w szczególny sposób. Jakbym była wyjątkowa albo idealna. Zdaje się, że Autumn to rzeczywiście dobra stylistka.

Marshall pochyla głowę, przygląda się śladom po czarnym markerze wijącym się wzdłuż mojego przedramienia po nadgarstek.

– Co ci się stało w rękę? Co to jest?

– Autumn to narysowała.

Spogląda na mnie, lekko marszcząc brwi.

– Naprawdę się z nią przyjaźnisz – stwierdza w końcu. W jego głosie pobrzmiewa coś dziwnego. Ciekawość? Może zdziwienie?

– Mówiłam przecież. Musiałeś zobaczyć to graffiti, żeby mi uwierzyć?

– Nie, chodzi o to... że nie jesteście znajomymi, ale przyjaciółkami. Autumn maluje tylko na tych osobach, które bardzo lubi. – Cały czas dotyka flamastrowych kwiatków. – Jak się poznałyście?

Nie chce mi się wdawać w szczegóły. Musiałabym wyjaśniać, że poznałyśmy się, ponieważ Kendry i Palmer znajdują się na komunikacji międzyludzkiej jak krowy na gwiazdach. Œe wybrała mnie, chociaż nie zrobiłam nic, aby na to zasłużyć, i nie potrafię być normalna, przystępna ani wykorzystywać swojego potencjału do czynienia dobra.

– Parę tygodni temu przyłączyła się do komitetu towarzyskiego. Pomagamy Maribeth zorganizować bal.

– Autumn organizuje bal – mamrocze, jak gdyby sam pomysł brzmiał absurdalnie. – Czy tego rodzaju rzeczy nie są... nie w jej typie?

– Najdziwniejsze jest to, że naprawdę dobrze jej idzie. Jak już poradzi sobie z mdłościami, których dostaje z nudów.

– Jeśli to takie nudne, czemu to robisz?

Nie kłamie, przynajmniej nie do końca, ale moja odpowiedź wydaje się wyświechtana.

– Maribeth uwielbia takie klimaty, a to moja najlepsza przyjaciółka.

Marshall nic na to nie mówi, jednak jego mina sprawia, że tak czy inaczej zaczynam się bronić.

– Słuchaj – tłumaczę. – To jedyna osoba, której nie przeszkadza, jaka jestem. Wszyscy pozostali



widzą we mnie kogoś innego. Miłą, posłuszną, przystosowaną do otoczenia dziewczynę, która tak naprawdę nie istnieje.

Marshall przytakuje, nadal jednak wpatruje się we mnie tym poważnym, zatroskanym wzrokiem.

– Przyszło ci kiedyś do głowy, że właśnie taką siebie im pokazujesz?

Pytanie absolutnie osobliwe.

– Oczywiście, że taką im się pokazuję. O to właśnie chodzi. Gdybym tego nie robiła, stałabym się jedną wielką żywą reklamą cech, przez które ludzie mnie nie lubią.

– Skąd o tym wiesz?

– Z autopsji. – Chcę brzmieć rzeczowo, ale mój głos wydaje się zdławiony.

– Wszystko jedno – oznajmia. – Pieprzyć ich. Ja cię lubię.

Co świadczy jedynie o tym, że nie ma pojęcia, jaka jestem w rzeczywistości. Waverly w wersji niefiltrowanej: okrutna, wyrachowana, makabryczna. Robot w ludzkiej skórze. Marshall otwiera usta, jak gdyby chciał coś dodać, ale cokolwiek powie, będzie to kolejny dowód na to, że nic nie rozumie, a ja nie mam siły już tego słuchać.

– Nieważne – ucinam. – Opowiedz mi lepiej o swojej ekstrarandce. Słyszałam, że zaprosiłeś na bal Heather McIntire.

Chociaż w moim głosie nie pobrzmiwa złośliwość – a przynajmniej nie jest ona zbyt jadowita – Marshall zamyka usta. Na jego twarzy maluje się wyraz tak pełen skruchy, że odwracam spojrzenie, usiłując przybrać obojętną minę. Nie mam przecież prawa czuć się zazdrosna. Sama pojawię się na balu u boku Borsena, który wybrał serwetki na stół z przekąskami i który – jeśli nie liczyć skłonności do nadużywania znaków interpunkcyjnych – jest irytująco doskonały pod każdym względem.

Marshall przytakuje. Podobnie jak ja sili się na obojętność, ale jego opanowanie to tylko pozory.

– Zaprosiłem ją dzisiaj.

Mogę myśleć jedynie o tym, co powiedziała Autumn – lubi w niej to, że ona go lubi. Może tylko to się liczy. Heather, jej obecność, dzięki której poczuje się prawdziwy, poczuje, że jego obawy, pragnienia, uczucia, jego istnienie coś znaczą.

– Dlatego że się jej podobasz? – mówię niemal szeptem.

– Dlatego że ty idziesz. A ja nigdy nie byłem na żadnym balu i pomyślałem, że może to coś, co warto zrobić. Wiesz, pomyślałem, że może warto chociaż raz zrobić... coś innego.

– Cóż, nie wiem, czego się spodziewasz – w moim tonie pobrzmiwa więcej ironii, niżbym chciała – ale grubo się zawiedziesz.

Marshall unosi brwi, jak gdyby gównu go obchodziło, czy się zawiedzie, czy też nie. Chwyta kółdę i zarzuca ją na siebie i na mnie, odcinając nas od reszty świata, ukrywając nas pod nią niczym

w schronie.

– Opowiedz mi lepiej, co miłego może mnie tam spotkać. Masz jakąś specjalną suknię? Dziewczyny chyba lubią się stroić na takie imprezy, nie?

– Mam sukienkę. Nie wiem, czy akurat specjalną. Myślałam, że chłopaki nie interesują się fatalaszkami?

– Daj spokój – nalega. – Opowiedz.

– Jest czarna, uszyta z jakiegoś śliskiego materiału, ałasu albo sztucznego jedwabiu. Z rozcięciem na plecach.

– Jak głębokim? – Dotyka mnie między łopatkami. – Potąd?

Kręcę głową.

Zsuwa dłoń do połowy pleców.

– Potąd?

Sięgam za siebie i przeciągam jego dłoń jeszcze niżej, niemal na pośladki.

– Potąd.

Uśmiecha się i wygląda to tak, jak gdyby zrobił to zupełnie mimowolnie, jak gdyby uśmiech wypłynął prosto na jego usta z pominięciem mózgu, który nie miał czasu zdecydować, czy taka reakcja będzie odpowiednia.

– Jezu, ale sexy.

Siedzimy naprzeciwko siebie zakryci kołdrą. Gdy zaglądam w oczy Marshalla, mam wrażenie, że patrzę na metaforę, na wersy T. S. Eliota albo Oscara Wilde'a. W jego spojrzeniu czai się ten sam błysk, co w inteligentnych, cynicznych wierszach. W każdej książce, w której skrycie się kocham. Przez całe życie marzyłam o tym, żeby moim chłopakiem był ten lub inny nieżyjący gej, a tymczasem spoglądam na Marshalla, prawdziwszego niż którykolwiek z nich.

Jego uśmiech blednie, staje się żaloszny, aż w końcu znika.

– Mogę jej powiedzieć, że z nią nie pójdę.

– Nie, nie możesz. Będziesz miał wyrzuty sumienia.

– I tak to zrobię – oświadcza, a ja doskonale potrafię wyobrazić sobie tę scenę.

Heather, otepiały wyraz, który wypływa na jej twarz niczym siniak po niespodziewanie wymierzonym policzku.

I on, który w tym momencie nienawidzi siebie, ale mimo wszystko robi to, co uważa za konieczne. Ponieważ ludzi się, że tej jednej nocy stanę się dla niego emocjonalnie dostępna. Że jeśli tylko przyjdzie sam, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki zlikwiduję swój wysoko zaawansowany system obronny.

Marshall spogląda gdzieś nade mną, przekonuje się do tego, co należy zrobić. Trzeba przejść przez łzawą awanturę, pokrętne tłumaczenia. Ona będzie płakała, ale nie za długo. Po paru minutach – po paru dniach – pozbiera się i w końcu mu wybaczy. Widzę, że podejmuje solenne, płynące z głębi serca postanowienie, niczym bohater filmowy albo gość programu telewizyjnego. Jak gdyby nie wiedział, że jestem najbardziej samolubną osobą w historii świata.

– Nie rób tego – mówię, wyplątując nas spod kołdry. – To byłoby nie w porządku. Poza tym ja nie pozbędę się swojej osoby towarzyszącej, więc jaki w tym sens?

Dopiero po chwili Marshall przytakuje.

– Z kim idziesz?

Dziwne, że przez te wszystkie noce, które spędzamy razem od dwóch tygodni, ten temat nigdy nie wypłynął – mój rzekomy narzeczony. Jedna z największych gwiazd szkolnego sportu i polityki, jedna z pomniejszych w nieregularnym, surowym krajobrazie mojego świata.

– Z Borsenem.

Marshall wygląda na zgorzzonego.

– Och, daj spokój. Ten facet to palant. Nie idź z nim.

– Obiecałam mu. Nie mogę tak po prostu się rozmyślić.

– Możesz – odpowiada, wyglądając przez okno. W ciemnej szybie, za którą z powodu zapalanej lampy panuje nieprzenikniony mrok, widać odbicia nasze i pokoju. – Ale tego nie zrobisz.

– Nie, nie zrobię, bo to byłoby nie w porządku.

Nie odpowiada, ale spojrzenie, które mi rzuca, jest wystarczająco wymowne. To, na co się decyduję, również jest nie w porządku. Wiem.

Gdy go obejmuję, chowa twarz w moich włosach.

– Najlepsza rzecz, jaką mam, nie jest nawet prawdziwa.

Zamykam oczy, oddycham zapachem jego skóry i jest to najbardziej rzeczywiste, najważniejsze wydarzenie całego dnia.

– Nigdy więcej nie mów, że jestem nieprawdziwa.

– To – odpowiada. – To nie jest prawdziwe.

\*

W sobotę podbicia nadal nieznośnie mnie bołą. Okładałam je lodem, rozgrzewałam, smarowałam maścią tygrysią. Delikatnie rozciągałam, dużo odpoczywałam. Stosowałam się do zaleceń lekarza. Robiłam wszystko, co powinnam, ale nic się nie zmieniło. Niezbitym faktem pozostaje to, że doprowadziłam swoje stopy do stanu, który uniemożliwia mi dalsze lekceważenie fizycznych ograniczeń

takich jak ból.

Gdy ubieram się na bal, wyginam się niczym akrobatka, usiłując podczas stania nie obciążać stóp. Teoretycznie jest to możliwe, w praktyce jednak zostaje pokonana przez prawa fizyki.

Maluję się w sposób, który zasugerowała Autumn: kąciki oczu wydłużam grubą czarną kreską. Gdy widzę, jak pod wpływem makijażu zmienia się moja twarz, przypomina mi się wspólny wypad do drogerii. Teraz wydaje mi się on częścią jakiegoś większego planu, ponieważ nie wierzę, żeby Autumn potrzebowała czyjejkolwiek pomocy w doborze kosmetyków, nawet tych o bardziej neutralnych odcieniach.

Jako stylistka talentem dorównuje największym gwiazdom mody i wizażu. Sukienka, którą mi wybrała, jest ideałem małej czarnej, a moja nowa fryzura to mistrzostwo świata – cięcie, które wygląda równie dobrze na włosach mokrych, brudnych, potarganych od spania, spuszczonej na twarz i zaczesanych do tyłu czy przylizanych brylantyną.

CJ przyjeżdża po mnie o ósmej z Hunterem i Maribeth, którzy siedzą już z tyłu samochodu. Gdy wsiadam, chłopaki przekrzywiają głowy, mierząc mnie spojrzeniami pełnymi aprobaty, ale Maribeth odpina pasy i wychyla się do przodu, żeby lepiej mi się przyjrzeć. Jej przerażenie jest dogłębne, wszechogarniające i najwyraźniej autentyczne.

– Och, Waverly, obcięłaś się! Myślałam, że będziesz zapuszczać włosy.

Spoglądam na nią, usiłując zobaczyć w jej oczach swoje odbicie, dwie identyczne laleczki patrzące na mnie z rozszerzonych źrenic.

– Dlaczego tak myślałaś?

Doskonale znam odpowiedź. Jej zdaniem uzgodniłyśmy to parę tygodni temu, gdy mimochodem wyraziła swoją niechęć do krótkich dziewczęcych fryzur. Maribeth miała wtedy ostatnie słowo i według niej powinno się ono stać obowiązującym prawem, tymczasem ja ośmielam się postąpić wbrew zasadom jej uporządkowanego świata.

Stopy bolą mnie tak, jak gdyby w sam środek podeszwy wbiło mi się coś ostrego i na dodatek parzącego. Opieram głowę o siedzenie i siłą woli powstrzymuję się od zsunięcia tych głupich lśniących butów na obcasach. Przez całą drogę do restauracji rozciągam sobie łydki, wciskając palce u nóg w gumową wycieraczkę, i wpatruję się w mijane budynki.

– Nie mogę uwierzyć, że to zrobiłaś – mówi Maribeth. – Skąd ci to przyszło do głowy?

Nie odzywam się, ponieważ musiałabym powiedzieć coś złośliwego.

Przez ostatnie dwie noce spałam w sumie sześć godzin, więc kiedy CJ prowadzi mnie przez podwójne drzwi na salę, z początku nie jestem nawet pewna, czy to, co widzę, jest realne.

Sala gimnastyczna ocieka zielenią. Ze zwisającymi spod sufitu kolorowymi serpentynami wygląda jak laboratorium po wybuchu chemicznym. Trafiliśmy w sam środek strefy napromieniowanej lametą.

Pozostali organizatorzy balu są już na miejscu, usadowili się przy najlepszym stoliku – na skraju parkietu, ale nie za blisko głośników. Lawirując między stołami i krzesłami, kierujemy się w ich stronę. Maribeth niemalże frunie, przypomina tropikalnego ptaka ciągnącego do swojego stadka, do Kendry i Palmer wystrojonych, jak należy, w żywe kolory, odpowiednio dobrane bukietki z orchidei i lśniące spinki do włosów.

Przy nich strój Autumn wydaje się nierealnie wręcz groteskowy.

Tyle że to wszystko dzieje się na jawie.

Autumn ma na sobie przebranie z pogranicza *haute couture*, mody filmowej i punk rocka. Jej kostium to skrzyżowanie Alexa DeLarge'a z *Mechanicznej pomarańczy* oraz najbardziej okrutnego Dzwoneczka, jakiego świat oglądał. To strój psychopatycznej baletnicy.

Sukienka nie została uszyta ze szczególnie wymyślnego materiału – to zwykła biała bawełna – ale jej krój jest szokujący i wyszukany: usztywniona spódniczka, pełno mosiężnych suwaków, ramiączka stylizowane na szelki. Całości dopełniają czarny melonik i sztuczne rzęsy przyklejone do jednej powieki. Wszystko to wygląda absolutnie nienaturalnie, a zarazem genialnie.

To bogini mody.

– O mój Boże – szepczę, wślizgując się na wolne miejsce obok niej. Obok Autumn prawie zawsze jest wolne miejsce. Cały czas myślałam, że to dlatego, iż nikt nie chce się do niej zbliżyć, jak gdyby jej brak oglądy był zaraźliwy. Teraz jednak zaczynam podejrzewać, że może przez cały ten czas się myliłam i tak naprawdę ona trzymała to miejsce dla mnie. – Autumn, wyglądasz niewiarygodnie.

Uśmiecha się i łopocząc sztucznymi rzęsami, puszcza do mnie perskie oko.

– Nie pozwolili mi wnieść laseczki. Powiedzieli, że to zbyt niebezpieczny przedmiot.

Siedzący naprzeciwko Hunter przygląda się jej z nieskrywaną lubieżnością, otwarcie podziwia jej nogi i piersi uwydatnione agresywnym dekoltem.

Autumn stała się nową Maribeth. I nie jest to mało znacząca zmiana z cyklu: „w tym sezonie z mody wychodzi czerń, a zaczyna królować szarość”, tylko prawdziwe trzęsienie ziemi. Coś na kształt: „szkocka krata do wszystkiego”, „fukcja kolorem podstawowym”. Szokujące, zgadza się, ale co można zrobić? Każdy, kto chce się liczyć, obstawia dobrego konia i stroi się w kraciasty róż.

– Szkoda, że nie przeszedł pomysł z bohaterami Hollywoodu – szepczę. – Trudno pokonać siłę bezwładności poliestrowej satyny.

– Och, i co z tego? – Autumn wydaje się mówić całkowicie poważnie. – Ubrałam się w to, co chciałam, i zamierzam bawić się dziś lepiej niż ktokolwiek w historii tych imprez. Czyli w skali od zera

do dziesięciu na cztery. A tak poza tym, to nastąpiła zmiana planu. Mama jedzie za parę dni na konferencję handlowców do Pittsburgha czy gdzieś tam. Urządzam imprezę, odjechaną i niezapomnianą, dokładnie taką, jak chcę.

Gdy rozlega się taneczna piosenka, Autumn zsuwa się z krzesła i rusza na parkiet, jednak nie robi tego ponuro ani nonszalancko, jak można by się spodziewać. Porusza się w takt muzyki i z uniesionymi rękami kręci piruety niczym w *Jeziorku łabędzim*. Odgrywa własną zuchwałą odę do radości.

W połowie jej występu ludzie zaczynają klaskać. Z gracją lawirująca między nimi baletnica w butach z metalowym czubem przypomina piękny, nieprzewidywalny żyroskop. Zastanawiam się, czy oni wiedzą, że Autumn się z nich nabija. Zachodzę też w głowę, jak długo zajęła jej nauka całej gamy tanecznych figur *à la* Michael Jackson.

Palcami strąca z głowy melonik, który płynnym, wyćwiczonym ruchem stacza się po jej ramieniu prosto w dłoń. W następnej chwili kapelusz ląduje na mojej głowie, Autumn zaś uśmiecha się do mnie, trzepocząc sztucznymi rzęsami.

Wybucham śmiechem. Melonik jest ciężki, ciepły i zsuwa mi się na czoło. Mam ochotę uściskać Autumn tak samo, jak ona uściskała mnie wtedy w szatni. Odrzucić wszystkie starannie pielęgnowane zahamowania i bez zastanowienia wskoczyć w chaotyczny wir, który moja nowa przyjaciółka wytwarza wokół siebie. W czysty, niczym niezmałcony zachwyty.

Mniej więcej w tym momencie dostrzegam Marshalla.

Stoi w podwójnych drzwiach pod prowizorycznym łukiem ze srebrnych i zielonych balonów. Ubrany jest w spodnie i ciemną koszulę z przypinanymi wyłogami kołnierzyka, włosy ma starannie uczesane, wręcz przylizane. Ta nowa fryzura sprawia, że wygląda młodo i jakby niedawno wyszedł spod prysznic.

Mam wrażenie, że ktoś wyssał z pokoju całe powietrze, i ten chwilowy brak oddechu wydaje mi się dziwnie przyjemny, dopóki nie zauważam stojącej u boku Marshalla Heather. Jej sukienka ma krzykliwy odcień fioleto i dzięki śmiało zamysłowi projektanta jest obficie zdobiona brokatem. Dłoń dziewczyny spoczywa na ramieniu Marshalla.

Muzyka się zmienia, zaczyna się wolny kawałek, a wtedy Heather podnosi ręce i oplata nimi szyję swojego partnera. Czuję ból, którego nigdy wcześniej nie znałam. Dojmujący i zupełnie nielogiczny.

CJ widzi, że patrzę na kołyszące się pary, pochyla się więc i szepcze mi do ucha:

– Chciałabyś zatańczyć?

Pozwalam mu się zaprowadzić na środek sali, pod opadające, wirujące konfetti.

Prawdopodobnie cały ten *entourage* powinien tworzyć romantyczną atmosferę, ale mnie bardziej kojarzy się z przyjęciem urodzinowym Zielonego Goblina. Przypuszczam jednak, że Marshall jest oczarowany. Jego zamiłowanie do kwiatów, delikatności i różnych innych sentymentalnych bzdur jest

biologicznie uwarunkowane, choć oczywiście trzyma to w sekrecie. Podobnie jak to, że łatwo poruszyć jego serce i że picie do nieprzytomności jest dla niego tym, czym dla innych zwinięcie się na podłodze w kłębek i zamknięcie oczu albo pokonywanie toru przełajowego o trzeciej w nocy pomimo otartych do krwi stóp.

Chcę myśleć, że Heather to tylko kolejny sposób na znieczulenie: ciepłe usta, otwarte ramiona i przyjemne odrętwienie. Ta dziewczyna pragnie go w najszczerzy sposób.

Lubi go tak bardzo, że trudno na to patrzeć, staję więc przodem do Borsena i wlepiam spojrzenie w jego krawat. Jest stonowany. Praktyczny. Tego typu krawaty kupują rodzice, którzy chcą wychować swoich synów na księgowych.

CJ przyciąga mnie do siebie. Wyczuwam zgrubienia guzików na jego marynarce. Kołyszemy się w rytm muzyki i obracamy powoli, podczas gdy Marshall i Heather raz pojawiają się w moim polu widzenia, raz znikają.

Dziewczyna przytula się do niego, opiera policzek o jego ramię. Jego długie palce splatają się na jej plecach i w tym momencie zaczynam jej nienawidzić. Nie dlatego, że kładzie głowę w miejscu, gdzie powinna leżeć moja. Nawet nie dlatego, że podoba jej się Marshall.

Nienawidzę jej za to, że potrafi żyć tak, jak ja nie umiem. Że jakiś instynkt podpowiada jej, w jaki sposób okazać mu, iż go pragnie, tu i teraz, na oczach wszystkich, nie dbając o to, że inni poznają jej tajemnice. Nienawidzę tego, że ona nigdy nie przejmuje się ludzkimi spojrzeniami.

CJ patrzy na mnie, uśmiecha się pewnie i szczerze. Opieram głowę na jego piersiach i zamykam oczy.

Gdy muzyka cichnie, nie wiem, co zrobić z rękami ani z głosem. Sunę z powrotem do stolika i opadam na krzesło obok Autumn. Być może drzę.

Marshall i Heather nadal stoją nieopodal wentylatora przemysłowego w chmurze konfetti. Dziewczyna wyjęła mu koszulę ze spodni i wsuwa pod nią dłonie, usiłując dotrzeć do niedozwolonego miejsca, jakim są plecy Marshalla. Chce wkroczyć na moją domenę, moje terytorium. Kiedy go dotyka, przesuwa dłońmi po mojej skórze.

Odwracam wzrok, chociaż w pierwszym odruchu chcę zmusić się do patrzenia, chcę wpatrywać się w nich, dopóki ból nie przejdzie. Pokonać coś w sobie, przełamać się i żyć dalej.

Odwracam wzrok, ponieważ jeśli tego nie zrobię... wtedy nie będzie już niczego. Rana się zagoi, zablizni, przestanie dokuczać. Przestanie istnieć.

Odwracam więc wzrok, ponieważ gdzieś w głębi duszy wcale nie pragnę, aby przestało obchodzić mnie to, że Heather znaczy go swoim stopniowo rozkładającym się DNA.

Splatam dłonie na kolanach, unoszę wysoko brodę, prostuję plecy. Autumn układa na stoliku dwa szeregi srebrnych plastikowych zegarków, tworząc z nich maleńką armię wojowników czasu.

Następnie jednym ruchem ręki zgarnia zegarki na stertę, po czym zerka na mnie i nachyla się, jak gdyby chciała dotknąć mojej dłoni.

– Hej, co się dzieje? Wszystko w porządku?

Zanim zdążę coś z siebie wykrztusić, na krzesło naprzeciwko nas osuwa się zarumieniona Maribeth o rozkojarzonym spojrzeniu.

– Och, nie, nie przejmuj się. To klasyczna mina Waverly. – Maribeth wyciąga do mnie rękę. – Chodź ze mną, muszę poprawić włosy.

W jej na pozór radosnym głosie pobrzmiwa napięcie i smutek. Trudno powiedzieć, czy chodzi o problem prawdziwy, wymyślony, czy może po prostu o to, że jej wszystkie pozaszkolne działania dotyczyły tego jednego cholernego balu i teraz, gdy w końcu impreza doszła do skutku, Maribeth nie wie, co ze sobą zrobić.

Kiedy ciągnie mnie za rękę, zmuszając do wstania, przywołuję na twarz uśmiech i ruszam za nią lekkim, zwawym krokiem. Lawirujemy w tłumie, trzymając się za ręce niczym dwie małe dziewczynki zagłębiające się w leśną gęstwinę. Myśl, że mój wyraz twarzy w chwili, gdy przeżywam zawód miłosny, niewiele się różni od mojej zwykłej miny, sprawia mi satysfakcję, a jednocześnie mnie przeraża. Zachowuję całkowity spokój, chociaż coś wewnątrz mnie pękło na pół.

W toalecie Maribeth staje przy lustrze.

– Zobacz, możesz mi to poprawić? Nie, nie tak: podepnij je tutaj i schowaj końcówkę pod spód.

Starannie układam jej loki. Maribeth oczywiście mogła poprosić inną koleżankę o tę przysługę. Każda czułaby się zaszczycona, ponieważ jeden z sekretów dominacji społecznej tkwi w tym, aby z momentu swojej słabości uczynić cenną walutę. Prośbie o pomoc należy nadać znamiona przywileju.

Gest Maribeth można zinterpretować na wiele sposobów, również cynicznie. Jest to forma obwieszczenia świata, że nadal jestem jej ulubienicą. Mnie zaś daje do zrozumienia, że powinnam się czuć wyróżniona.

Kiedy jednak zna się wszystkie sztuczki – ponieważ samemu się je wymyśliło lub stosowało – przestają one mieć jakąkolwiek moc. Maribeth tak naprawdę wybrała mnie dlatego, że jestem staranna.

Gdy kończę układać jej włosy, obraca się i przesuwa kciukiem po moim policzku, wycierając plamkę pod okiem.

– Wspaniale się bawisz, prawda? – Na jej twarz wypływa przesłodzony uśmiech. – Czy CJ dostanie buzi na dobranoc?

Wygląda na szalenie szczęśliwą, ale pod maską zdesperowanej radości dostrzegam smutek. Od dłuższej chwili nie widziałam Huntera.

Mam ochotę odłożyć malutką, ozdobioną koralikami torebkę i objąć Maribeth, powiedzieć jej, że



wszystko będzie dobrze. Nawet jeśli Hunter nie wybierze jej, choć dowiodła swoich organizacyjnych zdolności, na pewno pozna się na niej ktoś inny. Mam ochotę opowiedzieć jej o Marshallu, ale mimo wszystko milczę.

Tak właśnie wygląda przyjaźń z Maribeth. Nigdy, przy żadnej okazji, nie mówiłam jej o zjawiskach, które kwalifikowałyby się jako uczucia. Nie wolno nam pokazywać po sobie, że toczy się w nas coś tak nieprzyzwoitego jak emocjonalne życie wewnętrzne.

W jej sposobie postrzegania świata nie ma miejsca na smutną Waverly i gdyby tylko wykryła tę nieprawidłowość, natychmiast usiłowałaby ją skorygować w jedyny znany sobie sposób – przekonując, że nie jestem stworzona do czegoś tak prozaicznego jak uczucie.

Drobiazgowo objaśniłaby mi emocjonalne ograniczenia gatunku Camdenmar, dowiodłaby ponad wszelką wątpliwość, że jestem zbudowana z przewodów rozruchowych i metali ziem rzadkich. Następnie przy odrobinie szczęścia przeszłaby do sposobu funkcjonowania Marshalla i rozłożyłaby go na części pierwsze – narkotyki, świadectwa szkolne, brak zdrowej męskiej agresji – jak gdyby wszystkie jego najlepsze cechy nie były nic warte.

Milczę więc, ponieważ gdzieś w głębi duszy cieszę się, że choć raz mogę czegoś pragnąć do bólu, a nie tylko czekać, aż to coś się skończy i wrócę do codzienności. Przede wszystkim jednak milczę dlatego, że nie chcę, aby ktokolwiek widział, jak drżą mi usta, gdy mam wypowiedzieć jego imię.

Maribeth przygląda włosy palcami, które delikatnie zwilżyła wodą z kranu. Paznokcie ma pomalowane na jaskrawy zielononiebieski kolor.

– Zdaje się, że Autumn też się dobrze bawi.

– Myślę, że ona prawie zawsze dobrze się bawi.

Maribeth wykonuje dłonią taki gest, jakby chciała przegonić nieobecną tu dziewczynę.

– Czasami po prostu... nie sposób jej znieść.

Nakładam na wargi kolejną warstwę pomadki i zastanawiam się, jaką miarą ocenia się to, kto i kiedy jest do zniesienia lub nie.

Gdy wychodzimy z toalety, obydwie jesteśmy bardziej opanowane, starannie uczesane i twarde niczym porcelana. Maribeth znów bierze mnie za rękę i ciągnie w stronę parkietu. Zaczepia palcem o moją bransoletkę, jak gdyby chciała mnie holować, kiedy jednak dochodzimy do stołu z przekąskami, nagle się zatrzymuje. Stoimy w wirze lodowatego powietrza i konfetti, zielone połyskujące gwiazdki wplątują się nam we włosy.

W załamany światło kuli lustrzanej dostrzegam migoczącą postać Autumn, która przy wolnej muzyce tańczy z Hunterem Penningtonem. Chłopak niemal dotyka ustami jej ucha. Ręka, którą obejmuje Autumn w talii, leży niecały milimetr powyżej granicy przyzwoitości.

Maribeth stoi obok ogromnej miski z preclami, palec nadal ma wetknięty za moją bransoletkę. Docierają do mnie dwie rzeczy jednocześnie: po pierwsze, przyjaciółka jest beznadziejnie smutna, a po drugie – nigdy mi tego nie powie. Przynajmniej nie w taki sposób, który umożliwiłaby mi jakąkolwiek reakcję. Ogarnia mnie złe przeczucie, mam wrażenie, że coś się kończy. Że Maribeth za sekundę się rozpadnie.

Ona jednak zbiera się w sobie. Odrzuca głowę do tyłu i prowadzi mnie przez rozkołysany tłum do stolika, tam gdzie nasze miejsce.

– Tu jesteście! – woła, gdy zbliżamy się do Kendry i Palmer, które siedzą z głowami nachylnymi bardzo blisko siebie. Z tonu Maribeth można by wnioskować, że wszędzie szukałyśmy naszych koleżanek i nie posiadamy się z radości, że w końcu je znalazłyśmy.

Głowy odskakują od siebie, na twarzach dziewczyn maluje się skrucha i jestem niemal pewna, że właśnie zajmowały się tematem Maribeth i jej niewiernego partnera.

Maribeth stoi nad nimi w królewskiej pozie.

– Boże, Autumn zachowuje się jak ostatnia puszcza, nie? – mówi Palmer, bawiąc się plastikową klepsydrą.

Maribeth wzrusza ramionami, jak gdyby obchodziło ją to marginalnie.

– Cóż, w sumie nic dziwnego. W końcu czego innego można było się spodziewać?

– Co ty mówisz? – dopytuje Kendry. – Dlaczego się tego spodziewałaś?

– Wiecie, ja o tym tylko słyszałam, ale... – Maribeth zniża głos do szeptu – ... w zeszłym roku przyłapano ją z dozorcą za marketem Kroger's.

Minę ma tak triumfującą – tak nienawistną – że aż się wzdrygam. Tak wygląda urażona Maribeth. Nie pokonana, nie złamana, ale zraniona do tego stopnia, aby skoczyć komuś do gardła. Jestem niemal pewna, że jej rzekoma wiedza na temat życia seksualnego Autumn nie jest niczym podparta. Mimo to powszechnie uznaną niesprawiedliwością jest to, że plotki nie muszą mieć absolutnie nic wspólnego z prawdą.

– O mój Boże. – Kendry wybałusza oczy i pochyla się nad stołem. – Chyba żartujesz?

– Mówię poważnie. Kelsey Conroy pracowała tam w dziale z kwiatami. Naprawdę jeszcze o tym nie słyszałyście?

– Ohyda – Kendry i Palmer wołają zachwyconymi głosami, podczas gdy Maribeth wpatruje się we mnie z wyczekiwaniem.

Znam ją na tyle dobrze, że wiem, iż mogę pocieszyć ją tylko w jeden sposób – deklarując solidarność. Chce, abym udowodniła, że nadal jestem jej najlepszą przyjaciółką. Zastanawiam się, jak jest w rzeczywistości. Czy kiedykolwiek byłam jej przyjaciółką. Nie wiem, co powiedzieć, żeby ją

zadowolić, ani dłaczego nie potrafimy razem się smucić.

Kendry i Palmer zasłoniły usta rękami i parskają na przemian zduszonym śmiechem. Odwracam wzrok i szarpnię za rąbek sukienki. Nie jest aż tak bardzo krótka, ale obnażone plecy sprawiają, że czuję się naga. Chciałabym, żeby tylko Marshall Holt oglądał mój kręgosłup i nikt poza nim.

Z głośników płynie nowa, skoczna melodia i tańczące pary gdzieś znikają. Nagła zmiana ścieżki dźwiękowej na tak żywą i radosną to dla mnie zbyt wiele. Odsuwam krzesło, przemierzam parkiet, mijam nielicznych wytrwale pływających, szuram nogami w zwałach konfetti, aż w końcu docieram do trybun.

Ochroniarze zalepili prześwity między końcem trybun a ścianami papierem pakowym, żeby uniemożliwić picie i obściskiwanie się po kryjomu, bez trudu jednak udaje mi się oderwać paznokciami taśmę maskującą. Pod trybunami jest ciemno i odrobinę ciszej. Zsuwam buty, wzdycham, stawiając stopy płasko na podłodze. Przeszywający ból nie mija, ale robi się znośny. Zamykam oczy i opieram się o ścianę.

Muzyka na sali łomocze, dziewczęta tańczą, pary wczepiają się w siebie niczym topielcy. Gdzieś w całym tym chaosie Autumn Pickerel zgarnia wszystko, czego pragnie Maribeth.

To nie moja wina. Nie zaplanowałam tego, nie zorganizowałam ani tego nie chciałam. Jedynie umożliwiłam tę kradzież. Stałam z boku i obserwowałam rozwój zdarzeń, teraz zaś czuję, że przywiera do mnie lepka, brudna etykieta – współudział.

Gdy nagle z ciemności wyłania się Marshall, właściwie nawet nie jestem zdumiona. Słońce zaszło, a po zmroku świat realny przestaje się tak bardzo liczyć. Nawet powietrze wydaje się lżejsze, łagodniejsze.

Pulsowanie w podbiciach zdaje się teraz odległym snem, podobnie jak ból promieniujący na łydki. Stoję pod ścianą, wyliczam w myślach słowa, którymi mogłabym określić obecność Marshalla – bezsporna, niemożliwa, nieznośna – ale tak naprawdę potrafię się skupić tylko na jego ustach, niepewnych i kuszących. To jedyna rzecz, której pragnę, a poza tym, czy naprawdę może mi zaszkodzić ta kolejna fantazja?

Marshall daje nura w szczelinę i staje naprzeciwko mnie. Opiera się plecami o składane metalowe podpory, jego usta znajdują się bardzo blisko moich.

– Cześć – mówię tak cicho i ostrożnie, że dziwię się, iż w ogóle mnie słyszy. Mój głos brzmi obco.

Marshall pochyla się, a ja zamykam oczy, wstrzymuję oddech i niemal drzę, czując ciężar jego ciała w swojej przestrzeni osobistej.

– Cześć.

To dzieje się naprawdę. To coś więcej niż zapalniczka, niż siniak na szyi – który prawie stracił już kolor – czy lista sentymentalnych wyznań, którą mam przeczytać na głos w klasie. Po raz pierwszy

w prawdziwym życiu znajdujemy się tak blisko przyznania, że łączy nas jakaś niewiarygodna więź. Jesteśmy sobie zupełnie obcy, a jednocześnie posiadamy magiczną moc, dzięki której potrafimy wnikać we wnętrze tej drugiej osoby, z pominięciem wszystkich drobnych i niezwykle istotnych kroków, które zwykle trzeba poczynić, żeby przejść z początkowego etapu znajomości w końcowy.

Przez ułamek sekundy wyobrażam sobie, że całuję Marshalla, zostawiam na jego ustach ślady mojej szminki na specjalne okazje i tym sposobem nie muszę niczego przyznawać na głos, wszyscy sami zobaczą, w czym rzecz.

– Ładne konfetti, prawda? – pyta. – Fajnie się bawisz w fajnym towarzystwie?

Kładzie ręce na ścianie po obu stronach mojej głowy. Czuję się jak w pułapce, ale podoba mi się to, że nade mną wisi. Podoba mi się to, że jest podekscytowany i rozbudzony.

– To zależy. Fajnie się bawisz, gdy Heather cię obmacuje?

– Gdybym powiedział, że nie, byłabyś zadowolona?

Stoi bez ruchu, wewnętrzną stroną butów dotykając zewnętrznej krawędzi moich bosych stóp, i czeka na odpowiedź. Czeka, aż powiem, że „nie” to jedyne słowo na świecie, które mogłoby mnie zadowolić, że nie potrafię patrzeć na nich, gdy są razem, że potrzebuję, aby nie pragnął nikogo innego poza mną. Ten scenariusz jednak nie jest możliwy. W słowniku Waverly nie istnieje słowo „potrzeba”.

– Ciekawe – mówię tonem chłodnym, okrutnym, jak gdyby nic na świecie nie liczyło się mniej niż cała ta sprawa. – Ciekawe, czy ona wie, że jest dla ciebie kolejną flaszką?

Marshall wzdryga się i kręci głową.

– O czym ty mówisz?

– Mówię o twoim zamięłowaniu do każdej rzeczy, która wprawia cię w otępienie i po której masz kaca.

– Ona nie jest rzeczą, ale człowiekiem. – Głos ma zachrypnięty. Nie patrzy na mnie.

– Jesteś tego pewny?

Dopiero teraz unosi brodę, zaciska szczęki i zagląda mi w oczy.

– Ona jest człowiekiem.

Broni jej, wiem jednak, że nie muszę się tego obawiać. Mówi tonem człowieka urażonego, a nie zadurzonego. Na dodatek wpatruje się we mnie tak, jak gdybym była centrum jego wszechświata.

Dzieli nas centymetry, jego bliskość kojarzy mi się ze snem i całowaniem. Pachnie perfumami Heather, ale kogo to obchodzi? Chcę go poczuć.

Poruszam się, żeby przytulić się do niego, on jednak się cofa. W ciemności jego oczy wydają się nieszczęśliwe.

– Co? – rzucam tonem, który nawet dla mnie brzmi ostro.

– Waverly, kocham cię.

Na sekundę zapiera mi dech w piersiach. To tylko słowa. Sprawiają jednak, że pod skórą czuję dziwne drżenie.

– Nie, nieprawda. Kochasz swoje wyobrażenie na mój temat.

Przez chwilę jestem pewna, że sobie odpuści. Wyjdzie spod trybuny, zostawi mnie samą i to będzie koniec. Wszystkiego.

On jednak bierze wdech i przysuwa się bliżej.

Z wargami przy moim uchu gładzi mnie palcami po policzku, kładzie na nim dłoń.

– Waverly, wiem, że cię to wkurza, ale mam prawo cię kochać.

– Przestań – szepczę, ponieważ zaczyna mi się kręcić w głowie i mam wrażenie, że za chwilę zemdleję.

Ujmuje moją twarz w obie dłonie i podnosi ją tak, żebym mogła patrzeć tylko na niego.

– Dlaczego? – W jego głosie nie ma pożądliwości ani pretensji.

– Po prostu przestań. Nie chcę tego słuchać.

Pochyliła się, nasze czoła niemal się stykają.

– Nie obchodzi mnie, że nie chcesz tego słuchać. Ja chcę to powiedzieć.

Ściskam w rękach wieczorową torebkę.

– Dlaczego mi to mówisz?

– Ponieważ nigdy tego nikomu nie mówiłem. Ponieważ chcę to powiedzieć w chwili, gdy naprawdę tak czuję.

– Nie jestem twoją dziewczyną – oświadczam.

Wypuszcza powietrze z płuc i cofa ręce. Z jego twarzy można wyczytać wszystko, co się teraz w nim dzieje.

– Wiem. Myślisz, że mógłbym o tym nie wiedzieć?

– Po co w ogóle przyszedłeś na ten bal? Chciałeś mnie ukarać? Wzbudzić zazdrość?

– Nie – mamrocze, niemal nie poruszając ustami.

– No to po co? Przypilnować, żeby nie doszło do niczego niestosownego? Obronić mnie przed Borsenem?

Kręci głową, powoli i poważnie.

– Ponieważ chciałem cię zobaczyć w tej cholernej sukience.

Mówi zupełnie szczerze. W jego ustach nawet tak prozaiczne słowo jak „sukienka” brzmi autentycznie i cała wypowiedź wydaje się bardziej uczciwa niż cokolwiek, co padło z moich ust.

Znów je otwieram, ale nie potrafię znaleźć odpowiednich, równie uczciwych słów. Po chwili

Marshall odwraca się, pochyla głowę i wychodzi spod trybun z powrotem na salę.

Zostaję sama.

Z głośników płynie kolejna wolna melodia: *Fade into You* zespołu Mazzy Star.

Prawdę mówiąc, to bardzo przygnębiająca piosenka.

CJ odwozi mnie do domu o północy. Na podjeździe całuje mnie, delikatnie i nieciekawie. Gdy kładzie dłoń na moim karku, sięgam za siebie, usiłując wymacać kłamekę.

– Muszę już iść.

– Odprowadzę cię.

– Nie, nie trzeba. Dziękuję za kolację. Do zobaczenia w poniedziałek.

– Jutro zebranie banku żywności.

– Do zobaczenia jutro.

Wysiadam z samochodu, zanim zdąży złapać mnie za rękę albo dotknąć mojej twarzy, i ruszam do domu krokiem tak szybkim, że na werandę wpadam niemal biegiem. Stopy wciśnięte w śliskie, lśniące pantofle palą mnie żywym ogniem.

W pokoju idę prosto do stolika nocnego i wyjmuję świecę. Ręce mi się trzęsą i za każdym razem, gdy odpalam zapalniczkę Marshalla, płomień niemal natychmiast gaśnie, aż w końcu mam ochotę wrzeszczeć z wściekłości. Świeczka przypomina grudkowaty krążek hokejowy, stopiła się już niemal cała. Mierzę palcami to, co z niej zostało – niecałe dwa centymetry ulotnego pocieszenia. Mało.

Gdy knot w końcu się zapala, stoję nad świecą, głęboko wciągając powietrze i nasycam się jej zapachem. Tak bardzo przypomina mi on Marshalla, że czuję się, jakbym niemal już z nim była. Aromat świecy pozwala mi się uspokoić, skupić na tym, co muszę zrobić, zanim znów będę mogła odnaleźć ten kawałek siebie, który istnieje poza trzema fizycznymi wymiarami mojego pokoju. Zanim znajdę drogę do jedyne miejsce, w którym naprawdę chcę być.

Gdy serce wreszcie mi zwalnia, zrywam z siebie sukienkę i rzucam ją w kąt. Waverly w wersji zaproponowanej przez Autumn była szalowa – może nawet śliczna – ale lepiej wyglądam w piżamie, lepiej mi bez krwistoczerwonej pomadki na wargach i czarnych obwódok wokół oczu.

Leżę sztywno w ciemnościach, odliczam do tyłu, usiłując dotrzeć do niewidzialnej sfery, trudno dostępnego miejsca wolnego od miar, ocen i obsesji, nieograniczonego materia. „Bądź nietrwała i ulotna – powtarzam sobie. – Po prostu zniknij”.

Trwa to dość długo, ponieważ cyfry w mojej głowie uparcie zmieniają się w słowa: „Marshall, Marshall, Marshall”.

# MARSHALL

## Dom

„Flaszka”.

Nie mogę znieść tego słowa, ale i tak ciągle do niego wracam, próbuję się do niego przyzwyczaić.

Waverly ma rację. Zawsze ma zasraną rację. Przez ostatnie pół roku nawet nie wiem, ile razy wykorzystałem Heather, bo wiedziałem, że mogę sobie na to pozwolić. Była rozrywką, towarzystwem, sposobem na ucieczkę od siebie. Przyzwyczyłem się do tego, że jest na każde moje zawołanie.

Ale ja też mam rację. Heather jest człowiekiem. Nie mogę dłużej się nad nią pastwić.

Mówię jej to na parkingu, na wypadek gdyby wolała, żeby odwiózł ją ktoś inny i może uratował wieczór, ale kiedy kończę moją pieprzoną przemowę, ona otwiera drzwi i wsiada do samochodu.

Ollie zaginął w akcji. Przypatrywał się tej małej pierwszoklasistce z zainteresowaniem, jakiego dawno u niego nie widziałem, i kiedy Mały Ollie przez dwadzieścia minut zagadywał wszystkie dziewczyny wokoło, tylko nie ją, a potem gdzieś się zmył, duży ruszył się spod ściany, którą podpierał.

Przepchał się przez tłum i podszedł do niej. Zostawił mnie na parkiecie z Heather, która chwyciła mnie za rękę, a kiedy nie objąłem palcami jej dłoni, uczepiła się mojego ramienia. Gdy stanęła na palcach i próbowała mnie pocałować, musiałem odwrócić głowę.

Przez całą drogę do domu Heather siedzi oparta o szybę, jak gdyby chciała się odsunąć jak najdalej ode mnie.

– Przepraszam – mówię.

Nie odpowiada. Jeśli płacze, robi to tak, że nic nie słychać. Nie odrywam oczu od drogi.

Po chwili grzebie w torebce i odpala papierosa, ale nie uchyla okna. Chociaż tak bardzo chce mi się palić, że prawie zgrzytam zębami, nie proszę jej, żeby zgasiła. Dym roznosi się po całym samochodzie, papieros po prostu mi się marzy. Patrzę przed siebie i myślę o paleniu.

Gdy zatrzymuję się pod jej domem, Heather gasi papierosa w popielniczce i zanim wysiądzie, bierze głęboki, drżący oddech.

– Dobranoc – mówię i zastanawiam się, czy to ostatnie słowo, które ze sobą zamienimy.

– Nie wybierze cię – niespodziewanie odzywa się Heather, pochylając się i zaglądając do samochodu przez otwarte drzwi od strony pasażera. – Chyba warto, żebyś to wiedział. Nie zniży się do tego, żeby się z tobą zadawać.

– O czym ty mówisz? – pytam, chociaż ta rozmowa może zmierzać tylko w jednym kierunku.

– Widziałam, jak za nią idziesz, Marshall. Nie jestem idiotką. Na co liczyłeś? Że zaliczysz ją pod tymi

trybunami jak ostatnią zdziwę? Czy ty w ogóle wiesz, co to za jedna?

Doskonale zdaję sobie sprawę z tego, o jakiej Waverly mówi. O dziewczynie, która nigdy nie pęka.

Ale to nie jest Waverly – a przynajmniej to nie jest prawdziwa Waverly. Heather zna tylko kłamstwo.

Rolę, którą Waverly odgrywa za dnia.

Boli mnie coś zupełnie innego. Powiedziałem jej, że ją kocham. Nie odwzajemniła tego wyznania.

Heather nie trzaska drzwiami ani nie robi sceny, chociaż pewnie stać ją na pokazowe rozstanie. Idzie powoli w stronę domu, a ja siedzę na jej podjeździe i myślę o Waverly, o tym, że nie jest moją dziewczyną, i co to dla niej znaczy. O tym, że jestem o krok bliżej do zgody na to, co mogę dostać, podobnie jak Heather, która przez ostatnie pół roku próbowała pogodzić się z tym, że nie chciałem trzymać jej za rękę przy ludziach.

Myślę o tym, że nawet w czarnej sukience, nawet w ciemności, Waverly była najbardziej promiennym zjawiskiem na całym tym balu.

Jadę do domu z opuszczonymi szybami i z wyłączonym radiem, chce mi się ciszy i samotności. Chcę czuć wiatr owiewający mi twarz.

Wchodzę trochę za głośno i kiedy zamykam drzwi, do przedpokoju zagląda Annie.

– Co robisz? Dopiero co wróciłeś?

– Tak.

Siostra przeciera oczy, jak gdyby próbowała się skupić.

– Dlaczego się tak wystroiłeś?

Patrzę na swoją odświętną koszulę.

– Mieliśmy w szkole... taką tam imprezę.

Mruży oczy i kręci głową.

– Jakąś mocno elegancką imprezę?

– Bał, dobra? Mieliśmy bal.

– Aha. – Nie odzywa się przez dłuższą chwilę. A potem pyta: – Masz dziewczynę czy coś?

– Nie.

Przez minutę Annie nie robi nic szczególnego, po prostu stoi, wygląda na zaspaną, rozgrzaną snem. Sznycel domaga się mojej uwagi, trącając mnie łbem w kolano.

Siostra w końcu kiwa głową i wlecze się z powrotem do swojego pokoju. Zanim zamknie drzwi, mamrocze pod nosem coś, co brzmi jak: „Udanego balu”.

Zostaję w przedpokoju w koszuli, którą sam sobie wyprasowałem. Dość kiepsko.

Ciągle czuję zapach błyszczyku do ust Heather, przy każdym oddechu czuję jego smak – smak



oślizgłego cukierka, oleisty i dławiący.

Myję zęby. Długo. Pod prysznicem szoruję twarz, jakbym chciał z niej zmyć wszystkie zapachy świata.

W lustrze nad umywalką wyglądam młodziej niż zwykle. Nie mogę znieść tego bezradnego, błagalnego spojrzenia. Zakrywam odbicie dłonią, żeby widzieć tylko usta.

Od razu myślę o tacie i dobrze wiem, co zrobi, gdy zobaczy odcisk mojej dłoni na szkle. „Coś ty tam wyprawiał?”, zapyta. Jak gdybym był jakimś degeneratem. Będzie chciał wiedzieć, dlaczego macałem lustro, a ja nic mu na to nie odpowiem, bo prawdziwy powód jest zbyt dziwny i zbyt głupi, żeby o nim mówić.

Zasłaniałem oczy, żeby nie musieć siebie oglądać. Zadowolony?

Zasłaniałem oczy, bo właśnie wróciłem do domu ze szkolnej imprezy, na którą kiedyś zarzekałem się, że nigdy nie pójdę. Większość czasu spędziłem, obejmując dziewczynę, która nic o mnie nie wie, podczas gdy jedyna osoba, na której tak naprawdę mi zależy, przytuliła się do kogoś innego. Do zadowolonego, pewnego siebie kolesia, który lubi sport, lubi się udzielać i lubi mieć plany – zdążył zaplanować całą swoją przyszłość i już teraz wie, co zamierza robić i co chce osiągnąć.

Jest takim człowiekiem, jakim ja nigdy nie będę.

I nie składałam w tym momencie żadnej przekornej, gniewnej obietnicy.

Po prostu mówię prawdę.

Otwieram oczy i wiotczeję z ulgi. Jestem w jedynym miejscu, w którym pragnę być, stoję niezręcznie wciśnięta w kąt obok biurka Marshalla i czuję się, jak gdybym wróciła do domu.

Najpierw tylko go słyszę, ogarnia mnie obezwładniające napięcie, gdy się zbliża. Kiedy jednak wchodzi do pokoju z ręcznikiem przewiązonym wokół bioder, mija mnie bez słowa i cicho stąpa po dywanie w stronę komody.

Zaraz mnie zobaczy. Musi mnie wreszcie dostrzec. On jednak pochyla głowę. Oczy ma utkwione w podłogę i niezręczny moment się przedłuża.

Stoję bez ruchu. Marshall myśli, że jest sam, i nawet jeśli w ostatnich tygodniach zakłócałam jego prywatność na rozmaite sposoby, teraz sytuacja przedstawia się jeszcze inaczej. Do tej pory pozwalał mi zaglądać w swoje życie, pokazał mi więcej, niż miałam prawo prosić. Dzięki temu przestał być dla mnie kimś obcym.

Otwiera górną szufladę komody. Zamierza zdjąć ręcznik. Owszem, byłam z nim kiedyś w łóżku, dotykałam go w ciemności, ale to nie to samo. Coś, czego dopuszczam się teraz, to podglądanie. Naruszenie intymności. Gdy wyjmuje bokserki, cofam się i ukradkiem wślizguję do szafy wnękowej.

Tutaj jest jeszcze gorzej, kryję się w ciemnościach niczym płatny zabójca albo potwór z horrorów. Przykładam dłoń płasko do ściany, jakbym urzędowała zasadzkę na kogoś, kto postanowi zajrzeć do szafy.

Marshall jednak nie zbliża się do garderoby. Słyszę, jak kręci się po pokoju, szeleści czymś, szykuje się do spania. W końcu gasi światło.

Przywieram do ściany w swojej bezpiecznej kryjówce i wpatruję się w mrok.

Po oddechu poznaję, że Marshall jeszcze nie zasnął – oddycha zbyt ostrożnie, kontrolowanie.

Powiedział mi, że mnie kocha. Zapewne do tej pory zdążył się zorientować, jak poważny błąd popełnił. Zapewne wie, że mam w piersiach sopel lodu. Opieram głowę o ścianę i zamykam oczy.

Po chwili jego oddech przestaje być zdyscyplinowany. Pogłębia się i robi głośniejszy, a wtedy powietrze zdaje się łagodnieć, jak gdyby świat przestał stać na straży.

Ja również mogę się teraz odprężyć. Poruszam się jednak dopiero, gdy ból stopy rozchodzi się i wywołuje mrowienie w goleniach. Zbieram się w sobie i na palcach wychodzę z szafy.

W mroku dostrzegam postać Marshalla pod kołdrą, niewysoki podłużny kształt rysujący się na tle ściany.

Siadam przy jego głowie, łokciami opieram się o materac i patrzę na blade drgające powieki, na usta.

Po dłuższej chwili kładę się na dywanie obok łóżka, podciągam kolana pod brodę. Wkładam dłonie pod głowę, zamykam oczy i leżę tak, dopóki szmer oddechu Marshalla nie staje się jedyną prawdziwą rzeczą na świecie.

– Waverly.

Przewracam się na bok z przygnębiającą świadomością, że obudzę się w swoim pokoju, w swoim łóżku, do wtóru piskliwego budzika.

Okazuje się jednak, że nie jestem u siebie. Nadal leżę na podłodze, a obok mnie kuca Marshall, który wstał z łóżka i teraz potrząsa moim ramieniem.

– Hej, Waverly. Co ty robisz?

Jestem oszołomiona, zbyt otepiała, żeby jasno myśleć. Chcę wtulić się w niego, poczuć ciepło jego ciała, ukryć się w jego ramionach przed beznadziejną monotonią dni. Obracam twarz do podłogi i przez sekundę niemal czuję się tak, jak chcę.

– Chodź – mówi, nie zdejmując dłoni z mojego ramienia. – Usiądź, siadaj.

Spełniam jego prośbę, ale wcale nie robi mi się lepiej. Nic nie zmienia się na lepsze. Nadal jestem zimna i nietykalna. Nadal jestem sobą.

Marshall chwyta mnie za nadgarstek, prowadzi ostrożnie do łóżka i kładzie się za mną, przywierając do moich pleców.

– Nie rób tego – szepcze mi we włosy. – Nie leż na podłodze, skoro możesz być tutaj ze mną.

Jego ciało jest ciepłe. Nie pozostawia żadnych wątpliwości. Czuję się przy nim lepiej niż kiedykolwiek i gdziekolwiek indziej. Odsuwam się i przewracam na drugi bok. Nie zasługuję na pocieszenie.

– Co? – szepcze. – Co robisz?

Poprawiam głowę na poduszce, usiłuję dostrzec jego twarz w ciemności.

– Jesteś na mnie zły?

Leży teraz na plecach, we wpadającej przez okno nocnej poświacie widzę zarys jego sylwetki. Przez chwilę wpatruje się w sufit. Następnie przetyka ślinę, po omacku szuka mojej dłoni i ściska ją.

– Nie.

– Ale powinieneś – mówię, zamykając na sekundę oczy.

Mam na myśli to, jak zachowałam się pod trybunami, ale w sumie wszystko jedno. Mogłabym przeproszać za każdy aspekt swojego życia i nadal byłyby to przeprosiny równie na miejscu.

Marshall milczy, przewraca się na bok i przyciąga mnie do siebie, do miejsca, w którym pragnę być.

– Zerwałem z Heather. – Jego szept rozlega się tuż nad moją głową.

Czuję na włosach jego oddech, serce bije mi mocniej i urywanie.

– Dlaczego?

– Ponieważ nie lubię jej w ten szczególny sposób. Lubię ciebie. I nie chcę być z nikim innym.

Przez dłuższą chwilę leżę bez ruchu w jego łóżku. Bezpieczna. Idealnie spokojna.

– Nie chciałeś mnie dzisiaj pocałować.

Parska cichym, bezradnym śmiechem. Właściwie nie jest to nawet śmiech.

– Nie chciałem tego zrobić, a potem dalej udawać, że jestem z nią na tym balu. To byłoby... wstrętne. Nie tak... jak bym chciał.

Ton jego głosu jest nie do zniesienia, przytłacza mnie, napiera na mnie niczym przeciążenie. Czuję, jak moja klatka piersiowa się napręża i nagle wzbiera we mnie wszystko, czego nie potrafię wyrazić słowami.

Marshall przygarnia mnie jeszcze bliżej, mocno przytula.

– Ty płaczesz?

Zamykam oczy, przełykam gulę, którą czuję w gardle.

– Nie.

I właściwie nie kłamię. Ponieważ potrafię nad tym zapanować – ponieważ właśnie przestałam.

Usiłował ofiarować mi coś szczerego, coś autentycznego. Powiedział „kocham”, ale jakiś beznamiętny wewnętrzny głos podpowiada mi, że na pewno nie to miał na myśli, a nawet jeśli, to zostałam zaprojektowana w taki sposób, że nie jestem w stanie przyjąć tego uczucia. Moja płyta główna jest wyposażona jedynie w połączenia umożliwiające analizę i kalkulację, niczego innego nie sposób tu podpiąć.

– Nie jestem zbyt dobra w byciu kochaną – szepczę ledwie słyszalnym głosem. – O wiele lepiej wychodzi mi samowystarczalność.

Dotykam jego torsu i brzucha, kreślę palcem linie na skórze.

– Przyjemnie – szepcze, a ja się zastanawiam, co zrobić, żeby zrozumiał.

Wzdycha, kiedy rysuję na nim topografię mojego wnętrza. Moją osobistą listę wyznań:

**Sztuczna**

**Ugrzecznonia**

**Perfidna**

**Egocentryczna**

**Racjonalna**

„Super”. Wiem, że nie rozumie – nie może odczytać sekretów, którymi ozdobiłam jego ciało – ale tak czy inaczej głaska mnie po głowie. Przyciąga mnie bliżej, tak blisko, że niemal potrafię sama siebie przekonać, iż nie istnieje nic poza nim.

– Szkoda, że nie możesz położyć ręki na moim sercu i tego poczuć – szepcze. – Szkoda, że nie możesz poczuć, jak bardzo nie chcę cię skrzywdzić.

Wyobrażam to sobie – precyzyjnie, ze wszystkimi makabrycznymi, zdecydowanie mało romantycznymi szczegółami – i przestaję wodzić palcem po jego brzuchu. Waverly naukowiec wkłada rękę w otwartą klatkę piersiową, wyjmując okrwawione serce, trzyma je na dłoni w lateksowej rękawiczce i przewycięża nieodpartą chęć, aby je ścisnąć. Nigdy nie przejmowałam się zbytnio tym, jak bardzo coś może boleć, jak mocno coś może ranić.

Jest śpiący, pomału zapada w sen. Jego ciało wiotczeje, dopasowuje się do moich konturów, wypełnia poszarpaną linię brzegową mojego ciała. Formuje naokoło mnie przestrzeń, która wcześniej nie istniała.

W przeszłości zawsze uważałam, że ludzie mają krawędzie, które albo do siebie pasują, albo nie. Zdarzały się dni, kiedy przymykamie oka na to, że nie zazębiam się z nikim, nie było nawet aż tak bardzo uciążliwe.

Zakładałam, że to wszystko kwestia czasu. Pewnego dnia poznam kogoś, kto będzie neutralizował mój skład chemiczny. Będziemy walczyć o dominację, ścierać się, dopóki jedno z nas nie ulegnie, lub też będziemy iść przez życie, trwając w niekończącym się impasie.

Jednak moje założenie okazało się błędne. Wielcy poeci się mylili.

Przeciwieństwem lodu nie jest ogień.

Jest nim woda.

\*

Dni są dziwne, a noce wydają się hiperrealistycznym snem, z którego nie mogę się wybudzić. Ze świecy został cienki obrzynek. Trzymam ją w dłoniach z namaszczeniem, niczym relikwię. Nie zapalam jej, ponieważ jeśli to zrobię, przejście prowadzące do Marshalla skurczy się jeszcze bardziej.

W szkole całymi godzinami wpatruję się w podręczniki i przewracam kartki, nic z nich nie pojmując. Podziwiam idealną czerń drukowanych liter.

Mając za sobą ciąg bezsennych dni i nocy, w pewnym momencie dochodzi się do punktu, w którym mózg przestaje poprawnie przetwarzać informacje. Będąc w tym stanie, można trafić na książkę pisaną cyrylicą i uświadomić to sobie dopiero po przeczytaniu pierwszej strony.

Zaczynasz wierzyć w zdolność przewidywania przyszłości. Przestajesz zauważać, że od czterech minut patrzysz w dal. *Déjà vu* jest na porządku dziennym. Rzeczywistość zdaje się powtarzalna,

zapętlona. Widząc zapisane na tablicy zadanie, masz pewność, że już je rozwiązywałeś.

W toalecie w zachodnim skrzydle sekretów wciąż przybywa – mnożą się, nakładają na siebie. Czasami nie wiem, co odpowiedzieć. Wyznania są zbyt bolesne, wydają się znajome, a jednocześnie zupełnie obce.

Na przykład to:

*Przestałam malować się do szkoły,  
bo jeśli często się płacze, za dużo  
roboty z poprawianiem kresek.*

I to:

*Kiedy ktoś mówi, że jestem ładna,  
zawsze myślę, że kłamie.  
Myślę, że się lituje nade mną,  
nad tym, jaka jestem brzydka.*

Dziewczyny zamartwiają się, czy ważą tyle, ile powinny, czy są wystarczająco lubiane, dobre, inteligentne, wartościowe. Przejmują się swoimi głupimi sekretnymi miłośnikami.

W rogu przy zlewie ktoś umieścił enigmatyczną, a jednocześnie dziwnie poruszającą wiadomość:

*Kiedyś myślałam, że nie zasłużyłam sobie na to.  
Teraz wiem, że zasłużyłam.*

Chcę powiedzieć autorce i całemu światu, że doskonale znam to uczucie, ale nie decyduję się nic napisać.

Obok pojemnika z papierem widnieje kolejne nowe wyznanie:

*Na balu chłopak, który nawet nie był mój,  
rzucił mnie dla dziewczyny,  
która go nie chce.  
Żadna strata, nie?*

Zdejmuję skuwkę z markera, przykładam go do ściany. Może to zwierzenie Heather, a może nie. Może nie ma żadnego znaczenia, kto napisał te słowa.

Z myślą o Heather, Maribeth i wszystkich zrozpaczonych dziewczynach zostawionych przez

chłopaków, którzy noszą w sercu inne, niepotrafiące docenić tego, co je spotkało, piszę:

*Przykro mi.*

Codziennie ktoś nowy otwiera tu swoje serce, pojawiają się kolejne wyznania nieupiększonej prawdy, jak gdyby całe nasze życie sprowadzało się do tego, czy jesteśmy kochani, czy nie.

Do naszej szkoły chodzi tysiąc stu chłopaków, większość z nich wygląda normalnie i mówi normalnie. Kręcą się po korytarzach, trudni do odróżnienia, podczas gdy dziewczyny obserwują ich, marzą o nich i pożądatają.

Te dziewczyny to szczęściary i czasami chcę im to nawet powiedzieć, chcę obwieścić to krwistoczerwonym tuszem na kafelkach albo wyryć czymś ostrym na ścianie pomalowanej lateksową farbą. Potrafią choć w tym jednym miejscu zdobyć się na szczerosc.

Podczas lekcji trygonometrii otwieram zeszyt i ołówkiem notuję na marginesie:

*Jest latarnią; pozostali to tylko łodzie.*

# MARSHALL

## Uraz

Przestaję czekać. Grabię liście, zmywam naczynia, idę na zakupy. Nastawiam pranie, odrabiam lekcje, znikam. Robię wszystko, co trzeba.

Nie śpię już na środku łóżka na wypadek, gdyby Waverly pojawiła się w środku nocy i chciała się położyć obok mnie. Budzę się, próbując ją objąć. Kiedy przewracam się na bok, nikogo nie znajduję.

Gdy stoimy na przerwach przy szafkach, Ollie nigdy nie pyta, dlaczego nie wychodzę już na papierosa. Ostatnio zrobił się dziwny, jak gdyby obcy, ale trudno powiedzieć, który z nas się zmienił. Może obydwaj.

Po lunchu jesteśmy znów w holu. Mija nas ta mała pierwszoklasistka i uśmiecha się do Olliego.

Ollie odpowiada jej krótkim uśmiechem i skinieniem. Bez większych ceremonii, jak gdyby nigdy nic.

– Kumplujecie się teraz?

Kręci głową.

– Odprowadziłem ją do domu po balu, i tyle.

– Odwaliło ci? Nie powiesz chyba, że ci się podoba? – Bardziej go przekonuję, niż pytam, i szturcham łokciem trochę za mocno. – Podoba ci się?

– Mars, to przecież główniara. – Patrzy w stronę kolejki do automatu z napojami, gdzie Mały Ollie kręci się koło starszych od siebie siatkarek w prawie nieistniejących strojach. – Nie chciałem tylko, żeby coś jej się stało po drodze.

Przytakuję, ale powoli i niepewnie. Nie mam pojęcia, od kiedy Ollie stał się oficjalnym opiekunem wdów, sierot i czternastolatek. Zawsze myślałem, że to moja rola, że to mnie zależy, żeby nikomu nic się nie stało. I że jestem w tym osamotniony.

Wydawało mi się, że Ollie jest inny. Zawsze jakoś mnie znosił, mimo że dla pozostałych byłem zbyt dziwny, melancholijny, ale generalnie robił wrażenie wiecznie znudzonego, obojętnego na wszystko kolesia. Wiem jednak, że to nieprawda. Po prostu nieźle oberwał po dupie, jak ja.

Kiedyś, w szóstej klasie, Jason Costello walnął go w twarz piłką do kosza, co w sumie nie było jakimś wielkim wydarzeniem. Prawie na każdej lekcji wuefu ktoś dostawał piłką w twarz, zazwyczaj jakiś chudzielec albo grubas, konus albo sportowa ofiara losu.

Ollie nie pierwszy raz dostał od Jasona. Ale może na tych zajęciach koleś uderzył go trochę mocniej niż zwykle, bo Olliemu puściła się z nosa krew.



Wszyscy i tak by się patrzyli, bo krew to już coś, ale najgorsze, że Ollie się rozpłakał. Pierwsza zasada przetrwania w szkole średniej mówi, że nawet jeśli ktoś ci dokopie, masz to znieść, jak psychopata. Ale Ollie nie był psychopata.

Najpopularniejsi koleś zaczęli się z niego nabijać, wyzywać od ciot. Reszta stała bez ruchu, gapili się w podłogę. Cały rocznik, ustawiony w dużym chwiejnym kole, w sumie nawet nie specjalnie. A pośrodku Ollie, kudłaty i chudy – obaj byliśmy cholernie chudzi – z rękami przy twarzy i krwią ciekącą między palcami. Wiedziałem, że nie powinienem mu pomagać, ale po prostu nie mogłem znieść tego stania i patrzenia.

W szkole należy trzymać z silnymi, z dala od słabeuszy. Trzeba walić, dopóki ten drugi nie padnie na ziemię. Ale nigdy nie powinno się wychodzić na środek takiego kręgu.

Wtedy jednak nie mogłem postąpić inaczej, ponieważ tu chodziło o Olliego, który zawsze siadał koło mnie na szkolnych wycieczkach, chociaż często robiło mi się niedobrze, jeżeli jechaliśmy dłużej niż pół godziny. Nie mogłem inaczej, bo wiedziałem, że on wcale nie płacze z bólu. Trzy tygodnie wcześniej wyprowadziła się jego mama, a jego tata tak mocno zamknął się w sobie, że wydawał się nieobecny nawet wtedy, kiedy stał tuż obok. Jason, krew z nosa i piłka do kosza były tylko ostatnią kroplą.

Wyszedłem więc na środek kręgu, bo nic innego nie potrafiłem zrobić. Bo kiedyś, gdy wracaliśmy z wycieczki do muzeum, Ollie przez całą drogę gadał do mnie o marmozetach, żeby mnie czymś zająć i oderwać od wpatrywania się w słupy telefoniczne. Wyszedłem na środek kręgu, bo równie dobrze mogłem znaleźć się tam ja.

Słyszając, jak nazywają mnie pedziem, stojąc z ręką na ramieniu Olliego i podając mu papierowe ręczniki, cały czas wiedziałem, gdzie powinienem być.

Teraz myślę, że tamte zdarzenia coś w nas złamały. Tamten dzień na sali gimnastycznej sprawił, że staliśmy się gorsi, podlejsi; wcale nas nie wzmocnił ani nie uszlachetnił. A nie zrobiliśmy przecież nic złego.

Nagle zaczynam się zastanawiać, czy tak naprawdę Ollie nie wolałby być dzieciakiem z rozkwaszonym nosem, płaczącym nad tym, jak ludzie traktują się nawzajem, niż znudzonym, przymulonym koleś wpatrującym się w podłogę, jak gdyby wszystko mu zwisało.

– Hej – Trąca mnie łokciem i wskazuje coś wetkniętego w szparę między drzwiczkami mojej szafki.  
– Co to jest?

Wyciągam złożoną kartkę i przychodzi mi do głowy idiotyczna myśl, że może to wiadomość od Waverly, ale gdy tylko ją rozkładam, poznaję pismo Autumn. Nie jest to też żadna wiadomość, tylko rysunek dziewczyny o krótkich, rozczochranych włosach i dużych oczach z makijażem w stylu retro. Za nią widać mroczne miasto w stylu Gotham City z Batmana, podobne do miast, którymi Autumn

ilustrowała wymyślone przeze mnie historie. Na samej górze kartki napisy przypominające czołówkę filmową zapraszają mnie na imprezę w domu Autumn organizowaną na cześć złotej ery Hollywoodu.

Po drugiej stronie holu Waverly stoi w kręgu przyjaciółek, szuka czegoś w torbie. Chowam zaproszenie do kieszeni.

Cały czas myślę o tamtej pierwszej nocy u mnie w pokoju. Jak Waverly weszła do mojego łóżka, bez żadnego powodu i nie czekając na zaproszenie, bez zastanowienia. Miała mokre włosy, jak gdyby dopiero co je umyła. Pachniały kwiatami.

Nie znoszę pragnąć czegoś tak mocno.

Obok mnie Ollie wzdycha i szturcha mnie ramieniem.

– Znów obcinasz Camdenmar – mówi. – Jeśli nie przestaniesz rozbierać jej oczami, ktoś to w końcu zauważy.

Przytakuję, ale nie przestaję. Przez resztę przerwy patrzę na nią, na drugi koniec holu. Nie dzieli nas jakaś wielka odległość. Wystarczyłoby jedenaście kroków, żeby do niej podejść. W sumie to całkiem blisko. A jednocześnie tak cholernie daleko, że nigdy nie uda mi się tam dotrzeć.

# WAVERLY

Na dworze panuje polarny chłód. Tydzień jest długi, szary i pusty.

Zmieniam się. To, co się ze mną dzieje, przypomina wędrówkę kontynentów. Następuje przesunięcie płyt tektonicznych mojej litosfery. Jeśli tylko na to pozwolę, mogę przestać być sobą. Jeśli przestanę się zaciekle bronić niczym obleżone państwo, zmianie mogą ulec granice mojego terytorium.

Boję się jednak zakłócenia stabilności – naruszenia stanu delikatnej równowagi. Marshall i ja możemy istnieć jedynie w tej ograniczonej przestrzeni, gdzie obydwójce nie jesteśmy sobą.

Odrabiam więc zadania domowe. Skupiam się na tym, jak przetrwać bez biegania. Dawna Waverly nie wyobrażała sobie życia bez ruchu, ale powoli zaczynam wchodzić w nowy rytm. Uczę się funkcjonować bez pokonywania kolejnych kilometrów – mijania bezimiennych parków i odrętwiałych dzielnic do chwili, aż ze zmęczenia tracę czucie w ciele.

Popołudnia spędzam w bibliotece albo gabinecie samorządu uczniowskiego z Maribeth. Wieczorami wyleguję się na łóżku Autumn, podczas gdy ona planuje i wypisuje zaproszenia na swoje autorskie przyjęcie. Nikomu nie wspominam o Marshallu. Nie patrzę na niego, chociaż chciałabym widzieć jego twarz na każdej monecie, na każdej gwiazdzie, w każdej rzesie.

Ta nadnaturalna samokontrola nie może jednak trwać w nieskończoność. W mglisty, dżdżysty wtorkowy wieczór moje mocne postanowienie słabnie. Odrabiam lekcje, dopóki litery nie zamazują mi się przed oczami. Dopóki sama siebie nie potrafię już znieść. Rozwiązałam jeden zbiór zadań, napisałam dwa czterostronicowe wypracowania, uzupełniłam kserówkę z hiszpańskiego i nic mi już nie zostało. Po balu schowałam świecę na samym tyle szuflady biurka. Teraz siedzę z dłońmi wetkniętymi między kolana i usiłuję o niej nie myśleć, ale przypomina to głodzenie się i odmawianie sobie jedzenia, które znajduje się na wyciągnięcie ręki. Nawet jeśli jestem zrobiona z płyt i przewodów, to nie z kamienia.

Chociaż nie dochodzi jeszcze dziewiąta, gaszę światło, po czym wsuwam się pod kołdrę.

Dni są o wiele zimniejsze i noc zapada teraz wcześniej, ale mimo to dziwnie się czuję, siedząc w ciemnościach, podczas gdy światła u sąsiadów wciąż się palą. Odkąd skończyłam siedem lat, nie kładłam się tak wcześnie do łóżka, jednak jedyne miejsce, w którym pragnę teraz być, to przestrzeń, gdzie mogę stać się taka jak przy Marshallu.

Płomień świecy migocze, roztopiony wosk w szklanym słoiku skwierczy, a ja zmuszam się do tego, żeby leżeć spokojnie.

Trudno mi się skoncentrować, rozplynać w nicości. Czuję się tak, jak gdyby zamiast krwi w moich żyłach krążył roztwór amfetaminy.

Mimo to zamykam oczy i z całej siły szarpie kabel zasilający podłączony do mojego mózgu:  
odliczam, odliczam, odliczam.

W końcu mi się udaje.

W pokoju Marshalla światło wciąż się pali. On sam leży rozwalony na łóżku z kołdrą zwiniętą gdzieś w nogach i podręcznikiem opartym o pierś.

Nie jest tym samym chłopakiem, którego poznałam – nawalonym do nieprzytomności, drzemiącym w wannie, imprezującym w zwykły dzień. Na podłodze jego sypialni poniewiera się chyba cały semestr notatek z literatury amerykańskiej. Między papierami leży zwinięty w kłębek kudłaty płowy pies, który przypatruje mi się, wściekle merdając ogonem.

Gdy Marshall podnosi głowę i dostrzega moją obecność, wita mnie uśmiechem, po czym przesuwa się, robiąc miejsce obok siebie na łóżku. Ja jednak siadam na podłodze, podpieram się rękami i prostuję nogi. Stopy bolą mnie tak bardzo, że mam wrażenie, iż ktoś pociera moje nerwy tarką.

– Co się dzieje? – pyta, jak gdyby odczytał jakiś nieświadomie wysłany przeze mnie sygnał.

Nie mam odwagi mu odpowiedzieć. Ze świeczki został ogarek. Nie przetrwa nocy. Marshall po raz ostatni widzi mnie taką, jaka nie potrafię być za dnia – widzi moje inne, ukryte oblicze. Nie przeznaczyłam tego ostatniego spotkania na rozwikłanie jakiegoś nagłego egzystencjalnego problemu ani nie wykorzystałam go ze specjalnej okazji. Zapaliłam świecę w najzwyczajniejszy wieczór, ponieważ nie potrafiłam znieść swoich myśli.

Brakuje mi słów. Nic nie jest dobrze, nic nie jest w porządku. Gdy nie będę potrafiła przedostać się tutaj, wrócę do tej postaci, którą przybieram na użytek ludzkich oczu – będę Waverly ze średnią 5.0 i kuloodpornym spojrzeniem. Będę dziewczyną, która zna odpowiedź na wszystko i toczy spokojne życie przybocznej Maribeth Whitman, on zaś będzie chłopakiem, który kiedyś powiedział, że mnie kocha. Kocha mnie. Co to w ogóle znaczy?

Przecież on nawet mnie nie zna.

Kładę się na boku i przytulam policzek do płowego grzbietu psa, wdycham ciepły, przyjemny zapach. Zapach zwierzęcia, szamponu dla czworonogów.

– Co się dzieje? – powtarza Marshall, przewracając się na brzuch. Włosy opadają mu na twarz, usta ocierają się o skraj materaca.

– Zdjęli mnie z listy zawodników na biegach – oświadczam. I chociaż mówię prawdę, brzmi to jak kłamstwo. – Nadwerężyłam stopy i nie wolno mi trenować. Tylko do końca sezonu. – Kryję twarz w sierści psa, zamykam oczy. – Nic wielkiego.

Czekam, aż Marshall podważy to, co powiedziałam, poprosi, żebym spróbowała jeszcze raz. On

jednak tego nie robi. Wychyla się z łóżka i kładzie mi dłoń na głowie. Siedzimy bez ruchu chyba pełną minutę i dopiero wtedy ciągnie mnie lekko za kołnierz piżamy.

– Chodź tutaj.

Klepię psa na pożegnanie, po czym wstaję i siadam na łóżku obok Marshalla. Spodziewam się, że spadnie na mnie niczym grad, obsypie pocałunkami do nieprzytomności.

Tymczasem on obejmuje mnie i mocno przytula.

Jego ramię pasuje do mojego policzka, zamykam oczy. Mogłabym tulić się tak do niego nawet do końca semestru. Do końca roku. Mogłabym zasnąć i obudzić się dopiero na wiosnę. Hibernacja to całkiem niezły pomysł. Rozkoszne, beznadziejne marzenie.

Przyciska usta do mojego policzka, a ja wtulam się w niego jeszcze mocniej, rozkoszuję się szorstkością jego brody. Skórę ma cudownie chropowatą, bardziej, niż się spodziewałam. Mam ochotę ugryźć go z całej siły, co jedynie potwierdza, jak bardzo nie jesteśmy stworzeni dla siebie. Ostatnią rzeczą, jakiej mu potrzeba, to dziewczyna, która chce pokiereszować mu twarz.

Obejmuje mnie mocno, delikatnie kołysze.

– Jak mogę ci pomóc?

Zmuszam się do tego, żeby rozluźnić uścisk. Przywarłam do niego tak kurczowo, jak gdybym pragnęła pocieszenia. Jak gdybym nie potrafiła sama zatroszczyć się o siebie.

– Nie możesz. I nie musisz, poradzę sobie.

– Połóż się – oznajmia stanowczym tonem człowieka, który wie, co robić.

Pozwalam, żeby ułożył mnie na brzuchu, klęknął nade mną i przejechał dłonią po łydce. Ból wgryza się głęboko, kąsa piętę i podbicie. Wydaję stłumiony jęk i kryję twarz w materacu.

– Boli?

– Tak – szepczę. – Ale nie przestawaj.

Wykonuje ostrożne ruchy, dotyka czułych miejsc, sprawiając, że ból się wzmacnia i ogniskuje. Precyzyjnie odnajduje palcami zbite fragmenty mięśni. Leżę na brzuchu, poddając się jego zabiegom. Gdy przeciąga kciukiem po podbiciu stopy, do oczu napływają mi łzy.

– Jesteś jak mała syrenka – mówi cicho.

Parskam w materac.

– Ariel?

– Nie, ta prawdziwa. Ta, która tańczyła, chociaż ją bolało. I nie dała tego po sobie poznać.

A wszyscy myśleli, że świetnie się bawi.

– Chyba milczenie nie było dla niej zbyt trudnym zadaniem. W końcu była niemową, prawda?

Jego dłonie są ciepłe, delikatnie rozciera całą moją stopę.

– Trochę tak jak ty – szepcze.

Nic na to nie odpowiadam, przesuвам tylko policzkiem po prześcieradle, żeby otrzeć łzy.

– Kiedyś sobie to wyobrażałem – mówi, ugniatając kciukami podbicie, aż czuję mrowienie w łydkach. – Marzyłem o tym.

– O tym, że zdołałem się okaleczyć za sprawą niedopasowanych butów i nadmiernego wysiłku na treningach? No to gratuluję, zostałeś jasnowidzem.

– Nie. To były nieco mniej konkretne marzenia.

Cofam stopę i przewracam się na plecy.

– Jakie na przykład?

Pochyla głowę.

– To trochę wstydlliwe.

– Nie szkodzi. Lubię wstydlliwe sprawy.

– Wiem o tym – oświadcza. – Bo jesteś popieprzona.

Parskam śmiechem, ponieważ wolę usłyszeć to od niego i wiedzieć, że mówi prawdę, niż zbierać komplementy na temat mojego uroku i dobroci od ludzi, którzy nie mają pojęcia, kim jestem.

Marshall kładzie dłoń na mojej kostce.

– Zawsze chciałem... nie, nie bronić cię. Ale... troszczyć się o ciebie. – Uśmiecha się z zakłopotaniem, spuszcza wzrok. – W porządku, możesz się śmiać. Wiem, że to brzmi bez sensu. Wtedy jeszcze cię nie znałem, i tyle.

Siadam, biorę go za rękę, rozsuвам jego palce i przyglądam się im uważnie.

– To nie jest bez sensu – mówię, dotykając najpierw jego dłoni, a potem każdego kłykcia po kolei. – To urocze.

Chociaż powinnam mu powiedzieć, że to po prostu bardzo prawdziwe.

– Zachowujesz się dziwnie – mówi. – Dziwniej niż zwykle.

Zamykam oczy i kładę się na najlepszym, najbardziej zadowalającym łóżku na świecie.

– Wszystko jest takie okropne – szepczę, zagrzebując się w jego pościeli.

Przez chwilę Marshall nic nie mówi. Zaraz potem ciągnie delikatnie za skraj mojej piżamy.

– Chcesz mi o tym opowiedzieć?

Wzdycham, zakrywam twarz poduszką.

– Co tu opowiadać? Nie mogę biegać, nie mogę spać. Przez większość czasu nie wiem, co zrobić z własnymi myślami. Każdy dzień wydaje się najnudniejszy w życiu. Aha, i mam wrażenie, że nienawidzę swojej najlepszej przyjaciółki. To z grubsza wszystko.

Ostatnie zdania wyrzucam z siebie szybko, mój głos jest tłumiony przez pierze. Marshall wyciąga

rękę i zdejmuję mi poduszkę z twarzy.

– Jak można nienawidzić przyjaciółki? – pyta. – To bez sensu.

– To ma sens, tyle że jest trochę chore i trudno to wytłumaczyć na zdrowy rozum.

– Spróbuj – zachęca zupełnie naturalnie, szczerze. Nie dopuszcza do siebie, że nie zdoła nic z tego pojąć, choć nie wiem, jak mocno się starał.

– Maribeth jest po prostu podła. – Dziwię się emocjom, które pobrzmiwiają w moim głosie. – Jest egocentryczna i traktuje ludzi protekcjonalnie, nawet w sytuacjach, gdy powinna okazywać im życzliwość albo... albo im pomagać.

Marshall nie spuszcza ze mnie oka, kręci głową. Muszę mu to wytłumaczyć. Moje codzienne życie składa się z małych, brzydkich chwil, w których nawet najzwyczajniejsze rozmowy są przesiąknięte nikczemnością, ale żeby to zrozumiał, będę musiała mu pokazać te najbardziej jaskrawe przykłady.

– W zeszłym roku umarła mama Alyssy Barrity.

– Tak, pamiętam.

– Maribeth była wtedy wolontariuszką w szkole i przydzielono ją do opieki nad Alyssą. Dzięki temu dowiedziałam się, że Alyssa spała z Anthonym Deanem.

Marshall patrzy na mnie tak, jak gdybym właśnie powiedziała, że Alyssa poszła do sklepu po lakier i gumę do żucia.

– No i?

– Alyssa wyznała jej to w tajemnicy. Maribeth mogła... przymknąć na to oko, ze względu na żalobę. Ale potem Alyssa znów to zrobiła, tym razem z Nathanem Schusterem, parę tygodni później.

Maribeth odpowiedziała to wszystkim. Oczywiście wiadomość przekazywała poważnym, pełnym niepokoju tonem, jak gdyby naprawdę martwiła się o koleżankę, ale jej intencje były jasne. Chciała w ten sposób dać do zrozumienia, że Alyssa Barrity to skończona zdzira i należy ją zepchnąć na margines społeczny.

Marshall siedzi z łokciami na kolanach, usiłuje zachować kamienną twarz.

– To zupełnie popieprzone. Nic Maribeth do tego, kto co robi ze swoim życiem. A Alyssa, sam nie wiem, może tak naprawdę nie chciała, może po prostu się znieczuliła albo potrzebowała, żeby ktoś z nią był.

– Tak – mamroczę. Ściana wyznań sprawiła, że lepiej niż kiedykolwiek wcześniej potrafię przeniknąć sekrety ludzkiego smutku. – Tak, być może.

Marshall patrzy na mnie w taki sposób, że czuję się winna, chociaż nie mam pojęcia dlaczego.

– Czy ty też ją obrabiałaś?

– Nie, ale nie zrobiłam nic, żeby powstrzymać Maribeth.



– To popieprzone. Cholernie okrutne. Naprawdę dziewczyny takie właśnie są?

– Marshall, tacy są ludzie. Chcesz mi powiedzieć, że faceci to co innego, jakieś szlachetne bractwo?

Kręci głową. Uśmiecha się, jednak na jego twarzy nie widać wesołości.

– Nie, ale kiedy oni komuś dopieprzają, robią to inaczej.

Przytakuje. Dziwnie się czuję, gdy dociera do mnie, że on również ma swój bagaż bolesnych wspomnień i zdarzeń, że jego świat to coś więcej niż dążenie do autodestrukcji i miłość do mnie.

– Na przykład jak?

– Różnie. Nie wiem, jak to wytłumaczyć. Po prostu przypominają, że tak naprawdę wolno ci być tylko takim, jak oni. – Zamyka oczy, uśmiech z jego twarzy nie znika, ale teraz wydaje się bardziej zmęczony. – Znasz te krwawe, brutalne filmy typu *Dom tysiąca trupów*?

– Marshall, błagam. – Figurka Kapitana Spauldinga zajmuje na mojej półce zaszczytne miejsce tuż obok Coffin Baby i Blade’a z *Władcy lalek*.

– No dobra, więc jest tam taka scena: podziemne laboratorium, pełno narzędzi chirurgicznych, facet leży na stole, cały pokaleczony, kaszle krwią.

– Wtedy wchodzi Denise w sukience Alicji z Krainy Czarów, a kamera cofa się, żeby objąć całego Jerry’ego, i pokazuje jego nogę zdeformowaną zabiegami chirurgicznymi.

Marshall krzywi się i wydaje odgłos przypominający stłumiony jęk.

– Tak, o tym mówię.

Nagle wybucham śmiechem – nie radosnym, beztroskim, ale ciężkim i chrapliwym. Zakrywam usta dłonią.

– To nie jest zabawne – burczy Marshall.

– Nie jest, wiem... wiem. Przepraszam. Po prostu wiele razy to oglądałam.

Odwraca spojrzenie, kręci głową.

– Jasne. Jasne, że tak. Nakręcili to pewnie na podstawie twojego życia. Dobra, nie gadajmy już o tym.

Kładę się i mierzę go wzrokiem. Wygląda na zakłopotanego, autentycznie zawstydzonego.

– Dokończ, proszę, co chciałeś powiedzieć. Nie będę się już śmiać.

– Któregoś wieczoru Justin puścił ten film u siebie i kiedy doszło do tego momentu, poczułem się niedobrze, nie mogłem złapać oddechu. Musiałem wyjść gdzieś, gdzie będę mógł oddychać.

Podnoszę dłoń, przesuwam palcami po wewnętrznej stronie jego ręki. Dostał gęsiej skórki, jak gdyby tamto wspomnienie przejmowało go chłodem.

Marshall odsuwa się, odwraca, mówi już nie do mnie, ale do swojego ramienia.

– Doszedłem do kuchni i musiałem usiąść. Justin... Jezu, ale z niego palant... stanął nade mną, trącał

mnie nogą i razem z Hezem pękali ze śmiechu. To było jakiś rok temu, ale wszyscy dalej dopieprzają mi z tego powodu, kiedy tylko mogą.

Dotykam jego czoła, policzka.

– Wszyscy? Nawet Ollie?

Opiera kolano o moją rękę, uśmiecha się po swojemu, boleśnie.

– Nie. Ollie nigdy mi nie dowala.

– To szczęście mieć takiego przyjaciela.

Marshall spogląda na mnie, jego rysy łagodnieją.

– To nie kwestia szczęścia, Waverly. To znaczy, jasne, żeby znaleźć kogoś, kto naprawdę cię rozumie, trzeba mieć farta, ale potem wszystko zależy od ciebie. Jeśli pokazujesz ludziom, że są dla ciebie ważni, zapamiętają to.

Przytakuje, chowając twarz w pościeli, żeby nie musieć przyznać, jak trudno mi pokazywać ludziom jakiegokolwiek uczucia.

– Dlaczego przyjaźnisz się z Maribeth? – pyta, a w jego głosie pobrzmiwa czułość. I współczucie.

– Ponieważ ona mnie rozumie. – Ponieważ Maribeth Whitman zawsze przy mnie była, gotowa wytłumaczyć i pomóc. Zawsze wiedziała, że pod pastelową maską o łagodnych krawędziach, którą codziennie zakładam, kryje się kanciasty potwór.

Marshall podnosi kołdrę i kładzie się obok mnie.

– Nie, ona cię nie rozumie. Z tego, co o niej opowiadasz, wychodzi, że traktuje cię jak robota.

– No, tak.

– Ale to bzdura – ciągnie. – Nie jesteś robotem.

Stwierdza to, jak gdyby wiedział, co mówi, jak gdyby wiedział o mnie wszystko. Leżę nieruchomo i wpatruję się w niego.

– Nie mówię ci, kim masz być – dodaje. – Mówię tylko, że Maribeth bierze cię za kogoś, kim nie jesteś. Nie widzi wszystkiego.

– A ty owszem.

Śmieje się, kręcąc głową.

– Nie, nikt tego nie potrafi. Ale ja przynajmniej zdaję sobie z tego sprawę.

Wyciąga rękę, przygarnia mnie do siebie.

– Nie trzeba mieć dużo przyjaciół – oznajmia. – Warto mieć paru naprawdę dobrych.

Gdybym miała wybrać paru przyjaciół dla siebie, lista kandydatów ograniczyłaby się do niego i Autumn. To wszystko. Nikt poza nimi nie istnieje. Ta myśl sprawia, że czuję się samotna, a jednocześnie w niezrozumiały sposób podnosi mnie na duchu.

– Zimno ci – zauważa, przesuując dłonią po moim ramieniu.

– Zawsze mi zimno.

Wstaje z łóżka. Chcę go chwycić i przyciągnąć do siebie, ale on przemierza pokój, po czym zdejmuję z oparcia krzesła swoją bluzę Pink Floyd.

Opatula mnie, wsuwa moje ręce w rękawy, ostrożnie zapina zamek z przodu. Na koniec obejmuje mnie w pasie i ciągnie w dół, na materac.

– Myślę o tobie na lekcjach – mówi. Jego usta wydają się miękkie jak marzenie, którego istnienia nawet się nie podejrzewało. – Wyobrażam sobie, że cię całuję. Wtedy szybciej mija mi dzień.

– Gdzie mnie całujesz?

– Tutaj. – Pochyla się, wargami muska mój policzek. – I tutaj. – Zdejmuje mi bluzę z ramienia i całuje mnie w szyję, we wstydliwie pochyloną brodę, w obojczyk.

Za każdym razem, gdy wymawia kolejne sylaby, a jego oddech owiewa moją skórę, po plecach przechodzą mi delikatne dreszcze. Serce bije mi tak mocno, że jego łomot wydaje się wypełniać cały pokój, a ja mam wrażenie, iż jeszcze chwila i zacznę się dławić od drgań akustycznych.

Marshall kładzie mnie na plecach, wsparty rękami o materac pochyla się nade mną i wpatruje się w moją twarz tak długo, że doznaję klaustrofobii i muszę odwrócić wzrok.

Patrząc w ścianę, zaciskam powieki i pięści.

– Usiłujesz mi powiedzieć, że chcesz mnie przelecieć?

Ujmuje mnie pod brodę i obraca moją twarz tak, żebym na niego spojrzała.

– Nie.

– Czyli usiłujesz powiedzieć, że nie chcesz mnie przelecieć.

Ugina łokcie, nachyla się jeszcze niżej, nie odrywa ode mnie oczu.

– Chcę się z tobą kochać.

– Teraz?

– Kiedyś.

– Ponieważ wszyscy siedemnastoletni kołesie mają obsesję na punkcie seksu?

– Ponieważ cię lubię – mówi. – Ponieważ tak bardzo cię lubię.

Próbuję odwrócić się na bok, ale on mnie przytrzymuje, obejmuje dłońmi moją twarz, po czym się cofa, uwalnia mnie z uścisku, a ja kryję oczy w jego ramieniu.

– Jak możesz to robić? – szepczę.

– Co takiego?

– Mówić... mówić, co czujesz.

Wzrusza ramionami.

– Nie wiem. Tak czy inaczej będę żałował tego, co zrobię, więc równie dobrze mogę powiedzieć, zamiast milczeć.

– To najbardziej żalosne wyjaśnienie, jakie słyszałam.

Chichocze cicho z ustami wtulonymi w moje włosy.

– Może. Ale to i tak lepsze niż nic. Waverly, jesteś najważniejszą rzeczą, jaka mi się w życiu przytrafiła.

Uśmiecham się do jego szyi.

– Nie jestem rzeczą.

Naciąga na nas kołdrę, tworząc z niej namiot. Stojąca na biurku lampka rzuca ciepły, kremowy blask, przeświecający przez pościel niczym aureola.

Wyciągam rękę, kładę ją na jego karku. Pieszczoty z Marshalllem Holtem to punkt kulminacyjny mojego życia.

Przesuwam dłoń po jego brzuchu, wyczuwam mięśnie drżące pod moim dotykiem. Opuszkami palców muskam jego kość biodrową, nagi tors, idealną, widmową linię żeber. Moje tętno, które do tej pory ograniczało się do banalnego pulsowania w głównych tętnicach, teraz wali jak oszalałe w całym ciele, ogniskując się w miejscu, do którego on przykłada swoje usta, rozpalając mnie od środka. Tyle mi wystarczy, aby nie dbać o to, że nie potrafię już odróżnić jawy od snu.

\*

Świeca zniknęła – została z niej pozbawiona knota grudka stopionego wosku w tanim szklanym naczyniu o okopconych brzegach.

Siedzę w piżamie na skraju łóżka, trzymam w dłoniach resztki świeczki i nawet gdy tata wsuwa do pokoju głowę, aby mnie ostrzec, że spóźnię się do szkoły, nie potrafię się zmusić do wykonania najmniejszego ruchu. Siedzę z podwiniętymi obolałymi nogami, wpatruję się w słoik i myślę, jak ogromna odległość dzieli moje zwykłe, powszednie dni od tego, co naprawdę ważne.

\*

Świat jest teraz inny, ale z pozoru nic się nie zmieniło. Usiłuję – z różnym skutkiem – nie myśleć o nim. Nie wspominać nawet jego imienia. Czasami przypomina mi się, że kiedyś był mój, nawet jeśli w minimalnym stopniu.

Ominęliśmy wszystkie te sprawy, o których normalni ludzie rozmawiają na początku znajomości – jakie programy lubimy, jakie piosenki kochamy, a jakich nie znosimy. Ulubione kolory, liczby, potrawy, setki szczegółów mających zbliżyć do siebie dwójkę nieznajomych. Zamiast tego dowiedziałam się takich rzeczy, które pokazały mi prawdę o nim. Umożliwiły nawiązanie bliskości, jakiej nigdy

z nikim nie miałam i nie sądziłam, że kiedykolwiek będę miała.

Chciałabym cofnąć się w czasie – do okresu, w którym byłam na tyle mała, by wierzyć, że rzeczywistość to jedynie coś, co trzeba przeczekać, żeby móc potem w końcu zostać samej. Do okresu, gdy moje sny wydawały się realniejsze od jawy.

Bycie samej już mi nie wystarcza.

W szkole obserwuję go na korytarzu. On i Ollie zachowują się przy sobie zupełnie swobodnie, wpadają na siebie, trącają się ramionami.

Potrafi być dotykalny, potrafi dopuszczać do siebie ludzi. Ja w dzień z trudem znoszę to, że muszę oddychać tym samym powietrzem co inni. Gdy Maribeth podnosi rękę, aby poprawić mi włosy, muszę wbijać paznokcie w dłoń i siłą woli powstrzymać się, żeby się nie odwrócić.

\*

Na dworze jest zimno i szaro. Nie pamiętam, czy mamy środę, czwartek, czy piątek. Czas stał się rozciągliwy i trudny do objęcia.

Co dwie sekundy spoglądam na kalendarz. Zapominam, co w nim wyczytałam. Patrę znowu. Pewnego ranka przyszedłam do szkoły i okazało się, że mniej więcej co trzecia dziewczyna jest przebrana za kota. Pół pierwszej lekcji zajęło mi ustalanie, czy to sen, czy może halucynacja. Okazało się, że Halloween.

Środa, czwartek, piątek? Na pewno nie sobota, ponieważ jestem na angielskim. Omawiamy rozwój powieści kryminalnych, chociaż wywód pana Hoffmeyera bardziej przypomina monolog. Opieram głowę na dłoni i rysuję w notesie narzędzia tortur.

Gdy nauczyciel zaczyna wyliczać główne cechy powieści gotyckiej, zerkam przez oszklone drzwi na korytarz w samą porę, żeby zobaczyć przechodzącego przez hol Marshalla.

Oczy ma zwężone i nie skręca w stronę toalet, wodotrysku z pitną wodą, stołówki, biblioteki ani gabinetu pedagoga. Kieruje się do drzwi wychodzących na tylny parking.

Chcę wstać i pobiec za nim. Chcę przypomnieć sobie, że świat nie działa w ten sposób. Nie mam żadnego planu awaryjnego na tę sytuację. Nie mam do Marshalla żadnego prawa.

Pamiętam jednak, jak mnie dotykał, jak masował mi stopy, odnajdywał bolące miejsca. Nie pytał o zgodę, nie wahał się, nie marnował czasu na rozmyślanie, czy ma prawo to robić. Był gotowy mi ulżyć, ponieważ potrzebowałam pomocy, nawet jeśli nie mówiłam tego na głos. Zamykam notes i podnoszę rękę.

– Dziękuję, Waverly – mówi pan Hoffmeyer, wskazując mnie energicznym gestem. – Chcesz nam powiedzieć, które wczesne dzieło Edgara Allana Poe zapoczątkowało jego karierę pisarską?

– Nie, chciałabym wyjść do toalety.

Zaraz za drzwiami szkoły owiewa mnie gwałtowny wiatr. Marshall pewnym krokiem zmierza w kierunku boiska baseballowego, jest już w połowie drogi.

Stoję na schodach przy zachodnim wejściu, patrzę. Jeśli się obróci, zerknie przez ramię, zobaczy mnie. On jednak tego nie robi.

Jego sylwetka ciemnieje na tle nieba, staje się coraz mniejsza.

W myślach widzę możliwy przebieg zdarzeń – scenariusz, który się rozegra, jeśli za nim pójde, ruszę z chrzęstem przez przemarznięty trawnik w stronę trybun. Przemierzę boisko, po czym usiądę obok niego na ławce rezerwowych, poczuję za plecami zimny beton, zbyt późno dotrze do mnie, że powinnam była wziąć kurtkę.

Nietrudno zobaczyć tę scenę oczyma wyobraźni, wystarczy zmrużyć powieki w jasnym świetle chłodnego dnia. Nas dwoje przytulonych do siebie na ławce, moja dłoń na jego dłoni, nachylone do siebie głowy niemal stykające się czołami. Bez świecy nędzne kryjówki takie jak ławka rezerwowych to jedyny sposób na to, żebyśmy mogli być sobą. Natychmiast jednak pojawia się w moich myślach lista powodów, dla których nasze spotkanie i tak nie spełni oczekiwań. Za dnia znów stanę się nie tą Waverly, której Marshall tak naprawdę potrzebuje, ale tą, z którą miał do czynienia pod trybunami na balu: zimną, nieprzystępną i srogą, wypolerowaną na wysoki połysk. Wypowiadającą najgorsze, najbardziej bezmyślne słowa.

A on będzie jedynie moją ucieczką.

To, co mieliśmy, się skończyło. W czasie, gdy trwało, było czymś idealnym, ale teraz tego już nie ma. Nie chcę zniszczyć wspomnień, zatruwając je sobą taką, jaką jestem na co dzień.

Marshalla już nie widać, zniknął pod wiatą ławki rezerwowych.

Po dłuższej chwili, gdy uszy mam czerwone od wiatru, a palce zlodowaciałe, odwracam się, po czym wracam do szkoły, do holu pachnącego płynem do podłóg i rozgrzanego odkręconymi na cały regulator kaloryferami.

Powinnam wrócić na zajęcia, posłuchać o symbolizmie w literaturze. Robić notatki, jak zwykle.

Ja jednak przyglądam potargane wiatrem włosy i ruszam do toalety w zachodnim skrzydle, ponieważ tam przynajmniej zaczynam rozumieć siebie – w tym jednym miejscu na świecie anonimowe wyznania nabierają uniwersalnego wymiaru i każdy głos liczy się tak samo jak inne.

Tym razem, stojąc przed ścianą, skupiam się na sekretach fanek – na wszelkich odcieniach podziwu, ambicji, zazdrości.

Podziwiam: takiego a takiego sportowca, gwiazdę rocka, gwiazdę filmową, gwiazdę porno, ikonę mody, bohatera fikcyjnego.

Chcę być: Taylor Swift, Bellą Swan, Katniss Everdeen, Rihanną.

Imiona się różnią, ale pragnienia mam podobne. Chcę być Williamem Szekspirem, Galileuszem, Robertem Frostem. Chcę być Safoną. Chcę być Jane Austen. Chcę być Holdenem Caulfieldem, Marylin Monroe i Joanną d'Arc. Przykro mi, gdy pomyślę, że oni wszyscy mnie uprzedzili, zostawili swój ślad w historii beze mnie. Tego jednak nie zmienię. Oni wszyscy zdołali zaistnieć.

Zamykam oczy i przykładam policzek do ściany. Jest chłodna, nierówna od wielu warstw pokrywających ją gryzmołów. Wyobrażam sobie, że na mojej skórze odciska się lustrzane odbicie płataniny wyznań, dzięki czemu cały świat będzie mógł je odczytać. One wszystkie wzywają do kontaktu, pragną styczności z czymś, co dla nich wyjątkowe. Piękne.

Odpowiedź piszę z czołem opartym o ścianę, ściskając długopis niczym pochodnię albo miecz, jak gdybym miała go nigdy nie wypuścić z ręki:

*Wasi bogowie nie wiedzą o waszym istnieniu.*

*Ale to nic nie szkodzi.*

## Kapitulacja

W gabinecie pedagoga zbyt długo stoję w progu. Ręce mam lodowate.

Ciotka siedzi za biurkiem, przegląda katalog jednej z publicznych szkół. W końcu podnosi głowę, a zaraz potem brwi.

– Nie pamiętam, żebym miała umówioną wizytę z tobą, chociaż wysłałam trzy przypomnienia, a także sprawdziłam twój plan lekcji i poprosiłam wychowawcę, żeby codziennie łapał cię w klasie albo gdzieś na korytarzu i tak długo wiercił ci dziurę w brzuchu, aż przyjdiesz się umówić.

– Tak. Przepraszam. – Trudno powiedzieć, czy przepraszam za to, że zawsze wszystko utrudniam, czy za to, że przyszedłem nieumówiony i pewnie przeszkadzam.

W sumie mógłbym wyjść. Nie muszę ani tutaj być, ani z nią rozmawiać. Nie muszę się odzywać. Przed chwilą przez czterdzieści pięć minut marzę na ławce rezerwowych, usiłując znaleźć sposób na to, żeby wziąć kolejny oddech. W zasadzie nic nowego. Od jakiegoś czasu właśnie tak wygląda moje życie. I mogę żyć tak dalej.

Ciotka zamyka katalog.

– Lepiej wejdź i powiedz, co ci chodzi po głowie.

Włożę do jej gabinetu i siadam. Nie wiem, jak zacząć.

To beznadziejne uczucie tkwi we mnie tak długo, że niemal do niego przywykłem. Nie można go opisać słowami, bo to tak, jak gdyby próbowało się opisać bicie serca.

Wpatruję się w leżącą na rogu biurka stertę podań o przyjęcie do szkolnego wolontariatu. Formularze wydrukowano na zielonych kartkach, nierówno przeciętych na pół. Z każdej szczyrzy się maskotka naszej szkoły: rudy ryś w skórzanej kurtce, który uśmiecha się jak skończony dupek.

Na parapecie stoją pocztówki z dawnymi superbohaterami, na tablicy korkowej wiszą wycinki z gazet na temat uratowanych pitbuli, które ktoś postanowił adoptować, i zdjęcia opuszczonych budynków porośniętych kwiatami i trawą. Trudno powiedzieć, czy Ciotka naprawdę lubi takie klimaty, czy specjalnie wywiesza takie rzeczy, żeby ci, którzy tu przychodzą, czuli się na miejscu. Wpatruję się w rośliny, które wyrastają z rozpadających się podłóg i latają pęknięciami.

Ciotka przysuwa się bliżej biurka.

– Marshall – mówi – nie wiem, co się w tobie teraz dzieje, ale mogę powiedzieć ci jedno. Czekanie, aż to gównno samo przejdzie, rzadko kiedy się sprawdza.

Taka odzywka bardziej pasuje do Olliego niż do niej – zachrypniętej, gderliwej kobiety starszej od



moich rodziców, której rehot przypomina odgłos żwiru zsuwającego się po zjeżdżalni.

Wiem, że powinienem być lepszy, a przynajmniej lepiej sobie radzić – tak żeby nie okazywać słabości. Coś mnie ściska w piersiach. Gardło zaczyna mnie boleć i przez minutę tylko siedzę, próbując nad tym zapanować.

– No dobra – mówi Ciotka. – Co ty na to? Była u mnie Theresa Denning. Zdaje się, że według niej przechodzisz trudny okres. – Zapada niezręczna cisza. – Zadzwoiłam do twojej mamy.

Ostatnią rzeczą, jakiej potrzebuję, jest rozmowa na ten temat. Wstrzymuję oddech i zaciskam szczęki.

Głos ciotki łagodnieje, ale wyraz twarzy się nie zmienia.

– Rozmawialiśmy o twoim tacie.

– Tak, to już się ciągnie jakiś czas. Przyzwyczailem się. To nic wielkiego.

– Mimo to nadal możesz o tym porozmawiać, jeśli chcesz.

Ale ja nawet nie wiem, od czego zacząć. O czym mam rozmawiać? O tym, że nikt z nikim nie potrafi się u nas dogadać? Że ojciec nigdy nie był choćby średnio dobrym tatusiem, nawet kiedy byłem mały? O tym, że pół roku temu przez jeden magiczny tydzień rodzice niemal się rozwiedli, a my, ich dzieci, szykowaliśmy już z tego powodu huczną imprezę?

Wyczuwam każde włókno dywanu pod moimi butami, dotyk przylegającego do ciała ubrania, drobiny kurzu w powietrzu.

– Co mam powiedzieć?

– Co chcesz.

Wydaje się to takie proste, ale słowa nie chcą przejść przez gardło. W głowie mam bałagan i hałas, który codziennie narasta. Mógłbym pogadać z Olliem, ale tego nie robię. Rozmawiałem z Waverly, ale to bardziej przypominało rozmowę z duchem. Ciężar, który noszę w środku, jest coraz większy. Coś musi się zmienić.

Biorę oddech, z opuszczoną brodą wpatruję się w podłogę. Bawię się zdjętym ze sterty podaniem, drę je na paseczki. Zaczynam mówić, bo jeśli tego nie zrobię, wszystko dalej będzie takie samo.

Kiedy kończę, Ciotka siedzi ze splecionymi palcami i milczy.

– Coś ze mną jest nie tak?

Kobieta przesuwa się na krześle do przodu, kładzie łokcie na biurku.

– Co masz na myśli?

– Wszystko. To, jaki się robię popieprzony i smutny. To, że nie mogę oddychać. Chodzi mi o to, czy nie powinienem się leczyć u jakiegoś psychologa czy gdzieś?

Ciotka przekrzywia głowę i wzrusza ramionami, jak gdyby chciała powiedzieć: „Owszem, Holt, powinieneś”.

– To mogłoby ci pomóc.

– Znaczą się, że muszę się gdzieś zgłosić.

– Marshall, trochę cię znam. Wiem, że jeśli będę naciskać, nie będziesz się ze mną sprzeczać. Po prostu znikniesz – mówi cicho i przez sekundę wygląda na naprawdę zmartwioną. – Wolę widzieć cię codziennie u siebie, dopóki nie skończysz szkoły, niż gdzieś cię skierować i stracić cię zupełnie z oczu.

Jej spojrzenie jest tak ciężkie, że ledwie mogę je wytrzymać. Po raz pierwszy zaczynam rozumieć, dlaczego Waverly nie może wysiedzieć spokojnie, dlaczego miota się po pokoju, jak gdyby chciała wyjść ze skóry. W tym momencie ja też chcę się pozbyć swojego ciała, zrzucić z siebie wszystko, co mnie dotyka. Nawet ciężar powietrza wydaje się nieznośny.

Ciotka patrzy na mnie spokojnie i życzliwie.

– Jestem w gabinecie codziennie do szesnastej.

Nie zamierzam marnować jej czasu. Nie ma mowy. Ale lepiej się czuję, wiedząc, że mógłbym to robić.

Gdy zdejmuję ze sterty kolejną ulotkę dotyczącą szkolnego wolontariatu i starannie składam ją na pół, Ciotka unosi brwi, ale nie komentuje ani nie każe mi jej odłożyć z powrotem.

Chowam kartkę do kieszeni i odwracam wzrok.

– To nie dla mnie.

Wstaje, żeby odprowadzić mnie do drzwi.

– A nawet gdyby? Nie byłby to najgorszy pomysł pod słońcem.

# WAVERLY

Poranek jest słoneczny i okrutnie chłodny.

Schowałabym się w skrzydle sportowym, tyle że szatnia nie jest już moim drugim domem. Stołówka wydaje się zupełnie nierealna.

Muszę zjeść pączka. Natychmiast. Potrzebuję węglowodanów prostych oraz złudzenia, że robię coś racjonalnego i normalnego. W bufecie kupuję pączka z budyniem i kawę z dwóch miarek espresso.

Następnie lawiruję między stolikami, kierując się w stronę okna, pod którym Maribeth skromnie przysiadła na skraju krzesła. Wyjęła segregator przeznaczony na zajęcia pozaszkolne i przegląda listę zadań, które trzeba przydzielić w związku z organizacją zbiórki żywności. Listopadowe słońce odbija się od jej włosów, nadając im idealnie miękki połysk. Ona sama przypomina aniołka ze sklepu z upominkami.

Kendry umościła się obok niej, o wiele bliżej, niż ja lubię siadać obok kogokolwiek. Ma na sobie prostą szarą bluzkę, najwyraźniej nową.

Gdy zauważają, że podchodzę, Kendry i Palmer prostują się nagle, jakby przyłapano je na szeptaniu, ale Maribeth jak zwykle uśmiecha się i macha do mnie. Kiedy jednak robi mi miejsce, przestawia nie swój plecak, a rzeczy Palmer.

– Waverly, dzięki Bogu. Musisz spojrzeć na te darowizny dla banku żywności i sprawdzić, czy wszystko się zgadza. Poza tym kalendarz imprez jest w rozsypce, a do tego musimy zorganizować grupy, które będą chodzić po domach. I w piątek idziemy na imprezę do Autumn, zgadza się?

Przytakuję, stojąc przy stoliku. Maribeth wspomina o imprezie, jak gdyby Autumn nigdy jej nie obraziła, nie uzurpowała sobie praw do jej chłopaka, nie była obiektem plotek na temat dozorczy z Krogera, za których rozpuszczanie odpowiedzialna jest głównie Maribeth. Wiem, że powinnam usiąść, ale nie bardzo mam jak, ponieważ Kendry zdążyła się przesunąć na moje miejsce.

– Zamierzasz tak stać? – pyta Kendry. – Wyglądasz na niepoczytalną.

Gdzieś daleko rozlega się natarczywe dzwonięcie. Ostry dźwięk rozbrzmiewa coraz wyraźniej w mojej głowie. Stawiam na stoliku kubek z kawą i usiłuję dojść do tego, co się zmieniło we fryzurze Kendry oraz dlaczego mówi takim tonem, jak gdyby połknęła parę tabletek na uspokojenie. Zwykle też nie używa słów typu „niepoczytalna”.

– Ty za to zachowujesz się jak znerwicowana mamuśka – mówię, kładę książki i opadam na puste krzesło. Moje słowa brzmią ostrzej, niż zamierzałam.

Kendry chmurzy się, ale nic nie odpowiada. Usta ma pomalowane błyszczącym w kolorze

naturalnym, co niezbyt do niej pasuje. Zawsze wołała bardziej wyraziste kolory.

– O Boże – woła Palmer, wpatrując się w mojego pączka. – Naprawdę chcesz to zjeść? Masz pojęcie, ile to ma tłuszczów nasyconych?

Chwytam pączka kciukiem i palcem wskazującym, przyglądam mu się uważnie.

– Tak, chcę to zjeść. – Następnie odgryzam strasznie duży kawałek, który przeżuwam powoli, nie patrząc na koleżankę.

Palmer wzdycha, podpira brodę ręką.

– To takie niesprawiedliwe. Pewnie gdybym miała twoje geny i wyglądała jak szkielet, też bym się niczym nie przejmowała.

Nie odzywam się. Jem pączka.

Wszystkie trzy dziewczyny wpatrują się we mnie. Poniewczasie dociera do mnie, że przegapiłam wyraźny sygnał. Moment, w którym powinnam okazać współczucie, powołać się na swój szalony metabolizm i dorzucić jakąś autoironiczną uwagę, na przykład poskarżyć się na praktycznie nieistniejące piersi albo kościste kolana.

Koleżanki siedzą i czekają, aż okażę solidarność i zacznę z siebie szydzić.

– Nie musicie tego robić – mówię.

Kendry prycha ze znużeniem, lekceważąco, i przewraca oczami.

– Niby czego?

– Nie musicie być takie wredne dla siebie. Palmer wcale nie musi się katować tylko dlatego, że ktoś kiedyś wymyślił tak arbitralną kategorię jak piękno i ustalił, co jest atrakcyjne, co jest dobre, zanim my przyszliśmy na świat.

Mówię to, a jednocześnie wiem, że to nieprawda. Palmer musi się katować, ponieważ karą za niezrobienie tego byłaby negatywna ocena, odrzucenie. Może nawet wykluczenie.

Chciałabym jednak, żeby było inaczej.

Obracam się do Palmer i z trudem się powstrzymuję, żeby nie chwycić jej za rękę i nie ścisnąć tak, aby mnie w końcu usłyszała.

– Powtarzanie tych bzdur nic nie pomoże, rozumiesz? To bezsensowne, destruktywne i przez to będziesz tylko czuła się gorzej.

To chyba najdłuższa, najszczerza wypowiedź, jaką skierowałam do kogokolwiek od wielu dni. Osuwam się na oparcie i staram się przekonać swoje palce, żeby nie zmiażdżyły pączka, którego wciąż trzymam w ręce.

– Boże – mówi Kendry. – Uspokój się. Przecież ona nikomu nie robi krzywdy.

– Czy ty mnie w ogóle słuchałaś? Chodzi o to, że właśnie robi.

Kendry znów rzuca mi obojętne, rozkojarzone spojrzenie. Na jej twarzy maluje się nonszalancki wyraz, usta ma lekko rozchylone i nagle wszystko układa się w całość. Proste włosy, nudna bluzka, bezbarwny makijaż. Kendry wcale nie usiłuje mówić tonem osoby niedołęźnej albo ofiary wstrząśnienia mózgu. Stara się brzmieć jak ktoś, kto jest ponad taką małostkowość jak modulacja głosu.

Chce mówić jak ja.

Przez ostatnie trzy lata – a może dłużej – moją tożsamość określała orbita, po której krążyłam w naszym mikrokosmosie. Byłam nie ogromnym, rozpalonym słońcem, ale lodowatą planetą, surową i tajemniczą, niezdatną do zamieszkania. To jednak nie miało znaczenia. Pomimo trujących oparów w atmosferze i oceanów pełnych lodu zawsze byłam ulubienicą Maribeth.

Wiem, że powinnam zaznaczyć swoją przewagę i pokazać Kendry, gdzie jest jej miejsce, ale w głowie kołacze mi tylko jedna myśl: „Tak? Serio? Właśnie tak wyglądam w waszych oczach?”.

Pączek rozpływa mi się w ustach, smakuje niebiańsko słodkimi pustymi kaloriami. Patrzę przez okno na niebo i na podstarzałe osiedle po drugiej stronie ulicy. Parking przypomina gigantyczny, wielokilometrowy korek, o którym lubią trąbić w komunikatach dla kierowców.

„Po co ci to wszystko?”, spytała mnie kiedyś Autumn.

Rzecz w tym, że nie mam zielonego pojęcia.

# WAVERLY

Przed przyjęciem u Autumn Maribeth przyjeżdża po mnie o dziewiątej swoją schludną, zwawą hondą. Nawet tapicerka w jej samochodzie pachnie zdrowo, odświeżaczem o aromacie wanilii.

– Musimy porozmawiać – oznajmia przyjaciółka.

Ton ma rzeczowy, przygotowuję się więc na konfrontację.

Wieczór jest chłodny i wilgotny. Maribeth zapyta mnie o to, dlaczego stałam się tak zdystansowana. Skryta. Coraz mniej pojmowalna. Dlaczego w ostatni wtorek spędziłam popołudnie u Autumn zamiast tradycyjnie w bibliotece, razem z nią.

Przyjaciółka bierze głęboki wdech, obie ręce odpowiedzialnie trzyma na kierownicy.

– Powinnaś się w końcu zdecydować, co z Borsenem. Zwodzisz go i myślę, że to nie w porządku.

Przygotowane naprędce usprawiedliwienia i tłumaczenia zamierają mi na ustach. Nie mam pojęcia, jak jej powiedzieć, że CJ Borsen jest absolutnie ostatnią osobą, o której myślę.

W domu Autumn impreza trwa w najlepsze. W salonie stłoczyły się dwie trzecie naszego rocznika.

Ludzie zwykle gotowi są pojawić się wszędzie, gdzie dostaną darmowy alkohol, ale tak czy inaczej dzisiejsza frekwencja robi wrażenie. Z plastikowego pojemnika z lodem wygrzebuję piwo i staram się unikać kontaktu wzrokowego z Borsenem, który zdążył mnie już wypatrzeć i zaczyna się kręcić w pobliżu. Maribeth najwyraźniej obiecała mu, że się mną zajmie. To jedna z szerokiego wachlarza usług, które świadczy – skuteczne i profesjonalne dochodzenie do ładu z Waverly Camdenmar.

CJ w końcu dopada mnie w salonie obok olbrzymiego kauczukowca, prawdziwego albo sztucznego. Ogarnia mnie nieodparta chęć dotknięcia rośliny.

– Hej – rzuca CJ.

– Hej – odpowiadam, przejeżdżając palcem po liściach.

– Wiesz, krążą plotki, że być może wcale mnie nie lubisz. – Głos ma zaskakująco radosny, jak gdyby ze wszystkich sił starał się wyjść na osobę bezceremonialną i szczerą. A może zawsze mówił w podobny sposób, tyle że nigdy nie zwracałam na to uwagi.

– Oczywiście, że cię lubię. Nie jesteś seryjnym mordercą. – Roślina jest chłodna i śliska w dotyku. Nadal nie potrafię określić, czy jest prawdziwa.

Chłopak kręci głową.

– Nie lubisz mnie tak, jak bym tego chciał.

Jego odczucie jest poprawne, choć nieco banalne. Nikt nigdy nie lubi nas w taki sposób, jaki sobie

życzymy.

– Przykro mi. – Dopuszczam się drobnej nieuczciwości, ale jestem mu to winna.

CJ przytakuje, przygląda mi się, jak gdyby czekał na ciąg dalszy i nie wyobrażał sobie, że usłyszy ode mnie tylko tyle.

Odwracam wzrok i pociągam łyk piwa.

– Po prostu nie rozglądam się obecnie za chłopakiem. Powinnam była dać ci to jaśniej do zrozumienia. Wybacz.

– W porządku – odpowiada i zdaje się, że może nawet mówi poważnie. – To też moja wina. Chyba trochę się zapędziłem. Wyobrażałem sobie różne rzeczy o tobie, ale ty... jesteś inna, niż myślałem.

Podnoszę wzrok i patrzę na niego, usiłując nie mrużyć powiek. Cała jestem wyobrażona, zmyślona.

– Myślałem, że będziesz trochę bardziej szalona, że gdzieś w tobie siedzi niegrzeczna dziewczynka. – Uśmiecha się, jak gdyby chciał wzruszyć ramionami. – Ale ty jesteś dokładnie taka, na jaką wyglądasz.

Na swój sposób jego słowa to komplement. Potwierdzenie. Dowód na to, że moja ciężka praca kształtowania wizerunku nie poszła na marne. Jednak mimo wszystko czuję, jak coś we mnie gaśnie.

Wcale nie wyobrażałam sobie, że będzie inaczej. Jego ocena przywodzi mi na myśl notatki, które codziennie robię na marginesach zeszytów. Odpryski tłumionej, skrywanej mądrości. „Dziewczeta o ciemnych włosach potrafią się zachować”.

Teraz CJ mówi o tym, jak dobre łączą nas stosunki i że możemy pozostać przyjaciółmi, jak gdyby nasza przyjaźń była czymś wyjątkowym i wartościowym. Jak gdyby w ogóle istniała.

Co pewien czas przytakuję powoli, w zamyśleniu. Sącę piwo, przypominając sobie oburzające kłamstwo, które napisałam obok zadania z trygonometrii dzisiejszego popołudnia.

„Dziewczyna z marmuru nikogo nie potrzebuje”, chociaż tak naprawdę powinnam napisać: „Od tak dawna jestem samotna, że niemal przestałam oddychać”.

# MARSHALL

## Zapaść

Długo sądziłem, że Waverly jest w jakiś sposób lepsza ode mnie. Inteligentniejsza, silniejsza, doskonalsza – jest nadludzką istotą, którą ja nigdy nie będę. Teraz myślę, że może jest po prostu inna.

Wcześniej nie wydawało mi się dziwne to, że można biec tak długo, aż skóra zaczyna schodzić ze stóp, ale teraz widzę w tym coś przygnębiającego. Niepokojącego. Być może nie tylko ja nie wiem, co zrobić z uczuciami, które mnie rozwalają.

W szkole jest nieźle. Nie chodzę do Ciotki codziennie, ale co jakiś czas do niej zaglądam. Fajnie mieć takie miejsce, gdzie choć na chwilę świat się zamyka. Lepiej mi tam niż na boisku baseballowym, przynajmniej w listopadzie.

Ciotka nie mówi za wiele, zwykle siedzi i słucha, jak mamroczę coś ze spojrzeniem wlepionym w buty. Najbardziej lubię, gdy ma dużo papierkowej roboty, bo wtedy pozwala mi po prostu być i nie muszę nawet nic gadać.

W piątek siedzę na krześle odchylnym do tyłu, nogami opieram się o kaloryfer.

– Mój brat przychodzi na obiad.

– Cieszysz się?

Nie wiem, co odpowiedzieć.

Przez cały semestr chciałem, żeby był ze mną podczas tych rodzinnych nasiadówek. Ale teraz, kiedy wreszcie ma przyjść, mam ochotę rozpieprzyć wszystko dookoła. Nikt nie mówi o tym, że przez ostatnie cztery miesiące zachowywał się tak, jak gdyby nasi rodzice nie istnieli. Nie musiał znosić tej całej gry pozorów, awantur i udawania, że nic się nie dzieje. Miał to głęboko gdzieś, a gdy teraz nagle postanowił się zjawić, wszyscy pieją z zachwytem.

Próbowałem o tym porozmawiać z Annie, lecz ona wzruszyła tylko ramionami.

– To zwykły obiad. Nic wielkiego.

– I dlatego mamy twoim zdaniem udawać, że wszystko gra? No tak, zapomniałem, ciebie to nie obchodzi, bo jak tylko zaczyna się rozpierducha, ty zawsze znikasz!

Staliśmy w kuchni. Robiłem sobie śniadanie, a siostra wyjmowała naczynia ze zmywarki. Po moich słowach trzasnęła drzwiczkami szafki tak głośno, że zabrzęczały szklanki.

– Znikam? Myślisz, że gdyby było inaczej, wciąż bym tu siedziała, a nie przeniosła się na drugi koniec tego zasranego kontynentu? Ale tak wygląda nasze życie, Marshall. Nie inaczej. I chyba warto się do tego przyzwyczaić.



Potem znów zajęła się sortowaniem sztućców, a ja utkwilem wzrok w kolorowych opakowaniach płatków śniadaniowych, usiłując zdecydować, czy lepiej zjeść kukurydziane, czy pszenne, jakby odpowiedź na to pytanie w ogóle istniała.

Choćbym starał się ze wszystkich sił, nie potrafię się zachowywać tak jak siostra. Przewraca oczami, mówi im, żeby w końcu przestali, a potem wraca do swojego życia, jak gdyby nigdy nic. A podejścia takiego, jakie ma Justin, nie chcę mieć – nie chcę, żeby wszystko mi zwisało. Pragnę, by coś się zmieniło na lepsze.

Ciotka powtarza mi w kółko: „Twoja rodzina zawsze będzie dla ciebie ważna, ale to nie znaczy, że masz być za nich odpowiedzialny”.

Łatwiej się z tym zgodzić, niż naprawdę w to uwierzyć.

Gdy wychodzę na dwór, zaczyna mżyć. Ollie czeka na mnie obok przystanku, pali i gapi się w niebo.

– Już myślałem, że mnie wystawiłeś – oznajmia, gasząc papierosa i chowając niedopałek do kieszeni.

Nie mówił mi o tym, ale sam zauważyłem, że odkąd próbuję rzucić palenie, stara się nie palić przy mnie, jak gdyby nie chciał mi tego utrudniać.

Chowam ręce w kieszeniach kurtki. W jednej z nich wciąż noszę pomięte zaproszenie od Autumn i zgniecioną jaskrawozieloną ulotkę na temat szkolnego wolontariatu, którą wzięłem z gabinetu Ciotki.

Deszczowe chmury wiszą tak nisko, że prawie ocierają się o nasze głowy. Ollie wlecze się koło mnie z podniesionym kołnierzem i pochyloną głową. Dochodzimy do końca parkingu, kiedy nagle się zatrzymuję.

– Co takiego? – pyta Ollie, mrużąc oczy i patrząc na mnie przez rozmazane nitki mżawki.

Nic nie mówiąc, podaję mu ulotkę.

Przygląda mi się, jakby właśnie dostał ode mnie naładowany pistolet albo jeża. Jakby zupełnie mi odbiło.

– Co to za gówno?

Kartka jest pomięta i trochę zmechacona, a ja może i nie potrafię być taki jak Justin, ale umiem przyglądać się ludziom. Znam swojego najlepszego przyjaciela, nawet jeśli rzadko bywa taki, jaki naprawdę chce być.

Niezależnie od wszystkiego Ollie zawsze był przy mnie, jeżeli tylko mu na to pozwoliłem. Przejmuje się tym, co jest słuszne, a co nie; co jest sprawiedliwe, a co krzywdzące i uważa, że świat powinien się liczyć z uczuciami małej pierwszoklasistki. Jeśli więc przyjęto do programu pieprzoną Maribeth Whitman, to koordynatorki wolontariatu będą wniebowzięte, gdy zobaczą takiego kolesia jak Ollie.

– Przeczytaj – mówię i daruję sobie wstawkę o tym, że w sumie uważam go za najlepszą osobę, jaką

znam.

Przyjaciół przygląda mi się uważnie. Nie swoim zwykłym znudzonym spojrzeniem, ale tak, jak gdyby podejrzewał jakiś żart.

– Mówisz serio? Nie, nie możesz mówić serio.

Przechylałam głowę na bok, obejmuję ramieniem plecy Olliego i przyciągam go do siebie.

– Przecież to cały ty. I ktoś właśnie stworzył pracę dla ciebie.

Na obiad, na który ma przyjść Justin, mama robi smażonego kurczaka, jego ulubioną potrawę. Nie wygląda to najlepiej. Kawałki surowego mięsa, z którego coś się sący, strzelający tłuszcz, bulgoczący sos.

Mama przez cały czas mówi do siebie, czyta na głos przepisy, wyraża nadzieję, że na drogach nie ma zbyt dużego ruchu i że jezdnie nie są oblodzone. Na dworze pada deszcz.

Obiad z Justinem to przeżycie dość znajome, a jednocześnie okropne. Brat rządzi się przy stole, jakby nigdy od niego nie odszedł. Opiera się łokciami o blat, wymachuje rękami, a wszyscy pozostali wydają się z tego powodu przeszczęśliwi, nie pamiętając, że przez ostatnie cztery miesiące nas unikał. Jak gdyby należała mu się wdzięczność za to, że znów raczy jeść razem z nami.

– Co nowego w warsztacie? – pyta tata, podczas gdy mama podaje nam talerze. Nagłe zainteresowanie ojca tajnikami sztuki wymiany oleju od razu wzbudza moją czujność. – Zdaje się, że macie pełne ręce roboty.

Mama uśmiecha się słabo i nakłada mi kolejną łyżkę kukurydzy, podczas gdy zastanawiam się nad tym, co to znaczy być w czyichś ramionach.

„W czyichś ramionach”.

Zanim zjawiała się Waverly, nie zaprzętało to moich myśli. Wiedziałem, jakie to uczucie wetknąć język w czyjeś usta. Przełożyć nogę przez czyjeś udo, przesunąć ręką po biodrze. W czyichś ramionach przestajesz być rozkawałkowany, liczysz się cały ty. Będąc w czyichś ramionach, jesteś schowany, bezpieczny. Cała reszta... nie jest.

– Chcę tylko powiedzieć – ton głosu ojca sugeruje, że chce on powiedzieć o wiele więcej, niż mówią jego słowa – że może powinieneś zmienić pracę, skoro ta obecna tak bardzo cię pochłania, że nie masz czasu na nic więcej.

Justin patrzy na ojca ponad stołem. W następnej chwili pochyła się i wali ręką w obrus.

– Myślisz, że będziesz mną sterował? Możesz sobie darować. Nie jestem na waszym garnuszku i to, jak żyję, głównie cię powinno obchodzić.

– Nie zgrywaj przede mną ważniaka, smarkaczu.

Obydwaj poczerwienieli, obydwoj wyglądają tak, jak gdyby za chwilę mieli wybuchnąć. Justin zawsze był krzykliwy i gwałtowny, teraz jednak trzyma obie dłonie płasko na stole i zamyka oczy. Może liczy do dziesięciu.

Tata zbiera się w sobie, szykuje się do ataku.

– To do ciebie tak cholernie podobne! Taki niby jesteś zajęty! A może zacząłeś się uważać za kogoś lepszego i nie chcesz marnować na nas swojego cennego czasu? Może byliśmy ci potrzebni, jak wyleciałeś ze szkoły i trzeba było wybulić cztery tysiące na jakiś pieprzony kurs zawodowy, którego nigdy nie skończyłeś?

Nawet mnie zabolął ten cios poniżej pasa. Wszyscy wiemy, że Justinowi nigdy nie było łatwo w szkole, nawet w podstawówce. Ale może by sobie poradził, może znalazłby jakąś dziedzinę, w której mógłby do czegoś dojść, gdyby ojciec bez przerwy go nie dołował.

– Nie będę tu siedział i tego wysłuchiwał – mówi Justin beznamiętnym, strasznym tonem.

Jestem pewny, że za chwilę zacznie się to, co zwykle. Mój brat to młodsza wersja naszego ojca, dlatego spodziewam się awantury, wrednych komentarzy, okrutnych docinków, może nawet potłuczonych talerzy.

Jednak Justin bez słowa odsuwa krzesło. Patrzy na mnie, potem na Annie – posyła nam twarde, pełne wyrzutu spojrzenie, jakbyśmy go w jakiś sposób zawiedli. Potem znika w kuchni i wychodzi z domu.

Słyszymy, jak odpala silnik, z piskiem opon wyjeżdża na drogę, po czym zapada cisza. Na dworze wciąż pada.

Siedzę i czekam, aż wszyscy odetchną z ulgą, jakbyśmy w końcu mogli przestać udawać zgraną rodzinę i wrócić do naszego zwykłego popieprzonego życia. Ja skończę papkę kukurydzianą, odniosę talerz do zlewu, pójdę na imprezę do Autumn i się nawalę. A może nie – może sobie daruję. Skoczę za to do Olliego. Weźmiemy samochód, będziemy jeździć, słuchać radia i uważać, żeby nie zejść na żaden temat typu: dlaczego przestałem go do siebie zapraszać.

Annie zamknie się w pokoju albo pójdzie do kogoś, żeby się pouczyć. Zaszyjemy się w kryjówkach, które sobie stworzyliśmy, i zostawimy tych dwoje w domu, żeby mogli powrzeszczeć, popłakać i pokrzywdzić się do woli.

Siedzę ze spuszczoną głową, czekając aż ktoś pierwszy skomentuje to, co się stało. Problem jednak w tym, że nikt nie może tego zrobić. Gdybyśmy przyznali na głos, że zajście z Justinem miało miejsce, stałoby się ono prawdziwe. Musielibyśmy wtedy przyznać się też do tego, że cały ten syf, cały ten hałas, jest nam potrzebny. Bo bez niego nic nam by już nie zostało.

Siedzimy zajęci widelcami i udawaniem, że jedzenie nie rośnie nam w ustach. Przesuwam po talerzu maziowate ziemniaki zapiekane z sosem i szepczę: „flaszka”.

Tata, który właśnie sięga po bułeczkę, zamiera z ręką w powietrzu.

– Co mówisz, Marshall?

– Nic – odpowiadam, próbując przybrać tak samo obojętną minę, jaka maluje się na jego twarzy. „Waverly, oplatająca mnie, jak gdyby chciała zasłonić mnie własnym ciałem”.

Siedząca na drugim końcu stołu mama ze skupieniem je sałatkę. Oczy ma czerwone i lśniące od wilgoci, ale dalej udaje, że wszystko jest w jak najlepszym porządku.

Tata cały czas wpatruje się we mnie, jakby przejrzał mnie na wylot, zerwał ze mnie wszystkie wierzchnie warstwy, aż do kości. Na jego twarzy pojawia się wyraz obrzydzenia i już wiem, dokąd to wszystko zmierza – do sceny, w której ojciec mówi mi, jak bardzo jestem żalony. Bo Justin przynajmniej potrafi się postawić, zachować jak mężczyzna.

– To uspokój się i nie bełkocz, bo jeszcze pomyślę, że naprawdę masz coś do powiedzenia.

Wiem, że mnie prowokuje, chce za wszelką cenę doprowadzić do wybuchu, który nie nastąpił parę minut wcześniej. Jediną rzeczą, która może teraz sprawić, że się przymknie, jest kłótnia.

– Proszę. – Coś mnie ściska w gardle, ale głos mi nie drży. – Proszę, przestań.

– Słucham?

Odkładam widelec i podnoszę głowę.

– Przestań zachowywać się tak, jakbyśmy robili ci krzywdę. Przestań udawać, że kiedykolwiek byłeś zadowolony choćby z jednego z nas. Przestań nam wmawiać, że Annie musi poświęcić swoje życiowe plany dla dobra naszej cholernej rodziny, że jest nam to winna. Bo prawda wygląda zupełnie inaczej.

Ojciec wpatruje się we mnie surowo, ale nie odpowiada. Jest mistrzem szyderstwa i wrzasku, za to o swoich uczuciach nie miał nigdy zbyt wiele do powiedzenia.

– Nikt z nas nie szuka tutaj na siłę problemów, w przeciwieństwie do ciebie – ciągnę. – My też staramy się jakoś przez to wszystko przejść. Dlatego przestań się zachowywać, jakbyśmy byli bandą upierdliwców, bo to nie przez nas masz spięrzzone życie.

Kręci mi się w głowie. Zasapałem się, chociaż nawet się nie poruszyłem i wciąż siedzę przy stole. Zamiast krwi w żyłach krąży mi kwas, parzy mnie od środka. Rąk prawie nie czuję.

Ojciec świdruje mnie przeraźliwym, zimnym spojrzeniem, w którym czai się uraza.

– Nie zasługujesz na to – dodaję. – To wszystko jest do dupy i niesprawiedliwe. Ale my też niczym sobie na to nie zasłużyliśmy.

Przez chwilę myślę, że mnie uderzy, chociaż nie podniósł na mnie ręki, odkąd trochę podrosłem. Twarz ma czerwoną. Pięści zaciśnięte.

– Dlatego w końcu przestań! – mówię i tym razem nie dodaję: „proszę”.

Mama opiera głowę na rękach i wybucha płaczem, jak gdyby właśnie ktoś umarł, ale ja dalej się nie

ruszam.

Nagle ogarnia mnie straszne przecucie, że powiedziałem coś, o czym każdy z nas w skrytości ducha myślał. Że ja, Annie, mama, a nawet Justin jakieś pięć albo dziesięć lat temu staliśmy się jedną drużyną. Być może byliśmy nią od samego początku i od samego początku mieliśmy tylko jednego przeciwnika – ojca.

– Daj mi kluczyki do samochodu – mówię do siostry, nie patrząc na nią.

Mama podnosi oczy, twarz ma mokrą od łez.

– Dokąd jedziesz?

Kręcę głową, cały czas patrzę na tatę.

– Przed siebie.

Nie mówię, że jest mi przykro ani że strasznie się czuję i że tak naprawdę wcale nie chciałem tego wszystkiego powiedzieć – nie ma sensu szukać teraz zgody. To on ustalił zasady gry.

Albo on, albo my – na tym polega ta rozgrywka. Szczerze mówiąc, chyba wiedziałem o tym od dawna. Nie zostawił nam wyboru.

# WAVERLY

To przyjęcie chyba nigdy się nie skończy.

Po rozwlekłej dyskusji z Maribeth na temat tego, czy rzeczywiście wszystko zepsułam, nie pozwalając, żeby CJ skradł mi serce, wymykam się na korytarz, a stamtąd do rażąco niemodnie urządzonej jadalni. Kręcę się między ludźmi, chodzę z kąta w kąt. Teraz tutaj mieszkam.

Autumn przeszła samą siebie, jeśli chodzi o dekoracje – ręcznie robione plakaty filmowe, kolorowe światełka – ale pod pozostałymi względami impreza przypomina każdą inną domówkę.

Piwo jest wodniste i gorzkie. Na dodatek zimne, ale właściwie to dobrze, ponieważ ja również czuję się zmrożona. Opróżniam pierwszą puszkę szybko, jak za karę, po czym idę po drugą.

Czas się dłuży. Staje się wartością względną, co zakrawa na percepcyjny cud. Nigdy nie przepadałam za otępieniem i zniechęceniem, które przynosi zamroczenie alkoholowe, ale podoba mi się to, że minuty mijają skokowo. Zastanawiam się, czy Einstein miał okazję dostrzec to zjawisko, czy kiedykolwiek przeprowadził wyliczenia albo postawił roboczą hipotezę dotyczącą temporalnych właściwości piwa.

Autumn ulokowała się w kuchni, siedzi na blacie obok kuchenki, macha nogami i przez zakręconą słomkę pije coś odrażająco niebieskiego i niemożliwego do zidentyfikowania.

– Waverly! – woła z przesadnym zachwytem. Ma na sobie sukienkę ozdobioną koralikami i wojskowe buty. Wygląda pięknie. Jej teatralna radość jest na wpół ironiczna, na wpół prawdziwa, ponieważ wiem, że autentycznie cieszy się na mój widok. – Mam dla ciebie prezent!

Poziom alkoholu w mojej krwi jest na tyle wysoki, że czuję, iż dam radę przez to przejść. Będę flirtować i udawać nieśmiałość, będę tryskać optymizmem i radością tak samo jak pozostali. Opieram się o kuchenkę i unoszę puszkę z piwem.

– Czy to kucyk?

Autumn kręci głową, bawi się słomką i uśmiecha się szelmowsko. Zęby ma zabarwione na bladoniebieski kolor.

– Coś lepszego. Chodź, dla bezpieczeństwa zostawiłam go u mamy w gabinecie.

Prowadzi mnie przez dom, dudniąc czarnymi butami niczym bogini. Bierze mnie za rękę, jej dłoń idealnie pasuje do mojej. W ten sposób Autumn daje mi do zrozumienia, że jesteśmy razem, cokolwiek by się nie działo. Ciągnie mnie za sobą przez korytarze, ale do ostatniego, małego i ciemnego, wpuszcza mnie samą – jak w horrorze.

Wlokę się w stronę gabinetu, zastanawiając się, co takiego mogła dla mnie przyszykować. Domowej roboty zderzacz hadronów w komplecie z odręcznie wyciętymi elektromagnesami i posypanymi

brokatem sprężarkami. Wygarbowaną skórę jakiejś mrocznej, przedwiecznej istoty. Mogłabym ją włożyć jak kostium i wtedy mój wygląd zewnętrzny korespondowałby z tym, co noszę wewnątrz.

Pchnięciem otwieram drzwi i się zatrzymuję.

Pod dziwnym współczesnym malowidłem stoi Marshall Holt ze swoją kudłatą czupryną, obwisłą bluzą i nieskomplikowanym pragnieniem. Ciepło rozchodzi się po całym moim ciele.

– Waverly – mówi. Tylko tyle. Trzy przejmujące sylaby.

Serce bije mi szybciej, jeszcze zanim zdołam zrobić choćby krok. Marshall wydaje się nieskazitelnie czysty i bezbronny na tle krzykliwych kolorów i nakładających się kształtów, trzech kół i dużego rozmazanego trójkąta. To jest prezent od Autumn. Nie wymarzyłabym sobie lepszego.

– Co tutaj robisz?

W odpowiedzi Marshall podaje mi ciężką kartkę. Widnieje na niej rysunek Audrey Hepburn, za którą rozciąga się panorama fantastycznego miasta porośniętego pnączami w stylu art déco – takimi samymi, jak te, które Autumn wymalowała mi markerem na ręce. Na środku, tuż pod ozdobioną naszyjnikami z pereł szyją aktorki, biegnie napis: „Wesołych Świąt, Marshall”.

– Niedobrze – szepczę i gdy tylko dociera do mnie, co powiedziałam, wiem, że to prawda.

Marshall przygląda mi się nieufnie, strasznie niepewnie.

– Co jest niedobrze?

Przez chwilę mogę jedynie kręcić głową. Prawda wygląda tak, że jestem niebezpieczna. Jestem okrutną sumą wszystkich swoich cech, które sprawiły, że nie potrafiłam rozmawiać z nim łagodnie pod trybunami ani pójść za nim na boisko baseballowe.

Za każdym razem, gdy staram się przekroczyć siebie, ponoszę porażkę. Ograniczona ilość tego, co mogę dać, nie wystarczy. Zawiodę, okażę się niedostateczna. A gdy zniszczę ostatnie ślady czegoś, co było między nami? Nie zostanie mi już nic.

– To. To jest niedobre. Nie możemy tutaj być, Marshall. Ja nie mogę.

– Hej, wybacz – mówi, wyjmując mi z ręki zaproszenie i chowając je do kieszeni. – Po prostu... miałem słaby wieczór. Nie pokazujesz się od jakiegoś czasu i bardzo chciałem cię zobaczyć.

– I co dalej? – pytam, zachowując stoicki spokój. Tak bardzo pragnę go dotknąć, że boję się poruszyć, aby się nie rozpaść.

– Nie wiem – odpowiada. – Pojedziemy gdzieś, będziemy robić, na co masz ochotę. Pójdziemy do kawiarni, do parku, do cholernego sklepu spożywczego. Zawiozę cię na Fullerton Heights i popatrzymy na buldożery albo opuszczone magazyny, zabiorę cię do kina na twoje ukochane masakry piłą mechaniczną.

Odwracam oczy i ściskam puszkę tak mocno, że robią się w niej wgłębienia. Serce znów bije mi

wolniej.

– Nie zrobisz tego.

Marshall kręci głową.

– Nie mów mi, co zrobię, a czego nie. Wiesz, że zrobię, co zechcesz.

– Chciałam powiedzieć, że nie powinienes. Nie znosisz takich filmów. Nie powinienes przymuszać się do czegoś, czego nie znosisz, tylko dlatego, że mnie się to podoba.

Głos mam głuchy. Smutny. Chyba nigdy w życiu nie było mi tak smutno. Zamiast tego od lat wprawiam się w oschłości i ukrywaniu gniewu. Zawsze pragnęłam spotkać na swojej drodze Tralisa Bickle'a, Tylera Durdena, kogoś, kto chciałby patrzeć, jak płonie cały świat. Marshall jest całkowitym przeciwieństwem psychopaty. Nie jesteśmy stworzeni do życia w symbiozie.

Wzrusza ramionami.

– I tak zabrałbym cię do kina.

Jego cierpienie jest niemal namacalne, widoczne na twarzy, słyszalne w głosie, większe niż zwykle. Potrzebuje mieć mnie naprawdę, uczciwie. Nieodwołalnie. Alkohol szumi w każdym naczyniu włosowatym mojego ciała. Na skórze czuję mrowienie.

Jakimś sposobem niepostrzeżenie stoimy bliżej siebie. Wyczuwam między nami napięcie magnetyczne. Zbyt wyraźne, zbyt intymne. Mimo wszystko nieodparte. Moja dłoń niczym samodzielnie działająca jednostka unosi się i zatrzymuje milimetr od jego policzka.

I właśnie wtedy, gdy niemal go dotykam, ktoś za mną wciąga powietrze do płuc, wydając przy tym ostry, pełen niedowierzania dźwięk.

Zamieramy, jak gdyby orbita, po której zbliżaliśmy się do siebie, zaczęła się nagle rozpadać, a moja dłoń gwałtownie zmienia kierunek.

W progu stoi Kendry.

– No, nie – mówi. Bluzka zsuwa się jej z jednego ramienia, a błyszczący o podejrzenie naturalnym odcieniu oprócz ust pokrywa również kawałek policzka. – Nie.

Marshall i ja odskakujemy od siebie jak rażeni prądem, Kendry zaś składa się w pół i zakrywa usta dłonią tak, że widzę jedynie jej triumfujące, wlepione we mnie spojrzenie.

– Waverly, Jezu! Wiedziałałam, że rzadko chodzisz na imprezy, ale niech to szlag.

Na korytarzu zaczynają gromadzić się ludzie, tłoczą się w drzwiach, zwabieni zamieszaniem.

Kendry piszczy teraz z zachwyty:

– Wystarczą dwa piwa i rzucisz się na każdego!

Wszyscy stoją bez ruchu, wstrzymują oddech – przyglądają się nam i łakomie czekają na ciąg dalszy. Ich spojrzenia ścinają mi krew w żyłach.



W następnej chwili niczym kolejny slajd podczas wykładu zjawia się Autumn, chwyta Kendry za ramiona i odwraca ją do wyjścia.

– Ciekawe, ile ty wypłaś, laluniu, że teraz tak bełkoczesz?

Z ust Kendry wydobywa się cienki pisk, następnie czknięcie i jej śmiech nagle się urywa.

Obok stoi Marshall z wyciągniętą ręką, jak gdyby chciał mnie ująć za dłoń, ale ja nawet nie drgnę.

Moje kruche bariery obronne puszczają, nie są w stanie wytrzymać naporu świata zewnętrznego.

Autumn ściska Kendry za ramię, czekając na mój ruch, ale to Maribeth przerywa ciszę.

– Waverly.

Mówi beznamiętnie. Nie dodaje żadnych zbędnych słów. Nie musi.

Wystarczy to jedno, aby mi przypomnieć, że stoimy przed kilkunastoosobową widownią stłoczoną w wejściu. Na myśl, że wszyscy mnie obserwują, otwiera się we mnie przepaść strachu. Zobaczą nie moją skórę, nie moje nagie ciało, ale moją prawdziwą postać, pierwotny kształt.

To nie powinno się stać, nie na oczach Maribeth, nie kosztem chłopaka o cichym głosie i miękkim sercu. Miłość to iskrzący, rozedrgany przyływ energii, który przyćmiewa wszystko, i teraz, gdy czuję jej dreszcze w całym ciele, rozpaczliwie pragnę znaleźć się gdzieś, gdzie nikt nie będzie na mnie patrzył. Gdzieś, gdzie poczuje się bezpiecznie.

– Odwieź mnie do domu – mówię, wyciągając rękę do Maribeth.

Słowa brzmią nie tak, jak powinny. Już w chwili, gdy je wymawiam, mam wrażenie, że mój dom, mój pokój wcale nie są schronieniem, którego szukam. Jest nim Marshall, ale gdybym go teraz wybrała, oznaczałoby to rezygnację... ze wszystkiego. Z jednolitego wizerunku, który sobie zbudowałam, ze wszystkich małych, głupich konwenansów, z jakich składa się moje życie. Oznaczałoby przyznanie się do słabości, do potrzeb i pragnień.

Równałoby się to również rezygnacji z siebie, a przede wszystkim z Maribeth. W jej starannie poukładanym świecie nie ma miejsca na Waverly, która chce być czymś więcej niż maszyną.

Maribeth niezgrabnie sięga po moją rękę, przyciąga mnie do siebie. Dłoń ma ciepłą i spoconą. Mosiężny kluczyk na łańcuszku, symbol jej miłosnych aspiracji, zniknął już dawno temu. Przyjaciółka nie zerka nawet na Marshalla.

– Waverly, właśnie zaczęłam grać w karty. Chodź, zagrasz z nami. Poza tym jesteśmy zdecydowanie za bardzo wstawione, żeby gdziekolwiek jechać.

Przeprowadzam szybką kontrolę, żeby stwierdzić, czy mój obecny stan rzeczywiście jest tak alarmujący. Nadal pamiętam podstawowe wzory chemiczne oraz wzór na obliczanie odległości. Potrafię wymienić po kolei wszystkich prezydentów, odmienić czasownik *destruire*<sup>1</sup>, przeprowadzić analizę trzeciego monologu Hamleta. „Tak to rozważa czyni nas tchórzami”<sup>2</sup>. Serce wali mi tak zaciekle, że

czuję się niemal sparaliżowana.

Tym razem milczenie przerywa Autumn, przysuwając się do mnie z godnością góry lodowej.

– Co z tobą? Zachowujesz się jak opętana. Masz udar czy coś, bo nie wiem, czy wzywać karetkę?

Marshall patrzy na nią, kręci głową.

– Wszystko w porządku – mówi, a napięcie, które pobrzmiwa w jego głosie, chwytą mnie za gardło.

Stoimy bezładnie rozrzućeni po całym gabinecie, Maribeth nie spuszcza ze mnie spojrzenia. Jej usta wykrzywają się w starannie wypracowanym grymasie. Nieodłącznym. Wyszarpuję rękę z jej uścisku i ruszam do drzwi, przepychając się przez tłum, który niezbyt chętnie się przede mną rozstępuje. Wypadam z pokoju całkowicie oszołomiona, napędzana krążącą w moich żyłach adrenaliną.

Marshall dopada mnie w przedsionku, gdzie szamoczę się z płaszczem.

– Dokąd idziesz?

– Do domu.

– Podwiozę cię.

Jakaś część mnie skacze z radości na myśl o tym, że znów mogłabym zostać z nim sam na sam w ciemnościach. Jednak uczucie to natychmiast zagłusza panika, która zatacza coraz szersze kręgi w moim umyśle. „Nie mogę, nie mogę, nie mogę”. W końcu doczekałam się chwili, w której stwierdzę, że coś przerasta moje możliwości.

Chwytam torebkę, rzucam pustą puszkę po piwie na ławkę i ruszam do drzwi.

– Nie możesz iść do domu na piechotę. – Zza pleców dobiega mnie głos Marshalla, niski i spokojny.

– Nadwerężysz stopy. Pozwól, żebym cię odwiózł.

Odwracam się gwałtownie, niemal zrzucając wieszak, i staram się odzyskać panowanie nad sobą.

– Nie mów mi, co mam robić.

Patrzy na mnie z nieprzyzwoitą życzliwością.

– Wyjdź na dwór, ja znajdę kurtkę. Będę za dwie minuty.

Stoję na szczycie podjazdu przed domem Autumn. Mogłabym zacząć iść przed siebie. Mogłabym ruszyć w swoją stronę, ale wiem, że Marshall dogoni mnie przy najbliższej przecznicy. Zatrzyma się, powie: „wsiadaj”, a ja go posłucham, ponieważ będzie miał rację.

Jednak nawet trzymanie się żelaznej logiki nie wystarczy, żeby odwołać stan najwyższej gotowości bojowej. Syreny alarmowe zostały włączone, wyją w rytm migających w mojej głowie świateł ostrzegawczych. Nastąpiło przebicie kadłuba. Wszystkie zbędne sektory zostały odcięte. Strasznie trudno kogoś kochać, jeśli trzeba to robić jawnie. W chwili, gdy wydobędzie się swoje uczucia na światło

dziennie, zaczynają się one utleniać.

Gdy minutę później przychodzi Marshall ze spuszczoną głową i rękami w kieszeniach, nadal stoję przy krawężniku.

Prowadzi mnie do samochodu usianego plamkami rdzy, otwiera drzwi od strony pasażera, a ja wsiadam. Wnętrze jest nędzne, pachnie dymem, spalinami i Marshalllem. Ciężko siada za kierownicą i przekręca kluczyk. Silnik charczy i kaszle, zanim zaczyna równo pracować.

– Tak nie może być – oznajmia Marshall.

Opieram się o szybę, mam wrażenie, że jestem pijana – na odrętwiałych wargach czuję mrowienie, za oczami ucisk. Reszta mojego ciała jest nieruchoma i sztywna.

Marshall bierze oddech, po czym ciągnie:

– Mówię poważnie, Waverly. Nie mogę tak dalej. Chcę czegoś, co będzie prawdziwym życiem.

– Masz prawdziwe życie.

– Nie, mam ciebie i kupę syfu dookoła.

To niebezpieczne, gdy znaczy się dla kogoś tak wiele. Jeśli staniesz się miarą, którą ktoś przykłada do wszystkiego, co się dzieje w jego życiu, jesteś skazany na to, że prędzej czy później zawiedziesz.

– Każdego ranka budzę się sam – ciągnie.

– Ja też.

Marshall mówi dalej, jak gdyby mnie nie słyszał.

– Budzę się i nie mam już tego wszystkiego, co miałem.

Przytakuję, nie odrywając czoła od szyby.

– Nie – mamrocze. – Nie mów mi, że ty też. Codziennie w szkole widzę, jak odpływasz w miejsce, do którego ja nigdy nie będę miał dostępu. Ty nic nie tracisz. Wracasz do swojej rzeczywistości i mnie tam nie ma.

Zamykam oczy i myślę o wszystkim, co mam. O ocenach, lekcjach, klubach, wynikach, zajęciach – o tym, co jest wiele warte na papierze, co stanowi przepustkę do lepszego życia, świetlanej przyszłości. Są to rzeczy obliczalne, wymierne, wartościowe, ale nie są moje. To zbiór osiągnięć, które mają udowodnić, że jestem dobra, zdolna, jednak w rzeczywistości świadczą jedynie o tym, iż nie jestem nieudacznikiem, nie jestem niepełnosprawna intelektualnie. A nie można przecież określać zjawisk i ludzi przez to, czym nie są.

Myślałam, że wystarczy, jeśli znów zostaniemy sami pod osłoną nocy, znów znajdziemy się na bezpiecznym terytorium o rozmytych granicach i wtedy wszystko będzie dobrze. Nie można jednak uciec przed rzeczywistością – w moich żyłach krąży paliwo do silnika odrzutowego, zamiast serca mam tłoki. Nawet w zaciszu jego samochodu pozostają nieosiągalna.

– Nie musisz się tak bardzo wysilać, żeby mnie kochać – mówię, a moje słowa brzmią oschle.

Profesjonalnie. – Będzie w porządku, jeśli dasz sobie spokój.

– Niech to szlag, możesz w końcu przestać się zachowywać tak, jakbyś była jakaś inna, kaleka czy coś? Nic ci nie jest.

Ostatnie stwierdzenie jest na tyle nedorzeczne, że parskam śmiechem – krótkim mechanicznym chichotem. Nie ma pojęcia, o czym mówi.

– Nic ci nie jest – powtarza. – Jasne, czasami ci odbija, ale do cholery! Nie tylko tobie!

Dojeżdżamy do kolejnego skrzyżowania w chwili, gdy światła zmieniają się na czerwone. Marshall odchyła się do tyłu, głowa opada mu na zagłówek. Przyciska palce do powiek.

– Znasz mnie, Waverly. Wiesz o mnie różne rzeczy, różne nefajne rzeczy. Myślisz, że mi z tym łatwo? Jesteś chyba jedyną osobą, która zobaczyła mnie tak naprawdę, i rozpieprza mnie myśl, że może nie okazałem się wystarczająco dobry.

Nie potrafię znaleźć słów, żeby wytłumaczyć mu, jak bardzo się myli. Nie ma słów, którymi mogłabym określić jego istotę, powiedzieć, jak absolutnie wystarcza mi to, jaki jest. Różnica między tym, co myślę, a tym, co mogłoby paść z moich ust, jeszcze nigdy nie była tak druzgocąca.

– Dlaczego mi po prostu nie powiesz, że nie jestem dla ciebie wystarczająco dobry?

– Przestań.

Obraca się do mnie i po raz pierwszy tego wieczoru w jego głosie pobrzmiwa gniew.

– Nie. Chcę usłyszeć, jak to mówisz, a wtedy dam sobie spokój i już. Zniknę, odsunę się od ciebie. Ale chcę, żebyś powiedziała mi to prosto w twarz.

Szarpię brzeg płaszcza, spoglądam na pustą ulicę i wilgotny, lśniący chodnik.

– Potrafię żyć bez ciebie – dodaje. – Robię to, odkąd się urodziłem.

Głos ma beznamiętny. Jego ton sprawia, że boli mnie skóra. Milczę. Kiedy światła się zmieniają, rusza, nie rozglądając się.

W świetle latarni mokra jezdnia znika pod kołami w oszalałym tempie, suniemy po niej jak po lśniącej tafli jeziora.

Marshall z trudem połyka ślinę, jak gdyby w gardle utkwilo mu coś uzbrojonego w kolce.

– Przy tobie wszystko jest lepsze, ale nie będę się wieszał, jeśli nie czujesz tego co ja. Mam tego dość – mówi cicho, monotennie. Naprawdę wydaje się zmęczony.

Na zewnątrz w mglistym powietrzu unoszą się cząsteczki wody zbyt drobne jak na krople deszczu. Jesteśmy niecałe cztery ulice od mojego domu, od życia, które przestało być zadowalające chociażby w dostatecznym stopniu. Nie wiem, jak poprosić o to, czego pragnę. Nie wiem, jak pozwolić sobie na pragnienie czegokolwiek.

Marshall nie ma głęboko wbudowanego poczucia wstydu, które powstrzymałoby go przed wyrażaniem potrzeb.

Zatrzymuje się przy chodniku i nie gasi silnika.

– Chcę, żebyś oddała mi zapalniczkę.

– Dobrze. Poczekaj chwilę. Mam ją w pokoju.

Gdy wracam, samochód nadal pracuje na jałowym biegu, a Marshall przygląda się schludnej, eleganckiej dzielnicy, w której mieszkam.

Rzucam zapalniczkę na siedzenie pasażera. W świetle lampki jarzącej się nad lusterkiem lśniąca na czerwono zapalniczka wydaje się mała i zwykła. Tania.

– Czy to znaczy, że ze sobą zrywamy?

– Nie. – Marshall obraca się i posyła mi przeciągłe, trudne do odczytania spojrzenie. Wydaje się zimne, obojętne, odrzucające. – Żeby ze sobą zerwać, najpierw trzeba być choć przez chwilę razem.

\*

Nie mogę spać.

To nic nowego.

Noce są długie i monotonne, występują z brzegów i zlewają się z dniem. Weekend mija niczym zły sen.

Nadchodzi poniedziałek, w którym podnoszę punktualność do rangi sztuki. Na każdą lekcję, na każde zajęcia i na każde spotkanie zjawiam się dokładnie o wyznaczonym czasie.

Potem wtorek. Wtorek niech idzie się pieprzyć.

„Razem”. Słowo żarzy się przed moimi oczami niczym neon, chociaż jeszcze przed miesiącem nie rozumiałam jego znaczenia.

Marshall, który zawsze na mnie czeka, zawsze z zapartym tchem, i ja, która tak zaciekle tego bronie, ponieważ to moje. Tylko moje.

Teraz nie ma już nic.

W środę podczas dyżuru w gabinecie pedagoga idę do toalety w zachodnim skrzydle, żeby poczytać sekrety i może choć na chwilę zająć myśli cudzymi problemami. Dawno mnie nie było pod ścianą wyznań. Dawno przestało mnie interesować, co słyhać u innych ludzi.

Konserwator pomalował ścianę.

Prędzej czy później musiało to nastąpić, ale nigdy wcześniej nie zastanawiałam się nad tym, że sekrety w końcu znikną. I nie wpadło mi do głowy, że może się to stać w chwili, kiedy ich potrzebuję.

Ściana jest teraz bielsza od trzech pozostałych. Gdy stoję bardzo blisko niej, wydaje mi się, że spod

świeżej warstwy farby przenikają blade zarysy zamalowanych zwierzeń.

Czy mam w ogóle jakieś prawo do udzielania mądrych rad?

W czwartek wieczorem przebijam sobie uszy.

Sterylizuję igłę za pomocą zapalniczki i bawełnianego wacika nasączonego spirytusem salicylowym.

Za pierwszym razem znieczulam płatek ucha kostką lodu, którą trzymam na skórze tak długo, aż staje się ona gumowata i jak gdyby nie moja. Z początku czuję opór, ale zaraz potem igła wchodzi gładko.

Oczy dziewczyny w lusterku wypełniają się łzami, jednak wyraz jej twarzy się nie zmienia.

Przy drugim uchu nie zawracam sobie głowy lodem. Moje odbicie wpatruje się we mnie uważnie.

Twarz dziewczyny czerwienieje, potem znów blednie.

Siedzę na werandzie w piżamie w króliki, z kapą narzuconą na plecy niczym peleryna, i oglądam wschód słońca.

---

<sup>1</sup> *Destruir* (hiszp.) – niszczyć.

<sup>2</sup> W. Szekspir, *Hamlet*, tłum. J. Paszkowski, Kraków 2004, s. 71.

## Zawód

Chce mi się wymiotować.

Na początku myślałem, że to nic takiego, że przejdzie za dzień, potem – że za dwa. Ale nie przeszło.

Tata snuje się po domu jak upiór. Nie patrzymy na siebie. Udajemy, że nie było żadnej awantury przy obiedzie.

Trudno mi nazwać to, czego chcę. W tamten wieczór – w tamten paskudny wieczór u Autumn – Waverly była tak blisko, że mogłem jej dotknąć, ale teraz zniknęła i nie jestem nawet pewny, czy coś między nami w ogóle istniało. Mam jednorazową zapalniczkę i pamiętam, jak to jest, kiedy ktoś widzi, jaki jestem w środku popaprany, i nie przeszkadza mu to. Chcę wiedzieć, czy nie zmyśliłem tego wszystkiego.

Autumn znajduje mnie przy boisku baseballowym, siedzę na betonowym murku za ławką rezerwowych. Powinienem być na hiszpańskim, ale mam takie zaległości, że właściwie nie ma sensu przychodzić na lekcje. Co zmieni jeden dzień?

Autumn wyciera buty o skraj chodnika jak przed wejściem do domu, potem siada obok mnie.

– Hej – mówi, jakby nigdy nic, jak gdybym zawsze przesiadywał na boisku zamiast na lekcjach, a ona zawsze siadała obok mnie.

Wiatr jest suchy i przeraźliwie zimny. Przenika mnie do szpiku kości, ale to dobrze, bo kiedy tak cholernie marznę, nie muszę czuć niczego innego.

Autumn sadowi się na murku, zdejmuje rękawiczki z jednym palcem i wkłada rękę do kieszeni mojej kurtki. Grzebie w niej chwilę, po czym wydaje okrzyk triumfu, wydając paczkę papierosów.

Rzuciłem palenie jeszcze przed balem, ale wciąż noszę papierosy w kurtce. Uspokaja mnie to, dobrze wiedzieć, że gdyby coś zaczęło się naprawdę pieprzyć, mam je przy sobie. Mogę je w każdej chwili wyciągnąć, przyłożyć do zapalniczki i przypomnieć sobie, jak się oddycha.

– Poczęstuj się – mówię, opierając łokcie o kolana.

Autumn odpala papierosa i zaciąga się parę razy, ale zaraz potem krzywi się i gasi go o murek.

– Boże, plugastwo. Ile mają lat?

Patrzę na ubitą ziemię i mam ochotę zabić Autumn za to, że ze wszystkich słów, jakie zna, użyła właśnie tego – powiedziała „plugastwo”, bo wiedziała, że tak właśnie wyraziłaby się Waverly.

Autumn chowa papierosa z powrotem do paczki i znów zaczyna grzebać mi w kieszeni, bez pytania, jakbyśmy wciąż byli najlepszymi przyjaciółmi.

Odchyła się do tyłu, opiera nogi o poręcz, przegląda mój portfel. Przelicza pieniądze – siedem dolarów – odgina rogi karty stałego klienta szkolnego bufetu, przejeżdża kciukiem po moim prawie jazdy.

– Niezła fotka. „Cześć, mam na imię Marshall, nie ćpam od dwóch dni”.

– Słuchaj, potrzebujesz czegoś ode mnie? Jeśli nie, to daruj sobie, nie mam ochoty na wygłupy.

Autumn nie zwraca na mnie uwagi i zaczyna układać rzeczy, które wyjęła mi z kieszeni, w krzywym rzędku: miętowa guma do żucia, alka-seltzer, czerwona plastikowa zapalniczka, zgnieciony rysunek z zaproszeniem na przyjęcie. Plugawe, wiekowe papierosy.

Mam ochotę jednym ruchem ręki zburzyć ten dziwny porządek, zanim Autumn wypatrzy w nim jakiś wzór. Wydaje mi się, że jeśli będzie się na niego patrzeć jeszcze chwilę dłużej, dowie się o mnie wszystkiego. Wygląda rysunek, dotyka zapalniczki i starego paragonu ze stacji benzynowej, chyba sprzed miesiąca. Najdłużej wpatruje się w alka-seltzer.

– Chcesz o czymś porozmawiać, Holt? Może o życiowych decyzjach, które podejmujesz? Albo o uczuciach?

Patrzę w słońce i zamykam oczy. Boli mnie gardło, ale wiem, że nie rozplączę się przy niej. Nie potrafię nawet płakać w samotności.

– Autumn, idź sobie.

– Hej, wszystko w porządku? – Jej głos brzmi jakoś inaczej, a gdy znów otwieram oczy, na jej twarzy widzę zaniepokojoną minę, przez którą wydaje się zupełnie niepodobna do siebie. Chociaż w sumie trudno stwierdzić, co jest do niej podobne, a co nie. Tak naprawdę nikt nie wie, jak wygląda Autumn.

– Nie – odpowiadam. Dziwnie się czuję, mówiąc to na głos i wiedząc, że obok mnie jest ktoś, kogo wydaje się obchodzić moja odpowiedź. Odchylam głowę do tyłu, wpatruję się w niebo. – Nienawidzę szkoły. Nienawidzę domu, brata i tego, co wyprawiają rodzice. Nienawidzę listopada i tego, jak ludzie się traktują w tym zasranym miejscu. Tęsknię za Waverly.

Gdy to mówię, czuję ból w piersiach. Nigdy nie wypowiedziałem jej imienia na głos przy nikim... tylko przy niej samej, przy Waverly.

– Wiem – odpowiada Autumn. Nachyla się do mnie, nasze ramiona się stykają, bardzo delikatnie. Nie mówi nic więcej.

Porywisty wiatr gna po boisku kłęby kurzu i żwiru.

Zapatrzyłem się w twarz, szyję i włosy Waverly, właściwie odkąd po raz pierwszy ją zobaczyłem, ale o wiele trudniej poradzić sobie z tym, co odkryłem w jej wnętrzu. Tego, co najlepsze, nie widać na pierwszy rzut oka. Nie widać tego, że zawsze potrafi rozpoznać symbole literackie w opowiadaniach, ani



jej prawdziwego uśmiechu, który pojawia się, gdy rozmawia o strategiach, wynalazkach i ideach. Oziębłość to tylko pozór, jej prawdziwy uśmiech i głos są bardzo ciepłe. Najbardziej tęsknię za tym, co niewidoczne.

– Była o wiele lepsza od normalnego życia – mówię. – Dzięki niej ja stałem się lepszy.

Autumn zerka na mnie i kręci głową.

– Nie. To tak nie działa. Nie stajemy się jacyś tam dzięki komuś. Ty po prostu taki jesteś, czy ci się to podoba, czy nie.

Nie wydaje się rozgniewana, bardziej przypomina osobę, która stara się coś cierpliwie tłumaczyć.

– Niech ci będzie – odpowiadam, patrząc na puste boisko. – Niech więc będzie, że przy niej miałem możliwość być lepszy.

# WAVERLY

Dochodzi trzecia w nocy, gdy drzwi do pokoju dziennego otwierają się ze skrzypnięciem. Mama na paluszkach zeszła po schodach i teraz stoi nade mną.

– Waverly – mówi. – Musimy porozmawiać.

Podnoszę głowę znad notatek analizujących amerykańską powieść gotycką, siedlisko upiornych motywów i makabrycznej metaforyki. Nie znoszę tych dwóch słów: „musimy porozmawiać”, ale wypowiedziane rzeczowym głosem mamy brzmią one inaczej niż w ustach Maribeth.

– Chciałabyś mi o czymś powiedzieć? – zwraca się do mnie swoim terapeutycznym tonem, zarezerwowanym dla ludzi, których wybebesza, żeby móc pogrzebać w ich pokaleczonych wnętrznościach.

– Nie – odpowiadam i zamykam książkę, pozostawiając palec między kartkami, które właśnie studiowałam.

– Zauważyłam, że ostatnio nie biegasz.

– Nie mogę. – Przygryzam policzek, żeby powstrzymać łzy, które chcą się wyrwać spod kontroli. – Nadwreżyłam stopy i muszę zrobić sobie przerwę. – Przytaczane przeze mnie słowa Molly doskonale pomniejszają i bagatelizują problem.

– Och – mruczy mama. Jej usta niemal niedostrzegalnie się zwężają, a ona sama dodaje: – To musi być trudne.

Przytakuje, zatapiając zęby głębiej w policzku. To dziwne, że częste przebywanie z Marshalllem sprawiło, iż trudniej mi zachowywać się normalnie. Trudniej mi kłamać.

Mama przygląda mi się uważnie.

– Chyba niewiele ostatnio sypiasz – zgaduje.

Wzrok ma przenikliwy. Niezależnie od tego, jak postrzelona i oderwana od rzeczywistości czasami się wydaje, trudno przed nią cokolwiek ukryć. Na szczęście dla mnie jestem specjalistką od pozorowania.

– Sypiam. – Nie odrywam wzroku od beładnie porzrzuconych notatek i karteczek samoprzylepnych. – Po prostu mam teraz dużo pracy w szkole i jestem bardzo zajęta.

– Jeśli nie czujesz się swobodnie, rozmawiając ze mną na ten temat, mogę umówić cię z Garym.

Gary. Jej kolega ze studiów, miłośnik kiepskich dowcipów o psychiatrach i jeszcze bardziej niesmacznych krawatów. Parę razy był u nas na obiedzie. Paznokcie ma zawsze nieskazitelnie czyste.

– Nie trzeba, wszystko jest dobrze – mówię.

Przez chwilę mama kołysze się w miejscu, jak gdyby rozważała, czy obrócić się na pięcie i wrócić do

łóżka. Jednak w następnym momencie owija się szczerzej szlafrokiem, siada obok mnie i omiata spojrzeniem rozłożone wokół mnie kartki. Scena ta wydaje mi się nagle absurdalna, komiczna i zastanawiająca. Mam wrażenie, że patrzę na nas z góry i na pewno to, co widzę, nie przypomina duetów towarzyska matka – otwarta córka znanych z programów telewizyjnych.

Przez minutę lub dwie siedzę razem z nią, rozkoszując się przyjemnym szumem. Jej milczenie ma częstotliwość, która sprawia, że moje milczenie i moje ekstrawagancje wydają się zupełnie w porządku. Mama wie więcej na temat neurobiologii i stosuje znacznie mniej kryteriów na określenie tego, co „normalne”, niż jakakolwiek inna znana mi osoba.

– Mamo – mówię, wpatrując się w oznaczoną kolorami tabelkę wypełnioną mniej lub bardziej zbędnymi informacjami na temat powieści gotyckiej. – Kochasz tatę, prawda?

Ze strategii, którą ludzie obierają, żeby wymigać się od odpowiedzi, można wiele wywnioskować. Niewygodne pytania zbywa się na różne sposoby: „Jak w ogóle możesz o to pytać?”, lub: „Ależ Waverly – cóż za okropna insynuacja!”.

Mama natomiast się zamyśla. Wydaje się nadzwyczaj poważna, siedzi obok mnie po turecku, ręce trzyma na kolanach.

– Tak – odpowiada w końcu. – Tak, bardzo.

Znam ich historię, wiem, że poznali się na Wydziale Psychologii Uniwersytetu Stanforda i że tata przychodził co tydzień do biblioteki, żeby spotkać mamę – zgodziła się z nim umówić dopiero po czterech miesiącach, ponieważ była akurat w samym środku pracy nad projektem dotyczącym zachowań żywieniowych szczurów, a poza tym miała niewzruszoną pewność, że nigdy nie zainteresuje się człowiekiem, który nosi czerwono-brunatne mokasyny i słucha muzyki Nowej Fali.

Obydwoje jednak byli inteligentni, cięci i ironiczni – i tylko takie osoby potrafili na dłuższą metę tolerować w swoim towarzystwie. Zawsze rozumiałam, dlaczego się pokochali, ale mechanizm tego zjawiska pozostawał dla mnie tajemnicą.

– Jak? – pytam aż nazbyt świadoma tego, że nie jest to kwestia, którą poruszyłaby większość ludzi.

Mama odwraca spojrzenie, dotyka włosów. Wydaje się, że nagle odmłodziła.

– On mnie rozumie: wie, jaka jestem. Gdy zatracam się w pracy i odlatuję, ściąga mnie na ziemię. Jeśli staję się czasem zbyt dosłowna albo skupiona na celu, nie bierze tego do siebie. Umiem go kochać bardziej niż ktokolwiek inny, ponieważ nigdy nie każe mi zgadywać, czego potrzebuje. I ponieważ pozwala mi na to.

– Akceptuje cię taką, jaka jesteś?

– Och. – Macha ręką ze zdumieniem. – Och, nie. Dobrze się przy mnie bawi, ale nie traktuje żadnej mojej cechy ani żadnego stanu jako właściwości stałej, niezmiennej. To byłoby z jego strony błędem. Nie zawsze potrafię zrobić koło siebie miejsce dla drugiej osoby, wiesz? To dobre, gdy planuje się

badania albo rozwiązuje jakiś problem, ale w związku bywa frustrujące.

Zjawisko, które opisuje, jest jednym z najtrudniejszych do pojęcia – to, jaki chcesz być, zmienia się w zależności od tego, kto jest obok ciebie, ale mimo wszystko nadal cały czas jesteś przecież sobą. Po raz pierwszy w życiu poczułam, co to znaczy za kimś szaleć – na mój własny sposób. Myślałam, że dzięki Marshallowi stałam się inną osobą, ale może zawsze miałam w sobie te wszystkie cechy i tylko czekałam na szansę, żeby wydobyć je z siebie.

– Bardzo ważne jest to, że lubimy być ze sobą – ciągnie mama, nadal bawiąc się włosami i nie patrząc na mnie. – Ale dochodzi do tego jeszcze wiele innych czynników. Starasz się być dobrym partnerem i zawodzisz. Potem znów się starasz. Po jakimś czasie uczycie się nawzajem, jak chcecie być traktowani.

I w tym problem. Większość swojego nastoletniego życia poświęciłam nauce naśladownictwa, imitacji, interpretacji. Wiem, w jaki sposób odczytać rozmaite zmiany tonu i gesty, ale nigdy tak naprawdę nie miałam pojęcia, jak traktować ludzi. Wszyscy wokoło zachowują się tak, jak gdyby to była najłatwiejsza rzecz pod słońcem – naturalna zdolność, której nie trzeba w żaden sposób ćwiczyć. Do tej pory moją wybawicielką zawsze była Maribeth szturchająca mnie w bok, podpowiadająca słowa niczym sufler, podsuwająca odpowiednie miny i gesty. Być może mam wybitny talent do podtekstów i opracowywania strategii, ale nigdy nie potrafiłam poruszać się w splątanej labiryncie uczuć, jeśli nie stał obok mnie ktoś, kto wskazywałby mi kierunek.

\*

Kawa to jedyna rzecz, która trzyma mnie przy życiu. Wstrząsa moim ciałem z siłą tysięcy woltów, czuję się jak potworny eksperyment rodem z Hollywoodu, zrodzony na stole operacyjnym, napędzany szaleństwem i energią elektryczną. Gdyby ktoś przyłożył zapalnik do mojego karku, zobaczyłby błysk i zostałyby po mnie garstka czarnego prochu oraz zapach siarki.

Widuję za dużo ludzi, ich twarze wydają się zlewać. Codziennie wypatruję Marshalla, ale jego uparcie nie ma.

Na każdej przerwie stoję przy szafce. Gdyby Marshall znalazł się choćby na dwie sekundy w tym samym pomieszczeniu, dowiedziałabym się, co się dzieje. Gdyby na mnie spojrzął, wiedziałabym, że to wszystko minie. Gdyby tylko na mnie spojrzął, poczułabym się lepiej.

Po raz pierwszy od tygodnia wlokę się do toalety w zachodnim skrzydle. Ściana nadal jest czysta, biała od sufitu po podłogę, jeśli nie liczyć jednego zdania napisanego czarnym flamastrem i dziesięciocentymetrowymi literami.

*Waverly Camdenmar zadowala się białym śmieciem.*

Zasady ściany zwierzeń zostały złamane. Wpisy zawsze były szczere i anonimowe. Miały służyć ujawnianiu skrytych myśli i uczuć, a nie personalnym atakom. Stoję przed rzędem umywalek, patrzę na litery i czuję, jak targają mną emocje. Zdumienie, zmieszanie. Upokorzenie związane z tym, że wszyscy mogą przeczytać moje imię.

W porównaniu z przekłuciem sobie ucha igłą to nic wielkiego, ale mimo wszystko słowa zdają się wibrować w mojej czaszce. Rażą wzrok, wypełniają klatkę piersiową radioaktywnym pyłem. Anonimowa autorka, pisząc „śmieć”, miała na myśli Marshalla.

\*

Nikczemność i podłość napisu na ścianie przechodzi moje pojęcie. Zawsze myślałam, że nikt nie zna mnie na tyle dobrze, aby móc mnie znienawidzić.

– Co się dzieje? – pyta Maribeth po drugiej lekcji. Wyciąga rękę i gładzi moje włosy. – Jesteś cała nastroszona. – Po chwili opuszcza dłoń i lekko marszczy brwi. – Chyba nie byłaś jeszcze w toalecie w zachodnim skrzydle?

Wzruszam ramionami, przybieram nieprzenikniony wyraz twarzy.

– W porządku, widziałam.

– I co o tym myślisz?

– Że komuś zdecydowanie brakuje wyobraźni.

Jednak to nie do końca prawda i cały czas męczy mnie natrętna myśl, której nie potrafię się pozbyć.

To dziwne. Myślałam, że ludzie, którzy odnosili się oschle do Maribeth albo byli w stosunku do niej ostrożni czy też unikali jej, robili to wszystko z zazdrości. Ich niechęć była ceną, jaką przyjaciółka musiała zapłacić za prowadzoną przez siebie politykę, ale gdy już znalazła swoje powołanie, można jej było pozazdrościć tylu rzeczy – promiennej, niewymuszonej urody, pewności siebie. Niezachwianego przekonania, że wszystko, czego zapragnie, jest nie tylko osiągalne, ale w jakiś sposób jej należne. Zawsze uważała, że przysługuje jej wszystko, co jest w stanie osiąść.

Nie jestem jednak naiwna. Od dawna wiem, iż Maribeth rozsmakowała się we władzy nie tylko formalnej. Dziesiątki dziewczyn straciły przez nią przyjaciółki, chłopaków albo ukochane ponadprogramowe zajęcia. Dziesiątki dziewcząt wypisały się przez nią z klubów albo przestały nosić ulubione bluzki. Każda z nich może do tej pory żywić urazę i pragnąć odwetu.

Loring, Mallory Silva, która w zeszłym roku organizowała zbiórkę żywności, czy pozostałe ofiary Maribeth. Wszystkie te, które zostały zranione, ale dalej są zbyt zastraszone, żeby wystąpić otwarcie przeciwko swojej gnębicielce. Każdej z nich mogę się wydawać idealnym celem zastępczym. Autorką graffiti może być co druga moja znajoma.

Prawdę mówiąc, gdy myślę o dziewczynach ze szkoły, przychodzi mi do głowy tylko jedna, która

na pewno by tego nie zrobiła.

Gdyby Autumn chciała mnie skrzywdzić, rzuciłaby się na mnie niczym Dżyngis-chan. Zniszczyłaby mnie, ale w otwartej walce. Nie wypisywałaby pogardliwych słów chyłkiem na ścianach toalety. Rozprawiłaby się ze mną publicznie.

Nie rozmawiałam z nią od przyjęcia w jej domu. Nie natknęłam się na nią, nie widziałam jej. Odkąd nie trenuję, przestałyśmy się spotykać w szatni. Co pewien czas przelatuje mi przez głowę myśl, że gdybym zamieniła z nią choć parę słów, może byłaby w stanie mi pomóc, ale ona wypadła z mojej orbity. Nigdzie jej nie ma.

Mam wrażenie, że tracąc Marshalla, straciłam również ją.

Gdy wreszcie udaje mi się ją wytropić, stoi przy szafkach ostatniej klasy w skrzydle humanistycznym i rozmawia z dwoma ewidentnie artystycznymi duszami o twarzach bogato zdobionych kolczykami. Chwytam ją za rękę i bezceremonialnie wciągam do pracowni ceramicznej.

– Dlaczego wsadziłaś mnie do pokoju z Marshalllem Holtem? – pytam, usiłując przybrać obojętny ton, jak gdyby w ostatnich dniach mój świat nie rozpadł się na kawałki.

Autumn opiera się o jeden z regałów i leniwym gestem nawija na palec kosmyk włosów.

– Chcesz powiedzieć, że jego dyskretny urok i wyszukane maniery nie działają na ciebie? Daruj sobie, i tak nie uwierzę w tę bzdurę.

Coś boleśnie ściska mnie w gardle, wraca wspomnienie uczucia, które mnie ogarnęło, gdy weszłam w zasadzkę zastawioną w gabinecie mamy Autumn i nagle, bez uprzedzenia, miałam się zachować po ludzku. Oczy dziewczyny błędzą po mojej twarzy, ja zaś mam wrażenie, że jestem jedynie czymś wymysłem.

– Dlaczego mnie unikasz? – odzywam się w końcu.

Autumn krzyżuje ręce na piersiach.

– Ponieważ doprowadzasz mnie do szału, wiesz? W życiu nie spotkałam tak cholernie denerwującej osoby.

Powinno zrobić mi się smutniej. Powinnam chcieć wszystko naprawić, odwołać. Ja jednak mogę myśleć tylko o tym, że przyjemnie było przez te parę tygodni mieć kogoś u swojego boku.

– Co cię tak zdenerwowało?

– Nie udawaj idiotki. Nie pasuje to do ciebie.

– Chcę tylko, żebyś mi powiedziała, co takiego ci zrobiłam.

Autumn przygląda mi się z rękami splecionymi na czubku głowy i włosami odgarniętymi z czoła. Brwi ma zmarszczone, usta otwarte.

– Mnie? – mówi po chwili i opuszcza ramiona. – Co mnie zrobiłaś? Waverly, mnie to akurat gówn

zrobiłaś.

Pochyla się nad jednym z długich stołów i rozpiną torbę. Wyjmuje z niej szkicownik, który z trzaskiem kładzie przede mną.

– Słuchaj, nie jestem ślepa, wiesz?

Gdy przesuwa blok w moją stronę, biorę go i otwieram. Pierwszych kilka kartek przedstawia mnie w szarej bluzce, którą lubiłam nosić w zeszłym roku. Znajduję się na pierwszym planie, pochylam się nad ławką, twarz mam lekko odwróconą. Za mną siedzi Marshall Holt z brodą opartą o pięść i spojrzeniem utkwionym we mnie. Najciemniejsze na szkicu są jego oczy.

Kolejny rysunek ukazuje nas w holu z szafkami, stoimy plecami do siebie i pieczołowicie, ewidentnie udajemy, że jesteśmy pochłonięci swoimi sprawami. Między nami biegnie ledwie widoczna, cienka linia, nić łącząca nas, mimo że jesteśmy od siebie odwróceny.

Dalej znajdują się szkice klas, ławek, korytarzy, mnie i Marshalla. Niezależnie od tego, które z nas widnieje na pierwszym planie, on zawsze na mnie patrzy.

Autumn w swoich rysunkach nie ograniczyła się jednak do nas.

Na jednej z kartek widzę przegrane dzieciaki z marginesu, tłoczą się razem na przystanku, opierają się o siebie, tworzą krąg, z którego wykluczają szkołę i cały świat.

Dalej jest Kendry w szatni, patrzy na siebie w dużym, sięgającym podłogi lustrze. Stoi tyłem, ale w odbiciu widać połowę jej twarzy. Udręczonej.

Hunter i CJ we władczych pozach lustrują korytarz pełen młodszych dziewcząt. CJ śmieje się z zakłopotaniem i rezygnacją, podczas gdy Hunter spogląda pożądliwie na przechodzącą drugoklasistkę. Lubieżny wyraz malujący się na jego twarzy jest tylko połowicznie żartobliwy.

W końcu Maribeth. Maribeth promienna, Maribeth apodyktyczna i z lekko zatroskaną miną, którą przybiera, gdy nie pamięta, gdzie zostawiła kluczyki. Maribeth w ciepłej czapce, z zaróżowionymi policzkami wracająca z zimnego dworu. Oddana z najdrobniejszymi szczegółami.

Autumn uchwyciła nas wszystkich, zebrała do kolekcji niczym motyle, przyszpiliła, skatalogowała. Nie oszczędziła nikogo.

Gdy podnoszę głowę znad szkicownika, patrzy na mnie.

Ręce ma skrzyżowane, usta zaciśnięte w dziwnym wyrazie, jak gdyby gryzła od środka wargę.

– Marshall Holt to najlepszy facet, jakiego znam.

Przytakuje, czekając, czy ta uwaga ma nas do czegoś doprowadzić, czy może jest jedynie stwierdzeniem faktu.

– Przez cały jeden tragiczny rok był w tobie zakochany.

Słowo „zakochany” odbija się od moich piersi z głuchym jękiem. Nagle przypominają mi się

filmowe sceny, w których rozpustni wychowawcy kolonijni zakradają się do stodoły albo pogrążonego w ciemnościach wiejskiego domu i znienacka zostają trafieni widłami w samo serce. Nieszczęsne ofiary niemoralnych pragnień. Bolesny grymas twarzy, chwiejny krok. Powinni wiedzieć, że w takim wypadku najlepiej byłoby po prostu upaść.

Autumn podnosi ręce, jak gdyby chciała ująć moją twarz w dłonie, ale w ostatniej chwili się wycofuje. Kręci głową, na jej twarz wypływa ponury, bezradny uśmiech.

– Potem wszystko się zmieniło. Zaczęłaś się za nim oglądać.

Zatem stało się.

Moje uczucia nie są tajemnicą, głęboko ukrytym i niedostępnym nikomu skarbem. Świadomość, że pomimo wszystkich moich starań tak łatwo mnie przejrzeć, jest straszna.

– Chciałam tylko dać mu coś dobrego – ciągnie Autumn. – Chciałam, żebyś była tego warta.

Z jej słów płynie smutny wniosek: okazało się, że nie byłam go warta. I nadal nie jestem.

Zapewne większości ludzi to wszystko wydałoby się zaskakujące. Ja jednak nie mam już siły dziwić się cemukolwiek. Poza tym istnienie ukrytych motywów stojących za zachowaniem Autumn w ostatnich tygodniach wydaje się bardziej prawdopodobne niż ich brak. Prawdę mówiąc, sama postąpiłabym podobnie. Przeprowadziłabym gruntowne badanie, rozpocząłabym delikatne zabiegi. Najwięcej satysfakcji w każdym przedsięwzięciu przynosi szukanie i odnajdywanie rozwiązań dla danego problemu.

– Czyli cały ten czas, który spędziłaś ze mną, to był zwykły test? Dodatkowe zajęcia, zebrania, obsesja na punkcie Maribeth?

Po raz pierwszy Autumn patrzy na mnie z całkowitym zmieszaniem.

– To ty masz obsesję na punkcie Maribeth. Ja tylko chciałam cię poznać. Zainteresować się tym, co lubisz robić.

Nie bardzo wiem, co powiedzieć. Autumn potrafi wyczuć dysfunkcję na kilometr.

– Posłuchaj, wiem, że to nie mój interes. Zresztą mało mnie obchodzi, czyj to interes. Co się stało między wami?

Obejmuję się ramionami i odwracam wzrok. Odpowiedź jest zbyt skomplikowana, żeby ująć ją w dwóch słowach, muszę więc to uprościć.

– Powiedział, że jestem jedyną dobrą rzeczą w jego życiu.

Nieodłącznym elementem mówienia prawdy jest to, że ludzie zwykle reagują na nią inaczej, niżbyśmy chcieli. Jeśli Autumn w tym momencie uśmiechnie się, zacznie piszczeć albo powie mi, jak bardzo to wszystko romantyczne, zacznę wrzeszczeć. Zacznę demolować szkołę.

Ona jednak marszczy brwi w zamyśleniu.



– Tak, to... duże obciążenie, prawda?

Przytakuje i w duchu rozważam jej słowa. Obciąża mnie to koniecznością bycia łagodną, dostępną. Bycia wszystkim, czego on chce albo potrzebuje w każdej chwili. Wolałam trzymać go na dystans, dopóki mogłam. Dopuszczałam do takiej bliskości, jaką potrafiłam znieść. Dawałam wszystko i nic. Byłam bezpieczna. I zrobiłam to, co od początku zamierzałam.

– Czy to przez Maribeth i przez nich wszystkich? – Głos Autumn staje się delikatniejszy. – Przez twoich znajomych?

– Nie – mówię zduszonym szeptem, a jednocześnie wracam myślami do wycieczki przyrodniczej, na którą pojechaliśmy w siódmej klasie.

Zebrałam siedem gąsienic, włożyłam je do słoika. Chciałam karmić je liśćmi trojeści i patrzeć, jak się zmieniają. Maribeth zrobiła z tego aferę, wyśmiała mnie, nazwała dzieciuchem. Potem Kyle Norton wpadł na pomysł, że fajnie będzie pozabijać je wszystkie.

– Przez to, co robią ludzie, kiedy wiedzą, czego chcesz. – Mam wrażenie, że nie dam rady powiedzieć tyle prawdy na głos, zamykam więc oczy. – Patrzą na ciebie, podsuwają ci to, a potem zabierają, jeśli tylko im się uda. To tak, jak gdyby widzieli wszystko, co masz w środku.

– Jezu, ale z ciebie cykor.

Stwierdza to bezceremonialnie, lekceważąco, a ja tylko wzruszam ramionami.

– Mówię poważnie. To normalne, wiesz? Pragnąć różnych rzeczy to coś zupełnie normalnego. Dzięki temu ludzie są interesujący.

Autumn przysiadła na skraju jednego ze stołów.

– Nie lubiłam cię – oznajmia, jak gdyby czynienie takich wyznań drugiej osobie było czymś absolutnie naturalnym. – Myślałam, że Marshall znalazł sobie kolejną rzecz, którą może się dołować.

Czuję się cienka jak papier, niemal przezroczysta, wykończona.

– Co się zmieniło?

– W pierwszym tygodniu moich treningów wszystkie psioczyły na to, że musimy tyle biegać dla nabrania formy, tylko ty nic nie mówiłaś. Biegałyśmy w tych głupich sztafetach długodystansowych i kiedy twoja zmiana wpadła na punkt kontrolny, byłaś daleko przed wszystkimi. Ta twoja mina... Byłaś wtedy szczęśliwa – opowiada. – Nigdy wcześniej nie widziałam cię takiej.

Przygląda mi się, delikatnie przygryza wargę, jak gdyby mi współczuła. Dostaję szalu na myśl, że Autumn mi współczuje.

– Nie chciałam cię skrzywdzić – dodaje. – Nie wiedziałam, że macie już z Marshalllem jakieś tajemnice. Waverly, naprawdę o tym nie wiedziałam.

Mówi prawdę, ale nie ma to większego znaczenia. Stało się. Marshall nie spogląda w moim kierunku

od wielu dni.

– Nie wiem, co robić – szepczę.

Autumn wydaje się niezwykle promienna i ciepła na tle szarych ścian pracowni. Milczy. W następnej chwili wyciąga rękę, łapie mnie za ramię i przyciąga do siebie. Unieruchamia mój nadgarstek w zgięciu swojego łokcia, po czym zdejmuję nakrętkę z jednego ze swoich markerów. Przez ułamek sekundy jestem przerażona i pragnę się wyszarpnąć. Jestem pewna, że napisze coś wstrętnego, naznaczy mnie swoją pogardą jak piętnem.

Ona jednak podwija mi rękaw i gryzmoli numer na wewnętrznej stronie ręki. Robi to zamasyście, a ostatnią cyfrę umieszcza na samym środku dłoni niczym klejnot.

Nie dodaje imienia ani żadnego innego odnośnika, nic więcej też nie mówi. Wrzuca marker do torby, zgarnia swoje książki i wychodzi.

\*

Piszę do Marshalla wiadomość i po półgodzinie, gdy nie otrzymuję odpowiedzi, wysyłam kolejną. Telefon leży na łóżku, siedzę i wpatruję się w niego.

Gdy przeciągająca się w nieskończoność cisza zaczyna doprowadzać mnie do szaleństwa, wstrzymuję oddech i wybieram numer. Dochodzi pierwsza w nocy i w zasadzie nie dziwię się, że nikt nie odbiera. Telefon wydaje się dzwonić przez całą wieczność, zanim przełącza się na pocztę głosową.

Nie zaprzętał sobie głowy tym, żeby nagrać własne powitanie, siedzę więc i słucham mechanicznego głosu recytującego numer, z którym się połączyłam. Przez chwilę zastanawiam się, czy Autumn nie podała mi zmyślonemu numeru, ale to jest raczej nieprawdopodobne. Ktoś obcy zapewne zlitowałby się nad ponurą serią esemesów i odpisałby choćby po to, żeby poinformować o pomyłce.

Po sygnale biorę głęboki wdech. Serce łomocze mi w gardle i zamykam oczy, zanim się odezwę.

– Cześć. – Dobry początek, prawda? – To ja. Tak sobie pomyślałam, że zapytam, jak się masz.

Mimo wszystko.

Gula w gardle rośnie.

Rozłączam się, zanim będę miała okazję się przekonać, czy załamie mi się głos.

## Ściana

Dziwnie mieszka się w domu z osobą, na której wyładowało się wszystkie swoje emocje. Dziwnie chodzić po tej samej trzeszczącej podłodze, otwierać drzwi, które ten ktoś również musiał otwierać, oddychać tym samym powietrzem.

Taty nigdzie nie ma. To nie tak, że mnie specjalnie unika. Po prostu nie rozmawiał ze mną, nie patrzył na mnie ani nie znalazł się ze mną w tym samym pokoju od czasu katastrofy przy obiedzie. A może to ja nie uznaję od tamtej pory jego istnienia. Czasami trudno to określić.

Późno wracam do domu, wcześniej kładę się spać. Leżę w łóżku z głową schowaną pod kołdrą i telefonem przy uchu.

Odzywa się głos Waverly, rzeczowy i konkretny. „Cześć”.

Słucham go w kółko. Za każdym razem, gdy mówi „cześć”, mocniej przyciskam telefon, czekam, aż powie wszystko, co chcę usłyszeć.

Tym razem. Tym razem będzie inaczej, wyzna, że tęskni za mną, że pragnie tego – pragnie mnie – nie wijąc się i nie przewracając oczami, nie czekając, aż będę ją o to błagał.

Ostatnie słowo uderza we mnie obuchem. „Mimo wszystko”.

Naciskam „odsłuchaj ponownie” i wszystko zaczyna się od nowa.

Gdy otwieram oczy, jestem prawie pewien, że w ogóle nie spałem. Musiałem jednak trochę się zdrzemnąć, bo przygnieciony do materaca telefon uwiera mnie w głowę, a kołdra leży na podłodze.

Jest rano. Ale bardzo wczesny. Po pokoju rozlewa się słabe, mętne światło, mieszając się powoli z mrokiem nocy, ale to nie ono mnie obudziło. Leżę bez ruchu, przysłuchuję się stłumionym głosom i dźwiękom syntezatora.

Gdy przewracam się na bok, przychodzi mi do głowy wariacka myśl, że to Waverly, że może wróciła i znów wszystko będzie jak dawniej. Ale nawet gdybym nie powiedział jej, że mam już tego dosyć, i gdyby mogła pojawiać się po wschodzie słońca, na pewno nie siedziałyby w salonie, oglądając ściszony telewizor.

Wlokę się do korytarza, staję w drzwiach i mrugając, patrzę na tatę. Jest rozczochrany i wydaje się zmęczony, jak gdyby on też miał za sobą kiepską noc.

Poznaję scenę na ekranie. To mniej więcej połowa filmu *Ściana*, akcja przeniosła się do hotelu,

w którym Pink robi demolkę, rozwała meble, zdziera żaluzje. Krzyczy do jednolitego, czarnego nieba. Tata wpatruje się w telewizor, jak gdyby nie zauważył, że stoję w progu.

– Marshall – odzywa się wreszcie, a głos ma cholernie zmęczony. – Wejdz w końcu.

Wciąż nic nie mówię, ale podchodzę do kanapy i siadam na jej skraju. Garbię się, dłonie wsuwam między kolana. W domu jest lodowato.

– Wiem, że nie jest łatwo – mówi, nie odrywając wzroku od ekranu.

Gapię się w podłogę. Muzyka się zmienia, leci kawałek *Is There Anybody Out There?*, a ja nie lubię tej sceny, w której Pink goli sobie brwi. Za każdym razem, gdy się zacina, robi mi się niedobrze. Tata oddycha bardzo powoli, starannie dobiera słowa, ale ja już wiem, dokąd zmierza. Będzie mi tłumaczył, że życie nie jest dla mięczaków.

– Może – odpowiadam, starając się na niego nie patrzeć.

– Nie jest łatwo – powtarza. – Ani mnie, ani twojej matce, ani siostrze. Pewnie... nie powinienem się spodziewać, że tobie będzie łatwiej.

To, co mówi, robi się nieskładne. Nie mam pojęcia, skąd przyszło mu do głowy, że akurat mnie mogłoby być łatwiej. Siedzę, czekając, aż przejdzie do sedna i zacznie mi doradzać, że najwyższy czas wziąć to wszystko na klatę.

Ale on poprawia się tylko w fotelu i przygląda mi się w szarym świetle poranka.

– Nie chcę, żebyś myślał, że właśnie taki chciałem zostać – stwierdza.

Prawdę mówiąc, nigdy tak nie myślałem. Nigdy nie uważałem, że zrobił choć jedną z tych wszystkich popieprzonych rzeczy celowo, i to jest właśnie najgorsze. Jeśli robi się coś celowo, zawsze można przestać.

– Wierz mi, raczej nie podejrzewam cię o żadne plany albo strategię życiową. – Chociaż nie chcę być wredny, wychodzę na złośliwego dupka.

Ojciec też to zauważa, ponieważ podnosi głowę i patrzy prosto na mnie.

– Nie rób tego.

– Czego mam nie robić?

– Nie bądź taki jak ja – mówi ostro. – Nie bądź jak Justin.

– Dlaczego nie? Tylko tacy radzą sobie w życiu, prawda? – Obejmuję się ramionami i drzę, mimo że wcale tego nie chcę. Myślę o Justinie, który pewnie teraz śpi. Wypiął się na to wszystko, udaje, że tego nie ma. Nabiera sił na kolejny wspaniały dzień dla Kapitana.

– Ponieważ nie jesteś taki – odpowiada tata głuchym głosem. – Nigdy taki nie miałeś być.

Patrzy na mnie łagodnie, jak gdyby mi wybaczał. I to jego spojrzenie – bardziej niż popaprany sposób, w jaki się z nami porozumiewa, albo to, że siedzi w salonie o szóstej nad ranem, zamiast ratować

resztki nieudanego małżeństwa, leżąc w łóżku i przytulając żonę, która niczego innego nie pragnie – sprawia, że mam ochotę tłuc wszystko dookoła.

W pokoju robi się zimniej, w telewizorze pojawia się scena odlotu narkotykowego, rozlegają się dźwięki *Comfortably Numb*, a twarz ojca w blasku ekranu robi się popielata. Wydaje się zmęczony. Wykończony.

Zastanawiam się, dlaczego to my dwaj siedzimy w salonie, marzniemy i w milczeniu oglądamy film, który w zasadzie jest jednym długim teledyskiem na temat tego, jak cholernie trudno być dzieckiem. Jak cholernie trudno mieć uczucia, a zarazem zachowywać się jak mężczyzna.

Pieprzę go za to, że swoim zachowaniem pokazuje mi, jak bardzo jego zdaniem jestem upośledzony. Za to, że za każdym razem, gdy robię to, co uznaję za słuszne, traktuje mnie tak, jak gdybym go zawodził. Jak gdyby to mnie cały czas trzeba było coś wybaczać, bo nie spełniam jego oczekiwań.

Dopiero gdy ojciec, dźwigając się z fotela, opiera się o moje ramię, zaczynam rozumieć. To nie on zarzuca mi te wszystkie rzeczy. To ja je sobie zarzucam. Odkąd pamiętam. On zajmuje się swoim bagnem, a mnie zostawia wybór. Prosi mnie o przebaczenie. Pyta, czy będę umiał mu wybaczyć.

Zastanawiam się, od jak dawna wie, że mam wrodzoną zdolność i potrzebę wybaczenia wszystkim wszystkiego. Zastanawiam się, jaki był, gdy miał tyle lat co ja. Czy czuł podobnie do mnie.

Co minutę muszę sprawdzać otoczenie, żeby się upewnić, czy podłoga nadal znajduje się pode mną, powietrze jest zdatne do oddychania, a moje kończyny są przytwierdzone do tułowia.

Całymi dniami siedzę zagrzebana w nieistniejących notatkach. Wypróbowałam wszystkie świeczki w domu i żadna nie przeniosła mnie do niego.

W toalecie w zachodnim skrzydle graffiti nadal widnieje na ścianie, olbrzymie i oszczercze. Minął ponad tydzień i nadal nikt nie dodał żadnego wyznania. Spektakularne upokorzenie Waverly Camdenmar zniechęca innych do powierzania ścianie swych sekretów.

Na każdej przerwie wyprawiam się do toalety i wpatruję w napis, dopóki nie rozlegnie się dzwonek na kolejną lekcję.

Staram się zabić czas w trakcie okienka między chemią a hiszpańskim i nie liczyć na nic – nie liczyć na to, że dzisiaj Marshall w końcu pojawi się na zajęciach. Szczerze mówiąc, czuję ulgę, gdy się nie zjawia. Tak jest łatwiej.

Gdy na którejś przerwie do toalety wchodzi nienagannie ubrana Maribeth, tradycyjnie przyglądam się graffiti. Przyjaciółka zatrzymuje się tuż za mną, ale nie odzywa się ani słowem. W powietrzu czuję słodki, zadufany w sobie zapach jej perfum.

Wpatrując się w czarne litery na ścianie, nagle doznaję olśnienia, takiego jakiego czasami doświadcza się w snach. Dociera do mnie, że przecież znam ten charakter pisma, poznaję niezgrabną pętlę w literze „y”, sztywne, egzaltowane „W” rozpoczynające moje imię. Znam to pismo od zawsze.

Wiele osób pisze czarnymi markerami, ale tylko jedna uważa, że ma prawo trzymać mnie pod kontrolą, również w kwestii moralności.

– Dziękuję – mówię, nie odwracając się od ściany. – Dziękuję, że chociaż raz mi coś ułatwiłaś.

Maribeth wzdycha krótko i rzeczowo.

– O czym ty mówisz?

– O wyrażeniu otwarcie i publicznie swojego prawdziwego zdania. Zwykle trudniej cię rozgryźć.

– Nie rozumiem – oznajmia Maribeth. – Pleciesz coś bez sensu.

– Ale zasłużyłam sobie na to, więc nie ma sprawy. W końcu tak to z boku wygląda, prawda? Dlatego musiałaś mnie przywołać do porządku. Dla mojego dobra, oczywiście.

– Pieprz się. – W jej głosie pobrzmiwa nieokreślona emocja. Obracam się, żeby stanąć z Maribeth twarzą w twarz.

Dziewczyna, na którą patrzę, jest inna od tej, którą spodziewałam się ujrzeć. Policzki Maribeth mają wściekle czerwony kolor, jednak jeszcze bardziej poraża mnie widok łez, od których lśnią jej oczy. Ostatni raz widziałam, jak płacze, w szóstej klasie, kiedy Peter Evanston zabrał jej zeszyt z małąką na okładce i rzucił na dach.

Maribeth wpatruje się we mnie z wściekłością graniczącą z szaleństwem.

– Mówię poważnie, nie odzywaj się do mnie nawet słowem.

Coś we mnie się topi. Coś syczy, dymi, wżera się w kości.

– Dobrze – odpowiadam chłodno i obojętnie. Jak na Waverly przystało. – Nie ma sprawy. Będziemy się od tej pory porozumiewały napisami na ścianie.

Moje słowa przypominają zgrabne ołowiane pociski, a usta komorę naboju. Tę jadovitą stronę mojego charakteru Maribeth zna lepiej niż ktokolwiek inny. Zawsze najbardziej ją ceniła. Nawet jeśli wyglądałam na grzeczną i opanowaną, kiedy trzeba, potrafię być bezwzględna.

Uśmiecham się, ale inaczej, niż ona mogłaby sobie życzyć. W rzędzie luster mój uśmiech wygląda drapieżnie. Przypominam zranionego rekina – potężnego i żądnego zemsty.

Maribeth nie odwraca spojrzenia. Na jej twarzy maluje się wściekłość, ale dłonie zdradzają panikę, otwierają się i zamykają, jak gdyby rozpaczliwie chciały złapać coś, co nagle im się wymknęło.

– Dla ciebie wszystko zawsze było takie łatwe!

Wybucham rechotem. Z moich piersi wydobywają się głośne, niepohamowane salwy śmiechu. Zasłaniam twarz i wyję na myśl o jej tragikomicznej pomyłce.

– Nie śmieję się ze mnie! – Maribeth nawet nie krzyczy, ale wrzeszczy. Jej skowyt odbija się echem od wykafelkowanych ścian.

Do toalety zaczynają zaglądać inne dziewczyny, które mają przerwę. Gromadzą się wokół nas, wygłodniałe, gotowe dziobać i szarpać pazurami niczym stado bezlitosnych, padlinożernych wron.

Znów odwracam się do ściany i palcem celuję w obraźliwe zdanie.

– O co ci chodzi, Maribeth? Chcę wiedzieć, o co ci chodzi, ponieważ co innego rościć sobie prawo do decydowania o tym, jaka mam być i jak mam się zachowywać, do mówienia mi, że jestem dziwna, nienormalna, upośledzona – bo nawet jeśli dokonam twoim zdaniem złego wyboru, to mój problem, nie twój – a co innego wypisywać wstrętne rzeczy o kimś, kogo nawet nie znasz!

Patrzy na mnie twardo. Wyzywająco.

– A od kiedy takie sprawy mogą obchodzić cyborga? Do tej pory wystarczyło nacisnąć „start” albo „reset”, jeśli system ci się zawiesił. Czasami „dostosuj priorytety” czy coś w tym stylu i było po problemie. Od kiedy potrafisz przywiązać się do czegoś tak bardzo, że mało ci nie odbije, gdy ktoś chce ci to zabrać?

Spojrzenie, które w nią wbijam, mogłoby topić stal.

– Czyli o to chodzi? Czekając, aż w końcu znajdziesz sposób na to, żeby mnie zranić?

Maribeth nie odzywa się, ale milczenie zwykle oznacza zgodę. Maribeth milczy tylko dlatego, żeby nie musieć przyznać mi racji.

– Ja ciebie nie skrzywdziłam – mówię, chociaż mój ton sugeruje, że jestem gotowa naprawić to niedopatrzenie. – Niczego ci nie zabrałam.

Dziewczyna wpatruje się we mnie z tak czystą nienawiścią, że czuję jej żar w podstawie czaszki.

– Myślałam, że jesteś moją przyjaciółką, Waverly! Miałyśmy tyle planów na ten rok, tyle spraw do zrobienia, wszystko miało pójść jak po maśle. Miałyśmy podbić świat, a teraz ty nie chcesz nawet ze mną rozmawiać!

Sugestia, że kiedykolwiek nasze wymiany zdań przypominały prawdziwą rozmowę, jest absurdalna.

– Ty rzeczywiście wierzysz w to, co mówisz, czy tylko udajesz? Gdybym zaczęła rozmowę na ten temat, dyskusja potoczyłaby się dokładnie tak samo jak teraz. Powiedziałabym ci prawdę, a ty przekonywałabyś mnie, jaka jestem głupia, jak bardzo się mylę. Ponieważ musimy być idealne, zgadza się? Idealne wewnątrz, idealne na zewnątrz, inaczej nie ma po co żyć.

Maribeth bierze głęboki, urywany oddech.

– Może mogłam bardziej cię słuchać. Może powinniśmy odpuścić trochę Loring w sprawie balu. Ale dlaczego Autumn?

W jej głosie słychać udrękę. Najwyraźniej zawarcie bliskiej znajomości z osobą pokroju Autumn wydaje się Maribeth największą zdradą, jakiej mogłam się dopuścić.

– Nie mam pojęcia, co ci zrobiłam – ciągnie – ale naprawdę chciałabym się tego dowiedzieć. Chcę wiedzieć, co takiego ci zrobiłam, że mnie znienawidziłaś.

To pytanie w ogóle nie ma sensu. Znienawidziłam ją? Zawdzięczam jej przecież tak wiele. Wszystkiego, co umiem, nauczyłam się od niej. Jak sprawić, żeby ludzie robili, co chcę, bez konieczności mówienia im o tym. Jak przeproszać za rzeczy, których się nie żałuje, jak udzielać wymijających odpowiedzi, mówić łamiącym się głosem, stawiać warunki i kończyć nawet najbardziej oczywiste stwierdzenie faktów znakiem zapytania. Jak chować myśli i uczucia na tyle głęboko, żeby nikt ich nie dostrzegł. Jak uśmiechać się na zawołanie i udawać niewiedzę. Jak dawać do zrozumienia, że jestem niepewna własnych wniosków czy możliwości, podczas gdy prawda wygląda zupełnie inaczej – w całym moim życiu nie było ani jednej chwili, w której nie wiedziałabym, czego dokładnie chcę.

I mimo tego dobrowolnie i całkowicie podporządkowałam się Maribeth, która zrobiła ze mnie animatroniczną kukłę. Przez lata zdawałam się na nią, pozwalałam jej poprawiać moje pozy, mimikę, ton głosu, aż w końcu stałam się płataniną kabelków, układów pamięci i migających światełek.



Teraz patrzę na nią, długo i powoli wypuszczam powietrze z płuc i czuję, że wraz z wydychanym dwutlenkiem węgla ulatuje ze mnie cała złość i frustracja.

– Nic mi nie zrobiłaś, Maribeth. Po prostu byłaś sobą.

Jej szczęka drga. Usta ma wydatne i piękne. Jadowite. Obraca się plecami do ściany, do idealnie czarno-białego zdania.

– Przynajmniej byłam szczerą. Przez cały ten semestr udawałaś, że wciąż się przyjaźnimy. A tak naprawdę w ogóle cię nie obchodzi, że stałyśmy się sobie obce!

Wyciągam rękę.

– Daj mi marker.

Maribeth prycha pogardliwie i odwraca spojrzenie.

– Daj mi ten pieprzony marker.

Jest wyższa ode mnie. Zawsze była okazem zdrowia, uroczą dziewczyną o jasnych, lśniących włosach i zaróżowionych policzkach. Próbuję wyobrazić sobie, jak wyglądam w jej oczach: blada, jeśli nie liczyć sińców pod oczami, z niedawno przebitymi uszami, które wciąż bolą i są zaczerwienione. Czuję nagły przypływ adrenaliny i równie szybko dociera do mnie, że ją przerażam.

Maribeth sięga do torby, nie odrywając ode mnie wzroku. Podaje marker, jak gdyby wręczała mi detonator.

– Proszę – mówi. – Możesz to zamazać. Ale i tak ludzie nieprędko zapomną.

Zdejmuję nakrętkę i podchodzę do ściany. Skreślam słowa: „zadowała” i „białym śmieciem”. Gryzmołę odpowiedź tak szybko i z taką mocą, że końcówka markera spłaszcza się i zaczyna się strzępić. Ściana jest ogromna, niesamowicie wręcz biała, i jedyne słowa, które zostały do powiedzenia, rozsadzają mnie od wewnątrz, zrywają ze mnie pancerze i maski ochronne, wydzierają się na światło dzienne:

*Waverly Camdenmar zadowała zakochała się białym śmieciem. w Marshallu Holcie*

Wychodzę ze szkoły, przemierzam parking. W powietrzu czuć zapach spalin i dymu tłących się w ogniskach suchych liści. Niebo jest tak błękitne, że muszę zmrużyć oczy.

Siadam w zaciszu ławki rezerwowych plecami do ściany, z głową opartą o rękę. Szum wiatru wydaje się jałowy i odległy, przypomina pomruk morza zamknięty w muszli. Koncentruję się na uczuciu gniecienia w gardle – bolesnym ucisku, który nie opuszcza mnie, odkąd przebiłam sobie uszy. Jestem wrażliwa na każdy, najlżejszy choćby dotyk.

Opieram się bokiem o beton i oddycham bardzo wolno, usiłuję zapanować nad rozpaczliwym pragnieniem, żeby się rozsłochać. Obnażyłam się przed wszystkimi i nawet to mnie nie obchodzi.

Dłonie mi drżą i mam wrażenie, że już nigdy nie przestaną, ale co z tego? Gdy nie otaczają mnie

ludzkie spojrzenia, gorączkowe szepty ani macki Maribeth, czy to, że się rozpadam, ma jakiegokolwiek znaczenie?

Straciłam coś prawdziwego, coś, czego potrzebowałam bardziej niż przebiegłej, mściwej przyjaciółki czy jakiegoś głupiego elitarnego klubu. Reszta świata wydaje się mała, nieistotna i bardzo daleka. Powieki robią mi się gorące pod naciskiem dłoni. Garbię się. Wiatr cichnie.

Odpływam w inną rzeczywistość, miękką i głuchą jak wata, rozwiewam się w nicości, gdy nagle z dziwnego, ciepłego otepienia wyrywa mnie jakiś cień.

Podnoszę głowę, mrugam oczami oslepiona jasnym blaskiem słońca. Patrzę na niego, stoi na początku ławki rezerwowych, jego sylwetka odcina się na tle nieba. Próbuje coś powiedzieć, wymówić jego imię, ale wydobywam z siebie jedynie zduszony jęk.

– Waverly – mówi. – Wszystko w porządku?

Biorę głęboki oddech, usiłując znaleźć słowa na określenie stanu, w jakim się znajduję. Jednak w następnej chwili chowam twarz w dłoniach i zaczynam płakać. Zanoszę się szlochom mocniej niż kiedykolwiek w ciągu ostatnich lat. Być może najmocniej w życiu.

Marshall Holt podchodzi bliżej, kuca koło mnie, łagodnie chwyta za nadgarstki.

Naciąga mankiet na dłoń, po czym delikatnie, ostrożnie zaczyna wycierać mi twarz. Makijaż spływa mi po policzkach, zostawiając czarne plamy na jego rękawie, on jednak nie przestaje dotykać mojej twarzy. Patrzy na mnie, jak gdyby widział mnie po raz pierwszy w życiu, jak gdyby nigdy mnie nie nienawidził, nigdy nie czuł się przeze mnie zażenowany, nigdy na mnie nie krzyczał ani nie całował mnie w swoim łóżku.

– Wstań – mówi, ujmując mnie za rękę.

– Nie chcę stąd iść – szepczę okropnie wystraszona, że jeśli się poruszę, ławka rezerwowych zniknie, zniknę ja i on. Znów nas nie będzie.

– Chodź. – Delikatnie, ale stanowczo przyciąga mnie do siebie. – Wstań, żebyśmy mogli cię objąć.

Gdy tylko staję na nogi, przytula mnie. Zamykam oczy. Nigdzie nie czułam się taka prawdziwa jak w jego ramionach.

– Przepraszam – mamroczę w jego koszulę, zaciskając dłonie na nim, na jego ubraniu, na wszystkim, co uda mi się złapać. – Bardzo cię przepraszam.

– Waverly. – Cofa się o krok i pochyla głowę tak, że nasze nosy niemal się stykają. – W porządku. Nie jesteś idealna. Mimo wszystko.

Słowo „idealna” rozbrzmiewa echem w mojej głowie, dźwięczy coraz głośniejszym, chociaż w jego ustach nie słychać oskarżenia.

– Myślisz, że o tym nie wiem?

– Ale nie wiem, czy wiesz, że wcale nie musisz być idealna.

Stoję, zaciskając ręce na jego ramionach, patrzę na niego, na chłopaka, który zna mnie na tyle dobrze, że wie, iż nie może mnie zrozumieć. Który zna mnie lepiej niż ktokolwiek. Zna mnie na tyle dobrze, żeby mnie pokochać.

– Powiedz to jeszcze raz.

Pochyla głowę i szepcze.

– Nie musisz być idealna.

– Czy to się dzieje naprawdę? – Przyciskam usta do jego bluzy. – Czy może znów śnię?

– Nie, to się dzieje naprawdę. Nie czujesz tego?

Jak mam ufać swoim uczuciom po tych wszystkich nocnych spotkaniach w jego domu, w jego łóżku, w różnych obskurnych miejscach?

– Sny to najprawdziwsza część mojego życia. Są autentyczniejsze od rzeczywistości. Ty zawsze jesteś prawdziwy.

– W takim razie jestem w tej chwili prawdziwy również w rzeczywistości.

– Ale jak to możliwe? Dlaczego tu przyszedłeś?

Uśmiecha się nieśmiało i podnosi telefon. Ktoś przesłał mu zdjęcie w kolorze sepii przedstawiające ścianę zwierzeń z pełnym nienawiści napisem autorstwa Maribeth i moim zwięzłym, dojmującym komentarzem.

Na górze widnieje nazwa osoby, która wysłała zdjęcie: „Przerażający Pitbul”. Na dole zaś dołączona do zdjęcia wiadomość: „Wesołych świąt, Holt”.

Przez chwilę nie potrafię zrobić nic, tylko patrzeć. Napisane przeze mnie słowa wydają się niekształtne. Ogarnia mnie dziwne uczucie, podobne do tego, gdy oglądając siebie na nagraniu wideo, uświadamiamy sobie, jak możemy wyglądać w oczach innych ludzi. Zaczynam się śmiać.

Zamykam oczy, opieram czoło o jego ramię i nie przestaję zanosić się śmiechem. Właśnie dlatego Autumn. Ponieważ wierzy w prawdę, sprawiedliwość, złodziejski honor – ponieważ go kocha. Ponieważ była przyjaciółką, za którą tęskniłam, zanim jeszcze uświadomiłam sobie, iż brakuje mi przyjaźni.

Marshall wyciąga mi z ręki telefon i uśmiecha się z zakłopotaniem.

– Kiedy mówiłem, żebyś się zdecydowała co do mnie, nie chodziło mi o to, że musisz to... obwieszczać publicznie. Mówię poważnie, wcale o to nie prosiłem.

– Wiem. – Ja jednak musiałam napisać tę parę słów na ścianie. Tylko w ten sposób mogłam wydobyć je z siebie.

W szkole rozlega się dzwonek, jego brzęczenie unosi się nad parkingiem, oznajmiając koniec szóstej

lekcji. Stoję, drżąc na całym ciele w cieniu wiaty.

Marshall bierze mnie za rękę i ciągnie w stronę schodów.

– Zimno tu. Chodźmy do środka.

W moim dawnym, ujętym w sztywne ramy życiu nigdy nie weszłabym do szkoły ze śladami łez na policzkach, nie ujawniałabym swoich najgłębszych uczuć na korytarzu.

Gdy wchodzimy w tłum, przysuwam się do Marshalla i cały czas myślę o tym, że trzymam go za rękę. Jego palce splatają się z moimi, tworząc skomplikowaną konfigurację równie realną jak ludzie wokół nas, jak miłość, która emanuje z każdej komórki mojego ciała, i jak spojrzenia, które nas odprowadzają.

Zatrzymuję się przy szafce i z ręką położoną na tarczy zamka szyfrowego rozkoszuję się obecnością Marshalla u mojego boku.

Marshall pochyla się, jego oddech cudownie owiewa moje ucho.

– Czy to nie zbyt dziwne dla ciebie? Potrzebujesz chwili, żeby się oswoić?

Pytanie jest śmieszne i przenikliwie jednocześnie. Nikomu innemu nie przyszłoby do głowy, żeby je zadać. Uśmiecham się i kręcę głową, po czym zarzucam mu ręce na szyję i całuję go, jak gdyby tylko to się liczyło.

# PODZIĘKOWANIA

Dziękuję mojej agentce. Krótka rzecz ujmując: Sarah Davies jest cudowna.

Dziękuję mojej redaktorce. Krista Marino cierpliwie i skrupulatnie rozbierała tę historię na części pierwsze i pomagała poskładać ją z powrotem tak, żeby przypominała tę, którą miałam w głowie.

Dziękuję moim profesjonalnym krytykom oraz nadzwyczajnym, nieodzownym przyjaciółkom: Maggie Stiefvater i Tessie Gratton – Maggie za to, że zawsze stawiała po stronie Waverly. Tessie za to, że zawsze stawiała po stronie Marshalla.

Dziękuję Emily Hainsworth, która przeczytała pierwszą wersję i spytała: „Czy Waverly to socjopatka? Jeśli tak chcesz, to w porządku, ale czy naprawdę o to chodzi?”. Na tamtym etapie było to absolutnie uzasadnione pytanie.

Gia, dziękuję za pożyczenie Autumn tanecznych kroków.

Dziękuję Davidowi, który wie, co lubię, czyta, co piszę, uważa, że jestem zabawna, i ogląda ze mną wszystkie horrory.

Syl, rozmawialiśmy o tej książce od dawna i w końcu ją napisałam. Dziękuję za wspólne jedzenie kropek czekoladowych na podłodze w piwnicy pierwszego domu, na werandzie drugiego i w niezliczonych barach kawowych. I za wszystko inne. Dziękuję.

## O AUTORCE

Brenna Yovanoff jest pisarką, której teksty znalazły się na liście bestsellerów „The New York Times”. Do tej pory opublikowała powieści: *The Replacement*, *The Space Between*, *Paper Valentine* oraz *Fiendish*. Obecnie mieszka z mężem w Denver. Więcej informacji na temat Brenny i jej książek można znaleźć na stronie [brennayovanoff.com](http://brennayovanoff.com) oraz na Twitterze: @brennayovanoff.